

BRANDON SANDERSON



STALOWE  
SERCE

**Brandon Sanderson**

**MŚCICIELE**

**TOM I**

**STALOWE SERCE**



*Dla Dallina Sandersona, za to, że każdego dnia zwalcza zło swoim uśmiechem.*

## Prolog

Widziałem, jak Stalowe Serce krwawił.

Było to dziesięć lat temu; miałem wtedy osiem lat. Mój ojciec i ja znajdowaliśmy się wówczas w banku First Union na Adams Street. W tamtym czasie, przed Aneksją, używano jeszcze starych nazw ulic.

Bank był ogromny. Do głównej sali prowadziło jedno wejście, wyłożoną mozaiką podłogę otaczały białe kolumny, a w głąb budynku można było się dostać, przechodząc przez szerokie drzwi. Z kolei wielkie drzwi obrotowe pozwalały wyjść na ulicę, a zwykłe, klasyczne drzwi prowadziły do bocznych części budynku. Ludzie wlewali i wylewali się z niego wartkim strumieniem, jak gdyby bank był sercem ogromnej bestii, pulsującym krwią ludzi i pieniędzy.

Zwrócony do tyłu, klęczałem na krześle, które było dla mnie za duże, i obserwowałem napływających ludzi. Lubiłem to robić. Różne kształty twarzy, rozmaite uczesania, ubrania, miny. Wtedy każdy był na swój sposób wyjątkowy. To mnie ekscytowało.

— Davidzie, odwróć się, proszę — powiedział mój ojciec.

Mówił cicho. Nigdy nie słyszałem, by podnosił głos, z wyjątkiem jednego razu, na pogrzebie mojej matki. Wspomnienie jego agonii tamtego dnia wciąż przyprawia mnie o drżenie.

Odwróciłem się nadąsany. Znajdowaliśmy się w bocznej części banku, w boksie, w którym pracowali urzędnicy zajmujący się kredytami. Boks ten był przeszklony, co sprawiało, że nie czuliśmy się jak w klatce, chociaż komfortowo także nie. Na ścianach pomieszczenia wisiały rodzinne zdjęcia w drewnianych ramkach, na biurku stało pudełko ze szklanym wieczkiem, wypełnione tanimi cukierkami, a na szafce z dokumentami postawiono wazon ze sztucznymi kwiatami.

Pomieszczenie stanowiło imitację luksusowo urządzonego wnętrza. Imitacją był także uśmiech na ustach mężczyzny, który siedział przed nami.

— Gdybyśmy mieli jakieś dodatkowe zabezpieczenie finansowe — powiedział urzędnik, pokazując zęby.

— Wszystko, co posiadam, zostało wykazane tutaj. — Mój ojciec wskazał na papier leżący na stole. Na jego dłoniach widniały zgrubienia, a skóra była opalona po całym dniu pracy w słońcu. Moja matka krzywiłaby się, gdyby widziała, że przyszedł na to przypominające bal przebierańców spotkanie ubrany w robocze dżinsy i stary T-shirt, na którym widniała jakaś postać z kreskówki.

Tyle dobrego, że się uczesał, choć jego włosy zaczynały już rzednąć. Ale ojciec nie zwracał na to uwagi w takim stopniu, w jakim wydawali się to czynić inni mężczyźni.

— Przynajmniej nie będę musiał często odwiedzać fryzjera, Dave — mawiał, śmiejąc się i przeczesując palcami rzadkie włosy. Nie docierało do mnie, że się mylił. Ojciec wciąż musiałby się strzyć tak samo często, dopóki włosy by mu nie wypadły.

— Nie sądzę, bym w tej sprawie mógł zrobić coś jeszcze — powiedział urzędnik od kredytów. — Uprzedzałem już o tym wcześniej.

— Inny pracownik banku stwierdził, że to wystarczy — odparł mój ojciec, zakładając ręce na piersiach. Wyglądał na zmartwionego. Bardzo zmartwionego.

Urzędnik od kredytów nie przestawał się uśmiechać. Bębnił palcami w stos papierów leżących na biurku.

— Świat stał się obecnie bardzo, bardzo niebezpiecznym miejscem, panie Charleston. Bank zdecydował się nie ponosić ryzyka.

— Niebezpiecznym miejscem? — zapytał mój ojciec.

— No cóż, wie pan, Epicy...

— Ale oni nie są niebezpieczni — powiedział ojciec z przekonaniem. — Epicy są tu po to, by pomagać.

*Byle znowu nie to* — pomyślałem.

Uśmiech zniknął z twarzy człowieka od kredytów tak, jakby stał go ton głosu ojca.

— Czy pan tego nie widzi? — Mój ojciec nachylił się. — Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Żyjemy w cudownych czasach!

Urzędnik uniósł głowę.

— Czy pana poprzedni dom nie został zniszczony właśnie przez Epików?

— Tam, gdzie są szubrawcy, są i bohaterowie — odrzekł ojciec. — Po prostu musimy poczekać. Oni przybędą.

Wierzyłem mu. Wielu ludzi myślało kiedyś dokładnie w taki sposób. Minęły tylko dwa lata, odkąd Calamity pojawiła się na niebie, a rok od czasu, gdy normalni ludzie zaczęli się zmieniać. Przekształcali się w Epików — niczym super-bohaterowie z bajek.

I tym sposobem wszyscy byliśmy pełni nadziei. I ignorancji.

— Cóż — powiedział urzędnik, zaplatając dłonie, które spoczywały na stoliku znajdującym się dokładnie obok fotografii ukazującej uśmiechające się dzieci z jakichś dalekich krajów. — Niestety, nasi agenci ubezpieczeniowi nie zgadzają się z pana szacunkami. Będzie pan musiał...

Ojciec i pracownik banku kontynuowali rozmowę, ale ja przestałem słuchać. Błądziłem wzrokiem, obserwując kręcących się po banku ludzi, a potem znowu odwróciłem się plecami, wciąż klęcząc na krześle. Ojciec był zbyt zajęty dyskusją, by mnie złązać.

Kiedy tak byłem pochłonięty swoimi obserwacjami, do banku wszedł Epik. Zauważyłem go natychmiast, choć nikt poza mną nie zwrócił na niego większej uwagi. Wielu twierdzi, że nie można odróżnić Epików od zwykłych ludzi dopóty, dopóki nie zaczną używać swych mocy. Mylą się. Epicy noszą się inaczej. Ta ich pewność siebie, to subtelne samozadowolenie. Zawsze byłem w stanie ich rozpoznać.

Tamtego dnia także, mimo że byłem tylko dzieckiem, dostrzegłem, że ów mężczyzna różni się w jakiś sposób od zwykłych ludzi. Nosił czarny, luźny biznesowy garnitur, a pod nim brązową koszulę bez krawata. Był wysoki i szczupły, ale wyglądał na silnego, jak zresztą wielu Epików. To, że jest muskularny, dało się zauważyć nawet poprzez luźny strój.

Mężczyzna skierował się ku środkowi sali. Z kieszeni na piersiach wystawały mu okulary słoneczne, a on wyjął je i założył z uśmiechem. Potem wykonał drobny gest — wysunął jeden palec i wskazał nim na przechodzącą nieopodal kobietę.

Wyparowała, przemieniając się w kupkę popiołu. Jej ubranie spłonęło, a szkielet runął na ziemię. Jednak kolczyki i obrączka kobiety nie stopiły się. Upadły na podłogę z głośnym brzęknięciem, które było słychać nawet mimo zgiełku panującego w banku.

Sala zamarła. Ludzie zastygli przerażeni. Rozmowy ustały, choć urzędnik od kredytów nie zwrócił na to uwagi, nadal wykładając ojcu swoje racje.

Przerwał dopiero, gdy podniosła się wrzawa.

Nie pamiętam, co wtedy czułem. Czyż to nie dziwne? Pamiętam rozblysk — ogromne żyrandole nad naszymi głowami eksplodowały, zasypując pokój kawałkami szkła, w których odbijały się refleksy światła. Pamiętam cytrynowo-amoniakowy zapach świeżo umytej podłogi. Pamiętam aż nadto dobrze przeszywający krzyk przerażenia, szaleńczą kakofonię, która rozległa się, gdy ludzie runęli do wyjścia.

Najwyraźniej pamiętam jednak to, że Epik uśmiechał się szeroko — chyba nawet mrugał

znacząco — wskazując palcem na poszczególnych ludzi i unicestwiając ich jednym nieznacznym gestem.

Czułem, że nie mogę się ruszyć. Prawdopodobnie byłem w szoku. Przyłgnąłem do oparcia krzesła, obserwując rozgrywający się koszmar szeroko otwartymi oczami.

Ludzie znajdujący się bliżej drzwi zdołali uciec. Ci, którzy znaleźli się blisko Epika, zginęli. Kilkunastu urzędników i klientów zbiło się w ciasny krąg, przysiadając na podłodze, albo ukryło się za biurkami. Wszelki ruch w pomieszczeniu zamarł. Epik stał pośrodku sam, w powietrzu unosiły się kartki, a na ziemi wokół leżały kości i czarny popiół.

— Zwą mnie Siewcą Śmierci — powiedział. — To nie jest najmądrzejsze z imion, przyznaję. Ale łatwo je zapamiętać. — Jego głos był wyjątkowo spokojny, jak gdyby prowadził towarzyską pogawędkę przy drinkach.

Ruszył przez pokój.

— Dziś rano przyszła mi do głowy pewna myśl — mówił. Pokój był tak duży, że niesło się echo. — Brałem prysznic i wtedy to mnie uderzyło. Coś zapytało... Siewco Śmierci, dlaczego nie miałbyś obrabować dziś banku?

Leniwym gestem wskazał ochroniarzy, którzy wycofali się z bocznego korytarza i skryli za boksami, w których zajmowano się sprawami kredytów. Strażnicy zamienili się w popiół, a ich odznaki, klamry od pasków, broń i kości padły na ziemię. Słyszałem, jak kości uderzają jedna o drugą. W ludzkim ciele jest ich bardzo wiele, więcej, niż przypuszczałem, i kiedy upadały, powstał niemały hałas — dziwny szczegół, związany z tą potworną sceną, ale pamiętam go dokładnie.

Na moje ramię opadła czyjaś ręka. Ojciec kuczał, mając swoje krzesło za plecami, i próbował ściągnąć mnie na ziemię, tak by Epik mnie nie zauważył, Ale ja nie mogłem się ruszyć, a mój ojciec nie mógł mnie do tego zmusić bez zwracania na nas uwagi.

— Planowałem to od paru tygodni, wiecie — mówił dalej Epik. — Ale ta myśl uderzyła mnie dopiero dziś rano. Dlaczego? Dlaczego by obrabować bank? Przecież i tak mogę dostać wszystko, co zechcę! To wprost śmieszne!

Przechylił się przez kontuar, co sprawiło, że chowająca się za nim kasjerka krzyknęła. Z trudem ją tam dojrzałem, skuloną na podłodze.

— Pieniądze nie mają dla mnie żadnej wartości, wiecie — powiedział Epik. — Kompletnie żadnej. — Wyciągnął palec. Kobieta przemieniła się w popiół i kości.

Epik wykonał obrót, celując palcem w kilkanaście różnych miejsc, zabijając ludzi, którzy próbowali uciec. W końcu wskazał mnie.

Wtedy wreszcie coś poczułem. Strach przeszył mnie jak cierń.

Na biurko obok upadła czaszka. Odbiła się od blatu, a kiedy upadła na ziemię, popiół zawirował. Epik wskazał nie mnie, ale urzędnika od kredytów, który chował się za biurkiem. Czyżby próbował uciec?

Epik zwrócił się ku kasjerom za kontuarem. Mój ojciec wciąż trzymał rękę na moim ramieniu. Czułem jego lęk o mnie, tak jakby był czymś fizycznym, biegnącym od jego ramienia ku mojemu.

Ogarnęło mnie przerażenie. Czyste, paraliżujące przerażenie. Skuliłem się na krześle, kwiląc, trzęsąc się i próbując wyprzeć ze świadomości obrazy strasznych zbrodni, które widziałem.

Ojciec zdjął rękę z moich barków.

— Nie ruszaj się — wyszeptał.

Skinąłem głową zbyt przestraszony, by móc zrobić coś więcej. Mój ojciec wyjrzał nieznacznie zza krzesła. Siewca Śmierci rozmawiał z jednym z kasjerów. Chociaż nie mogłem

ich zobaczyć, usłyszałem, jak kości upadają na ziemię. Epik dokonywał kolejnych egzekucji.

Twarz ojca pociemniała. Potem popatrzył w stronę bocznego korytarza. Ucieczka?

Nie. Tam przecież zginęli strażnicy. Poprzez szklaną ściankę boks widziałem leżący na ziemi pistolet, bębenek przysypany popiołem, część rękojeści opartą o kości żebra. Mój ojciec też to zauważył. Służył w Gwardii Narodowej, kiedy był młody.

*Nie rób tego!* — pomyślałem w panice. *Tato, nie!*

Nie mogłem wypowiedzieć tych słów. Podbródek mi się trząsał, kiedy próbowałem się odezwać, zupełnie tak, jakby było mi zimno. Zęby mi szczękały. Co będzie, jeśli Epik to usłyszy?

Nie mogłem pozwolić ojcu zrobić tak głupiej rzeczy! Był wszystkim, co miałem. Straciłem dom, rodzinę, matkę. Kiedy ojciec poruszył się, chcąc wstać, zmusiłem się, by schwycić go za rękę. Potrząsnąłem głową, zastanawiając się gorączkowo, co mogłoby go powstrzymać.

— Proszę — zdołałem wyszeptać. — Bohaterowie. Powiedziałeś, że przybędą. Niech oni go zatrzymają!

Czasami, synu — odparł mój ojciec, uwalniając się z mojego uścisku. — Musimy im sami pomóc.

Popatrzył na Siewcę Śmierci, a następnie na sąsiedni boks. Wstrzymałem oddech i rozejrzałem się wokół, wystawiwszy głowę zza krawędzi krzesła. Musiałem widzieć. Chociaż kulilem się i trząsałem, musiałem zobaczyć.

Siewca Śmierci przeskoczył przez kontuar i wylądował po jego drugiej stronie. Tuż obok nas.

W gruncie rzeczy to nie ma znaczenia — powiedział konwersacyjnym tonem, przechadzając się po boksie. — Obrabowanie dałoby mi pieniądze, ale ja nie muszę kupować rzeczy. — Podniósł morderczy palec. — Zagadka. Na szczęście, kiedy brałem prysznic, zrozumiałem coś jeszcze: zabijanie ludzi za każdym razem, gdy czegoś pragniesz, jest straszliwie niewygodne. Ja potrzebowałem przerazić wszystkich, pokazać im moją władzę. W ten sposób już nigdy nikt nie odmówi mi tego, czego pragnę.

Oparł się o kolumnę po drugiej stronie banku, zaskoczywszy kryjącą się tam kobietę z dzieckiem.

Tak — mówił dalej Epik — okradanie banków dla pieniędzy nie miałyby sensu. Ale pokazywanie tego, co mogę zrobić... to jest ważne. Więc kontynuowałem mój plan. — Wyciągnął palec i zabił dziecko, pozostawiając przerażoną kobietę, trzymającą na rękach kupkę kości i popiołu. — Nie jesteście zadowoleni?

Patrzyłem na tę scenę, na przestraszoną kobietę, ściskającą w rękach kocyk, z którego zaczęły wysypywać się kości. W tamtej chwili wszystko zaczęło być dla mnie bardziej rzeczywiste. Straszliwie rzeczywiste. Poczulem mdłości.

Siewca Śmierci stał obrócony do nas plecami.

Ojciec wyczołgał się z boks i schwycił leżący na ziemi pistolet strażnika. Dwoje ludzi, kryjących się za pobliskim filarem, rzuciło się w kierunku drzwi wyjściowych, potrącając ojca i niemal zbijając go z nóg.

Siewca Śmierci odwrócił się. Mój ojciec wciąż klęczał na podłodze, starając się utrzymać w ręku śliski od popiołu pistolet.

Epik podniósł rękę.

— Co tutaj robisz? — zagrzmiął czyjś głos.

Epik odwrócił się. Ja również. Jak sądzę, wszyscy po prostu musieli zwrócić się ku źródłu tego głębokiego, władczego głosu.

W drzwiach prowadzących na ulicę stanął jakiś mężczyzna. Widać było tylko jego sylwetkę, oblaną promieniami świecącego za jego plecami słońca. Wspaniała, herkulesowa, wzbudzająca respekt postać.

Zapewne widzieliście obrazy przedstawiające Stalowe Serce, ale zapewniam was, że żaden nie oddaje prawdy. Żadne zdjęcie, nagranie wideo czy malowidło nie jest w stanie pokazać, jak naprawdę wyglądał ten człowiek. Nosił czarne ubranie. Jego nieprawdopodobnie wielką i mocną klatkę piersiową opinała ciasna koszula. Spodnie były luźne, ale nie workowate. Nie miał na twarzy maski, jak to bywało w przypadku pierwszych Epików, za to na plecach powiewała mu wspaniała srebrna peleryna.

Nie potrzebował maski. Ten człowiek nie miał powodu, by się ukrywać. Stał z wyciągniętymi na bok ramionami, a wiatr kołysał skrzydłami drzwi, które miał za plecami, rozwiewając leżący na podłodze popiół i unosząc papiery. Stalowe Serce uniósł się o kilkanaście centymetrów nad ziemię. Jego peleryna migotała. Poszybował w głąb pomieszczenia. Jego ramiona przypominały dźwigary, nogi były niczym skały, a szyja wyglądała jak pień drzewa. Nie był jednak zwalisty i niezręczny. Przeciwnie, był majestatyczny, z kruczoczarnymi włosami, kwadratową szczęką, niesamowitą muskulaturą i dwoma metrami wzrostu.

I te oczy. Intensywne, władcze, o nieprzejednanym spojrzeniu.

Stalowe Serce z gracją wleciał do wnętrza banku, a Siewca Śmierci pospiesznie nakierował nań palec. Na koszuli Stalowego Serca pojawiło się niewielkie wypalone miejsce, tak jak po przypaleniu papierosem, lecz on sam nie okazał żadnej reakcji. Spłynął po schodach i z gracją wylądował nieopodal Siewcy Śmierci. Peleryna otuliła postać Stalowego Serca.

Siewca Śmierci ponownie wyciągnął palec. Był wściekły. Na koszuli Stalowego Serca pojawiła się kolejna niewielka wypalona dziurka. On sam podszedł do Epika, nad którym znacznie górował wzrostem.

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że na kogoś takiego właśnie czekał mój ojciec. To był bohater, na nadejście którego liczyli wszyscy, ktoś, kto miał wynagrodzić zło wyrządzone przez Epików. Ten człowiek przybył po to, by nas uratować.

Stalowe Serce ruszył do przodu i schwycił Siewcę Śmierci, który zbyt późno rzucił się do ucieczki. Próbował wyszarpnąć się z uścisku przeciwnika, jego okulary upadły na podłogę, a on sam aż sapnął z bólu.

— Zadałem ci pytanie — powiedział Stalowe Serce głosem jak uderzenie pioruna. Obrócił Siewcę Śmierci tak, że patrzyli sobie w oczy. — Co tu robisz?

Siewca Śmierci zadrżał. Wyglądał na spanikowanego.

— Ja... ja...

Stalowe Serce uniósł swoją drugą rękę i wysunął palec.

— Mam prawo do tego miasta, mały Epiku. Jest moje. — Przerwał. — I ja mam prawo dominować nad tymi ludźmi, nie ty.

Siewca Śmierci podniósł głowę.

Co? — pomyślałem.

— Wydaje się, że masz moc, mały Epiku — oznajmił Stalowe Serce, patrząc na kości porozrzucane na ziemi. — Jestem w stanie zaakceptować twoją podległość. Albo będziesz wobec mnie lojalny, albo zginiesz.

Nie mogłem uwierzyć w słowa Stalowego Serca. Byłem nimi zaszokowany tak, jak zabójstwami Siewcy Śmierci.

Ta zasada — służ mi albo giń — stała się podstawą władania Stalowego Serca. Rozejrzał się po wnętrzu i przemówił grzmiącym głosem:

— Od tej chwili jestem władcą tego miasta. Macie słuchać moich rozkazów. Do mnie



należy ta ziemia. Te budynki. Mnie będziecie płacić podatki. Jeśli nie będziecie tego przestrzegać, zginiecie.

*Nieprawdopodobne* — pomyślałem. On także? Nie mogłem znieść myśli, że ten niesamowity człowiek jest taki sam jak reszta Epików.

I nie tylko ja tak myślałem.

— Nie tak miało być — rzekł mój ojciec.

Stalowe Serce odwrócił się, najwidoczniej zdumiony słowami jednej z kulących się na ziemi istot.

Mój ojciec postąpił do przodu, trzymając pistolet przy boku.

— Nie — powiedział. — Nie jesteś taki, jak reszta. Widzę to. Jesteś lepszy od nich. — Znowu posunął się do przodu i stanął o przed obydwoma Epikami. — Jesteś tu po to, by nas uratować.

Ciszę panującą w pomieszczeniu zakłócał tylko szloch kobiety, która wciąż trzymała szczątki swego martwego dziecka. Na wpeł oszalała, na próżno usiłowała pozbierać jego kości, nie chcąc pozostawić nawet najdrobniejszej ich cząstki na ziemi. Jej suknia pokryta była popiołem.

Zanim któryś z Epików zdążył odpowiedzieć, otworzyły się boczne drzwi. Do banku wkroczyli czarno umundurowani mężczyźni z karabinami szturmowymi i otworzyli ogień.

W tamtym czasie rząd jeszcze nie rezygnował. Wciąż próbował walczyć z Epikami, usiłując podporządkować ich prawu. Od samego początku było wiadomo, że jeśli masz z nimi do czynienia, nie możesz zwlekać, nie możesz negocjować. W takich przypadkach należało wkroczyć z bronią i mieć nadzieję, że Epik, którego spotkałeś, zginie od zwykłych kul.

Mój ojciec uskokczył. Uspiony instynkt człowieka, który miał kiedyś do czynienia z bronią, podpowiedział mu, by przywrzeć plecami do kolumny, znajdującej się w głębi pomieszczenia. Stalowe Serce obrócił się z wyrazem zaskoczenia na twarzy, a potem zalała go fala kul. Odbijały się od jego ciała, rozrywając ubranie, lecz pozostawiając go zupełnie nietkniętym.

Epicy tacy jak on zmusili Stany Zjednoczone do wydania Aktu Kapitulacji, który zapewniał im całkowite stanie ponad prawem. Strzały z broni nie czyniły mu żadnej krzywdy — rakiety, czołgi czy najbardziej nawet zaawansowana broń nie były w stanie go choćby drasnąć. Nawet jeśli pochwycono by Stalowe Serce, nie było więzienia, w którym dałoby się go zamknąć.

Rząd uznał w końcu ludzi takich jak on za rodzaj naturalnej siły, takiej jak huragan czy trzęsienie ziemi. Próba pokazania Stalowemu Sercu, że nie może zagarnąć tego, czego chce, byłaby równie bezowocna jak wydanie ustawy zakazującej wiatrowi, by wiał.

Tamtego dnia w banku przekonałem się na własne oczy, dlaczego tak wielu ludzi nie decydowało się na walkę. Stalowe Serce podniósł rękę, wokół której pojawiło się bladeżółte światło. Siewca Śmieci schował się za jego plecami, chroniąc się przed kulami. W przeciwieństwie do Stalowego Serca obawiał się postrzelenia. Tylko najpotężniejsi Epicy byli odporni na ogień z broni palnej.

Z ręki Stalowego Serca wydobył się strumień żółtobiałej energii, pod wpływem którego kilku żołnierzy po prostu wyparowało. Znowu zapanował chaos. Żołnierze w panice kryli się tam, gdzie to tylko było możliwe; w powietrze wyleciały kawałki marmuru i pojawił się dym. Jeden z żołnierzy odpalił z broni coś w rodzaju rakiety, lecz ominęła ona Stalowe Serce — który nadal raził przeciwników strumieniami energii — i uderzyła w tylną ścianę banku, burząc sklepienie.

Strumień powietrza wyrzucił na zewnątrz płonące banknoty. Monety wytrysnęły w niebo i opadły na ziemię.

Krzyki. Wrzaski. Szaleństwo.

Żołnierze ginęli szybko. Kulilem się na krzesło, zatykając uszy rękami. Było niewyobrażalnie głośno.

Siewca Śmierci wciąż znajdował się za plecami Stalowego Serca. Obserwowałem go. Uśmiechnął się, uniosł ręce i skierował je ku szyi Stalowego Serca. Prawdopodobnie miał jeszcze jakiś inny rodzaj mocy. Większość Epików silnych tak jak on posiadała zazwyczaj więcej niż jedną zdolność.

Być może wystarczyłoby to, by unicestwić Stalowe Serce. Co prawda wątpię w to, ale tak czy inaczej, już nigdy się tego nie dowiemy.

W powietrzu rozległ się pojedynczy wystrzał. Eksplozja rakiety była tak potężna, że z trudem się zorientowałem, iż ktoś strzelił z pistoletu. Kiedy dym nieco opadł, zobaczyłem ojca. Stał w odległości kilku kroków od Stalowego Serca z podniesionymi rękami, oparty o kolumnę. Na twarzy miał wyraz determinacji. Trzymał w rękach broń, celując w Stalowe Serce.

Nie, nie w niego. W Siewcę Śmierci, który stał za plecami Stalowego Serca.

Siewca Śmierci upadł, trafiony kulą w czoło. Zginął. Stalowe Serce odwrócił się gwałtownie i popatrzył na mniejszego od siebie Epika. Potem skierował wzrok na mojego ojca i dotknął ręką swej twarzy. Tuż pod okiem widniała strużka krwi.

Najpierw pomyślałem, że to krew Siewcy Śmierci. Lecz kiedy Stalowe Serce ją otarł, zobaczyłem, że to on krwawił.

Mój ojciec strzelił do Siewcy Śmierci, lecz kula najpierw drasnęła Stalowe Serce.

Ten pocisk ranił Epika, podczas gdy pociski z broni żołnierzy odbijały się od jego ciała.

— Przepraszam — rzekł zatrwożony ojciec. — On mierzył w twoim kierunku. Ja...

W oczach Stalowego Serca zapłonęła dzikość. Wyciągnął przed siebie dłoń i wpatrywał się w swoją krew. Wyglądał na kompletnie zaskoczonego. Popatrzył na sklepienie, które miał za plecami, a potem na ojca. Ci dwaj stali naprzeciwko siebie pośród dymu i kurzu — masywny i władczy Epik i niewysoki, bezdomny mężczyzna w T-shircie i znoszonych dzinsach.

Stalowe Serce skoczył do przodu z oszałamiającą szybkością i uderzył ojca w klatkę piersiową, wgniatając go w białą kamienną kolumnę. Dał się słyszeć trzask kości, a z ust ojca popłynęła krew.

— Nie! — krzyknąłem. Mój głos zabrzmiał dziwnie, tak jakbym był pod wodą. Chciałem biec do ojca, ale byłem zbyt przerażony. Nawet dziś myślę o tym, jakim byłem tchórzem, i wciąż mnie to boli.

Stalowe Serce usunął się na bok i podniósł z ziemi upuszczony przez ojca pistolet. W jego oczach znać było furję. Stalowe Serce skierował broń dokładnie ku piersi ojca i oddał jeden strzał.

On tak właśnie postępuje. Stalowe Serce lubi zabijać ludzi z ich własnej broni. To jeden z jego znaków firmowych. Stalowe Serce jest nieprawdopodobnie silny i potrafi wyemitować z dłoni strumień energii. Lecz kiedy chodzi o zabicie kogoś, kto wzbudza jego szczególne zainteresowanie, woli używać broni swej ofiary.

Ojciec osunął się wzdłuż kolumny, a Stalowe Serce rzucił pistolet do jego stóp. Potem z jego rąk zaczęły się wydobywać strumienie energii, którymi raził na wszystkie strony, podpalając krzesła, ściany i blaty. Jeden ze strumieni uderzył blisko mnie i jego siła wyrzuciła mnie z krzesła. Potoczyłem się na podłogę.

Na skutek eksplozji w powietrze wyleciały drewniane i szklane rzeczy, a pomieszczenie się trzęsło. Po chwili Stalowe Serce spowodował takie zniszczenia, przy których zabójstwa dokonane przez Siewcę Śmierci były niewinną zabawą. Rujnował pomieszczenie, w którym się znajdowaliśmy, powalając kolumny i zabijając każdego, kogo zobaczył. Nie wiem, jak

przeżyłem, pełznąc pośród odłamków szkła, kawałków drewna i gipsu, które spadały wokół mnie wśród wirującego pyłu.

Stalowe Serce wydał z siebie ryk wściekłości i oburzenia. Prawie go nie słyszałem, ale za to czułem, bo rozbijał okna i poruszał ściany. Potem wydobyła się z niego fala energii. Podłoga zmieniła kolor i przekształciła się w metal.

Transformacja ta błyskawicznie się rozprzestrzeniła. Podłoga pode mną, ściany obok, kawałki szkła na ziemi — wszystko przemieniło się w stal. Dziś wiemy, że wściekłość Stalowego Serca sprawia, że nieożywione obiekty wokół zmieniają się w metal. Natomiast wszystko, co jest żywe lub znajduje się blisko czegoś żywego, nie ulega transformacji.

Zanim ryk Epika ustał, większa część banku stała się metalem, choć duży fragment sufitu wciąż pozostawał zrobiony z drewna i gipsu, podobnie jak część ściany. Stalowe Serce nieoczekiwanie uniósł się w powietrze i przedarłszy się przez sufit i kilkanaście piętér, poszybował ku niebu.

Potykając się, ruszyłem ku ojcu, licząc na to, że zdoła zrobić coś, co powstrzyma szaleństwo. Kiedy przypadłem do niego, targały nim dreszcze. Krew zalewała mu twarz, a klatka piersiowa krwawiła na skutek rany. Przywarłem do ojcowskiego ramienia przerażony.

Niesamowite, ale ojciec zdołał coś powiedzieć, choć ja nie mogłem dosłyszeć wypowiedzianych przez niego słów. Ogłuszyło mnie to wszystko, co działo się wokół. Ojciec drżącą ręką dotknął mego podbródka. Powiedział coś jeszcze, ale wciąż nie byłem w stanie go zrozumieć.

Otarłem oczy rękawem koszulki, a potem usiłowałem pomóc mu wstać, ciągnąc go za ramię. Budynek banku zatrzęsł się.

Ojciec schwycił mój bark, a ja popatrzyłem na niego ze łzami w oczach. Powiedział jedno słowo — jedyne, jakie zdołałem odczytać z ruchu jego warg.

— Idź.

Zrozumiałem. Stało się coś doniosłego, coś, co obnażyło Stalowe Serce, coś, co go przeraziło. Do tej pory był nowy pośród Epików, nikt w mieście go nie znał, ale ja o nim słyszałem. Uchodził za kogoś niezniszczalnego.

Zranił go jednak strzał z pistoletu i wszyscy obecni w banku ludzie widzieli jego słabość. Nie było możliwości, by pozwolił nam żyć — musiał chronić swój sekret.

Po policzkach płynęły mi łzy. Opuszczając ojca, czułem się jak kompletny tchórz. Odwróciłem się i pobiegłem. Budynkiem wstrząsały kolejne eksplozje; ściany pękały, sufit się rozpadał. Stalowe Serce chciał całkowicie zburzyć bank.

Niektórzy ludzie uciekali frontowymi drzwiami, ale Stalowe Serce zabijał ich z powietrza. Inni uciekali drzwiami bocznymi, ale te prowadziły tylko w głąb banku. Próbujący wydostać się w ten sposób ludzie ginęli pod gruzami budynku.

Ukryłem się w sejfie.

Chciałbym móc powiedzieć, że zrobiłem to, bo byłem mądry, w rzeczywistości jednak tylko tam mogłem się przedostać. Niejasno pamiętam, jak doczołgałem się do kąta i skuliłem, płacząc. Budynek walił się w gruzy. Większa część głównej sali banku stała się metalowa, a sejf w ogóle był opancerzony, toteż nie mógł się zawalić.

Kilka godzin później z ruin wydobyła mnie kobieta z ekipy ratunkowej. Byłem oszołomiony i ledwo przytomny. Kiedy mnie uwalniano, oślepił mnie blask latarki. Pomieszczenie, w którym się znajdowałem, było zburzone tylko częściowo. Jego ściany i większa partia sufitu były teraz stalowe. Reszta budynku leżała w gruzach.

Ratowniczką szepnęła mi do ucha:

— Udawaj, że jesteś martwy.

Potem zanosła mnie ku rzędowni ciał i nakryła kocem. Domyśliła się, co Stalowe Serce mógłby uczynić z tymi, którzy przetrwali.

Kiedy ponownie ruszyła, by szukać innych ocalałych, spanikowałem i wypełzłem spod koca. Wokół panowała ciemność, choć tak naprawdę było dopiero późne popołudnie. Władca Ciemności krążył nad nami. Zaczynało się panowanie Stalowego Serca.

Potyając się i utykając, powlokłem się aleją. To uratowało mi życie. Chwilę potem Stalowe Serce powrócił, lecąc nad światłami ekipy ratunkowej. Następnie wylądował obok rumowiska. Była z nim szczupła blondynka z włosami uczesanyymi w kok. Później dowiedziałem się, że była Epikiem o imieniu Faultline i dysponowała mocą poruszania ziemią. I choć pewnego dnia miała rzucić wyzwanie Stalowemu Sercu, wtedy jeszcze mu służyła.

Poruszyła ręką i ziemia zaczęła drżeć.

Uciekałem, zagubiony, przerażony, pełen bólu. Za moimi plecami ziemia rozstępowała się, pochłaniając to, co pozostało z banku — w tym zabitych, a także ocalałych, którzy otrzymywali pomoc medyczną, oraz ratowników. Stalowe Serce chciał zatrzeć wszelkie ślady. Zadaniem Faultline było pogrzebać je pod zwałami ziemi i zabić każdego, kto mógłby opowiedzieć o tym, co zdarzyło się w banku.

Prócz mnie.

Później, w nocy, Stalowe Serce urządził Wielką Transferię, przerażający pokaz siły, podczas którego przemienił znaczną część Chicago — budynki, pojazdy, ulice — w stal. Pokaz objął również dużą część jeziora Michigan, która zamieniła się w szklisty czarny metal. To w tym miejscu Stalowe Serce zbudował swój pałac.

Wiem tak dobrze jak nikt inny, że nie istnieją herosi, którzy przybędą, by nas uratować. Nie ma dobrych Epików. Żaden z nich nas nie chroni. Potęga deprawuje, a potęga absolutna deprawuje całkowicie.

Żyjemy obok nich. Usiłujemy żyć pomimo nich. Kiedy wydano Akt Kapitulacji, większość ludzi przestała stawiać opór. W niektórych częściach kraju, zwanych obecnie Cząstkowymi Stanami, stary rząd ma jeszcze marginalną władzę. Pozwala Epikom robić to, na co mają ochotę, i usiłuje utrzymać podupadające społeczeństwo. Jednakże większa część kraju to jeden chaos, w którym nie obowiązują jakiegokolwiek prawa.

W kilku miejscach, takich jak na przykład Newcago, jeden uważający się za boga Epik rządzi na sposób tyрана. Stalowe Serce nie ma tu rywali. Wszyscy wiedzą, że jest niezniszczalny. Nic nie jest w stanie uczynić mu krzywdy: ani pociski, ani eksplozje, ani prąd. W początkach jego rządów niektórzy Epicy usiłowali go obalić i zająć jego miejsce, jak na przykład Faultline.

Wszyscy już nie żyją. Teraz rzadko który próbuje.

Jednakże musimy wziąć pod uwagę pewien fakt: każdy Epik ma jakiś słaby punkt. Coś, co osłabia ich moc, coś, co na powrót przekształca ich w zwykłych ludzi, nawet jeśli tylko na chwilę. Stalowe Serce nie jest tu wyjątkiem; udowodniły to wydarzenia tamtego dnia w banku.

W moim umyśle tkwi klucz do tego, w jaki sposób można zabić Stalowe Serce. Coś, co ma związek z bankiem, całą tamtą sytuacją, pistoletem albo moim ojcem, jest w stanie zneutralizować nietykalność Stalowego Serca. Wielu z was z pewnością wie o bliźnie widniejącej na jego policzku. O ile się orientuję, jestem jedynym żyjącym człowiekiem, który wie, w jaki sposób jej się dorobił.

Widziałem, jak Stalowe Serce krwawił.

I kiedyś ujrzę to raz jeszcze.

# CZEŚĆ I

Ześlizgnąłem się z klatki schodowej, lądując na stalowym żwirze u jej podstawy. Wdychając głębiej powietrze, zacząłem przemierzać ciemne podziemia Newcago. Od śmierci mojego ojca minęło dziesięć lat. Tamten pamiętny dzień w banku ludzie nazwali Aneksją.

Miałem na sobie luźną skórzaną kurtkę i dzinsy, a przez ramię przewiesiłem karabin. W przejściu panowały ciemności, pomimo że było ono dość płytkie, z kratami i dziurami, przez które widać było niebo.

W Newcago zawsze jest ciemno. Władca Ciemności był jednym z pierwszych Epików, którzy ślubowali posłuszeństwo Stalowemu Sercu. Teraz jest jednym z wąskiego grona Epików, którzy go otaczają. Z powodu Władcy Ciemności nie ma wschodów słońca i księżyca. Jest tylko ciemność. Cały czas, każdego dnia. Jedyną rzeczą widoczną na niebie jest Calamity, która wygląda jak jasnoczerwona planeta lub kometa. Calamity zaczęła świecić na rok przed tym, jak ludzie zaczęli przekształcać się w Epików. Nikt nie wie, dlaczego czy jak to się dzieje, że świeci w ciemnościach. Oczywiście nikt nie wie też, dlaczego pojawili się Epiccy i jaki to ma związek z Calamity.

Zacząłem biec, przeklinając się za to, że nie wyszedłem wcześniej. Światła umieszczone wzdłuż sufitu podziemi migotały, a ich pokrywy były niebieskie. W podziemiach pełno było wyrzutków: w kątach kryli się narkomani, a dilerzy — albo jeszcze gorsze kanalie — w bocznych uliczkach. Były też grupy robotników, idących do pracy lub wracających z niej. Nosili grube okrycia z postawionymi kołnierzami, tak by ukryć twarze. Szli zgarbieni, z oczami wbitymi w ziemię.

Ostatnie dziesięć lat spędziłem pośród ludzi takich jak oni, pracując w miejscu, które zwaliśmy po prostu Fabryką. Był to po części sierociniec, po części szkoła, ale przede wszystkim miejsce, w którym wykorzystywano dzieci do darmowej pracy. Ale przynajmniej miałem dach nad głową i jedzenie przez większą część tych dziesięciu lat. Było to lepsze niż życie na ulicy, a ja nie buntowałem się przeciwko temu, by zarabiać na jedzenie. Prawa dotyczące pracy dzieci stanowiły relikwiny czasów, gdy ludzie jeszcze dbali o takie rzeczy.

Przepchnąłem się obok grupy zdążających do pracy. Jeden z nich skłął mnie w języku przypominającym hiszpański. Rozejrzałem się. Na skrzyżowaniach widniały nazwy ulic wymalowane sprayem na metalicznie błyszczących ścianach.

Kiedy Wielka Transferia spowodowała, że większa część Dawnego Miasta zmieniła się w stal, objęło to również glebę i skały na głębokość dziesiątek, a może i setek metrów.

W pierwszych latach swego panowania Stalowe Serce usiłował pozować na łaskawego — choć bezwzględny — dyktatora. Jego Kopacze stworzyli kilkadziesiąt podziemnych poziomów z budynkami, w których osiedlali się ludzie poszukujący pracy w Newcago.

Życie tutaj było ciężkie, ale chaos panował właściwie wszędzie — Epiccy walczyli ze sobą o panowanie nad terytoriami, przeróżne pararządowe albo stanowe organizacje militarne rościły sobie prawa do ziemi. W Newcago było inaczej. Tutaj mogłeś zostać zabity przez Epika, któremu nie spodobał się sposób, w jaki na niego patrzyłeś, ale przynajmniej był prąd, woda i jedzenie. Ludzie się dostosowują. Tak właśnie robimy.

Z wyjątkiem jednego człowieka, który na to nie przystał.

*No dobra* — pomyślałem, sprawdzając godzinę na mojej komórce, którą nosiłem w klapce na przedramieniu kurtki. *Cholerna kolej*. Wybrałem skrót i szybko przemknąłem jednym z zaułków. Było ciemno, ale po dziesięciu latach życia w nieustannym mroku zdążyłem już do tego

przywyknąć.

Minąłem grupki śpiących żebraków, przeskakując przez jednego, który leżał przy końcu zaułka, i wypadłem na Siegel Street, dość szeroką, główną ulicę, która była lepiej oświetlona. Tutaj, na pierwszym poziomie podziemi, Kopacze wydrążyli pomieszczenia, w których otwarto sklepy. Teraz były jeszcze zamknięte, ale przed niektórymi stali już pilnujący ich ludzie z pistoletami. Policja Stalowego Serca teoretycznie patrolowała ulice podziemi, ale pojawiała się rzadko poza naprawdę najniebezpieczniejszymi wypadkami.

Pierwotnie Stalowe Serce planował budowę wielkiego podziemnego miasta, które rozciągałoby się na głębokość kilkudziesięciu poziomów. To było, jeszcze zanim Kopacze zwariowali, a sam Stalowe Serce nie porzucił mrzonek o opiece nad ludźmi zamieszkującymi w podziemiach. Teraz najwyższe poziomy były jako tako znośne. Istniała tu przynajmniej jakaś namiastka organizacji życia i wiele wydrążonych dziur i zagłębień, które służyły za domy.

Światła umieszczone na sufitach świeciły naprzemiennie na bledożółto i bledozielono. Jeśli znało się kolory odpowiadające poszczególnym ulicom, można było bez problemów poruszać się po podziemiach. A przynajmniej po wyższych poziomach. Nawet weterani miasta unikali zapuszczania się w jego niższe partie, zwane stalowymi katakumbami, gdzie można się było łatwo zgubić.

*Dwa bloki do Schuster Street* — pomyślałem, popatrując przez wyrwę w suficie w kierunku nieco lepiej oświetlonych, lśniących wieżowców. Minąłem truchtem dwa bloki, potem skręciłem w bok, na klatkę schodową, i zacząłem się wspinać w górę, potykając się na metalowych schodach, w których odbijało się przyćmione światło.

Wydostałem się wreszcie na metalową ulicę, a następnie natychmiast zanurkowałem w jeden z zaułków. Wielu ludzi twierdziło, że ulice na powierzchni nie były tak niebezpieczne jak w podziemiach, ale ja i tak nigdy nie czułem się tu dobrze. Szczerze mówiąc, nigdzie nie czułem się bezpiecznie, nawet w Fabryce z innymi dzieciakami. Ale na górze... na górze byli Epicy.

Chodzenie po podziemiach z karabinem było powszechną praktyką, ale na powierzchni mogło to zwrócić uwagę żołnierzy Stalowego Serca albo przechodzącego nieopodal Epika. Lepiej więc było ukryć broń. Kucnąłem obok jakichś pudeł w zaułku, wstrzymując oddech. Zerknąłem na moją komórkę, na której wyświetliła mi się mapa miasta. Potem popatrzyłem w górę.

Dokładnie na wprost mnie znajdował się budynek oświetlony czerwonym neonem. Teatr Reeve. Patrzyłem, jak ludzie wylewają się zeń frontowymi drzwiami, i odetchnąłem z ulgą. Dotarłem tu dokładnie w momencie, gdy przedstawienie się zakończyło.

Ludzie, których widziałem, mieszkali na powierzchni. Byli ubrani w ciemne garnitury i kolorowe sukienki. Niektórzy byli zapewne Epikami, ale większość nie. Musieli jednak należeć do grupy tych, którym powiodło się w życiu. Prawdopodobnie Stalowe Serce okazywał im łaski za to, czym się zajmowali, albo może po prostu urodzili się w bogatych rodzinach. Stalowe Serce mógł mieć wszystko, czego zapragnął, ale aby rządzić imperium, potrzebował ludzi, którzy by mu pomagali. Biurokratów, oficerów armii, księgowych, guru handlu, dyplomatów. Jako śmietanka służąca dyktaturze ludzie ci żyli z resztek, które pozostawił Stalowe Serce.

To zaś oznaczało, że byli na równi z Epikami winni uciskowi, ale ja nie posądzałem ich o szczególnie złą wolę. Świat w naszych czasach stał się taki, że jeśli chciałeś przetrwać, musiałeś robić to, do czego cię zmuszano.

Ludzie z elity ubierali się w staromodnym stylu — taki panował obecnie trend. Mężczyźni nosili kapelusze, a suknie kobiet wyglądały jak na zdjęciach z czasów prohibicji. Stanowiło to drastyczny kontrast ze stalowymi budynkami i odległym warkotem nowoczesnego helikoptera sił zbrojnych.

Opuszczający teatr zamożni ludzie nieoczekiwanie zaczęli się usuwać z drogi, robiąc miejsce mężczyźnie w jasnoczerwonym, prążkowanym garniturze, czerwonej fedorze i czarno-czerwonej pelerynie.

Skuliłem się jeszcze bardziej. To był Fortuity, Epik posiadający zdolność przewidywania przyszłości. Umiał na przykład przewidzieć liczbę oczek, które miały wypaść na kostce, albo przepowiedzieć pogodę. Potrafił także wyczuć niebezpieczeństwo, co wyniosło go do elity Epików. Nie da się zabić kogoś takiego jednym celnym strzałem z pistoletu. Będzie wiedział, że strzał nastąpi, i czmychnie, zanim zdążysz nacisnąć spust. Jego zdolności były tak zestrojone, że potrafił uniknąć serii z karabinu maszynowego, ale także przewidzieć, że zatruto jedzenie albo podłożono w jakimś budynku materiały wybuchowe.

Elita Epików. Są cholernie trudni do zabicia.

W rządzie Stalowego Serca Fortuity zajmował niezbyt wysoką pozycję. Nie należało do kręgu najbliższych współpracowników Stalowego Serca, jak Władca Ciemności, Pożar czy Conflux, lecz był wystarczająco potężny, by obawiali się go pomniejsi Epicy. Miał pociągłą twarz i orli nos. Podeszedł do krawężnika przed teatrem i zapalił papierosa. Niemal natychmiast pojawiła się jego świta. Do jego boków przyłgnęły dwie kobiety w eleganckich sukniach.

Świerbiły mnie ręce, by zsunąć karabin i strzelić do niego. Był sadystycznym potworem. Twierdził, że jego moce działają najlepiej wtedy, gdy praktykuje sztukę, którą zwał ekstatyczną pikanterią: chodziło o przepowiadanie przyszłości z wnętrzości. Fortuity preferował ludzkie, i to świeże.

Powstrzymałem się. W chwili, gdy zdecydowałem się na oddanie strzału, jego zdolności natychmiast by się objawiły. Fortuity nie miał się czego obawiać ze strony samotnego snajpera. Uważał zapewne, że nie musi się bać w ogóle nikogo. Jeśli miałem dobre informacje, następne godziny udowodnią mu, jak bardzo się mylił.

*Dobra — pomyślałem. To najlepsza pora, by go zaatakować. Nie myślę się. Nie mogę się mylić.*

Fortuity zaciągnął się papierosem, skinąwszy głową paru osobom, które go mijaly. Nie miał ze sobą ochroniarzy. Po co w ogóle miałby ich potrzebować? Na jego palcach lśniły pierścienie, choć bogactwo nie miało dla niego znaczenia. Nawet gdyby rządy Stalowego Serca nie gwarantowały mu posiadania tego, czego pragnął, Fortuity mógł w każdej chwili wygrać fortunę w jakimkolwiek kasynie.

Nic się nie wydarzyło. Czyżbym się mylił? A byłem tak pewien. Informacje Bilko były zazwyczaj dokładne. W podziemiach chodziły słuchy, że Mściciele powrócili do Newcago. Fortuity był Epikiem, którego mieli na celowniku. Wiedziałem o tym. Moim zwyczajem — a nawet czymś w rodzaju wyzwania — stało się zbieranie wszelkich informacji o Mścicielach. Ja...

Jakaś kobieta minęła Fortuity'ego. Wysoka, smukła, złotowłosa, miała około dwudziestu lat. Ubrana była w cienką czerwoną sukienkę z głębokim dekoltem. Nawet mając dwie ślicznotki u boku, Fortuity odwrócił się i powiódł za nią wzrokiem. Dziewczyna zwolniła, zerkając na niego. Potem uśmiechnęła się i ruszyła dalej, kołysząc biodrami.

Nie słyszałem, co zostało powiedziane, ale koniec końców nowo przybyła zajęła miejsce obu kobiet. Powiodła Fortuity'ego w dół ulicy, szepcząc coś do jego ucha i śmiejąc się. Dwie ślicznotki czekały z tyłu, założywszy ręce na piersiach. Nie odważyły się narzekać. Fortuity nie lubił, kiedy kobiety komentowały jego poczynania.

To musiało być to. Chciałem ich wyprzedzić, ale nie mogłem tego zrobić na ulicy. Zacząłem więc wycofywać się zaułkami. Znałem tę okolicę doskonale; oglądanie jej na mapie o mały włos nie spowodowało mego spóźnienia.

Znajdowałem się teraz za tylną ścianą budynku. Kryjąc się w cieniu, przedzierałem się do



następnego zaułka. Wyrząłem stamtąd i zobaczyłem tę samą ulicę, lecz pod innym kątem. Fortuity spokojnie szedł po stalowym chodniku.

Okolica była oświetlana lampami zwisającymi z ulicznych latarni. Latarnie zostały zmienione w stal podczas Transferii, nie wyłączając części elektronicznych i żarówek. Nie działały już, ale za to nadawały się, by powiesić na nich lampy.

Sączyły się z nich kręgi światła, Fortuity i dziewczyna wynurzali się i znikali w nich na przemian. Wstrzymałem oddech, przypatrując się temu uważnie. Fortuity na pewno miał broń. Jego marynarka była tak uszyta, iż pod ramieniem znajdowało się wybrzuszenie, ale ja wciąż nie byłem pewien, gdzie miał kaburę.

Fortuity nie miał żadnych zdolności umożliwiających mu atakowanie, ale nie było to istotne. Jego umiejętności przewidywania przyszłości sprawiały, że nigdy nie spóźnił się z użyciem pistoletu, niezależnie od siły strzału. Jeśli zdecydował się, by cię zabić, miałeś dwie sekundy na rewanż. Potem byłeś martwy.

Kobieta chyba nie była uzbrojona, choć nie dałbym za to głowy. Sukienka miała wiele fałd. A może dziewczyna miała pistolet przymocowany do uda? Przyjrzałem się uważniej, gdy znalazła się w kolejnym kręgu światła. Przyłapałem się na tym, że bardziej gapię się na nią, aniżeli szukam wzrokiem broni. Dziewczyna była wspaniała. Te lśniące oczy, jasnoczerwone usta, złote włosy. I ten głęboki dekolt...

Otrząsnąłem się. *Idiota* — pomyślałem. *Masz cel. Kobiety przeszkadzają, w jego realizacji.*

Ale nawet dziewięćdziesięciodziesięcioletni ksiądz zatrzymałby się i popatrzył na tę dziewczynę. Gdyby nie był ślepy, oczywiście. *Kiepska metafora* — pomyślałem. *Muszę nad nią popracować. Mam problem z metaforami.*

*Koncentracja.* Uniosłem karabin, zabezpieczyłem go i nastawiłem celownik w zbliżeniu. Gdzie chcieli go dopaść? Od ulicy odchodziło kilka pogrążonych w ciemnościach przecznic — mrok rozpraszały tylko latarnie — nim wreszcie krzyżowała się z Burnley Street. Tutaj znajdowało się lokalne centrum nocnych klubów. Dziewczyna prawdopodobnie zwabiła Fortuity'ego do jednego z nich. Najkrótsza droga wiodła w ciemnościach, mniej uczęszczaną ulicą.

Ulica była pusta, co stanowiło dobry znak. Mściciele rzadko atakowali Epików, którzy znajdowali się w miejscach, gdzie było dużo ludzi. Nie chcieli niewinnych ofiar. Skierowałem karabin w górę i nakierowałem celownik na okna wieżowców. Niektóre z nich kiedyś zamieniły się w metal, który później usunięto i zastąpiono ponownie szkłem. Czy ktoś stał w oknie i obserwował ulicę?

Poszukiwałem Mścicieli przez lata. Byli jedynymi, którzy podjęli walkę. Działająca w ukryciu grupa prześladowała, chwytła i zabijała potężnych Epików. Mściciele byli bohaterami. Nie takimi, jakich wyobrażał sobie mój ojciec — nie mieli mocy Epików, ich krzykliwych strojów. Nie walczyli o prawdę, amerykański ideał czy inne nonsensy.

Po prostu zabijali. Jednego po drugim. Ich celem stało się wyeliminowanie wszystkich Epików, którzy stawiali się ponad prawem. A ponieważ robił tak prawie każdy Epik, Mściciele mieli pełne ręce roboty.

Wciąż obserwowałem okna. Jak mieliby zabić Fortuity'ego? Istniało zaledwie kilka sposobów, by to zrobić. Mogli próbować zaskoczyć go w sytuacji uniemożliwiającej ucieczkę. Jego zdolności do przewidywania przyszłości pozwalały mu wybrać ścieżkę gwarantującą bezpieczeństwo, ale jeśli znalazł się w sytuacji, kiedy to wszystkie drogi prowadziły do śmierci, można go było zabić.

Nazywano to pociągnięciem „szach-mat”, ale szalenie trudno było stworzyć takie

okoliczności. Bardziej prawdopodobne było więc, że Mściciele poznali jakąś słabość Fortuity'ego. Każdy Epik miał przynajmniej taką jedną — jakiś przedmiot, stan umysłu, czynność — i to umożliwiało pozbawienie ich mocy.

*Tam* — pomyślałem. Serce zaczęło mi bić mocniej, kiedy w celowniku dostrzegłem ciemną postać kulącą się w oknie trzeciego piętra budynku. Nie mogłem rozróżnić detali, ale najprawdopodobniej namierzał Fortuity'ego celownikiem swego karabinu.

To było to. Uśmiechnąłem się. Wreszcie ich znalazłem. Po wszystkich moich usiłowaniach i poszukiwaniach, wreszcie ich znalazłem.

Kontynuowałem obserwację jeszcze bardziej gorliwie. Snajper musiał być jednym z członków grupy planującej zabicie Epika. Ręce zaczęły mi się pocić. Niektórzy ludzie ekscytują się wydarzeniami sportowymi albo filmami akcji, lecz ja nie mam czasu na namiastki podniet. Ale to... Szansa ujrzenia Mścicieli w akcji, szansa ujrzenia, jak zastawili pułapkę. .. Było to spełnienie moich największych marzeń, choć zarazem dopiero pierwszy krok w realizacji mych planów. Nie przyszedłem tu tylko po to, by zobaczyć zabójstwo Epika. Jeszcze przed końcem nocy miałem zamiar skłonić Mścicieli, by mnie przyjęli do swej grupy.

— Fortuity! — ryknął jakiś głos nieopodal.

Szybko opuściłem karabin, na powrót kryjąc się w zaułku. Chwilę potem ujrzałem, że ktoś nadbiega. Był to potężny mężczyzna w smokingu.

— Fortuity! — wrzasnął znowu. — Czekaj!

Znowu uniosłem karabin, używając celownika, by uważniej przyjrzeć się temu człowiekowi. Czy był częścią przygotowanej przez Mścicieli pułapki?

Nie. To był Donny „Curveball” Harrison, pomniejszy Epik, który dysponował tylko jedną zdolnością — strzelaniem z pistoletu, przy czym nigdy nie brakło mu kul. Był ochroniarzem i zabójcą pracującym dla Stalowego Serca. Nie mógł być częścią planu Mścicieli — nie współpracowali z Epikami. Nigdy.

Mściciele nienawidzili Epików. Zabijali najgorszych spośród nich, ale nigdy nie pozwoliliby, by którykolwiek Epik dołączył do ich grupy.

Klnąc w duchu, patrzyłem, jak Donny staje przed Fortuitem i dziewczyną. Wyglądała na zaniepokojoną. Zaciśnęła usta i przymrużyła piękne oczy. Tak, bała się. Na pewno była jedną z Mścicieli.

Curveball wyjaśniał coś, a Fortuity zmarszczył brwi. Co się działo?

Przeniosłem wzrok na kobietę. *Jest w niej coś takiego...* — pomyślałem, nie spuszczać z niej wzroku. Była młodsza, niż początkowo sądziłem. Miała może osiemnaście albo dziewiętnaście lat, ale coś w jej oczach sprawiało, że wyglądała na dużo starszą.

Niepokój nagle zniknął z jej oczu, zastąpiony czymś, co, jak zdałem sobie sprawę, było zamierzoną obojętnością. Zwróciła się do Fortuity'ego, gestem wskazując, by ruszyli do przodu. Jakakolwiek była to pułapka, musieli pójść ulicą jeszcze kawałek dalej. To miało sens. Schwytnie przewidującego przyszłość Epika jest niebywale trudne. Jeśli wyczuje choćby cień zagrożenia, umknie. Dziewczyna musiała wiedzieć o jakiejś jego słabej stronie, ale prawdopodobnie nie chciała wykorzystywać tej wiedzy do momentu, gdy znajdą się sam na sam.

Oczywiście to mogło nie zadziałać. Fortuity wciąż mógł mieć przy sobie broń, a słabe strony Epików były bardzo trudne do ujawnienia.

Nadal obserwowałem sytuację. Jakikolwiek problem miał Curveball, nie wydawał się on związany z dziewczyną. Donny gestykulował, wskazując teatr. Jeśli przekona Fortuity'ego, by zawrócił...

Schwytnie w pułapkę może nie dojść do skutku. Mściciele wycofają się, znikną, wybiorą nowy cel. Mogą minąć lata, nim nadarzy mi się okazja taka jak ta.

*Nie mogę pozwolić, by tak się stało.* Wziąłem głęboki oddech, opuściłem karabin i przewiesiłem go przez ramię. Potem wyszedłem na ulicę i ruszyłem w kierunku Fortuity'ego. Nadszedł czas, bym wręczył Mścicielom moją wizytówkę.

Pospieszyłem w dół ciemną ulicą po metalowym chodniku, zanurzając się i wynurzając z kolejnych kręgów światła.

Być może zdecydowałem się zrobić coś bardzo, bardzo głupiego. Coś takiego jak na przykład zjedzenie mięsa sprzedawanego przez ulicznego handlarza. A może nawet głupszego. Mściciele planowali zabójstwa z maksymalną ostrożnością. Nie miałem zamiaru wtrącać się w ich akcję — planowałem tylko przypatrywać się ich działaniom, a potem chciałem się przyłączyć do ich grupy. Opuszczając zaułek, w którym się kryłem, zmieniłem plany. Wmieszałem się w akcję Mścicieli, cokolwiek to oznaczało. Istniała możliwość, że wszystko toczyło się tak, jak powinno — włączając w to pojawienie się Curveballa.

Ale równie dobrze mogło tak nie być. Żaden plan nie jest perfekcyjny i zdarzało się, że nawet Mściciele zawodzili. Czasami wycofywali się, a ich ofiara zachowywała życie. Lepszym wyjściem było wycofać się, niż dać się pochwyć.

Nie wiedziałem, jak naprawdę miały się sprawy, ale musiałem przynajmniej spróbować pomóc Mścicielom. Jeśli przegapiłbym taką szansę, żałowałbym tego przez lata.

Cała trójka — Fortuity, Curveball i niebezpieczna piękność — ujrzała, że nadbiegam, i zwróciła się w moją stronę.

— Donny! — krzyknąłem. — Potrzebujemy cię z powrotem w Reeve.

Curveball rzucił mi kosę spojrzenie, dostrzegłszy mój karabin. Ręką namacał ukryty pod marynarką pistolet, ale go nie wyjął. Fortuity, Epik w czerwonej marynarce i takiegoż koloru pelerynie, uniósł brew. Jeśli stanowiłbym zagrożenie, dzięki swym zdolnościom już by to wyczuł. Nie miałem zamiaru podejmować jakichkolwiek działań przeciwko niemu przez następnych kilka minut, więc nie dostał żadnego ostrzeżenia.

— Kim jesteś? — chciał wiedzieć Donny.

Zatrzymałem się.

— Calamity, Donny! Od trzech lat pracuję dla Spritzera. Czy korona z głowy by ci spadła, gdybyś od czasu do czasu zapamiętywał imiona ludzi?

Serce mi waliło, ale starałem się nie pokazywać po sobie zdenerwowania. Spritzer był facetem, który prowadził teatr Reeve. Nie był Epikiem, ale płacił mu Stalowe Serce i rzadko który zwykły człowiek w mieście miał takie wpływy jak on.

Curveball przyglądał mi się podejrzliwie, ale ja wiedziałem, że nie poświęcał zbytnej uwagi drobnym opryszkom, których miał w swoim otoczeniu. Co prawda byłby pewnie zaskoczony, gdyby zdawał sobie sprawę, ile o nim wiem, podobnie jak o większości Epików w Newcago.

— I co? — zapytałem. — Idziesz?

— Nie będziesz mi rozkazywał, chłopcze. Czym ty jesteś, łańcuchem u drzwi?

— W zeszłym roku brałem udział w napadzie na Idolin — powiedziałem, zakładając ręce na piersi. — Idę w górę, Donny.

— Mów do mnie „proszę pana”, idioto — warknął Donny. — Gdybyś rzeczywiście poszedł w górę, nie byłbyś chłopcem na posyłki. Co to za głupota z tym wracaniem? Spritzer chciał, żeby Fortuity przewidział dla niego parę liczb.

Wzruszyłem ramionami.

— Nie powiedział mi dokładnie, o co mu chodzi, po prostu mnie po ciebie przysłał. Powiem mu, że to nie pora i że nie powinienes niepokoić teraz pana. — Popatrzyłem na

Fortuity'ego. — Nie sędzę, żeby Spritz wiedział o... hm... że na ten wieczór ma pan już plany. — Ruchem głowy wskazałem na kobietę.

Zapadła długa, niezręczna cisza. Byłem tak zdenerwowany, że gdyby ktoś potarł papierem o kostki moich dłoni, toby go przedarł. Wreszcie Fortuity pociągnął nosem.

— Powiedz Spritzowi, że tym razem mu daruję. Powinien wiedzieć, że nie jestem jego osobistym kalkulatorem. — Odwrócił się, podał ramię kobiecie i zamierzał odejść, najwidoczniej uznawszy, że nadszedł czas, by dziewczyna zaczęła spełniać jego zachcianki.

Dziewczyna obróciła się, by podążyć za Fortuitem, i wtedy zerknęła na mnie, a rzęsy jej ciemnoniebieskich oczu zatrzepotały. Poczulem, że się uśmiecham.

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że jeśli wystrychnąłem na dudka Fortuity'ego, oszukałem również ją. To oznaczało, że ona — i Mściciele także — myślą teraz, że jestem jednym ze sługusów Stalowego Serca. Mściciele zawsze dbali o to, by nie zabijać cywilów, ale nie mieli nic przeciwko, żeby pozbyć się paru zabójców czy zbirów. *Do licha* — pomyślałem. *Powinienem był do niej mrugnąć. Dlaczego nie mrugnąłem?*

Ale czy nie wyglądałoby to głupio? Nigdy nie ćwiczyłem puszczenia oczek. Z drugiej strony, czy można to zrobić w jakiś nieprawidłowy sposób? To taka prosta rzecz.

— Coś ci się dzieje z okiem? — zapytał Curveball.

— Ee, wpadła mi rzęsa — odparłem. — Przykro mi, proszę pana. Musimy wracać.

Myśl o tym, że w tym czasie Mściciele zastawili pułapkę, by wyeliminować Curveballa i przy okazji mnie — co mogłoby być sympatycznym efektem ubocznym ich planu — sprawiła, że nagle strasznie, strasznie się zdenerwowałem.

Pospieszyłem chodnikiem, rozpryskując po drodze kałuże. Woda po deszczu jeszcze nie zdążyła wyparować, a ponieważ podłoże było ze stali, nie miała gdzie wsiąknąć. Kopacze zaprojektowali pewien rodzaj rowu, dzięki któremu (oraz rurom) można było zapewnić cyrkulację powietrza w podziemiach, jednak szaleństwo, w jakie popadli, zrujnowało ten plan i nigdy nie został on w pełni ukończony.

Curveball niespiesznie podążał za mną. Zwolniłem i zrównałem się z nim w obawie, że może z jakiegoś powodu zawrócić po Fortuity'ego.

— Gdzie tak lecisz, chłopie? — warknął.

W pewnej odległości kobieta i Fortuity przystanęli pod uliczną lampą, gdzie zaczęli wzajemnie szukać swoich warg.

— Przestań się gapić — powiedział Curveball. — On może nas sprzątnąć bez mrugnięcia okiem i nikogo to w ogóle nie zainteresuje.

To była prawda. Fortuity był potężnym Epikiem i — dopóki nie kolidowało to z planami Stalowego Serca — wolno mu było robić to, co mu się podobało. Curveball nie mógł się cieszyć tego rodzaju niezależnością. Jego pozycja w hierarchii zmuszała go do zachowania ostrożności. Stalowe Serce nie dbały o to, że jakiś pomniejszy Epik dostał nożem w plecy.

Odwróciłem wzrok od całującej się pary i podążyłem za Donnym. Zapalił papierosa. W ciemnościach pojawiło się małe światełko, a koniuszek papierosa zatlił się na czerwono.

— Cholerny Spritz — powiedział Curveball. — Jakby nie mógł wysłać od razu ciebie do Fortuity'ego. Nie znoszę wychodzić na przygłupa.

— Wiesz, jaki jest Spritz — powiedziałem z roztargnieniem. — Wykombinował sobie, że posłanie ciebie będzie dla Fortuity'ego mniej obraźliwe, bo jesteś Epikiem.

— Załóżmy, że masz rację. — Curveball zaciągnął się papierosem. — W czyjej grupie jesteś?

— Eddiego Macano — odparłem, wymieniając jednego z podwładnych w organizacji Spritza. Obejrzałem się przez ramię. Dziewczyna i Fortuity wciąż się całowali. — To on mi kazał

gonić za tobą. Samemu nie chciało mu się ruszyć. Był zbyt zajęty podrywaniem tych dziewczyn, które olał Fortuity. Co za przygłup, nie?

— Eddie Macano? — spytał Curveball, zwracając się ku mnie. Czerwony koniuszek papierosa oświetlił jego zdziwioną twarz kolorem szkarłatnego pomarańcza. — Zginął w potyczce z bandą z podziemi dwa dni temu. Byłem przy tym.

Zamarłem. *Uuups.*

Curveball sięgnął po swoją broń.

Pistolety mają jedną znaczącą przewagę nad karabinami — są szybkie. Nie próbowałem nawet mierzyć się z Curveballem. Uskoczyłem w bok i zacząłem biec ile sił w nogach.

Gdzieś nieopodal ktoś krzyknął. *Fortuity* — pomyślałem. *Czy widział, jak uciekam? Ale nie padało na mnie żadne światło, a on nie patrzył w moją stronę. To musi być coś innego. Pułapka musiała...*

Curveball strzelił do mnie.

Cechą pistoletów jest też to, że cholernie trudno trafić nimi do celu. Nawet wyćwiczeni, doświadczeni profesjonaliści z doświadczeniem częściej pudłują, niż trafiają. A jeśli w dodatku skierujesz pistolet na bok — na przykład wyobrażając sobie, że jesteś w jakimś głupim filmie akcji — będziesz pudłował jeszcze częściej.

I to dokładnie zrobił Curveball, a błysk z lufy jego pistoletu załśnił w ciemności. Kula utkwiła w podłożu obok mnie, odbijając się rykoszetem od stalowego chodnika i wznecając iskry.

Zanurkowałem w zaułek i przywarłem do jakiegoś muru. Znajdowałem się poza zasięgiem wzroku Epika.

Kilka kul uderzyło w mur. Nie odważyłem się wychylić, ale usłyszałem, jak Curveball przeklina i ryczy ze złości. Byłem nazbyt spanikowany, żeby liczyć strzały. Magazynek jego pistoletu nie mógł pomieścić więcej niż tuzin kul.

*No dobra* — pomyślałem. *Jego moc Epika*. Mógł razić strzałami naokoło i nigdy nie brakło mu amunicji. W końcu znajdzie się tuż za rogiem i strzeli celnie.

Mogłem zrobić tylko jedną rzecz. Wziąłem głęboki oddech, zsunąłem karabin z pleców i chwyciłem go w rękę. Przyklęknąłem na jedno kolano u wylotu zaułka, co wystawiało mnie na duże niebezpieczeństwo, i uniosłem karabin. Tłący się papieros oświetlił na chwilę twarz Curveballa.

Kula sięgnęła muru nad moją głową. Przygotowałem się, by nacisnąć spust.

— Stop, przygłupie! — ktoś zawołał, przerywając strzelaninę. W przyćmionym świetle mignęła jakaś postać, dokładnie w tym momencie, gdy ja wystrzeliłem. Kula chybiła celu. To był Fortuity.

Opuściłem karabin, gdy nagle gdzieś z góry padł kolejny strzał. Snajper. Kula uderzyła o podłoże, nieomal trafiając Fortuity'ego, ale on uskoczył w bok w odpowiednim momencie. Wyczuł niebezpieczeństwo.

Fortuity poruszał się jakoś niezręcznie i kiedy przywarł do ulicznej latarni, zobaczyłem dłaczego. Był zakuty w kajdanki. Mimo to postanowił uciekać; jakkolwiek był plan Mścicieli, wyglądało na to, że zaczął zawodzić.

Curveball i ja popatrzyliśmy na siebie, po czym on ruszył za Fortuitem, oddając w moim kierunku kilka chaotycznych strzałów. Fakt, że dysponował nieskończoną liczbą pocisków, nie czynił go lepszym strzelcem i wszystkie chybiły.

Wstałem z klęczek i popatrzyłem w przeciwnym kierunku, to znaczy tam, gdzie stała piękna dziewczyna. Czy wszystko z nią w porządku?

W powietrzu rozległ się trzask i Curveball krzyknął, upadając na ziemię. Uśmiechnąłem się i dokładnie wtedy padł drugi strzał, a z muru obok posypały się iskry. Zakląłem i dałem nura z powrotem w zaułek. Sekundę później w zaułku znalazła się kobieta w eleganckiej czerwonej sukience. W rękę trzymała mały pistolet kieszonkowy i skierowała go dokładnie w moją twarz.

Ludzie strzelający z pistoletów ręcznych chybiają przeciętnie z ponad dziesięciu kroków — ale ja nie byłem pewien, co mówią statystyki, gdy pistolet znajduje się o mniej niż pół metra od twojej twarzy. Prawdopodobnie statystyki nie były korzystne dla ofiary.

— Czekaj! — krzyknąłem, pozwalając, by mój karabin zawisł mi na pasku na plecach. — Próbuję pomóc! Nie widziałas, że Curveball mierzył do mnie?

— Dla kogo pracujesz? — chciała wiedzieć.

— Fabryka Havendark — odparłem. — Kiedyś jeździłem na taksówce, chociaż...

— Przyglup — rzuciła. Wciąż mierząc w moją twarz, uniosła rękę ku głowie, przykładając palec do ucha. Zobaczyłem, że nosi kolczyk, który spełniał prawdopodobnie funkcję telefonu komórkowego. — Tutaj Megan. Tia. Wysadzaj.

Gdzieś nieopodal nastąpiła eksplozja i aż podskoczyłem.

— Co to było?!

— Teatr Reeve.

— Wysadziliście teatr Reeve? — zapytałem. — Myślałem, że Mściciele nie robią krzywdy niewinnym ludziom!

Zamarła z pistoletem wciąż skierowanym ku mnie.

— Skąd wiesz, kim jesteśmy?

— Polujecie na Epików. Kim innym moglibyście być?

— Ale — przerwała, zakłęła i znowu przyłożyła palec do ucha. — Nie ma czasu.

Abraham. Gdzie jest znak?

Nie słyszałem, co jej odpowiedziano, ale to ją najwyraźniej usatysfakcjonowało. W oddali rozległy się kolejne wybuchy.

Popatrzyła na mnie. Wciąż stałem z rękami uniesionymi w górę, a ona musiała widzieć, jak Curveball mierzy do mnie. Chyba doszła do wniosku, że nie stanowią zagrożenia. Opuściła pistolet, błyskawicznie się pochyliła i odłamała obcas od swoich szpilek. Potem schwyciła dół sukienki i rozdarła ją.

Patrzyłem zdumiony.

Na ogół uważam się za opanowanego, ale niecodziennie przecież znajdujesz się w ciemnym zaułku z fantastyczną kobietą, która rozrywa swoje ubranie. Pod spodem miała podkoszulek bez rękawów, lecz za to z dekoltem, i syntetyczne, krótkie spodenki rowerzysty. Z zadowoleniem zauważyłem, że kaburę miała, tak jak przypuszczałem, przymocowaną do uda. Komórkę przyczepiła do zewnętrznej strony kabury.

Ściągnęła sukienkę i rzuciła ją gdzieś — ubranie było tak zaprojektowane, że łatwo je było zdjąć. Miała szczupłe, silne ręce, a wyraz naiwności w jej szeroko otwartych oczach całkowicie zniknął, zastąpiony przez surowość i determinację.

Postąpiłem o krok i w mgnieniu oka znowu miałem jej broń przy twarzy. Zamarłem.

— Spadamy stąd — poleciła, robiąc wymowny gest.

Zdenerwowany, zrobiłem, co powiedziała. Znowu znaleźliśmy się na ulicy.

— Na kolana, ręce na głowę.

— Ja naprawdę nie...

— Na kolana!

Ukląknęłam, czując się głupio, i podniosłam ręce w górę.

— Hardman — powiedziała, przykładając palec do ucha. — Jeśli ten Klęczka się ruszy, wsadź mu kulkę w łeb.

— Ale... — zacząłem.

Pognała w dół ulicy. Dzięki temu, że pozbyła się sukienki i obcasów, poruszała się bardzo szybko. Zostałem sam. Klęcząc na ulicy, czułem się jak idiota. Włosy na karku jeżyły mi się na



myśl o snajperze, który miał broń wycelowaną we mnie.

Jak wielu agentów Mścicieli znajdowało się w pobliżu? Nie mogłem wyobrazić sobie, by zdołali przeprowadzić taką akcję, jeśli nie było ich przynajmniej ze dwa tuziny. Podłożem wstrząsnęła kolejna eksplozja. Tylko po co te wybuchy? W ten sposób zostanie zaalarmowane wojsko Stalowego Serca. Bandyci i zbiry pozostający na jego usługach byli już wystarczającym złem; oddziały wojska dysponowały wysokiej klasy karabinami. Istniała też jednostka specjalna robotów, które miały ponad trzy metry wysokości.

Następna eksplozja miała miejsce jeszcze bliżej. Coś musiało pójść nie tak w pierwotnym planie Mścicieli. W przeciwnym razie Fortuity nie porzuciłby towarzystwa kobiety w czerwieni. Megan? Czy nie takie imię wymieniła?

Był to jeden z ich możliwych planów. Ale co tak naprawdę chcieli zrobić?

Tuż nieopodal zaułka mignęła jakaś postać. Było to tak nieoczekiwane, że o mało co nie podskoczyłem. Klnąc snajpera, nie poruszałem się jednak, ale odważyłem się leciutko obrócić głowę. Postać nosiła czerwony strój i wciąż miała kajdanki na rękach. Fortuity.

*Wybuchy — zrozumiałem. Były po to, by Fortuity nie odważył się tędy wracać!*

Epik przeciął ulicę, następnie zaczął biec w moim kierunku. Megan — jeśli tak rzeczywiście miała na imię — wybiegła z tej samej ulicy, na której pokazał się Fortuity. Dziewczyna chciała go dogonić, ale za nią, w pewnej odległości, z jednej z uliczek wybiegła jakaś grupa ludzi.

Byli to czterej obwiesie Spritza w garniturach i z karabinami maszynowymi w rękach. Celowali w Megan.

Klęcząc po przeciwnej stronie ulicy, widziałem mijających mnie Megan i Fortuity ego. Zbiry Spritza nadchodziły z prawej, a oni biegli po mojej lewej stronie. Wszyscy znajdowaliśmy się na tej samej, ciemnej ulicy.

*Dawaj! — wrzasnąłem w myślach do snajpera gdzieś w górze. Ona ich nie widzi! Oni ją zastrzelą! Sprzątnij ich!*

Nic nie nastąpiło. Bandyci unieśli swoje karabiny, ja zaś poczułem, jak po karku spływają mi krople potu. Potem, szcękając zębami ze strachu, poturlałem się w prawo, zdarłem z pleców swój karabin i wymierzyłem w jednego z ludzi Spritza.

Wziąłem głęboki oddech, skoncentrowałem się i nacisnąłem spust, w każdej sekundzie spodziewając się, że snajper z góry strzeli mi prosto w głowę.

Pistolet jest jak petarda — nieprzewidywalny. Podpalasz petardę, rzucasz ją i nigdy nie wiesz, gdzie upadnie i jakich zniszczeń dokona. To samo ma miejsce, gdy strzelasz z pistoletu.

Uzi jest nawet gorsze. Przypomina wianuszek petard. Łatwo nim kogoś zranić, ale jest nieporęczne i nieposłuszne.

Karabin jest elegancki. Stanowi przedłużenie twojej woli. Wybierasz cel, naciskasz spust, uruchamiasz łańcuszek zdarzeń. W rękach profesjonalisty o spokojnej naturze karabin jest bardziej śmiertelny niż jakakolwiek broń ręczna.

Pierwszy ze zbirów padł pod moim strzałem. Przesunąłem broń o kilkanaście centymetrów w bok, potem znowu pociągnąłem za spust. Trafiłem kolejnego. Następnym razem opuściło broń i dało nogę.

Szybkie spojrzenie. Naciśnięcie spustu. Trzeci. Jeszcze jeden był już w pełnym biegu, kiedy go namierzyłem, i udało mu się skryć. Zastopowałem, czując, że świerzbi mnie kręgosłup — czekałem, aż trafi mnie kula z karabinu snajpera. Nie było jej. Najwyraźniej Hardman zorientował się, że jestem w porządku.

Wstałem z ociąganiem. Niestety, zabijałem nie po raz pierwszy. Nie zdarzało się to często, raz czy dwa, kiedy musiałem działać w obronie własnej, w podziemiach. Tym razem było inaczej, ale nie miałem czasu się nad tym zastanawiać.

Odsunąłem emocje na bok i nie wiedząc, co robić, skręciłem w lewo i rzuciłem się w szaleńczy pościg za Fortuitem i kobietą Mścicielem. Epik zaklął i umknął w boczną uliczkę. Ulice były puste. Wybuchy i strzały sprawiły, że wszyscy znajdujący się w pobliżu ludzie woleli zniknąć. Takie sytuacje w Newcago nie były rzadkością.

Megan ruszyła za Fortuitem, a ja pobiegłem skrótem i wpadłem na nią. Spiorunowała mnie wzrokiem, gdy mknęliśmy ulicą w dół, ramię w ramię ścigając Epika.

— Mówiłam ci, żebyś się stamtąd nie ruszał, Klęczko! — wrzasnęła.

— Dobrze, że to zlekceważyłem! Dzięki temu uratowałem ci życie.

— I dlatego cię nie zabiłam. Spadaj stąd.

Zignorowałem to i biegnąc, namierzyłem Epika, po czym strzeliłem. Spudłowałem — zbyt trudno było biec i strzelać jednocześnie. *Jest szybki!* — pomyślałem z wściekłością.

— To bez sensu — powiedziała dziewczyna. — Nie trafisz go.

— Mogę go spowolnić — odparłem, opuszczając karabin. Minąłem ciemny pub, którego drzwi zamknięto. Grupa zdenerwowanych klientów obserwowała sytuację przez okna.

— To, że będzie musiał uchylać się przed kulami, wytrąci go z równowagi.

— Nie na długo.

— Powinniśmy otworzyć ogień jednocześnie — oznajmiłem. — Musimy schwycić go w ostrzał. Kiedy zaczniesz kluczyć, jedna z kul go trafi. Szach-mat.

— Zwariowałeś? — odrzekła. — To prawie niewykonalne.

Miała rację.

— W takim razie wykorzystajmy jego słabości. Sądzę, że ty wiesz, co to jest, w przeciwnym razie nigdy nie udałoby ci się założyć mu tych kajdanków.

— To nic nie da — odparła, robiąc unik, tak by nie wpaść na uliczną lampę.

— W twoim przypadku zadziałało. Powiedz mi, co to jest. Wykorzystam to.

— Idioto — zakląła. — Jego zmysł wyczuwania niebezpieczeństwa osłabia się, gdy jest kimś zainteresowany. Dopóki nie uzna cię za znacznie piękniejszego, niż jesteś w moich oczach,

to nie zadziała.

*Och.* Cóż, mieliśmy problem.

— Musimy — zaczęła Megan, ale urwała. Wciąż biegnąc, przyłożyła palec do ucha. — Nie! Ja potrafię to zrobić! Nie dbam o to, jak są blisko!

*Próbują ją namówić, żeby się wycofała* — pomyślałem. *Za kilka chwil zjawią się tu oddziały Stalowego Serca.*

Przed nami jakiś niefortunny kierowca, prawdopodobnie zdążający do dzielnicy klubów nocnych, skręcił za róg. Samochód gwałtownie zahamował, gdy tuż przed nim przebiegł Fortuity, kierując się w prawo ku kolejnemu zaułkowi, prowadzącemu do mniej uczęszczanych ulic.

Wpadłem na pewien pomysł.

— Weź to — powiedziałem, rzucając Megan mój karabin. Wydobyłem też magazynek z zapasowymi nabojami i też jej go rzuciłem. — Strzelaj do niego. Opóźniaj jego ucieczkę.

— Co? — zdumiała się Megan. — Kim ty jesteś, aby mi...

— Zrób, co mówię! — krzyknąłem, zatrzymując się obok jakiegoś samochodu.

Otworzyłem drzwiczki. — Wsiadaj — rzuciłem do kobiety siedzącej za kierownicą.

Wyskoczyła z auta i uciekła, zostawiając kluczyki w stacyjce. W świetle pełnym Epików, którym wolno jest zabrać każdy pojazd, na jaki mają ochotę, tylko nieliczni ludzie zadają jakieś pytania. Stalowe Serce jest okrutny wobec złodziei, którzy nie są Epikami, toteż rzadko kto próbuje zrobić to, co ja przed chwilą.

Stojąca na ulicy Megan zaklęła, następnie z wprawą podniosła mój karabin i strzeliła. To był dobry strzał, bo Fortuity — znajdujący się teraz w zaułku — potknął się i zбочzył w prawo. Jego zmysł wyczuwania niebezpieczeństwa zmusił go, by to zrobił. Tak jak się spodziewałem, to znacząco opóźniło jego ucieczkę.

Odpaliłem silnik. To był nowy, sportowy samochód i wyglądał na prawie nieużywany. Szkoda takiego auta, swoją drogą.

Pomknąłem ulicą. Powiedziałem Megan, że kiedyś byłem kierowcą taksówki. To była prawda, rzeczywiście jeździłem taksówką kilka miesięcy wcześniej, tuż po tym, jak opuściłem Fabrykę. Nie wspominałem tylko, że praca ta trwała tylko jeden dzień, bo byłem koszmarnym kierowcą.

*Nigdy się nie dowiesz, jak bardzo coś lubisz, dopóki tego nie spróbujesz.* To było jedno z ulubionych powiedzonek mojego ojca. Przedsiębiorstwo taksówkarskie nie spodziewało się, że będę „wypróbowywał”, jak się jeździ samochodem po raz pierwszy w życiu w jednym z ich aut. Ale w jaki inny sposób facet taki jak ja mógłby sięść za kółkiem? Byłem sierotą, pozostającą na łasce Fabryki niemal przez całe moje życie. Ludzie tacy jak ja nie mają szans na wielkie pieniądze, a w podziemiach nie ma miejsc na parkowanie samochodów.

Niemniej jednak prowadzenie auta okazało się zajęciem trochę trudniejszym, niż przypuszczałem. Ze zgrzytem hamulców skręciłem za róg ciemnej ulicy, dociskając pedał gazu na maksa i z trudem panując nad kierownicą. Przewróciłem dwa znaki drogowe i gwałtownie skręciłem za kolejny róg. Przejeżdżając przez krawężnik, potrąciłem kilka kontenerów na śmieci, ale zdołałem utrzymać kontrolę nad pojazdem, skręciłem i zatrzymałem auto przy znaku wskazującym południe.

Zaparkowałem dokładnie u wylotu zaułka. Fortuity podążał w moim kierunku, potykając się o śmieci i pudła. Megan spowalniała jego ucieczkę.

Rozległ się wystrzał, Fortuity zrobił unik, a przednia szyba samochodu nagle pękła. Kula, która ją przebiła, przeleciała kilkanaście centymetrów obok mojej głowy. Poczułem walenie serca. Megan wciąż raziała ogniem.

*Wiesz co, David* — powiedziałem sobie w duchu. *Naprawdę powinieneś zacząć planować*

*swoje poczynania w sposób bardziej przemyślany.*

Wcisnąłem pedał gazu, z rykiem wjeżdżając w zaułek. Był szeroki tylko na tyle, by mógł się tu zmieścić samochód, i kiedy skręciłem bardziej na lewo, z karoserii poszły iskry, a lusterko się urwało.

Przednie reflektory oświetliły postać w czerwonym garniturze i z kajdankami na rękach. Za jej plecami łopotała peleryna. Podczas ucieczki Fortuity zgubił kapelusz. Miał oczy szeroko otwarte z przerażenia. Nie mógł ani ruszyć do przodu, ani się cofnąć.

Szach-mat.

Albo tylko tak mi się wydawało. Kiedy znalazłem się bliżej niego, Fortuity wzbił się w górę i walnął nogami w szybę samochodu z nadludzką zręcznością.

To mnie całkowicie zszokowało. Nie było wiadome, że Fortuity miał jakieś nadzwyczajne fizyczne zdolności. Oczywiście człowiek taki jak on — który z łatwością unikał niebezpieczeństwa — mógł nie mieć wielu okazji, by wykazać się swoimi możliwościami. Tak czy inaczej, uderzył nogami w szybę mojego auta z wprawą kogoś, kto dysponował nadzwyczajnym refleksem. Fortuity odbił się od niej i wykonał salto w tył, a szyba rozbiła się w drobny mak.

Wcisnąłem hamulce i zamrugąłem, bo odłamki szkła poleciały na moją twarz. Opony zapiszczały, spod kół buchnęły iskry. Fortuity zręcznie zakończył salto, lądując na ziemi.

Potrząsnąłem głową oszołomiony. *Tak, superrefleks* — pomyślałem. *Powinienem był to przewidzieć. Piękne dopełnienie portfolio Epika.* Fortuity był na tyle mądry, by trzymać swe zdolności w tajemnicy. Wielu potężnych Epików wiedziało, że ukrywanie swoich możliwości da im przewagę w momencie śmiertelnego starcia z innym Epikiem.

Fortuity ruszył biegiem do przodu. Ujrzałem, jak rzuca mi pełne nienawiści spojrzenie, uśmiechając się drwiąco. Był potworem — miałem dowody łączące go z ponad setką zbrodni. A spojrzenie jego oczu zdradzało, że zamierzał mnie dołączyć do listy swych ofiar.

Uniósł się w powietrze ponad maskę samochodu.

Bang! Bang!

Klatka piersiowa Fortuity'ego eksplodowała.

Ciało Fortuity'ego spadło na maskę wozu. Megan stanęła obok, mając w jednej ręce oparty na biodrze karabin, a w drugiej swój pistolet. Przednie reflektory oblały ją potokiem światła.

— Calamity! — zaklęła. — Nie mogę uwierzyć, że to zadziało.

*Wypaliła z obu broni jednocześnie* — pomyślałem. *Poradziła sobie z Fortuitem dwoma strzałami.* Udało się to jedynie dzięki temu, że Epik wykonywał skoki i uniósł się w powietrze. Ale tak czy siak, trafienie go w taki sposób było czymś niesamowitym. Broń w obu rękach, a jedna z nich to karabin?

*Calamity* — pomyślałem, przeklinając tak samo jak Megan. Wychodziło na to, że wygraliśmy.

Megan ściągnęła ciało Fortuity'ego z maski auta i zbadła jego puls.

— Nie żyje — powiedziała. Potem strzeliła dwukrotnie w głowę Epika. — Podwójna śmierć, żeby mieć pewność.

W tym momencie u wylotu zaułka pojawiło się kilkunastu ludzi Spritza z automatami uzi w rękach.

Zakląłem, gramoląc się na tylne siedzenie auta. Megan wskoczyła na maskę i wślizgnęła się do samochodu przez pękniętą szybę. Dała nurka na przednie siedzenie pasażera. W pojazd uderzył grad pocisków.

Próbowałem otworzyć tylne drzwi, ale, oczywiście, zaułek był tak ciasny, że nie było to możliwe. Tylne okno pękło, a z siedzeń posypały się strzępki materiału.

— Klęska! — Dobrze, że to nie był mój samochód.

Megan przewróciła oczami, po czym ściągnęła coś z siebie. Skręciła dolną część tej rzeczy, poczekała, aż nastąpi chwila przerwy w ostrzale, i wyrzuciła to przez okno.

— Co to jest? — wrzasnąłem poprzez huk wystrzałów.

Odpowiedzią była eksplozja, która wstrząsnęła samochodem i porwała w górę leżące w zaułku śmieci. Ostrzał zamarł na chwilę, a ja usłyszałem ludzi krzyczących z bólu. Megan — wciąż ściskając mój karabin w rękach — przeskoczyła nad rozerwanym siedzeniem i zręcznie prześlizgnęła się przez popękana tylną szybę, po czym ruszyła biegiem.

— Hej! — zawołałem, pełznąc jej śladem. Kawałki szyby osypywały się z mojego ubrania. Wskoczyłem z auta i pomknąłem ku wylotowi zaułka, podczas gdy ocaleli z eksplozji ludzie Spritza zaczęli znowu strzelać.

*Ona jest rewelacyjnym strzelcem i nosi przy sobie minigranaty* — pomyślałem jakąś częścią oszołomionego umysłu. *Chyba się zakocham.*

Poprzez odgłos wystrzałów usłyszałem jakiś łomot i zza rogu ulicy naprzeciwko nas wyłoniła się opancerzona ciężarówka, z której ktoś wrzeszczał coś do Megan. Była ogromna, zielona i miała wielkie reflektory. I wyglądała cholernie podobnie do...

— Śmieciarka? — zapytałem, goniąc Megan.

Na miejscu pasażera siedział postawny czarnoskóry mężczyzna. Otworzył Megan drzwi pojazdu.

— Kto to? — zapytał, ruchem głowy wskazując na mnie. Mówił z lekkim francuskim akcentem.

— Jeden frajer — odparła, rzucając mi karabin. — Ale pomocny. Wie o nas, ale nie sądzę, żeby był groźny.

Nie była to może rewelacyjna rekomendacja, ale wystarczyła. Uśmiechnąłem się, podczas gdy Megan wdrapywała się do szoferki, a mężczyzna zajął miejsce między pasażerem i kierowcą.

— Zostawiamy go? — zapytał mężczyzna z francuskim akcentem.

— Nie — odrzekł kierowca. Nie mogłem go zobaczyć, ale miał donośny i stanowczy głos. — Pojedzie z nami.

Uśmiechnąłem się i wsiałem do ciężarówki. Czyżby kierowcą był Hardman, snajper? Widział, że im się przydałem. Ludzie wewnątrz pojazdu z ociąganiem zrobili mi miejsce. Megan wślizgnęła się na tylne siedzenie obok żylastego mężczyzny, ubranego w skórzaną kurtkę moro, który trzymał w rękach karabin snajperski. To prawdopodobnie on był Hardmanem. Po jego drugiej stronie siedziała kobieta w średnim wieku. Miała rude, długie do ramion włosy, okulary i biznesowy strój.

Ciężarówka wycofała się. Nie sądziłem, by śmieciarka mogła jechać aż tak szybko. Z zaułka wyłoniło się kilku ludzi Spritzta i zaczęło strzelać w stronę wozu. Niewiele mogli nam zrobić, ale nie znaczyło to, że już nie groziło nam niebezpieczeństwo. W górze słychać było odległy dźwięk helikopterów Stalowego Serca. A do akcji ruszyło już pewnie kilku potężnych Epików.

— Fortuity? — zapytał kierowca. Był to facet około pięćdziesiątki, ubrany w długi, cienki, czarny płaszcz. Co dziwne, w kieszonce znajdującej się na piersi miał zatknięte gogle.

— Martwy — odparła Megan zza jego pleców.

— Co poszło nie tak? — zapytał kierowca.

— Ukryte zdolności — odparła. — Superzmysły. Założyłam mu kajdanki, ale się wyślizgnął.

— Nawinął się też ten tutaj — powiedział facet w kurtce moro, który rzeczywiście musiał być chyba Hardmanem. — Pojawił się w środku akcji i narobił trochę problemów. — Miał charakterystyczny, południowy akcent.

— Pogadamy o nim później — odparł kierowca, biorąc ostry zakręt.

Serce zaczęło mi bić szybciej. Wyjrzałem przez okno, szukając wzrokiem helikopterów. Zbrojne oddziały Stalowego Serca wiedziały, kogo mają szukać, a ciężarówka za bardzo rzucała się w oczy.

— Najpierw powinniśmy byli zastrzelić Fortuity'ego — powiedział facet z francuskim akcentem. — Derringerem\* w pierś.

— To by nie zadziało, Abraham — zauważył kierowca. — Miał zbyt wielkie zdolności. Tylko zainteresowanie kobietą mogło sprawić aż tyle. Najpierw musieliśmy zrobić coś niezagrażającego życiu, to znaczy pochwycić go, a potem dopiero zabić. Trudno sprzątnąć Epików z talentem do przewidywania przyszłości.

I tutaj prawdopodobnie miał rację. Fortuity dysponował wyjątkowo silnym zmysłem wyczuwania niebezpieczeństwa. Plan był pewnie taki, że Megan miała założyć mu kajdanki, a potem przykuć go do ulicznej lampy. Wreszcie, gdy byłby już częściowo unieruchomiony, mogłaby przystawić mu derringera do piersi i wystrzelić. Gdyby próbowała go zabić od razu, jego moc ostrzegłaby go. Wszystko zależało od tego, jak bardzo był nią zainteresowany.

— Nie spodziewałam się, że będzie aż tak silny — powiedziała Megan. Była chyba sobą rozczarowana. Wciągnęła na siebie brązową skórzaną kurtkę i spodnie moro. — Przepraszam, Profesorze. Nie powinnam pozwolić, żeby mi się wyślizgnął.

Uderzyło mnie to, że zwróciła się do niego per „Profesorze”.

— Stało się — rzucił kierowca nazywany Profesorem, biorąc zabójczo ostry zakręt. — Musimy zostawić samochód, bo mogli go już namierzyć.

Profesor zatrzymał ciężarówkę i wszyscy z niej wysiedli.

— Ja... — zacząłem, chcąc się przedstawić. Jednak mężczyzna zwany Profesorem rzucił mi znad maski samochodu groźne spojrzenie. Skuliłem się, a słowa uwięzły mi w gardle.

Ukryty w cieniu, w swoim długim płaszczu, z zasępioną twarzą i włosami przyprószonymi siwizną, człowiek ten wyglądał na niebezpiecznego.

Mściciele wydobyli ze śmieciarki kilka paczek ze sprzętem, w tym duży karabin maszynowy, który niósł teraz Abraham. Poprowadzili mnie schodami do podziemi. Tutaj zaczęliśmy pospiesznie podążać krętymi uliczkami. Uważałem pilnie, dokąd zmierzamy. Wreszcie poprowadzili mnie długimi schodami, biegnącymi kilkanaście poziomów niżej ku metalowym katakumbom.

Mądrzy ludzie trzymają się z dala od tego miejsca. Kopacze stracili rozum, jeszcze zanim ukończyli budowę tuneli. Światła umocowane na suńcie świeciły rzadko, a kwadratowe tunele zmieniały kształt, w miarę jak się nimi posuwaliśmy

Grupa zachowywała milczenie. Przemierzali korytarze, włączając światła na swoich telefonach komórkowych, które mieli przypięte do kurtek. Zastanawiałem się, czy Mściciele noszą komórki. Fakt, że je mieli, sprawił, iż poczułem się lepiej. Wszyscy wiedzieli, że Knighthawk Foundry była neutralna, a połączenia w tej sieci całkowicie bezpieczne. Jeśli Mściciele jej używali, oznaczało to, że Knighthawk była wiarygodna.

Szliśmy jeszcze przez jakiś czas. Mściciele nie mówili nic, zachowując ostrożność. Parę razy Hardman podążał przodem na zwiady. Tyłów pilnował Abraham, trzymając w rękach niesamowicie wyglądający automat. Było mi ciężko taszczyć moje rzeczy — w metalowych katakumbach czułem się trochę tak jak w metrze, które na półmetku budowy przekształciło się w labirynt dla szczurów.

Mijaliśmy przewężenia, tunele, które donikąd nie prowadziły i były zbudowane pod dziwnymi kątami. W niektórych miejscach ze ścian sterczały przewody elektryczne, przypominające paskudne tętnice, które tkwią w kawałkach mięsa kurczaka. W innych miejscach metalowe ściany nie były jednolite — widniały na nich wyrwy po działalności ludzi, którzy szukali czegoś, co można by sprzedać. Ale sprzedawanie metalu na złom w Newcago nie miało sensu. I tak było go wszędzie pod dostatkiem.

Minęliśmy grupki ponurych nastolatków, stojących przy pojemnikach na śmieci, w których coś się paliło. Nie byli zadowoleni, że zakłóciliśmy im moment relaksu, ale nikt nas nie zaczepił. Prawdopodobnie dzięki temu, że Abraham niósł swój ogromny automat, w który wmontowano gravatoniks, toteż łatwiej go było nieść.

Podążaliśmy tunelami przez ponad godzinę. Od czasu do czasu mijaliśmy wentylatory. Kopacze pozostawili parę urządzeń także i w dolnych partiach podziemi, choć nie miało to wielkiego sensu. Ale fakt faktem, teraz czuliśmy powiew świeżego powietrza. Czasami.

Profesor cały czas miał na sobie długi, czarny płaszcz. Kiedy skręciliśmy za kolejny róg, zorientowałem się, że w rzeczywistości był to laboratoryjny fartuch, ufarbowany na czarno. Pod nim Profesor nosił czarną, zapinaną na guziki koszulę.

Mściciele niepokoił się, czy nikt nie podąża ich śladem, ale moim zdaniem przesadzali. Ja totalnie się pogubiłem w topografii już po piętnastu minutach marszu, a oddziały Stalowego Serca nigdy nie zapuszczały się w dolne partie podziemi.

Był to rodzaj cichej umowy. Stalowe Serce ignorował ludzi mieszkających w podziemiach, a oni nie robili nic, czym jego wymiar sprawiedliwości mógł się interesować.

Oczywiście... Mściciele pogwałcili ten rozejm. Zginął ważny Epik. Jak na to zareaguje Stalowe Serce?

Wreszcie Mściciele poprowadzili mnie za zakręt, który wyglądał jak wszystkie inne — tylko że prowadził do małego pomieszczenia, które wycięto w metalu. Takich miejsc było w

katakumbach mnóstwo. Kopacze planowali, że będą one wykorzystywane jako toalety, niewielkie sklepiki albo mieszkania.

Hardman zajął pozycję snajpera przy drzwiach. Na głowę włożył czapkę z daszkiem w kolorze moro, na której znajdował się jakiś nieznany mi emblemat. Wyglądał jak królewski herb albo coś w tym stylu. Pozostała czwórka Mścicieli usytuowała się tak, żeby mnie widzieć. Abraham wydobył skądś wielką latarkę i wcisnął przycisk. Światło oblało całe pomieszczenie niczym latarnia. Mężczyzna postawił latarkę na ziemi.

Profesor założył ręce na piersiach. Przyglądał mi się, a jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Obok niego stała rudowłosa kobieta. Wyglądało na to, że coś rozważa. Abraham wciąż dzierżył swój olbrzymi automat, a Megan zdjęła skórzaną kurtkę i przypięła kaburę swojego pistoletu. Starłem się na nią nie patrzeć, ale to było tak, jak próbować nie mrugać.

Niepewnie zrobiłem krok w tył, byłem nieco zmieszany. Zacząłem myśleć, że jestem na dobrej drodze, by przyjęto mnie do grupy. Ale kiedy spojrzałem w oczy Profesora, pojąłem, że nie o to chodziło. Sądził, że stanowią zagrożenie. Nie zostałem tutaj przyprowadzony dlatego, że okazałem się pomocny. Znalazłem się tu, bo on nie chciał, bym odszedł wolny.

Byłem jeńcem. A w głębinach stalowych katakumb nikt nie usłyszy ani krzyku, ani wystrzału z pistoletu.

\* Derringer — rodzaj małego, kieszonkowego pistoletu.



— Sprawdź go, Tia — powiedział Profesor.

Rzuciłem się do tyłu. Stojąca za plecami Profesora Megan opierała się o ścianę. Z powrotem włożyła kurtkę. Na podorędziu miała ręczny pistolet. Obracała coś w ręku. Zapasowy magazynek, który jej dałem i którego nie zwróciła.

Uśmiechnęła się. Rzuciła mi mój karabin, ale ja podejrzewałem, że najpierw opróżniła magazynek i broń była nienaładowana. Przeraziłem się.

Rudowłosa — Tia — podeszła do mnie, trzymając w ręku jakieś urządzenie. Było płaskie i okrągłe, w kształcie talerza, a po jednej stronie miało ekran. Wyciągnęła je w moją stronę.

— Nie ma odczytu.

— Test krwi — powiedział Profesor z kamienną twarzą.

Tia skinęła głową.

— Nie zmuszaj nas, żebyśmy musieli cię obezwładnić — powiedziała do mnie, wysuwając pasek widoczny z boku urządzenia; było ono połączone z dyskiem przewodami. — Poczujesz ukłucie, ale nie stanie ci się żadna krzywda.

— Co to jest?

— Wykrywacz.

Wykrywacz... urządzenie, które sprawdzało, czy ktoś jest Epikiem, czy nie.

— Ja... myślałem, że wykrywacze to zwykły mit.

Abraham uśmiechnął się, nadal trzymając olbrzymi automat. Był szczupły, muskularny i wyglądał na bardzo opanowanego, co stanowiło kontrast z napięciem wyczuwalnym u Tii i Profesora.

— Tak więc nie masz nic przeciwko, przyjacielu? — zapytał z francuskim akcentem. — Jakie to ma znaczenie, jeśli ukłuje cię mityczne urządzenie?

To mnie nie pocieszyło, lecz Mściciele byli grupą zabójców, którzy zabijali najwyżej postawionych Epików. Niewiele mogłem zrobić.

Kobieta owinęła moje ramię szerokim kawałkiem materiału, podobnym do tego, który jest używany przy mierzeniu ciśnienia krwi. Przymocowane były do niego kable, połączone z urządzeniem, które trzymała Tia. Wewnątrz zamocowano małe pudełeczko i to ono mnie ukłuło.

Tia wpatrywała się w ekran.

— Jest czysty — powiedziała, patrząc na Profesora. — Testy krwi też nic nie wykazały.

Profesor skinął głową. Nie wyglądał na zaskoczonego.

— W porządku, synu. Teraz pora, żebyś odpowiedział na parę pytań. Zastanów się dobrze, zanim udzielisz odpowiedzi.

— Dobrze — odparłem, podczas gdy Tia odwiązywała pasek materiału. Pomasaowałem ramię w miejscu ukłucia.

— Jak — zaczął Profesor — się dowiedziałeś, że mamy zamiar zaatakować? Kto ci powiedział, że Fortuity jest naszym celem?

— Nikt mi o niczym nie mówił.

Jego twarz zachmurzyła się. Abraham zmarszczył brwi i uniósł karabin.

— Naprawdę nikt! — powiedziałem, sphywając potem. — Dobra, słyszałem od paru ludzi na ulicy, że wróciliście do miasta.

— Nikt nie był poinformowany, że jesteśmy w mieście — rzekł Abraham. — Nawet jeśli coś do ciebie dotarło, skąd wiedziałeś, którego Epika mamy zamiar zabić?

— Cóż — odparłem. — A kogo jeszcze mielibyście sprzątnąć?

— W mieście są tysiące Epików, synu — powiedział Profesor.

— Jasne — odrzekłem. — Ale większość z nich jest poza waszym zainteresowaniem. Wy zajmujecie się jedynie najpotężniejszymi Epikami, a takich w Newcago jest tylko kilka setek. Spośród nich może ze dwa tuziny ma zdolności najwyższej niepokonywalności — a wy zawsze wybieracie Epików z takimi zdolnościami. Jednakże nie ścigalibyście kogoś zbyt potężnego i zbyt wpływowego. Wiecie, że są odpowiednio chronieni. To wyklucza Władcę Ciemności, Confluxa i Pożara — czyli najbliższy krąg Stalowego Serca. Wyeliminowani są także baronowie ze spelunek. No i mamy około tuzina Epików, którzy naprawdę by was interesowali, a Fortuity był z nich największym draniem. Co więcej, sposób, w jaki zabawiał się z ludzkimi wnętrznościami, jest akurat tym rodzajem okrucieństwa, który Mściciele chcieliby powstrzymać. — Powiodłem po nich wzrokiem, zdenerwowany. Wstrząsnął mną dreszcz. — Jest tak, jak powiedziałem. Nikt nie musiał mi nic mówić. To oczywiste, kogo będziecie chcieli schwytać.

W małym pomieszczeniu panowała cisza.

— Ha! — odezwał się snajper, który wciąż stał przy drzwiach. — Panowie i panie. To oznacza, że rozszyfrowanie naszych planów to dziecinnie prosta sprawa.

— Co to jest najwyższa niepokonywalność? — zapytała Tia.

— O, przepraszam — zorientowałem się, że nie znam mojego nazewnictwa. — Tak nazywam tę moc Epików, która sprawia, że konwencjonalne metody zabijania są nieskuteczne. Wiecie, regeneracja, kuloodporna skóra, przewidywanie przyszłości, odradzanie się i temu podobne.

Potężni Epicy posiadali jedną z takich zdolności. Nigdy na szczęście nie słyszałem o Epiku, który miałby ich więcej.

— Załóżmy — powiedział Profesor — że do tego wszystkiego doszedłeś na własną rękę. Ale to nadal nie tłumaczy, jak wpadłeś na to, gdzie zastawimy naszą pułapkę.

— Fortuity zawsze ogląda sztuki wystawiane u Spritza w pierwszą sobotę każdego miesiąca — powiedziałem. — A potem zawsze idzie poszukać jakiejś rozrywki. To jedyny pewny moment, gdy mogliście go spotkać samego i w takim usposobieniu, że można było nań zastawić pułapkę.

Profesor popatrzył na Abrahama, potem na Tię. Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem.

— Myślę, że on mówi prawdę, Profesorze — oświadczyła Megan. Stała z założonymi rękami, w rozpiętej kurtce.

*Nie.. patrz...* — musiałem upomnieć sam siebie.

Profesor spojrział na nią.

— Dlaczego?

— To ma sens — odparła. — Gdyby Stalowe Serce wiedział, kogo mamy zamiar sprzątnąć, przygotowałby dla nas coś bardziej wyszukanego niż chłopaka z karabinem. Poza tym, ten Klęczka naprawdę próbował pomóc. W jakiś sposób.

— Pomogłem! Zginęłabyś, gdyby nie ja. Powiedz jej, Hardman.

Mściciele wyglądali na zaskoczonych.

— Kto? — zapytał Abraham.

— Hardman. — Wskazałem snajpera przy drzwiach.

— Nazywam się Cody, dzieciaku — odparł, ubawiony.

— To gdzie jest Hardman? — zapytałem. — Megan powiedziała mi, że jest na górze, pilnując z karabinem, żeby... — urwałem.

*Nigdy nie było snajpera na górze* — zrozumiałem. I nikt tak naprawdę mnie nie pilnował.

Megan blefowała, bo nie chciała, żebym ruszał się wtedy z miejsca.

Abraham zaśmiał się donośnie.

— Dalesz się złapać na stary numer z niewidzialnym snajperem, co? Klęczałeś tam, myśląc, że możesz zostać zastrzelony w każdej chwili. Dlatego nazwała cię Klęczką?

Zarumieniłem się.

— Dobrze, synu — rzucił Profesor. — Będę dla ciebie miły i udam, że wszystko to nigdy się nie wydarzyło. Kiedy opuścimy to pomieszczenie, chcę, żebyś policzył powoli do tysiąca. Potem możesz stąd odejść. Jeśli będziesz próbował za nami iść, zabiję cię. — Skinął na innych.

— Nie, poczekajcie! — zawołałem, rzucając się w jego stronę.

Pozostała czwórka już miała broń w pogotowiu, skierowaną ku mojej głowie.

Przełknąłem ślinę, po czym opuściłem rękę.

— Proszę, poczekajcie — powiedziałem nieco bardziej pokornie. — Chcę się do was przyłączyć.

— Co chcesz? — zapytała Tia.

— Przystać do was — powtórzyłem. — Dlatego przyszedłem dzisiaj w tamto miejsce. Nie miałem zamiaru się mieszać w akcję. Chciałem tylko się zaciągnąć.

— Nie prowadzimy naboru — odrzekł Abraham.

Profesor przyglądał mi się.

— On faktycznie nieco pomógł — powiedziała Megan. — A ja... muszę przyznać, że jest dobrym strzelcem. Może powinniśmy go przyjąć, Profesorze.

Cóż, cokolwiek się wydarzyło, jednak zrobiłem na niej wrażenie. To było zwycięstwem niemal tak samo wielkim jak pokonanie Fortuity'ego.

W końcu Profesor potrząsnął głową.

— Nikogo nie przyjmujemy, synu. Przykro mi. Mamy zamiar opuścić miasto, a ja nigdy więcej nie chcę cię widzieć w pobliżu miejsc, w których będziemy urządzać nasze akcje. Niech nawet twoja noga nie postanie w mieście, w którym się będziemy znajdowali. Zostań w Newcago. Po dzisiejszej akcji nie wrócimy tutaj przez dłuższy czas.

Wyglądało na to, że wszyscy przyjęli jego decyzję. Megan wzruszyła ramionami. Był to gest nieomal przepraszający, mający na celu zaznaczenie, że popierając mnie, podziękowała za uratowanie jej przed opryszkami z uzi. Reszta podążyła za zmierzającym ku drzwiom Profesorem.

Stałem za ich plecami, bezsilny i rozczerowany.

— Przegrywacie — powiedziałem miękko.

Z jakiegoś powodu sprawiło to, że Profesor zawahał się. Popatrzył na mnie. Pozostali byli już za drzwiami.

— Nigdy nie dotrzecie do tych, którzy naprawdę powinni być waszym celem — oznajmiłem gorzko. — Wybieracie tych najłatwiejszych do unieszkodliwienia, takich jak Fortuity. Epików, których możecie odizolować i zabić. Potwory, tak, ale względnie nieważne. Nigdy nie dotrzecie do prawdziwych bestii, Epików, którzy nas złamali i zrujnowali nam życie.

— Robimy, co możemy — odparł Profesor. — Dać się zabić, próbując unicestwić kogoś, kogo nie da się wyeliminować, niczemu nie służy.

— Zabijanie takich jak Fortuity też nic nie przyniesie — zripostowałem. — Jest ich zbyt wielu i jeśli będziecie ich wybierać jako cel, nikt się nie będzie wami przejmował. W ten sposób nie zmienicie świata.

— Nie próbujemy tego robić — powiedział Profesor. — Po prostu zabijamy Epików.

— Co mielibyśmy robić, twoim zdaniem? — rzekł rozbawiony Hardman... To znaczy Cody. — Porwać się na Stalowe Serce?

— Tak — odparłem żarliwie, postępując do przodu. — Chcecie coś zmieniać, sprawiać, żeby Epicy poczuli się zagrożeni? To jego trzeba zaatakować! Pokażcie im, że nie ma takich, których nie sięgnęłaby nasza zemsta!

Profesor pokręcił głową. Ruszył ku drzwiom, a jego laboratoryjny czarny uniform zaszeleścił.

— Podjąłem tę decyzję wiele lat temu, synu. Musimy walczyć w bitwach, które mamy szansę wygrać.

Skierował się ku korytarzowi. Zostałem sam w małym pomieszczeniu, a światło latarki, która wciąż stała za moimi plecami, sprawiało, że ściany lśniły zimną, metaliczną poświatą.

Przegrałem.

Stałem w pustym, cichym pomieszczeniu, oblanym przez światło pozostawionej w nim latarki. Jej baterie chyba zaczęły się już wyczerpywać, ale metalowe ściany dobrze odbijały przyćmione światło.

*Nie* — pomyślałem.

Wybiegłem z pokoju, nie zważając na ostrzeżenia. *Niech mnie zabiją.*

Oddalające się postacie były widoczne dzięki światłu z ich komórek. Grupka ciemnych kształtów w ciasnym korytarzu.

— Nikt więcej nie walczy! — zawołałem za nimi. — Nikt nawet nie próbuje! Zostaliście tylko wy. I jeśli nawet wy boicie się Stalowego Serca, kto miałby myśleć o nim w inny sposób?

Mściciele oddalali się.

— Wasze działania coś znaczą! — wrzasnąłem. — Ale nie wystarczą! Tak długo jak najpotężniejsi z Epików uważają się za nietykalnych, nic się nie zmieni. Dopóki dajecie im spokój, udowadniacie, że to, co zawsze o sobie mówili, jest prawdą! To, że jeśli Epik jest dostatecznie silny, może wziąć, czego zapragnie, i robić to, czego zapragnie. A wy im mówicie, że oni zasługują na to, by rządzić.

Grupa posuwała się do przodu, chociaż Profesor — idący na końcu — tak jakby się zawahał. Ale tylko przez chwilę.

Wziąłem głęboki oddech. Pozostało mi tylko jedno, czego mogłem spróbować.

— Widziałem, jak Stalowe Serce krwawił.

Profesor zeszywniał.

Reszta zatrzymała się. Profesor popatrzył na mnie przez ramię.

— Co?

— Widziałem, jak Stalowe Serce krwawił.

— Niemożliwe — odezwał się Abraham. — Jego skóry nie da się uszkodzić.

— Widziałem to — zapewniłem. Serce mi waliło, a po twarzy spływał pot. Nigdy nikomu tego nie mówiłem. Sekret był zbyt niebezpieczny. Gdyby Stalowe Serce wiedział, iż ktoś przetrwał atak w banku tamtego dnia, ścigałby mnie. Nie znalazłbym kryjówki, nie dałbym rady uciec. Nie udałoby się to, gdyby Stalowe Serce wiedział, że ktoś poznał jego słaby punkt.

Nigdy nikomu nie powiedziałem o tym ani słowa. Ale miałem wskazówkę, prawdopodobnie jedyną, jaką ktokolwiek miał.

— Opowiadanie nam kłamstw nie sprawi, że przyjmimy cię do naszej grupy, synu — powiedział Profesor powoli.

— Nie kłamię — odrzekłem, napotykając jego spojrzenie. — Nie w tej kwestii. Dajcie mi parę minut, a opowiem całą historię. Przynajmniej posłuchajcie.

— To głupota — odezwała się Tia, ujmując Profesora za ramię. — Profesorze, chodźmy.

Nie odpowiedział. Wpatrywał się we mnie. Spojrzał mi w oczy, tak jakby czegoś szukał. Czulem się przed nim w dziwny sposób odsłonięty, niemal nagi. Tak jakby Profesor znał każde moje życzenie i każdy grzech.

Podszedł do mnie powoli.

— No dobrze, synu — rzekł. — Masz piętnaście minut.

— Wskazał gestem na pomieszczenie za nami. — Posłucham tego, co masz do powiedzenia.

Wracaliśmy wśród utyskiwań pozostałych Mścicieli. Zacząłem się zastanawiać, jaką

funkcję spełniają w grupie jej poszczególni członkowie. Abraham, z jego olbrzymim automatem i muskularnymi ramionami — był człowiekiem od ciężkiej broni. Podczas akcji zjawiłby się w kryzysowym momencie, gdyby trzeba było poczęstować oddziały Stalowego Serca gradem pocisków. Gdyby zaszła potrzeba, umiał wyciągać informacje od ludzi, a jeśli akcja by tego wymagała, zajęłby się ciężkimi maszynami rozmaitego typu.

Rudowłosa Tia, intelektualistka o wąskiej twarzy, była chyba kimś w rodzaju naukowca. Sądząc po jej stroju, nie brała udziału w akcjach. Mściciele potrzebowali ludzi takich jak ona kogoś, kto wiedział, jak działają zdolności Epików, i kto potrafiłby rozszyfrować ich słabości.

Megan była główną rozgrywającą. Była tą, która wkraczała do akcji i wystawiała Epików. Cody, ubrany w moro i z karabinem w ręku, był odpowiedzialny za strzelanie. Odgadywałem, że po tym, jak Megan zneutralizowała zdolności Epika, Cody miał go trafić albo zapędzić w kozi róg precyzyjnymi strzałami.

Pozostawał jeszcze Profesor. Przywódca grupy, jak się domyślałem. Może drugi rozgrywający, jeśli taki był potrzebny. Nie przypisałem mu jeszcze w myślach żadnej roli, ale coś mi nie dawało spokoju, również jeśli chodzi o jego imię.

Kiedy ponownie weszliśmy do pomieszczenia, Abraham wydawał się zainteresowany tym, co mam zamiar powiedzieć. Tia z kolei sprawiała wrażenie poirytowanej, a Cody nieco rozbawionego. Zrelaksowany, z założonymi na klatce piersiowej rękami, snajper oparł się o ścianę, tak by obserwować tunel na zewnątrz pomieszczenia. Reszta otoczyła mnie, czekając.

Uśmiechnąłem się do Megan, lecz jej twarz miała niewzruszony wyraz. Chłodny nawet. Co się zmieniło?

Wziąłem głęboki oddech.

— Widziałem, jak Stalowe Serce krwawił. Było to dziesięć lat temu; miałem wtedy osiem lat. Mój ojciec i ja znajdowaliśmy się wówczas w banku First Union na Adams Street...

\*

Zamilkłem, zakończywszy opowieść. Moje słowa zawisły w powietrzu. *I mam zamiar zobaczyć, jak znowu będzie krwawił.* Wydawało się brawurą stanąć przed grupą ludzi, którzy poświęcili swoje życie walce z Epikami.

Moje zdenerwowanie ulotniło się, kiedy opowiadałem całą historię. Gdy w końcu podzieliłem się nią z kimś, poczułem się dziwnie spokojnie. Wreszcie wiedział o wszystkim ktoś więcej poza mną. Gdybym zginął, ci ludzie będą znali informacje, które dotychczas kryłem w tajemnicy. Nawet jeżeli Mściciele nie zdecydowaliby się ścigać Stalowego Serca, wiedza o całej sprawie została przekazana i prawdopodobnie kiedyś zostanie wykorzystana. Zakładając, że mi uwierzono.

— Usiądźmy — powiedział wreszcie Profesor. Reszta poszła w jego ślady, Tia i Megan niechętnie. Abraham zaś nadal wyglądał na odprężonego. Cody pozostał przy drzwiach, trzymając wartę.

Usiadłem, kładąc mój karabin na kolanach. Odbezpieczyłem go, choć byłem pewien, że broń nie była naładowana.

— I cóż? — Profesor zwrócił się do swej grupy.

— Słyszałam o tym — odezwała się niechętnie Tia. — Stalowe Serce zrównał z ziemią bank w dniu Aneksji. Bank wynajmował kilka pomieszczeń biurowych na jednym z wyższych pięter — nic wielkiego, taksatorzy i księgowi, którzy wykonywali papierkową robotę. Większość ludzi, z którymi rozmawiałam, twierdzi, że Stalowe Serce zburzył budynek ze względu na te biura.

— Tak — zgodził się Abraham. — Tamtego dnia Stalowe Serce zniszczył wiele

budynków.

Profesor skinął głową z namysłem.

— Proszę pana — zacząłem.

Przerwał mi.

— Miałeś już czas na swoją opowieść, synu. To dowód szacunku, że rozmawiamy tutaj z tobą. Nie spraw, żebym tego żałował.

— Hm, tak, proszę pana.

— Zawsze się zastanawiałem, dlaczego Stalowe Serce najpierw zburzył bank — ciągnął Abraham.

Taa — powiedział Cody spod drzwi. — Dziwny wybór. Dlaczego najpierw zajął się księgowymi, a potem dopiero burmistrzem?

— Ale to nie jest wystarczająco dobry powód, by zmieniać nasze plany — rzekł Abraham, potrząsając głową. Skinął w moją stronę. Broń oparł na własnych barkach. — Jestem pewny, przyjacielu, że jesteś fantastycznym facetem, ale nie możemy podejmować decyzji, bazując na informacjach od kogoś, kogo ledwie znamy.

— Megan? — rzucił Profesor. — Co myślisz?

Spojrzałem na nią. Siedziała nieco dalej od innych. Profesor i Tia wydawali się mieć najwyższą pozycję w tej grupce Mścicieli. Abraham i Cody zazwyczaj zgadzali się w opiniach, jak to bywa w przypadku przyjaciół. A Megan?

— Myślę, że to głupie — odparła lodowatym tonem.

*Spochnurniałem. Ale... parę minut temu była najbardziej przyjaźnie do mnie nastawiona!*

Przed chwilą byłaś za nim — rzekł Abraham, jak gdyby artykułując moje myśli.

Spojrzała spode łba.

— To było, zanim wysłuchałam tej dziwacznej historii. On kłamie. Próbuje się wedrzeć do naszej grupy.

Otworzyłem usta, by zaprotestować, ale spojrzenie rzucone mi przez Profesora sprawiło, że się powstrzymałem.

— Wygląda na to, że się nad tym wszystkim zastanawiasz — zwrócił się Cody do Profesora.

— Profesorze? — odezwała się Tia. — Znam to spojrzenie. Pamiętaj, co się stało z Duskwatchem.

— Pamiętam — odparł Profesor, nadal mi się przyglądając.

— I co? — zapytała Tia.

— On wie o grupie ratowniczej — powiedział Profesor.

— Grupie ratowniczej? — zdziwił się Cody.

— Stalowe Serce ukrył fakt, że zabił ratowników — Profesor ściszył głos. — Tylko kilka osób wie, co zrobił z nimi i z ocalałymi z pogromu oraz co w ogóle zaszło wtedy w budynku First Union. Stalowe Serce nie zabił nikogo spośród ludzi prowadzących akcję ratunkową w innych budynkach, które zburzył. Zabił jedynie ratowników, którzy pospieszyli do First Union. W zniszczeniu tego banku było coś szczególnego — mówił dalej Profesor. — Wiemy, że Stalowe Serce wszedł do niego i że rozmawiał z ludźmi znajdującymi się wewnątrz. W żadnym innym miejscu tego nie zrobił. Opuścił First Union rozwścieczony. W banku coś musiało się wydarzyć. Od jakiegoś czasu to wiem. Inni przywódcy grup Mścicieli też. Zakładaliśmy, że wzburzyło go coś, co miało związek z Siewcą Śmierci. — Profesor siedział z jedną ręką opartą na kolanie i w zamyśleniu bębnił po nim palcami, wpatrując się we mnie. — Tamtego dnia stało się coś, po czym Stalowemu Sercu została blizna. Nikt nie wie, co to było.

— Ja wiem — powiedziałem.

— Być może — rzekł Profesor.

— Być może — odezwała się Megan. — A może i nie. Profesorze, on mógł słyszeć o tamtych morderstwach i bliźnie Stalowego Serca, a potem wymyślić resztę! I nie ma sposobu, by to udowodnić, bo jeśli chłopak mówi prawdę, to on i Stalowe Serce są jedynymi świadkami.

Profesor powoli skinął głową.

— Zranienie Stalowego Serca jest prawie niemożliwe — odezwał się Abraham. — Nawet jeśli faktycznie poznamy jego słabą stronę, ten Epik ma ochronę. Silną ochronę.

— Pożar, Conflux i Władca Ciemności — powiedziałem, kiwając głową. — Mam plan, jak poradzić sobie z każdym z nich. Myślę, że odkryłem ich słabe strony.

Tia zmarszczyła brwi.

— Tak?

— Dziesięć lat — wyszeptalem. — Przez dziesięć lat bez przerwy planowałem, jak go dopaść.

Profesor wciąż wyglądał tak, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał.

— Synu — powiedział. — Jak ci na imię?

— David.

— A więc, Davidzie, słusznie się domyśliłeś, że mieliśmy zamiar zabić Fortuity'ego. Jak sądzisz, jaki będzie nasz następny krok?

Przed nocą opuścicie Newcago — odparłem natychmiast. — Każda grupa zawsze tak robi po zastawieniu pułapki. Oczywiście tutaj nie ma nocy. Ale wy opuścicie miasto już za kilka godzin, a potem dołączycie do reszty Mścicieli.

— A którego z Epików mamy zamiar zabić w następnej kolejności? — zapytał Profesor.

— Cóż — zacząłem, myśląc szybko, przywołując w pamięci sporządzone przez siebie listy i własne przewidywania. — Żadna z waszych grup nie była ostatnio aktywna na obszarach Środkowych Równin i na obszarze Caliph. Myślę, że waszym następnym celem będzie Armsman z Omahy albo Błyskawica, jeden z Epików żyjący gdzieś nieopodal Sacramento.

Cody gwizdnął leciutko. Najwyraźniej odgadłem całkiem prawidłowo. Dopisało mi szczęście, bo przecież nie mogłem mieć pewności. Jeśli chodzi o moje przewidywania co do miejsc, w których mieli uderzyć Mściciele, miałem rację w jednej czwartej przypadków.

Profesor nieoczekiwanie wstał.

— Abraham, przygotuj kryjówkę numer czternaście. Cody, zobacz, czy da się spreparować fałszywy trop, który prowadziłby do Caliph.

— Kryjówkę numer czternaście? — zapytała Tia. — Zostajemy w mieście?

— Tak — odrzekł Profesor.

— Jon. — Tia zwróciła się do Profesora prawdopodobnie jego prawdziwym imieniem. — Nie mogę...

— Nie mówię, że mamy zamiar zacząć ścigać Stalowe Serce — powiedział Profesor, unosząc dłoń. Wskazał mnie. — Ale jeśli ten dzieciak domyślił się, jakie mają być nasze dalsze kroki, ktoś inny także może na to wpaść. To znaczy, że musimy zmienić plany. Natychmiast. Musimy zadekować się tutaj na kilka dni. — Popatrzył na mnie. — A co do Stalowego Serca... zobaczymy. Najpierw chcę posłuchać twojej historii jeszcze raz. Chcę jej posłuchać kilkanaście razy. I dopiero wtedy zdecyduję, co zrobimy.

Wyciągnął do mnie rękę. Przyjąłem ją z pewnym wahaniem, pozwalając, by Profesor pomógł mi wstać. W oczach tego człowieka było coś specyficznego, coś, czego nie spodziewałem się w nich ujrzeć. Nienawiść do Stalowego Serca równie wielka jak moja. Objawiło się to w sposobie, w jaki wypowiedział imię Epika, w jaki zacisnął wargi i w jaki jego oczy zwęziły się i zdawały płonąć, gdy padło jego imię.



Wydawało się, jak gdybyśmy my dwaj zrozumieli się w tym momencie.

*Profesor — pomyślałem. Profesor, PhD. Człowiek, który jest założycielem Mścicieli, nazywa się Jonathan Phaedrus. Ph...D.*

To nie był tylko dowódca grupy, jednej z tych, z których składali się Mściciele. To był Jonathan Phaedrus. Ich przywódca i założyciel.

— Zatem... — powiedziałem, kiedy opuściliśmy pomieszczenie. — Gdzie znajduje się miejsce, do którego zmierzamy? Kryjówka numer czternaście?

— Nie potrzebujesz tego wiedzieć — odparł Profesor.

— Czy mogę dostać z powrotem swój magazynek?

— Nie.

— Czy powinienem znać jakieś... umowne gesty, na przykład uściśnięcie dłoni? Jakies specjalne oznaczenia? Czy inni Mściciele będą wiedzieli, że jestem jednym z nich?

— Synu — powiedział Profesor. — Nie jesteś jednym z nas.

— Wiem, wiem — odrzekłem szybko. — Ale nie chciałbym, żeby ktoś nas zaskoczył, myśląc, że jestem wrogiem czy kimś w tym stylu i...

— Megan — rzucił Profesor, dźgnąwszy mnie kciukiem. — Zajmij się tym dzieciakiem przez chwilę. Muszę pomyśleć.

— Ruszył do przodu, przyłączając się do Tii. Zaczęli o czymś cicho debatować.

Megan rzuciła mi ponure spojrzenie. Pewnie na to zasłużyłem za bombardowanie Profesora moimi pytaniami. Ale byłem tak podekscytowany — przede mną stał sam Phaedrus, założyciel Mścicieli. Teraz, kiedy wiedziałem, czego mogę się spodziewać, rozpoznawałem go z opisów — choć skąpych — które kiedyś czytałem.

Ten człowiek był legendą. Bogiem pośród bojowników o wolność i zabójców zarazem. Byłem nim zafascynowany i marzyłem, by wiedzieć o nim jak najwięcej. Szczerze mówiąc, pękałem z dumy, że udało mi się powstrzymać, by nie poprosić go o złożenie autografu na lufie mojego karabinu.

Jednakże moje zachowanie nie zyskało mi uznania w oczach Megan. Poza tym zapewne nie spodobało się jej to, że ma być przez chwilę moją nianką. Cody i Abraham szli przed nami, rozmawiając, a ja i Megan podążaliśmy za nimi ciemnym, stalowym tunelem w dość szybkim tempie. Megan milczała.

Była naprawdę ładna. I miała chyba prawie tyle samo lat co ja, może o rok więcej lub mniej. Wciąż nie miałem pewności, dlaczego nagle zwróciła się przeciwko mnie. Może krótka, dowcipna rozmowa pozwoli to zmienić.

— Więc — zacząłem. — Jak długo... no wiesz, jesteś z Mścicielami?

Jakoś poszło.

— Dość długo — odparła.

— Byłaś zaangażowana w któreś z ostatnich zabójstw Epików? Gyro? Cienistego Niszczyciela? Bezuchego?

— Może. Nie sądzę, by Profesor chciał ujawniać szczegóły.

Przez dłuższy czas szliśmy w milczeniu.

— Wiesz — zacząłem znowu. — Nie umiesz człowieka zabawić rozmową.

— Co?

— Profesor powiedział ci, żebyś chwilę się mną zajęła.

— Tylko po to, żeby twoich pytań wysłuchiwał ktoś inny. Nie sądzę, żeby to, czym się zajmuję, wydało ci się szczególnie rozrywkowe.

— Nie powiedziałbym tego — odparłem. — Podobał mi się striptiz.

Spojrzała na mnie.

— Co?

— Tam w zaułku. Kiedy ty...

Wyraz jej twarzy był tak lodowaty, że mógłby zamrozić lufę automatu o największej sile rażenia. Albo jakieś drinki. Chłodne drinki — to była lepsza metafora.

Nie byłem jednak pewien, czy Megan doceniłaby to, że użyłbym teraz takiego określenia.

— Nieważne — powiedziałem.

— I bardzo dobrze — odparła, odwracając się ode mnie i maszerując dalej.

Wzięłem głębszy oddech, po czym zachichotałem.

— Tam, w zaułku, przez moment miałem wrażenie, że mnie zastrzelisz.

— Zabijam ludzi tylko wtedy, gdy wymaga tego zadanie — wyjaśniła. — Usiłujesz wciągnąć mnie w pogaduszki, ale nie jesteś w tym szczególnie dobry. To nie strzelanina.

— Yyy, dzięki.

Skinęła głową z marsową miną. To nie była reakcja, jakiej spodziewałbym się po dziewczynie, której ocaliłem życie. Oczywiście Megan była pierwszą dziewczyną — niezależnie, czy ładną, czy brzydką — którą uratowałem, więc nie miałem porównania.

Z drugiej strony, wcześniej była dla mnie miła, nieprawdaż? Może powinienem postarać się nieco bardziej?

— A co wolno ci powiedzieć o grupie i jej członkach? — zapytałem.

— Wolalabym rozmawiać na inny temat — odparła. — Taki, który nie dotyczy tajemnic Mścicieli i mojego ubrania.

Umilkłem. Szczerze mówiąc, nie było wiele spraw poza Mścicielami i Epikami, o których wiedziałbym dużo. W Fabryce odebrałem jakąś tam edukację, ale tylko podstawową. A zanim się tam znalazłem, spędziłem rok na ulicy, głodując i z trudem unikając śmierci.

— Możemy pogadać o mieście — zaproponowałem. — Wiem dużo o podziemiach.

— Ile masz lat? — zapytała Megan.

— Osiemnaście — odparłem, szykując się do obrony.

— Czy nikt nie będzie cię szukał? Nikt nie będzie się zastanawiał, gdzie się podziewasz?

Pokręciłem głową.

— Od dwóch miesięcy jestem pełnoletni. A z Fabryki, gdzie pracowałem, już mnie wykopali.

Taka była zasada. Pracowałeś tam tylko do ukończenia osiemnastego roku życia; potem musiałeś szukać sobie innego zajęcia.

— Pracowałeś w Fabryce? — zapytała Megan. — Jak długo?

— Dziewięć lat albo coś koło tego — odparłem. — To była fabryka broni.

Produkowaliśmy karabiny dla armii Stalowego Serca.

Niektórzy mieszkańcy podziemi, szczególnie starsi, uskarżali się na to, że Fabryka wykorzystuje dzieci do pracy. Były to bezsensowne skargi starych ludzi, którzy pamiętali jeszcze inny świat. Bezpieczniejszy.

W moim świecie ludzie, którzy dawali ci pracę w zamian za jedzenie, byli świętymi. Martha dbała o to, by jej pracownicy byli najedzeni, ubrani i chronieni, również jeden przed drugim.

— Lubiłeś tę pracę?

— W jakiś sposób. To nie była niewolnicza harówka, wbrew temu, co ludzie myślą.

Płacili nam.

W jakiś sposób. Martha odkładała nasze zarobki na czas, gdy już nie będziemy pracowali w Fabryce. Wystarczało, żeby jakoś się urządzić, znaleźć pracę.

— To było dobre miejsce, żeby dorosnąć, że to tak podsumuję — powiedziałem smutno.

— Gdyby nie Fabryka, wątpię, czy kiedykolwiek nauczyłbym się, jak strzelać z karabinu. Uważa

się co prawda, że dzieciaki nie mogą używać broni, ale Martha, która prowadziła ten cały interes, przymykała czasem oko.

Niejeden dzieciak, którego miała pod opieką, poszedł potem na służbę do oddziałów Stalowego Serca.

— To interesujące — odparła Megan. — Mów dalej.

— Cóż... — urwałem i spojrzałem na nią. Dopiero teraz zorientowałem się, że podążała naprzód, patrząc przed siebie i właściwie nie zwracała na mnie uwagi. Pytała o różne rzeczy tylko po to, żebym nie przestawał mówić, a może po prostu po to, żebym nie zawracał jej głowy kłopotliwymi pytaniami.

— Wcale nie słuchasz — powiedziałem.

— Sprawiałeś wrażenie, że bardzo chcesz pogadać — odrzekła uprzejmie. —

Umożliwiłam ci to.

*Calamity* — pomyślałem. Czuję się jak idiota. Dalej szliśmy w milczeniu, co zdawało się jej pasować.

— Nie masz pojęcia, jakie to denerwujące — odezwałem się wreszcie.

Rzuciła mi beznamiętne spojrzenie.

— Denerwujące?

— Tak, wkurzające. Spędziłem dziesięć ostatnich lat mojego życia, dowiadując się wszystkiego o Mścicielach i Epikach. Teraz, kiedy jestem z wami, mówi mi się, że nie wolno mi zadawać pytań o ważne rzeczy. To wkurzające.

— Myśl o czymś innym.

— Nie ma nic innego. Przynajmniej dla mnie.

— Dziewczyny.

— Nie mam żadnej.

— Hobby.

— Nie, tylko wy, Mściciele, Stalowe Serce i moje notatki.

— Czekaj — powiedziała Megan. — Notatki?

— Tak — odparłem. — Pracowałem w Fabryce i zawsze przysłuchiwałem się plotkom.

Wolne dni spędzałem, wydając te grosze, które zarabiałem, na gazety i artykuły od ludzi podróżujących za granicę. Poznałem kilka osób, które miały informacje. Każdej nocy robiłem zapiski, zbierając wszystko, czego się dowiedziałem, w jedną całość. Wiedziałem, że muszę być ekspertem w kwestii Epików, toteż się nim stałem.

Jej twarz zachmurzyła się.

— Wiem — powiedziałem, krzywiąc się. — To brzmi tak, jakbym nie miał żadnego życia. Nie jesteś pierwszą, która mi to mówi. Inni w Fabryce...

— Cicho — odezwała się Megan. — Robiłeś zapiski o Epikach, a co z nami? Co z Mścicielami?

— O was też miałem notatki — odparłem. — Co miałem robić? Trzymać te wszystkie informacje w pamięci? Zapisałem dwa zeszyty i chociaż większość zapisków to były domysły, jestem całkiem niezły w domyślaniu się... — urwałem, zastanawiając się, dlaczego Megan wygląda na zaniepokojoną.

— Gdzie to wszystko masz? — zapytała cicho.

— W moim mieszkaniu. Są bezpieczne. Żaden z tych zbirów nie widział mnie z bliska.

— A kobieta, którą wyciągnąłeś z auta?

Zawahałem się.

— Tak, ona widziała moją twarz i być może będzie mogła mnie opisać. Ale to chyba nie jest powód, żeby mieli mnie szukać, prawda?

Megan milczała.

*Tak* — pomyślałem. *Jednak to może się zdarzyć.* Armia Stalowego Serca była cholernie dobra w swojej robocie. I, niestety, było parę drobnych zająć w mojej przeszłości, jak na przykład ta kolizja, kiedy prowadziłem taksówkę. Miałem swoją kartotekę, a Stalowe Serce będzie umiał zmotywować swoje oddziały, żeby szukały wszystkich zamieszanych w śmierć Fortuity'ego.

— Musimy porozmawiać z Profesorem — powiedziała Megan i ująwszy mnie pod ramię, pociągnęła ku grupie podążającej przed nami.

Profesor słuchał moich wyjaśnień ze zrozumieniem.

— Tak — powiedział, gdy skończyłem. — Powiniennem był to zobaczyć. To ma sens. Uspokoilem się. Bałem się, że Profesor będzie wściekły.

— Jaki to adres, synu? — zapytał.

— Piętnaście trzydzieści dwa, Ditko Place — odparłem. Moje wydrażone w metalu lokum znajdowało się niedaleko parku w jednej z przyjemniejszych części podziemi. — Jest małe, ale mieszkam w nim tylko ja. Zawsze trzymam je dobrze zamknięte.

— Ludzie Stalowego Serca nie będą potrzebowali klucza — oznajmił Profesor. — Cody, Abraham, jedźcie tam. Przygotujcie bombę zapalającą, upewnijcie się, że nikogo nie ma wewnątrz, i wysadźcie to mieszkanie w powietrze.

Poczułem szarpnięcie niepokoju. Było tak, jakby ktoś podłączył moje palce u nóg do akumulatora.

— Co?

— Nie możemy pozwolić, by Stalowe Serce wszedł w posiadanie tych informacji, synu — rzekł Profesor. — Nie chodzi nawet o informacje o nas, ale o Epikach. Jeśli są tak szczegółowe, jak mówiłeś, Stalowe Serce może ich użyć przeciwko innym potężnym Epikom w regionie. A Stalowe Serce ma już i tak za dużo władzy. Musimy zniszczyć sporządzone przez ciebie źródło informacji.

— Nie możecie tego zrobić! — krzyknąłem, a mój głos odbił się echem w wąskim, stalowym tunelu. Te zapiski były dziełem mojego życia! Faktycznie, nie było ono specjalnie długie, ale... gromadzenie notatek zajęło mi dziesięć lat. Ich utrata byłaby jak utrata ręki. Gdybym miał wybór, wolałbym raczej poświęcić rękę.

— Synu — powiedział Profesor — nie prowokuj mnie. Twoja sytuacja jest mocno niepewna.

— Potrzebujecie tych informacji — powiedziałem. — Są ważne, proszę pana. Dlaczego mielibyście spalić setki stron z informacjami o Epikach i ich słabych stronach?

— Powiedziałeś, że gromadziłeś je na podstawie tego, co usłyszałeś — odezwała się Tia. — Wątpię, żeby w twoich zapiskach było coś, czego już nie wiemy.

— Znacie słaby punkt Władcy Ciemności? — zapytałem w ostatecznej desperacji.

Władca Ciemności. Był jednym z potężnych Epików stanowiących ochronę Stalowego Serca, a jego moc sprawiała, że nad Newcago panował ciągły mrok. Był postacią pełną tajemnic, bezcielesną i całkowicie odporną na strzały i jakąkolwiek broń.

— Nie — przyznała Tia. — I ty również nie.

— Światło słoneczne — powiedziałem. — Władca Ciemności przybiera stałą formę w słońcu. Mam rysunki.

— Masz rysunki Władcy Ciemności w jego cielesnej postaci? — zapytała Tia.

— Tak sądzę. Człowiek, od którego kupiłem te rysunki, nie był tego pewien, ale ja jestem.

— Hej, chłopie — zawołał Cody. — Chcesz kupić ode mnie Loch Ness? Dam ci dobrą cenę.

Rzuciłem mu gniewne spojrzenie, a on wzruszył ramionami. Loch Ness leżało w Szkocji, wiedziałem to aż nadto dobrze i wydawało się, że herb widoczny na czapce Cody ego był jakimś szkockim albo angielskim symbolem. Ale jego akcent nie był charakterystyczny dla tamtych

stron.

— Profesorze — powiedziałem, odwracając się w jego stronę. — Phaedrus, proszę pana, proszę. Musi pan zobaczyć mój plan.

— Twój plan? — Profesor nie wydawał się zdziwiony, że znam jego nazwisko.

— Zabicia Stalowego Serca.

— Masz plan? — zapytał Profesor. — Plan zabicia jednego z najpotężniejszych Epików w kraju?

— Właśnie to powiedziałem.

— Myślałem, że chcesz się do nas przyłączyć, żeby tego dokonać.

— Potrzebuję pomocy — rzekłem. — Ale nie przyszedłem z pustymi rękami. Mam szczegółowy plan. Myślę, że zadziała.

Profesor potrząsnął głową. Wyglądał na oszołomionego.

Nieoczekiwanie Abraham się roześmiał.

— On mi się podoba. Ma... coś. *Un homme téméraire*. Jesteś pewien, że nie rekrutujemy?

— Tak — odparł Profesor stanowczo.

— Przynajmniej popatrzcie na mój plan, zanim go spalicie — powiedziałem. — Proszę.

— Jon — odezwała się Tia. — Chciałabym zobaczyć te rysunki. Prawdopodobnie to zwykłe oszustwo, ale nawet jeśli...

— Dobrze — rzekł Profesor, rzucając coś w moją stronę. Magazynek do mojego karabinu. — Zmiana planów. Cody, weź Megan i chłopaka i jedźcie do jego mieszkania. Jeśli ludzie Stalowego Serca już tam są i będzie wyglądało na to, że mają zamiar zdobyć notatki, zniszczcie je. Jeżeli nie, przywieźcie je ze sobą. — Popatrzył na mnie. — Cokolwiek, czego nie możecie łatwo przetransportować, zniszczcie. Zrozumieliście?

— Pewnie — powiedział Cody.

— Dziękuję — odezwałem się.

— To nie żadna przysługa, synu — rzekł Profesor. — Ale mam nadzieję, że i nie błąd. Ruszamy. Możemy nie mieć zbyt wiele czasu, nim go wytropią.

\*

Kiedy znaleźliśmy się niedaleko Ditko Place, w podziemiach było już cicho. Można pomyśleć, że w Newcago, w którym panuje stała ciemność, nie będzie „dni” i „nocy”, ale one jednak są. Mieszkańcy Newcago śpią wtedy, kiedy wszystko toczy się rutynowo.

Oczywiście istnieje mniejszość, która nie chce postępować tak, jak jej się mówi, nawet jeśli dotyczy to prostych kwestii. Nocne życie oznaczało aktywność w czasie, gdy inni śpią. Jest wtedy ciszej, bardziej prywatnie.

Światła na suficie podziemi były niekiedy połączone z zegarami i świeciły słabiej, gdy nadchodziła noc. Zmiana była subtelna, ale nauczyliśmy się ją zauważać. I tak, choć Ditko Place nie znajdowało się w głębokich warstwach podziemi, na ulicach nie panował wielki ruch. Ludzie spali.

Dotarliśmy do parku. Tak nazywano wielki obszar wykuty w metalu. Na jego suficie znajdowały się liczne dziury, zapewniające dostęp świeżego powietrza. Na krawędziach zaś znajdowały się lśniące na niebiesko-fioletowo reflektory. W środkowej części parku umieszczono skały przywiezione z powierzchni — prawdziwe skały, a nie te, które zamieniono w metal. Poza tym w parku znajdował się plac zabaw z drewnianym wyposażeniem w kiepskim stanie, które skądś tu ściągnięto. Za dnia plac wypełniał się dziećmi — tymi, które były zbyt małe, by pracować, albo tymi, których rodziców stać było na to, by ich dzieci nie pracowały. Na plac schodzili się także dziadkowie i babcie, które robiły na drutach albo wykonywały inne podobne

czynności.

Megan uniosła rękę, uciszając nas.

— Komórki? — wyszeptała.

Cody pociągnął nosem.

— Czy wyglądam jak amator? — zapytał. — Jest wyciszona.

Zawahałem się, następnie wyjąłem mój telefon z kieszeni na piersiach i dwukrotnie go sprawdziłem. Na szczęście był wyciszony. Na wszelki wypadek wyjąłem jednak baterie. Megan wysunęła się cicho z tunelu i ruszyła przez park w stronę ogromnej skały. Cody poszedł w jej ślady, potem ja. Kuląc się i starając zachować maksymalną ciszę, minąłem wielkie głązy pokryte porostami.

Ponad naszymi głowami przebiegała szosa, po której z rumorem przejeżdżały samochody i chodzili wracający z pracy ludzie. Od czasu do czasu ktoś wrzucał przez dziury w suficie parku jakieś śmieci. Zdumiewająco duża liczba bogatych obywateli wykonywała zwykłe prace. Byli księgowymi, nauczycielami, sprzedawcami, komputerowcami — choć do swojej sieci Stalowe Serce dopuszczał tylko najbardziej zaufanych ludzi. Nigdy nie widziałem prawdziwego komputera, miałem jedynie komórkę.

Na górze znajdował się inny świat, a zajęcia, które kiedyś były czymś najzwyklejszym, teraz przypadały w udziale tylko uprzywilejowanym. Reszta pracowała w fabrykach albo reperowała odzież, pilnując dzieci bawiących się w parkach.

Dotarłem do głązu i ukucnąłem obok Cody'ego i Megan, którzy cichcem badali dwie wysokie ściany parku, z wykutymi pomieszczeniami służącymi jako mieszkania różnej wielkości. Z nieużytkowanych budynków na powierzchni usunięto metalowe schody pożarowe i zamontowano je tutaj, tak by zapewnić dostęp do dziur w suficie.

— Które to mieszkanie? — zapytał Cody.

— Widzisz te drzwi po prawej stronie na drugim poziomie? To tam — wskazałem.

— Ładnie — powiedział Cody. — Jak to się stało, że stać cię było na takie lokum? — zapytał lekkim tonem, ale moim zdaniem tak naprawdę był podejrzliwy. Wszyscy oni byli. Cóż, musiałem być na to przygotowany.

— Potrzebowałem lokum tylko dla siebie, żeby prowadzić swoje poszukiwania — odparłem. — Fabryka, w której pracowałem, odkłada wszystkie twoje zarobki, kiedy jesteś niepełnoletni, a kiedy kończysz osiemnaście lat, wypłaca ci je w czterech częściach. To wystarczyło, żebym przez rok mógł mieszkać w moim własnym mieszkaniu.

— Świetnie — rzekł Cody. Zastanawiałem się, czy moje wyjaśnienie go przekonało. — Nie wygląda na to, że armia Stalowego Serca tu dotarła. Może nie rozpoznali cię z opisu.

Skinąłem powoli głową. Stojąca obok mnie Megan rozglądała się jednak uważnie.

— Co takiego? — zapytałem.

— Wszystko wygląda zbyt dobrze. Stają się nieufna, gdy sprawy układają się podejrzanie łatwo.

Zlustrowałem wyższe partie ścian. Na klatce schodowej stało kilka skuterów i pustych koszy na śmieci. Na niektórych partiach metalu ekstrawagancy uliczni artyści wyryli jakieś wizerunki. Nikt im tego nie zlecił, ale zrobili to przy cichej aprobacie mieszkańców podziemi. Były to jedyne formy buntu, na jakie mogli sobie pozwolić zwykli ludzie.

— Cóż, możemy tu stać i czekać, aż oni się w końcu pojawią — powiedział Cody, pocierając twarz palcem o szorstkiej skórze. — Albo możemy ruszać. Zaczynajmy. — Wstał.

W jednym z koszy na śmieci coś zaśniło.

— Czekaj! — rzuciłem, chwytając Cody'ego za ramię i zmuszając go, by się pochylił. Serce mi waliło.



— Co? — zdziwił się Cody, przygotowując swój karabin.

Była to świetna broń, stara, ale znakomicie utrzymana, z dużym teleskopem i nowoczesnym tłumikiem z przodu. Nigdy nie miałem okazji trzymać czegoś takiego w ręku. Tańsze wersje działały kiepsko, a celne strzelanie było utrudnione.

— Tam — powiedziałem, wskazując kosz na śmieci. — popatrz.

Zmarszczył się, ale zrobił to, o co poprosiłem. Mój umysł pracował na pełnych obrotach, szybko segregując fragmenty zapamiętanych informacji. Przydałyby się moje notatki. Lśnienie... Epik tworzący iluzję... Kto to był?

*Lśniąca* — pomyślałem. Iluzjonistka klasy C, dysponująca zdolnościami do bycia niewidzialną.

— Na co mam patrzeć? — zapytał Cody. — Przestraszył cię kot czy... — urwał, bo w koszu znowu coś błysnęło. Cody zmarszczył brwi, po czym przykucnął. — Co to jest?

— Epik — rzekła Megan, mrużąc oczy. — Jeden z pomniejszych Epików ze zdolnością do tworzenia iluzji, które jednak nie są precyzyjne.

— Ma na imię Lśniąca — dodałem cicho. — Jest dość utalentowana, potrafi tworzyć skomplikowane wizualne formy. Ale nie jest potężna, a jej iluzje zawsze można rozpoznać. Zazwyczaj lśnią, jakby odbiło się w nich światło słoneczne.

Cody skierował swój karabin na kosz.

— Mówicie więc, że kosza tak naprawdę tutaj nie ma, natomiast znajduje się tu coś innego. Ktoś z oddziałów Stalowego Serca, na przykład?

— Tak sądzę — odparłem.

— Czy kule mogą ją zranić? — zapytał Cody.

— Tak, bo ona nie jest potężnym Epikiem. Cody, ale jej może tu nie być.

— Przecież powiedziałeś...

— Jest iluzjonistką klasy C — wyjaśniłem — ale jej drugim talentem jest niewidzialność klasy B. Iluzje i niewidzialność występują zazwyczaj razem. Ogółem rzecz biorąc, Lśniąca może uczynić siebie niewidzialną, ale nikogo innego. Może co najwyżej stworzyć iluzję wokół kogoś lub czegoś. Jestem prawie pewien, że pod tą cholerną iluzją kosza kryje się cały oddział Stalowego Serca. A jeśli Lśniąca jest mądra — a jest — sama będzie zupełnie gdzie indziej.

Poczułem, że swędzą mnie plecy. Nienawidziłem Epików tworzących iluzje. Nigdy nie można było mieć pewności, gdzie są. Nawet najślabi z nich — klasy D albo E w moim własnym systemie — potrafili stworzyć iluzję dostatecznie wielką, by sami mogli się ukryć. Jeśli mieli zdolność do stawania się niewidzialnymi, sprawy miały się jeszcze gorzej.

— Tam — szepnęła Megan, wskazując na jedną dużą rzecz z wyposażenia placu zabaw — drewniany fort, po którym można się było wspinać. — Widzicie te pojemniki na szczycie tej zabawkowej twierdzy? Przed chwilą załśniły. Ktoś się w nich ukrywa.

— Tam może się zmieścić tylko jedna osoba — wyszeptałem. — Z tamtego miejsca będzie mogła zajrzeć wprost do mojego mieszkania przez drzwi. Snajper.

— Najprawdopodobniej — powiedziała Megan.

— Lśniąca musi być blisko — rzekłem. — Żeby utrzymać iluzje, musi widzieć zarówno plac zabaw, jak i te cholerne kosze na śmieci. Zasięg jej mocy nie jest wielki.

— Jak ją namierzemy? — zapytała Megan.

— Ona lubi uczestniczyć w zdarzeniach, o ile pamiętam. Jeśli sprawimy, że ludzie Stalowego Serca się ruszą, Lśniąca będzie gdzieś w pobliżu, aby wydawać rozkazy albo stwarzać iluzje, żeby ich wesprzeć.

— Calamity! — wyszeptał Cody. — Skąd ty to wszystko wiesz?

— Nie słuchałeś? — powiedziała cicho Megan. — On się tym właśnie zajmuje. Wokół

tego zbudował swoje życie. On bada wszystko, co ma związek z Epikami.

Cody potarł podbródek. Wyglądało na to, że wcześniej brał wszystko, co mówiłem, za popisywanie się.

— Znasz jej słabość?

— Mam to w swoich zapiskach — odparłem. — Usiłuję sobie przypomnieć. Uch... cóż, iluzjoniści zazwyczaj nie wiedzą, czy zdołali się uczynić kompletnie niewidzialnymi. Do tęczówek ich oka musi dotrzeć światło. Dlatego szukajcie oczu. Chociaż naprawdę utalentowani iluzjoniści potrafią dostosować kolor swoich oczu do barw otoczenia. Ale to nie jest słabość Lśniącej, bardziej ograniczenie zdolności wywoływania iluzji.

Co było jej słabym punktem?

— Dym! — wykrzyknąłem, a potem zaczerwieniłem się, słysząc własny okrzyk. Megan rzuciła mi ciężkie spojrzenie.

— To jest jej słaba strona — wyszeptałem. — Lśniąca zawsze unika ludzi, którzy palą, i trzyma się z daleka od każdego rodzaju płomieni. To całkiem dobrze znana słabość, i w dodatku udowodniona.

— W sumie i tak przyszedliśmy tutaj po to, żeby spalić to i owo — powiedział Cody. Wydawał się podekscytowany tą perspektywą.

— Co? Nie.

— Profesor powiedział...

— Wciąż możemy dostać moje zapiski — powiedziałem. — Czekają na mnie, ale wysłali tylko pomniejszego Epika. To oznacza, że nie zorientowali się jeszcze, że za dzisiejszym zamachem stali Mściciele. Albo nie wiedzą, w jaki sposób ja się w to wplątałem. Prawdopodobnie nie wyczyścili jeszcze mojego mieszkania, nawet jeśli już się do niego włamali i przejrzeliby to, co w nim jest.

— Doskonały powód, by spalić to miejsce — odezwała się Megan. — Przykro mi, ale jeśli ludzie Stalowego Serca są tak blisko...

— Ale zrozumiem, to istotne, żebyśmy weszli teraz. — Czuję, jak narasta we mnie niepokój. — Musimy zobaczyć, co zostało zniszczone, jeżeli oczywiście to się stało. Dzięki temu będziemy wiedzieli, co znaleźli. Jeśli spalimy teraz moje lokum, uderzymy w samych siebie.

Pozostała dwójka zawahała się.

— Musimy ich powstrzymać — powiedziałem. — A przy okazji możemy zabić kolejnego Epika. Lśniąca ma mnóstwo krwi na rękach. W ubiegłym miesiącu ktoś zajechał jej drogę w korku. Stworzyła iluzję drogi, po której winowajca miałby rzekomo spokojnie dotrzeć do domu. Sześć trupów. W samochodzie były dzieci.

Epików charakteryzował wyraźny, wręcz niesamowity brak moralności i sumienia. To zdumiewało wielu ludzi, zwłaszcza na poziomie filozoficznym. Teoretyków, uczonych. Zastanawiali się nad ich nieludzkimi zachowaniami. Czy Epicy zabijali, bo Calamity wybrała — z jakichś nieznanych powodów — tylko niegodziwych ludzi do tego, by otrzymali nadzwyczajne zdolności? A może zabijali, bo jakaś niesamowita siła wichrowała tych ludzi, czyniąc z nich istoty zupełnie nieobliczane?

Nie było ostatecznych odpowiedzi. Mnie na nich nie zależało; nie byłem uczonym. Tak, zbierałem informacje na temat Epików, ale takie rzeczy robili także fani sportu, którzy szczególnie interesowali się jakąś drużyną. Ale to, dlaczego Epicy zachowywali się w określony sposób, miało dla mnie tak samo małe znaczenie, jak budowa kija do baseballu.

Liczyła się tylko jedna rzecz — Epicy nie przywiązywali wagi do ludzkiego życia. Brutalne zabójstwo było w ich opinii surową karą za najdrobniejsze wykroczenie.

— Profesor nie pochwaliłby zabijania Epika — powiedziała Megan. — To nie jest

zgodne z naszymi procedurami.

Cody cmoknął.

— Zabijanie Epików jest zawsze zgodne z naszymi zasadami, panienko. Nie jesteś z nami wystarczająco długo, by to w pełni zrozumieć.

— W mieszkaniu mam granat dymny — odezwałem się.

— Co? — zdumiała się Megan. — Jak to możliwe?

— Dorastałem, pracując w fabryce broni — wyjaśniłem. — W przeważającej części produkowaliśmy karabiny i pistolety, ale współpracowaliśmy też z innymi fabrykami. Czasem udało mi się skorzystać z okazji i skombinować jakieś cacko z odrzutów firmy QC.

— Granat dymny jest cackiem? — zapytał Cody.

Zmarszczyłem brwi. O co mu chodziło? Oczywiście, że granat był cackiem. Kto nie chciałby mieć takiego, jeśli trafiała się okazja? Megan obdarzyła mnie nikłym uśmiechem. Zrozumiała.

*Nie rozumiem cię, dziewczyno* — pomyślałem. W ubraniu miała ukryte pociski i była znakomitym strzelcem, ale martwiła się o procedury, gdy nadarzała się sposobność, by zabić Epika? Kiedy spostrzegła, że ją obserwuję, jej twarz znowu przybrała zimny i zdystansowany wyraz.

Czy zrobiłem coś, co ją uraziło?

— Jeśli będziemy mieli ten granat, będziemy mogli wykorzystać go, żeby zniwelować zdolności Lśniącej — powiedziałem. — Ona lubi być blisko działającej grupy. Jeśli uda nam się wszystko tak ustawić, że ludzie Stalowego Serca znajdą się na zamkniętej przestrzeni, Lśniąca najprawdopodobniej też tam podąży. Rzucę granatem, a kiedy ona się pojawi, zastrzelę ją.

— Dobrze — powiedział Cody — Ale jak zdołamy dokonać tego wszystkiego i jednocześnie pozyskać twoje notatki?

— To łatwe — odparłem, niechętnie wręczając Megan mój karabin. Będę mieć większe szanse, by wyprowadzić ludzi Stalowego Serca w pole, jeśli nie będę uzbrojony — Damy im to, na co czekają. Mnie.

Przeszedłem przez ulicę i ruszyłem w kierunku mojego mieszkania. Ręce miałem w kieszeniach, w jednej z nich znajdowała się także rolka taśmy z Fabryki. Cody i Megan nie byli zachwyceni moim planem, ale nie mieli lepszych pomysłów. Pozostawało żywić nadzieję, że będą w stanie wykonać swoje zadania.

Bez karabinu czułem się zupełnie nagi. W mieszkaniu przechowywałem dwa pistolety, ale tak naprawdę nie było się dostatecznie niebezpiecznym, jeśli nie miało się karabinu. Postrzelenie kogoś z pistoletu było raczej uznawane za rodzaj wypadku.

*A Megan to zrobiła — pomyślałem. Nie tylko trafiła, ale zabiła potężnego Epika, strzelając z dwóch sztuk broni, z których jedną opierała na udzie.*

Podczas naszej rozprawy z Fortuitem okazała emocje. Pasję, złość, zdenerwowanie. Te dwa ostatnie uczucia dotyczyły mnie, ale zawsze to coś. A później, kilka chwil po tym, jak Fortuity upadł, osiągnęliśmy pewne porozumienie. Oboje odczuliśmy satysfakcję, a Megan doceniła mnie, co ujawniła podczas rozmowy z Profesorem.

Teraz to wszystko zniknęło. Co to miało oznaczać?

Zatrzymałem się na skraju placu zabaw. Czyżbym w takiej chwili myślał o dziewczynie? Znajdowałem się tylko o pięć kroków od miejsca, w którym kryli się uzbrojeni ludzie Stalowego Serca, prawdopodobnie mierząc we mnie z broni automatycznej lub energetycznej.

*Idiota — pomyślałem, wspinając się po schodach do swego mieszkania. Ludzie Stalowego Serca poczekają, czy nie wyciągnę z kąta czegoś obciążającego, a potem dopiero będą próbowali mnie dostać. Miejmy nadzieję.*

Wchodzenie po schodach ze świadomością, że za plecami mam przeciwników, było istną torturą. Zrobiłem to, co zwykle robię w sytuacjach, gdy czuję się zagrożony. Pomyślałem o chwili, gdy mój ojciec padał na ziemię, krwawiąc. Upadł obok kolumny na korytarzu zniszczonego banku. Ja się ukryłem. Nie pomogłem mu.

Nigdy już nie będzie we mnie takiego tchórzostwa.

Dotarłem do drzwi mojego mieszkania i zacząłem majstrować kluczami w zamku. Z oddali dobiegł mnie jakiś zgrzyt, ale udawałem, że nie zwracam na to uwagi. Na szczycie dziecięcej twierdzy z pewnością leżał snajper, który teraz przybierał odpowiednią pozycję, by do mnie strzelić. Tak, stanąwszy pod pewnym kątem, mogłem to wyraźnie dostrzec. Ta zabawka była dostatecznie wysoka, by snajper mógł strzelić prosto w drzwi mojego lokum.

Wszedłem do mojej kawalerki. Nie było tu przedpokoju ani niczego w tym stylu, a po prostu dziura wykuta w metalu. Tak wyglądała większość mieszkań w podziemiach. Mogło w nich nie być łazienek czy bieżącej wody, ale jak na standardy podziemi żyło mi się tu całkiem wygodnie. Cały jeden pokój tylko dla jednego człowieka?

W moim mieszkaniu panował bałagan. Niedaleko drzwi stały jednorazowe miseczki na płatki śniadaniowe, które czuć było przyprawami. Po podłodze wałały się ubrania. Na stole znajdowało się wiadro z dwudniową wodą i zużyta, srebrna zastawa.

Nie używałem jej do jedzenia. Była tylko na pokaz. Tak samo ubranie; nie nosiłem żadnej z leżących na ziemi sztuk odzieży. Rzeczy, których używałem — cztery sztuki odzieży uszytej z wytrzymałego materiału, zawsze czyste i wyprane — leżały starannie złożone w kufierku, który stał obok materaca. Celowo utrzymywałem w pokoju nieporządek. Irytowało mnie to nieco, bo lubię schludność.

Odkryłem, że niedbalstwo sprawia, iż ludzie się do ciebie nie wtrącają. Gdyby tutejsza

dozorczynie przyszła węszyć, znalazłaby to, czego się spodziewała. Nastoletniego chłopaka, który ledwo osiągnął pełnoletniość i który beztrząsliwie wydaje pieniądze na głupoty, nim naprawdę zacznie być odpowiedzialny. Nie wypatrywałyby więc jakichś skrytek.

Podszedłem do kuferka. Otworzyłem go i wyjąłem plecak. Znajdowały się w nim buty na zmianę, porcja żywności i dwa litry wody. W kieszeni po jednej stronie plecaka tkwił pistolet, a granat dymny znajdował się w kolejnej kieszeni, z drugiej strony plecaka.

Podszedłem do materaca. W jego wnętrzu znajdowało się całe moje życie. Tuziny teczek, wypełnionych wycinkami z gazet i fragmentami informacji. Osiem zeszytów, wypełnionych moimi przypuszczeniami i odkryciami. Większy notes z indeksami.

Może powinienem był zabrać to wszystko ze sobą, kiedy wybierałem się obserwować atak na Fortuity'ego. W końcu miałem zamiar przyłączyć się do Mścicieli. Wahałem się, ale wreszcie zdecydowałem, że nie byłoby to rozsądne. Poza tym wszystkie moje zbiory dużo ważyły. Dałbym radę je unieść, ale znacznie by mnie spowalniały.

Moje zbiory były cenne. Stały się dla mnie najważniejszą rzeczą. Zebranie niektórych informacji o mało nie kosztowało mnie życia — śledzenie Epików, zadawanie pytań, których lepiej nie zadawać, płacenie informatorom spod ciemnej gwiazdy. Byłem dumny z tego, co osiągnąłem, i nie chciałem, by moje notatki wpadły w niepowołane ręce. Niegdyś sądziłem, że w moim mieszkaniu są bezpieczne.

Na metalowej klatce schodowej za drzwiami zadudniły czyjeś kroki. Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem jeden z najbardziej przerażających widoków, jakie można było ujrzeć w podziemiach: w pełni wyposażony oddział Stalowego Serca. Stali na podeście z automatycznymi karabinami w rękach i czarnymi, lśniącymi hełmami na głowach. Mieli opancerzone klatki piersiowe, kolana i ramiona. Było ich trzech.

Ich hełmy miały zakrywające oczy osłony. Jednak usta i podbródki pozostawały bez ochrony. Osłony oczu umożliwiały widzenie w ciemnościach i połyskiwały bladą, zieloną barwą. Widniał na nich dziwny znak, który wirował i falował na przodzie hełmu. Miał za zadanie paraliżować przeciwnika.

Nie musiałem nic robić. Oczy i tak mi się rozszerzyły, a mięśnie zeszywniały.

— Ręce na głowę — powiedział dowódca, kierując lufę karabinu w moją stronę. — Na kolana, obieckie.

W taki właśnie sposób zwracali się do ludzi. Obiekty. Stalowe Serce nie silił się na jakiegokolwiek żalostne próby, by udawać, że jego imperium było republiką albo że miało rząd przedstawicielski. Nie nazywał ludzi obywatelami lub towarzyszami. Byli obiektami w jego imperium. Tak to wyglądało.

Szybko uniosłem ręce w górę.

— Nic nie zrobiłem! — zaskamlałem. — Byłem tam tylko po to, by popatrzeć.

— RĘCE DO GÓRY, NA KOLANA! — zawył oficer.

Zastosowałem się do rozkazu.

Weszli do mieszkania, celowo zostawiając drzwi otwarte, tak żeby snajper mógł widzieć to, co dzieje się w środku. Z tego, co wiedziałem, ci trzej byli częścią pięcioosobowej grupy zwanej Core. Zawsze składała się z trzech oficerów, jednego człowieka do zadań specjalnych — w tym przypadku był to snajper — i jednego pomniejszego Epika. Stalowe Serce miał pięćdziesiąt grup takich jak ta.

Właściwie całe siły zbrojne Stalowego Serca składały się z grup do zadań specjalnych. Jeśli trzeba było stoczyć jakąś większą walkę, bardzo niebezpieczną, Stalowe Serce, Władca Ciemności, Pożar i być może również Conflux — który stał na czele wojska — zajmowali się tymi sprawami osobiście. Oddziały wojskowe radziły sobie z pomniejszymi sprawami w mieście,

którymi nie chciał kłopotać się Stalowe Serce. W gruncie rzeczy nie potrzebował wojska. Było ono czymś w rodzaju grupy obsługujących parking sługusów zbrodniczego dyktatora.

Jeden z żołnierzy pilnował mnie, podczas gdy pozostali dwaj przeszukiwali zawartość mojego materaca. *Czy ona tam jest?* — zastanawiałem się. *Ukrywa się gdzieś, niewidoczna?* Mój instynkt i moje informacje na temat Lśniącej mówiły mi, że ona jest w pobliżu.

Miałem nadzieję, że Lśniąca jest gdzieś w pokoju. Nie mogłem się jednak ruszyć, dopóki Cody i Megan nie wypełnią swoich ról w moim planie, tak więc czekałem w napięciu na ich ruch.

Dwaj żołnierze wyciągnęli spomiędzy dwóch warstw pianki mojego materaca teczki i zeszyty. Jeden z nich zaczął je przeglądać.

— Tu są informacje o Epikach, sir.

Oficer, który mnie pilnował, z jakiegoś powodu wydawał się czuć niekomfortowo. Popatrywał to na mnie, to na pozostałych oficerów.

Czułem, że wali mi serce. Megan i Cody powinni wkrótce zaatakować. Musiałem być przygotowany.

— Masz poważne kłopoty, obieckie — odezwał się oficer, rzucając jeden z zeszytów na ziemię. — Jeden z ważniejszych Epików nie żyje.

— Nie mam z tym nic wspólnego! — powiedziałem. — Przysięgam. Ja...

— Bah. — Dowódca dał znak drugiemu żołnierzowi. — Pozbieraj to wszystko.

— Sir — odezwał się żołnierz, który mnie pilnował. — On chyba mówi prawdę.

Zawahałem się. Ten głos...

— Roy? — zapytałem zdumiony. Ten chłopak osiągnął pełnoletniość rok przede mną... i zaraz potem wstąpił do armii Stalowego Serca.

Dowódca obejrzał się na mnie.

— Znasz ten obiekt?

— Tak — powiedział Roy z ociąganiem. Był wysokim rudzielcem. Zawsze go lubiłem. Był pomocnikiem w Fabryce. Tę funkcję Martha powierzała starszym chłopcom. Byli odpowiedzialni za to, by nie dokuczano młodszym i słabszym. Roy dobrze wywiązywał się z powierzonego mu zadania.

— I nic nie powiedziałeś? — zapytał oficer. Jego głos brzmiał surowo.

— Ja... przepraszam, sir. Powinienem być. On zawsze był zafascynowany Epikami.

Widziałem go, jak przemierza pół miasta pieszo i czeka w deszczu, bo słyszał, że nowy Epik pojawił się w mieście. Jeśli usłyszał, że dwóch z nich walczy ze sobą, pewnie poszedł popatrzeć, niezależnie, czy to było mądre, czy nie.

— Tacy ludzie nie powinni się włóczyć po ulicach — powiedział oficer. — Pozbieraj to. Synu, powiedz nam, co dokładnie widziałeś. Jeśli dobrze się spiszesz, być może nawet przeżyjesz dzisiejszą noc. To...

Na zewnątrz rozległ się wystrzał. Twarz dowódcy zalała krew, a jego hełm eksplodował, trafiony kulą.

Przetoczyłem się w kierunku mojego plecaka. Cody i Megan wykonali swoją robotę, po cichu sprząając snajpera i zajmując pozycję umożliwiającą przyjście mi z pomocą.

Odpiąłem rzepy przyszyte na boku mego plecaka, wyciągnąłem pistolet i błyskawicznie strzeliłem w udo Roya. Kula trafiła w otwór w plastikowej części opancerzenia, sprawiając, że Roy upadł. O mały włos, a bym spudłował. Cholerne pistolety.

Drugi z żołnierzy padł pod celnym strzałem Cody'ego, który był na placu zabaw. Nie zatrzymywałem się, by się upewnić, czy trzeci żołnierz rzeczywiście nie żył — w pokoju mogła być Lśniąca, uzbrojona i gotowa do strzału. Przygotowałem granat i wyciągnąłem zawleczkę.

Rzuciłem. Pokój wypełnił szary dym. Wstrzymałem oddech, unosząc pistolet. Moc Lśniącej może osłabnąć, jeśli otoczy ją dym. Czekałem, aż się pojawi.

Nic się nie wydarzyło. Lśniącej nie było w pokoju.

Zakląłem, wciąż wstrzymując oddech. Spojrzałem na Roya. Próbował się poruszyć, podtrzymując nogę. Wyciągał broń w moim kierunku. W oparach dymu doskoczyłem do niego i kopnąłem jego karabin. Potem z kabury, którą miał przy sobie, wyciągnąłem ręczny pistolet i rzuciłem go w kąt. I karabin, i pistolet były dla mnie bezużyteczne; miały sprzężenie z rękawicami, które nosił Roy, i mogły zadziałać tylko w jego rękach.

Roy wsunął rękę do kieszeni. Przyłożyłem mu pistolet do skroni i wyszarpnąłem rękę ze spodni. Próbował wybrać numer na swojej komórce. Wycelowałem w niego i rzucił telefon na ziemię.

— I tak jest za późno, David — splunął Roy. Z powodu dymu zaniósł się kaszlem. — Conflux natychmiast wie, kiedy tracimy z nim połączenie. Inni żołnierze z oddziałów Core już są w drodze. Poślą do podziemi szpiegów. Zresztą, ci pewnie już tu są.

Wciąż na wdechu przeszukałem kieszenie spodni Roya. Nie miał więcej broni.

— Jesteś głupcem, David — powiedział Roy, kaszłąc.

Zignorowałem go i rozejrzałem się po pokoju. Musiałem wreszcie zacząć normalnie oddychać, a tymczasem dym był coraz bardziej gryzący.

Gdzie była Lśniąca? Być może na podeście. Kopniakiem wyrzuciłem granat z pokoju, mając nadzieję, że ją w końcu dostrzegę.

Nic. Albo źle oceniłem jej zdolności, albo Lśniąca nie zdecydowała się dołączyć do grupy wysłanej, by mnie aresztować.

A co, jeśli teraz podkradała się w kierunku Megan i Cody'ego? Nie będą w stanie jej dostrzec.

Popatrzyłem w dół. Telefon Roya.

*Warto spróbować.*

Schwyciłem telefon i otworzyłem książkę telefoniczną. Lśniąca była wpisana pod swoim epickim imieniem. Większość Epików wołała używać tych właśnie imion.

Zadzwoiłem.

Niemal natychmiast na placu zabaw rozległ się strzał.

Nie mogłem już dłużej wstrzymać oddechu. Wychyłem na zewnątrz, nisko się pochylając, i nogą zrzuciłem granat z podestu. Zbiegłem po schodach w dół i wziąłem głęboki oddech.

Oczy mi łzawiły, kiedy ogarniałem wzrokiem plac zabaw. Na szczycie dziecięcej twierdzy klęczał Cody z karabinem w dłoniach. Na dole stała Megan z pistoletem, a u jej stóp leżała ubrana na biało-czarno kobieta. Lśniąca.

Megan strzeliła do niej raz jeszcze, tak by mieć pewność, że ta zginęła. Lśniąca z całą pewnością była martwa.

Kolejny Epik wyeliminowany.

Moim pierwszym posunięciem było cofnięcie się do mieszkania i wyrzucenie za drzwi karabinu Roya, do którego próbował podpełznąć. Następnie sprawdziłem dwóch pozostałych żołnierzy. Jeden już nie żył, a puls drugiego był słaby i nic nie wskazywało na to, żeby ten człowiek miał się w najbliższym czasie ocknąć.

Nadszedł czas, żeby szybko działać. Zgarnąłem moje zeszyty i wpakowałem je do plecaka. Sześć grubych zeszytów i jeden indeks wypchały go po brzegi. Zastanowiłem się przez chwilę i wyrzuciłem z plecaka parę zapasowych butów. Mogłem kupić nowe, a moich zbiorów nic nie mogło zastąpić.

Zapakowałem jeszcze dwa ostatnie zeszyty, pomiędzy które wsunąłem dwie teczki z notatkami o Stalowym Sercu, Władcy Ciemności i Pożarze. Potem dodałem jeszcze jedną teczkę o Confluxie. Była najcieńsza. O tym tajemniczym, potężnym Epiku, który był dowódcą armii, wiadomo było bardzo niewiele.

Roy wciąż kaszał, choć dym się znacznie przerzedził. Ściągnął hełm. Było coś surrealistycznego w tym, że widziałem znanego mi człowieka — a znałem go od lat — noszącego mundur wroga. Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, bo nie miałem takich, ale nie zostawiłem go bez słowa.

— Działasz z Mścicielami — powiedział Roy.

Musiałem zmylić tropy, zasugerować Royowi, że pracuję dla kogo innego.

— Co? — zapytałem, starając się udawać zaskoczonego.

— Nie próbuj tego ukrywać, David. To oczywiste. Wszyscy wiedzą, że to Mściciele zabili Fortuity'ego.

Uklęknąłem obok niego z plecakiem przewieszonym przez ramię.

— Słuchaj, Roy, nie pozwalaj, żeby cię wyleczyli, dobra? Wiem, że armia ma Epików, którzy to potrafią. Nie zgadzaj się na to, jeśli ci się to uda.

— Co, dlaczego...

— Lepiej, żebyś chorował podczas tego, co wkrótce nastąpi — powiedziałem cicho i zdecydowanie. — Władza w Newcago być może przejdzie w inne ręce. Limelight przybędzie stoczyć walkę ze Stalowym Sercem.

— Limelight? — zdumiał się Roy. — Kto to, do diabła, jest?

Podszedłem do reszty moich zbiorów, a potem powoli wylałem na łóżko łatwopalną ciecz.

— Pracujesz dla tego Epika? — wyszeptał Roy. — Naprawdę myślisz, że ktoś może rzucić wyzwanie Stalowemu Sercu? Calamity, David! Jak wielu rywali już zabił?

— Ten jest inny — powiedziałem. Sięgnąłem po zapalki i zapaliłem jedną. — Limelight jest inny.

Nie mogłem wziąć leżących na łóżku teczek. Były tam źródła, fakty i artykuły, dzięki którym opracowałem informacje wpisane do zeszytów. Chciałem wziąć wszystko, co udało mi się zgromadzić, ale nie było już miejsca w plecaku.

Rzuciłem zapalkę. Łóżko stanęło w płomieniach.

— Jeden z twoich kolegów być może jeszcze żyje — oznajmiłem, wskazując dwóch leżących na ziemi oficerów. Dowódca został trafiony w głowę, ale drugi dostał tylko kulę w bok.

— Wynieś go. A potem trzymaj się z daleka od tego wszystkiego, Roy. Nadchodzą niebezpieczne czasy.



Założyłem plecak i pospiesznie wyszedłem z mieszkania na klatkę. Po schodach w dół zdążyła Megan.

— Twój plan zawiódł — powiedziała cicho.

— Zadziałał wystarczająco dobrze — odparłem. — Kolejny Epik jest martwy.

— Tylko dlatego, że miała w telefonie włączone wibracje — powiedziała Megan, podążając schodami obok mnie. — Gdyby nie była tak niedbała...

— Mieliśmy szczęście — przyznałem. — Ale tak czy inaczej, wygraliśmy.

Telefony komórkowe były normalną częścią życia. Ludzie mogli żyć w ruderach, ale mieli komórki dla rozrywki.

Pod dziecięcą twierdzą znaleźliśmy Cody'ego, stojącego obok ciała Lśniacej. Wręczył mi karabin.

— Chłopie — powiedział. — To było niesamowite.

Zamrugalem. Spodziewałem się kolejnej nagany, takiej, jaką zafundowała mi Megan.

— Profesor będzie nam zazdrościł, że go tu nie było — ciągnął Cody, przewieszając karabin przez plecy. — Czy to ty do niej zadzwoniłeś?

— Tak — odrzekłem.

— Niesamowite — powtórzył, klepiąc mnie po ramieniu.

Megan nie wyglądała na równie zadowoloną. Rzuciła Cody'emu ostre spojrzenie, po czym sięgnęła po mój plecak.

Sprzeciwiłem się.

— Potrzebujesz dwóch rąk, by nieść karabin — powiedziała Megan, przewieszając jednak plecak przez ramię. — Ruszajmy. Armia Stalowego Serca będzie... — urwała, zauważywszy Roya, który z trudem wytaszczył drugiego oficera z płonącego mieszkania i prawie doholował go do podestu.

Zaniepokoiłem się, ale tylko trochę. Helikoptery już nadlatywały; Roy miał zaraz otrzymać pomoc. Pospiesziliśmy przez park, kierując się ku prowadzącym do podziemi tunelom.

— Pozostawiłeś ich przy życiu? — zapytała Megan, biegnąc.

— To było bardziej użyteczne — odparłem. — Zmyliłem tropy. Okłamałem Roya, że pracuję dla Epika, który przybywa, by rzucić wyzwanie Stalowemu Sercu. Miejmy nadzieję, że to ich powstrzyma przed poszukiwaniem Mścicieli. — Zawahałem się. — Poza tym oni nie są naszymi wrogami.

— Oczywiście, że są — warknęła Megan.

— Nie — powiedział Cody, biegnąc obok niej. — On ma rację, panienko. Nie są. Pracują dla wroga, ale są zwykłymi ludźmi. Robią, co muszą, żeby przetrwać.

— Nie możemy myśleć w ten sposób — sprzeciwiła się Megan, gdy dotarliśmy do rozgałęziającego się tunelu. Popatrzyła na mnie, a jej oczy były zimne. — Nie możemy okazywać im litości. Oni nam jej nie okazują.

— Nie możemy stać się tacy jak oni, panienko — rzekł Cody, potrząsając głową. — Posłuchaj, co nieraz mówi o tym Profesor. Jeśli mamy robić to, co robią Epiccy, by ich pokonać, to nie warto działać.

— Słyszałam, co mówi Profesor — odparła Megan, wciąż patrząc na mnie. — Nie martwię się o tamtego oficera. Martwię się o Klęczkę.

— Jeślibym musiał, zabiłbym żołnierza z armii — rzekłem, napotykając jej spojrzenie. — Ale nie będę się rozpraszał, polując na ludzi Stalowego Serca. Mam cel. Chcę zobaczyć Stalowe Serce martwego. Tylko to się liczy.

— Ech — prychnęła, odwracając wzrok. — To nie jest odpowiedź.

— Ruszajmy — powiedział Cody, ruchem głowy wskazując na schody prowadzące do

głębszych tuneli.

\*

— On jest naukowcem, chłopie — wyjaśniał Cody, kiedy szliśmy wąskimi korytarzami stalowych katakumb. — Zaczął się nimi zajmować, kiedy tylko się pojawili, stworzył kilka wybitnych wynalazków, opartych na wiedzy, którą zgromadził. Dlatego nazywany jest Profesorem.

Skinąłem głową zamyślony. Teraz, kiedy zesliśmy już głębiej, Cody nieco się zrelaksował. Megan wciąż była sztywna. Szła przodem, trzymając przed sobą telefon komórkowy, z którego przesyłała Profesorowi raport z naszej akcji. Cody włączył latarkę, którą miał przypiętą do swojej kurtki moro. Ja wyjąłem ze swojego telefonu kartę sieciową, co Cody pochwalił. Tak było lepiej do czasu, gdy Profesor i Tia będą mieli okazję połączyć swoje telefony z moim.

Zorientowałem się, że Mściciele nie ufali nawet Knighthawk Foundry. Używali tylko telefonów, które były wzajemnie połączone, a transmisja była zakodowana po obu stronach. Nie korzystali z powszechnej sieci. Nim to samo będzie u mnie, mogłem używać swojej komórki tylko jako aparatu albo latarki.

Cody już wyluzował. Niósł swój karabin na ramionach, przełożywszy przez niego rękę, a jego dłoń swobodnie opadała w dół. Wydawało mi się, że po zabójstwie Lśniącej zyskałem jego akceptację.

— A gdzie pracował Profesor? — zapytałem, ciekawy wszelkich informacji o założycielu grupy. O Mścicielach krążyło wiele plotek, ale faktów znano niewiele.

— Nie wiem — przyznał Cody — Nikt nie wie, jaka była przeszłość Profesora. Tylko Tia prawdopodobnie trochę się orientuje. Ale ona nic o tym nie mówi. Abe i ja robiliśmy zakłady, gdzie pracował Profesor. Jestem prawie pewien, że działał w czymś w rodzaju sekretnej agencji rządu.

— Naprawdę? — zapytałem.

— Pewnie. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że to właśnie ta agenda wywołała pojawienie się Calamity.

Była to jedna z historii, według której Stany Zjednoczone — niekiedy mówiono też, że Unia Europejska — pracując nad projektem stworzenia superludzi, przy okazji spowodowały także ukazanie się na niebie Calamity. Myślę, że takie twierdzenie było przesadą. Zawsze uważałem, że Calamity była rodzajem komety, która trafiła w sferę przyciągania Ziemi, choć nie wiem, czy z punktu widzenia nauki było to prawdopodobne. Być może Calamity była satelitą. To pasowałoby do teorii Cody'ego.

Cody nie był jedynym, który uważał, że cała ta sprawa była mocno tajemnicza. Zresztą istniało wiele tajemniczych kwestii dotyczących Epików.

— Oho, już widzę to spojrzenie — powiedział Cody, wskazując mnie.

— Jakie spojrzenie?

— Myślisz, że jestem szajbnięty.

— Nie. Oczywiście, że nie.

— Ależ tak. Cóż, w porządku. Wiem, co wiem, nawet jeśli Profesor przewraca oczami, gdy tylko zaczynam o tym mówić — uśmiechnął się Cody. — Ale to już inna historia. A co do pracy Profesora, to musiała być w jakiś sposób związana z bronią. Przecież to w końcu on wynalazł tensory.

— Tensory?

— Profesor nie życzyłby sobie, żebyście o tym rozmawiali — powiedziała Megan,

odwracając się przez ramię. — Chłopak nie został przez nikogo upoważniony, aby uzyskać taką wiedzę. — dodała, patrząc na mnie.

— Ja mu daję pozwolenie — odparł Cody nonszalancko. — I tak to zobaczy, panienko. I nie cytuj mi powiedzeń Profesora.

Megan zamilkła. Wyglądało na to, że na dłużej.

— Tensory? — zapytałem znowu.

— Tak, to jeden z wynalazków Profesora — odparł Cody. — Stało się to albo tuż przed porzuceniem przez niego laboratorium, albo tuż po. Ma na swoim koncie parę takich wynalazków, które są naszą główną bronią przeciwko Epikom. Na przykład nasze kurtki — są niezwykle wytrzymałe. No i tensory.

— Czym one dokładnie są?

— To rękawice — powiedział Cody. — To znaczy, urządzenia, które przybrały formę rękawic. Są w stanie wyprodukować wibracje, które mogą zniszczyć obiekty stałe. Najlepiej działają w przypadku twardych materiałów, takich jak kamień, metal albo drewno. Obracają je w proch, ale zwierzętom i ludziom nie czynią żadnej krzywdy.

— Żartujesz. — Przez wszystkie lata gromadzenia informacji nigdy nie słyszałem o technologii takiej jak ta.

— Nie — odparł Cody. — Tyle tylko że są trudne w użyciu. Najlepiej radzą sobie z tym Abraham i Tia. Ale widzisz, tensory pomagają nam się dostać tam, gdzie nikt się nas nie spodziewa ujrzeć.

— To niesamowite — powiedziałem oszołomiony.

O Mścicielach rzeczywiście mówiono, że potrafią znaleźć się tam, gdzie dostać się nie można. Krążyły pewne opowieści... Epicy zabici w swoich apartamentach, dobrze strzeżonych i teoretycznie bezpiecznych. Niemal magiczne uciezki Mścicieli...

Urządzenie, które potrafi przekształcić kamień i metal w proch... Można więc było przedostać się przez zamknięte drzwi, pomimo że były zabezpieczone. Można było uszkadzać samochody. Można nawet zmiatać budynki z powierzchni ziemi. Nagle niektóre najbardziej zdumiewające zagadki związane z Mścicielami zaczęły mieć dla mnie sens. Jak zastawili pułapkę na Daystorm, jak zdołali uciec wtedy, gdy Zew Wojny niemal ich dopadł.

Musieli mądrze rozgrywać swoje pojawianie się w jakichś miejscach i nie pozostawiać śladów, które by mogły ich wydać. A teraz wiedziałem, jak to było możliwe.

— Ale dlaczego... — zacząłem zaskoczony. — Dlaczego mówisz mi to wszystko?

— Tak jak już mówiłem, chłopie — wyjaśnił Cody. — Wkrótce sam zobaczysz to urządzenie w akcji. Równie dobrze mogę cię przygotować do tego już teraz. Poza tym wiesz już o nas tak dużo, że jedna rzecz więcej nie robi różnicy.

— Dobra — powiedziałem lekko, po czym dopiero po chwili uchwyciłem ponure nuty w tonie jego głosu. Cody czegoś nie dopowiedział: wiedziałem już tak wiele, że nie mogli pozwolić mi odejść wolno.

Profesor dał mi taką szansę. Nalegałem jednak, żeby mnie przyjęli. W chwili obecnej sytuacja prezentowała się tak, że albo przekonałem ich całkowicie, że nie stanowiłem zagrożenia, albo mnie wykluczą raz na zawsze. Będę martwy.

Z trudem przełknąłem ślinę. Miałem zupełnie sucho w ustach. *Sam o to prosileś* — powiedziałem do siebie. Wiedziałem przecież, że jeśli dołączę do Mścicieli — pod warunkiem, że mnie przyjmą — nigdy już nie opuszczę ich szeregów. A teraz siedziałem w tym po uszy, oto cała prawda.

— Więc... — starałem się nie koncentrować na fakcie, że ten człowiek — albo oni wszyscy — może zdecydować, że trzeba mnie zastrzelić w imię ogólnego dobra. — W jaki

sposób Profesor wynalazł te urządzenia? Tensory? Nigdy nie słyszałem o czymś takim.

— Epicy — zaczął Cody, a jego głos stał się na powrót przyjazny. — Technologia wzięła się dzięki analizowaniu zdolności pewnego Epika, który potrafił robić podobne rzeczy. Tia mówi, że miało to miejsce w czasach, gdy Epicy dopiero się pojawili. Niektórych porywano i przetrzymywano. Nie wszyscy z nich są tak potężni, by umieć bez trudu wydostać się z niewoli. Różne laboratoria przeprowadzały na nich testy, starając się odkryć, jak funkcjonują ich zdolności. Technologia obecnych urządzeń zaczęła powstawać właśnie w tamtym okresie.

O tym nie słyszałem, ale parę spraw zaczęło się układać w logiczną całość. W przeszłości nastąpił wielki rozwój technologii i stało się to mniej więcej w czasie, gdy pojawiła się Calamity. Broń energetyczna, nowoczesne źródła pozyskiwania energii i baterie, nowa mobilna technika — to właśnie dlatego nasze komórki działały w podziemiach i miały szeroki zasięg pomimo braku wież przekaźnikowych.

Oczywiście straciliśmy z tego wiele wraz z nastaniem władzy Epików. A to, czego nie straciliśmy, trafiło pod kontrolę Epików takich jak Stalowe Serce. Usiłowałem sobie wyobrazić, jak testowano pierwszych Epików. Czy to dlatego byli tacy źli? Czy mścili się za przeprowadzone na nich badania?

— Czy któryś z nich poddał się testom dobrowolnie? — zapytałem. — Ile laboratoriów je wykonywało?

— Nie wiem — odparł Cody. — Sądzę, że to nie jest ważne.

— Dlaczego miałoby nie być ważne?

Cody wzruszył ramionami, wciąż dźwigając karabin na swych barkach. Światło z jego komórki rozjaśniało stalowy korytarz, co sprawiało, że przypominał grobowiec. W katakumbach czuć było zapach kurzu i gazu.

— Tia zawsze mówi, że pojawienie się Epików ma podłoże naukowe — powiedział Cody. — Ale ja myślę, że to nie jest wytłumaczenie. Zbyt wiele faktów dotyczących Epików nie odpowiada temu, co powinno nastąpić według teorii naukowych. Czasem się zastanawiam, czy oni nie pojawili się właśnie dlatego, że myśleliśmy, iż możemy wszystko wyjaśnić.

Zauważyłem, że Megan prowadziła nas, używając swojego telefonu, na ekranie którego ukazała się mapa podziemi. To było dziwne. Mapa podziemi? Nie wiedziałem, że coś takiego w ogóle istnieje.

— Tutaj — powiedziała Megan, wskazując grubą wiązkę kabli, zwisających niczym kurtyna ze ściany. Taki widok był w podziemiach dość częsty, ponieważ Kopacze pozostawili wiele rzeczy niedokończonych.

Cody zabębnił w płytę znajdującą się obok kabli. Kilka chwil później w odpowiedzi rozległo się dalekie bębnienie.

— Wchodzisz, Klęczko — powiedział Cody, wskazując kable.

Wziąłem głęboki oddech i dałem krok do przodu, odpychając zwisające przewody na bok lufą mojego karabinu. W ścianie znajdował się niewielki tunel, stromo opadający w dół. Będę musiał pełznąć. Spojrzałem na Cody'ego.

— Jest bezpiecznie — zapewnił mnie.

Nie wiedziałem, czy pozwolono mi iść pierwszemu z powodu skrywanego braku zaufania, czy też dlatego, że Cody'emu podobała się perspektywa zobaczenia mnie kulącego się i próbującego pomieścić się w wąskim przejściu. Nie miałem jednak czasu, by zadawać pytania czy cofać się. Zacząłem pełznąć.

Tunel był tak mały, że jeśli mój karabin zsunąłby mi się na plecy, celownik mógłby się zarysować. Ująłem więc broń w prawą rękę i zacząłem wędrówkę na czworakach, co siłą rzeczy było niewygodne. Tunel biegł ku odległemu, delikatnemu światłu. Musiałem pełznąć dość długo

i zanim dotarłem do celu, rozboleły mnie kolana. Czyjaś silna ręka chwyciła mnie za lewe ramię, pomagając mi wydostać się z tunelu. Abraham. Czarnoskóry mężczyzna zdążył już przebrać się w spodnie moro i zielony podkoszulek bez rękawów, który odsłaniał jego muskularne ramiona. Nie zauważyłem tego wcześniej, ale na szyi nosił srebrny łańcuszek.

Pomieszczenie, do którego wszedłem, było nieoczekiwanie duże. Wystarczyło miejsca, by składować sprzęt grupy i rozstawić posłania, a przy tym nie miało się wrażenia ciasnoty. Znajdował się tu także wyrastający wprost z podłogi metalowy stół z siedzeniami oraz ławy, które umieszczono pod ścianą.

Nagle dotarło do mnie, że pomieszczenie to wycięto w metalu, prawdopodobnie za pomocą tensorów. Z metalu wycięto też znajdujące się tu meble.

To robiło wrażenie. Gapiłem się na wszystko ze zdumieniem i to Abraham pomógł Megan wydostać się z tunelu. Pomieszczenie miało dwie pary drzwi, które prowadziły do innych, sprawiających wrażenie mniejszych, sal. Oświetlały je latarnie, a na ziemi leżały przewody biegnące w kierunku kolejnego małego tunelu.

— Macie elektryczność — powiedziałem. — Jak wam się to udało?

— Dotarliśmy do starej linii metra — rzekł Cody, gramoląc się z tunelu. — Jedna z nich była w połowie ukończona, a potem o niej zapomniano. Specyfika tego miejsca polega na tym, że nawet Stalowe Serce nie zna wszystkich jego zakamarków i dziur.

— Jeszcze jeden dowód na to, że Kopacze byli szaleńcami — odezwał się Abraham. — Zakładali przewody w przedziwny sposób. Znaleźliśmy zaplombowane pomieszczenia, na zewnątrz których przez lata paliły się światła. *Repaire des fantômes*.

— Megan mówi — powiedział Profesor, wyłaniając się z jednego z sąsiednich pomieszczeń — że odzyskałeś swoje zapiski, używając... niekonwencjonalnych metod. — Ten starszy, ale wciąż krzepki mężczyzna nadal miał na sobie czarny, laboratoryjny fartuch.

— Calamity, co prawda, to prawda — powiedział Cody, zdejmując karabin z ramion. Profesor parsknął.

— Cóż, zobaczymy, co odzyskałeś, zanim zdecyduję się, czy wrzeszczeć na ciebie, czy nie. — Sięgnął po plecak, który trzymała Megan.

— Właściwie — zacząłem — mógłbym...

— Ty, synu, posiedzisz — powiedział Profesor — podczas gdy ja popatrzę na twoje zapiski. To wszystko. Potem porozmawiamy.

Jego głos był zimny, ale ja zrozumiałem, co miał na myśli. Zasepiony, usiadłem przy metalowym stole, podczas gdy reszta zgromadziła się wokół plecaka i zaczęła przedzierać się przez całe moje życie.

— Wow — rzucił Cody. — Prawdę powiedziawszy, chłopie, myślałem, że przesadzałeś. Ale ty jesteś naprawdę nawiedzony, co?

Zaczerwieniłem się, wciąż okupując stół. Mściciele otworzyli teczki i wyjęli całą ich zawartość, następnie przerzucili się na zeszyty, którymi się wymieniali i które studiowali. Cody stracił wreszcie zainteresowanie i przysiadł się do mnie, usadowiwszy się tyłem do stołu, o który oparł się łokciami.

— Miałem zadanie do wykonania — odparłem. — Zdecydowałem się je wykonać jak najlepiej.

— To jest imponujące — powiedziała Tia. Siedziała na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Przebrała się w dzinsy, ale wciąż miała na sobie bluzkę i sweter, a rude włosy były nadal perfekcyjnie ułożone. Tia trzymała w ręku jeden z moich zeszytów. — Te informacje są uporządkowane niezbyt wprawnie — ciągnęła — i nie zastosowałeś standardowej klasyfikacji. Ale wiadomości są gruntowne.

— Są jakieś standardowe klasyfikacje? — zapytałem.

— Istnieje kilka różnych systemów — odparła. — Wygląda na to, że używałeś kilku terminów jednakowych dla rozmaitych klasyfikacji, jak na przykład „potężny Epik”. Osobiście wolę klasyfikację warstwową. W niektórych miejscach twoje nazewnictwo jest interesujące. Podoba mi się twoja własna terminologia, na przykład „niezwycięzalność pierwszego stopnia”.

— Dzięki — odrzekłem, choć czułem się nieco zawstydzony. Oczywiście, że istniały fachowe systemy grupowania Epików. Ale ja nie miałem się ich gdzie nauczyć, nie posiadałem także dostępu do źródeł, musiałem więc wymyślić własne terminy.

Zdumiewające, jak było to proste. Pośród Epików byli outsiderzy, których zdolności nie można było zakwalifikować do żadnej z kategorii — ale nieoczekiwanie wielu wykazywało zdolności bardzo do siebie zbliżone. Istnieli Epicy o zdecydowanie oryginalnych mocach — takich jak na przykład migotanie iluzji, które wywoływała Lśniąca. Jednakże główne zdolności Epików były często bardzo podobne.

— Wytłumacz mi to — powiedziała Tia, biorąc do ręki inny zeszyt.

Z wahaniem ześlizgnąłem się z mojego stołka i usiadłem obok niej na podłodze. Tia wskazała symbol, który umieściłem na dole pierwszej strony, dotyczącej Epika o imieniu Strongtower.

— To znak związany ze Stalowym Sercem — oznajmiłem. — Strongtower wykazuje zdolności podobne do tych, które ma Stalowe Serce. Obserwowałem takich Epików wyjątkowo dokładnie. Jeśli udałoby się ich zabić albo przynajmniej wykazać, że ich moc ma swoje granice, chcę o tym wiedzieć.

Tia skinęła głową.

— Dlaczego nie umieściłeś mentalnych iluzjonistów w jednej grupie z operującymi fotonami?

— Przyjąłem zasadę klasyfikowania na podstawie ograniczeń zakresu zdolności — odparłem, biorąc do ręki indeks i pokazując Tii jedną ze stron.

Epików o zdolnościach do wywoływania iluzji podzieliłem na dwie grupy. Niektórzy potrafili wywołać zmiany w naturze światła, tworząc iluzje za pomocą samych fotonów. Inni kreowali iluzje, wpływając na ludzkie mózgi. Tak naprawdę potrafili więc stworzyć halucynacje, a nie iluzje.

— Widzisz — wskazałem. — Mentalni iluzjoniści mają ograniczenia podobne do ograniczeń innych mentalistów, na przykład tych o zdolnościach hipnotycznych albo tych, którzy kontrolują umysły. Iluzjoniści zmieniający światło działają w inny sposób. Są o wiele bardziej zbliżeni do Epików sterujących prądem.

Cody gwizdnął cicho. Wydobył skądś menażkę i trzymał ją w jednej ręce, wciąż opierając się o stół.

— Chłopie, musimy pogadać, ile masz wolnego czasu i jak możemy go lepiej spożytkować.

— Lepiej, niż zbierając informacje o Epikach? — Tia uniosła brew.

— Pewnie — odparł Cody, upijając łyk z menażki. — Pomyśl, co mógłby osiągnąć, gdybym namówił go do działania we wszystkich pubach!

— Przestań — powiedziała Tia sucho, przewracając kartkę w moim zeszytcie.

— Abraham — rzekł Cody. — Zapytaj mnie, co jest magicznego w tym, że młody chłopak spędza tak wiele czasu nad takimi zeszytami.

— A co jest tragicznego w tym, że młody chłopak zajmuje się gromadzeniem informacji o Epikach? — spytał Abraham, wciąż zajęty czyszczeniem swojego karabinu.

— To bardzo wnikliwe pytanie. Dziękuję, że mi je zadałeś.

— Bardzo proszę.

— A tak w ogóle — ciągnął Cody — dlaczego tak bardzo chcesz zabić tych Epików?

— Z zemsty — odrzekłem. — Stalowe Serce zabił mojego ojca. Mam zamiar...

— Tak, tak — przerwał mi Cody. — Chcesz znowu widzieć, jak będzie krwawił itepe. Jesteś oddany rodzinie. Ale powiem ci, że to nie wystarczy. Twoją namiętnością stała się myśl o zabijaniu, a powinieneś znaleźć pasję do życia. Oto, co myślę.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Dowiadywanie się wszystkiego o Epikach i Stalowym Sercu, tak by móc go zabić, stało się namiętnością mojego życia. Jeśli było gdzieś miejsce, do którego pasowałem, to czyż nie było ono pośród Mścicieli? Unicestwienie Epików było celem ich życia, podobnie jak moim.

— Cody — powiedział Profesor — dlaczego nie pójdziesz skończyć swojej roboty w trzeciej sali?

— Już idę — odparł Cody, zakrywając menażkę pokrywką, po czym wyszedł z pomieszczenia, w którym się znajdowaliśmy.

— Nie przejmuj się zbytnio tym, co on mówi — rzekł Profesor, odkładając jeden z moich zeszytów na całą ich stertę. — Nam mówi to samo. Obawia się, że tak bardzo skoncentrujemy się na zabijaniu Epików, że nie będziemy już umieli żyć własnym życiem.

— Możliwe, że ma rację — odrzekłem. — Ja... Właściwie nie miałem życia poza zbieraniem tego wszystkiego.

— Zajęcie, którym się paramy — powiedział Profesor — nie jest związane z życiem. My zabijamy. Pozostawiamy innym ludziom możliwość prowadzenia normalnej egzystencji, cieszenia się nią, zachwycania się wschodami słońca i padającym śniegiem. Nasze zadanie to prowadzić ludzi właśnie w tym kierunku.

Znałem świat przed nadejściem Epików. To w końcu było zaledwie dziesięć lat temu. Bardzo trudno jest pamiętać świat, w którym świeciło słońce, jeśli każdego dnia widzisz tylko ciemność. Przypominanie go sobie... było niczym przywoływanie szczegółów twarzy mego ojca. Stopniowo zaczynasz je zapominać.

— Jonathan — rzekł Abraham do Profesora, z powrotem nasuwając lufę na automat — czy rozważyłeś już to, co powiedział chłopiec?

— Nie jestem już chłopcem — powiedziałem.

Wszyscy spojrzeli na mnie. Nawet stojąca przy drzwiach Megan.

— Chciałem to tylko zaznaczyć — dodałem, czując się niezręcznie. — To znaczy, mam na myśli to, że mam już osiemnaście lat. Osiągnąłem pełnoletniość. Nie jestem dzieckiem.

Profesor spojrział na mnie. Nieoczekiwanie skinął głową.

— Wiek nie ma tu nic do rzeczy, a ty pomogłeś zabić dwóch Epików, co jak dla mnie zupełnie wystarczy. Jak sądzę, powinno wystarczyć każdemu z nas.

— Dobrze więc — rzekł cicho Abraham. — Ale, Profesorze, rozmawialiśmy już o tym wcześniej. Czy zabijając Epika takiego jak Fortuity, cokolwiek osiągamy?

— Stawiamy opór — odezwała się Megan. — Jesteśmy jedynymi, którzy to robią. To ważne.

— Jednakże — zaczął Abraham, znowu majstrując przy swojej broni — boimy się walczyć z najpotężniejszymi Epikami. W ten sposób dominacja tyranów trwa. Dopóki nie upadną, inni nie będą się naprawdę nas lękali. Będą się bali Stalowego Serca, Znikającego, Nocnego Smutku. Jeśli nie staniemy oko w oko z potworami takimi jak oni, jaką można mieć nadzieję, że inni kiedyś zechcą się z nimi zmierzyć?

W stalowym pomieszczeniu zapadła cisza, a ja wstrzymałem oddech. Powiedziałem prawie dokładnie to samo wcześniej, ale słowa, wypowiedziane przez Abrahama cicho i z lekko wyczuwalnym akcentem, zdawały się mieć większą moc.

Profesor obrócił się w kierunku Tii.

Trzymała w ręku fotografię.

— To rzeczywiście jest Władca Ciemności? — zapytała. — Jesteś pewien?

Zdjęcie to było perłą moich zbiorów. Przedstawiało Władcę Ciemności stojącego u boku Stalowego Serca w dniu Aneksji, tuż przed tym, nim w mieście zapanował mrok. O ile wiedziałem, zdjęcie było czymś w rodzaju unikat. Kupiłem je od pewnego ulicznika, którego ojciec zrobił tę fotkę starym, polaroidowym aparatem.

Władca Ciemności był na ogół przezroczysty i bezcielesny. Potrafił przenikać przez stałe obiekty i kontrolować ciemności. W mieście pojawiał się często, ale zawsze w swej bezcielesnej postaci. Na zdjęciu jednakże przyjął ludzką formę. Ubrany był w modną czarną koszulę i kapelusz. Miał azjatyckie rysy twarzy i ciemne, długie do ramion włosy. Miałem inne fotki przedstawiające go w niematerialnym kształcie. Twarz była ta sama.

— To z pewnością on.

— Czy zdjęcie nie zostało sfalszowane? — zapytała Tia.

— Ja... — Tego nie potrafiłem udowodnić. — Nie mogę zapewnić, że tak nie było, ale jest to mało prawdopodobne, bo zdjęcie zrobiono polaroidem. Tia, Władca Ciemności staje się niematerialny tylko raz na jakiś czas. Ta fotografia jest najlepszą wskazówką, ale są też inne tropy. Na przykład ludzie, którzy czuli zapach fosforu i jednocześnie widzieli w pobliżu kogoś, kto odpowiadał opisowi Władcy Ciemności. — Fosfor był jedną z oznak, że Władca Ciemności używa swych zdolności. — Znalazłem tuzin dowodów na potwierdzenie tej tezy. Zmianę powoduje światło słoneczne. Podejrzewam, że chodzi zwłaszcza o ultrafiolet. Jeśli Władca Ciemności znajdzie się w jego zasięgu, zaczyna się stawać widzialny.

Tia przyglądała się zdjęciu. Potem zaczęła szybko przebiegać wzrokiem moje notatki dotyczące Epika.

— Myślę, że musimy to głębiej zbadać, Jon — powiedziała. — Jeśli pojawi się szansa, być może uda nam się dotrzeć do Stalowego Serca.

— Uda się — rzekłem. — Mam plan. Zadziała.

— To głupota — odezwała się Megan. Stała przy drzwiach, założywszy ręce na piersiach. — Cholerna głupota. Nie znamy nawet jego słabej strony.



— Nad tym możemy popracować — odparłem zarzut. — Jestem tego pewien. Mamy wskazówki, których potrzebujemy.

— Nawet jeśli rozpracujemy ten problem — upierała się Megan — na nic to się nie przyda. Przeszkody w dotarciu do Stalowego Serca są nie do pokonania!

Rzuciłem jej ciężkie spojrzenie, starając się powstrzymać gniew. Odniosłem wrażenie, że spierała się ze mną nie dlatego, że się ze mną nie zgadzała, ale dlatego, że z jakiegoś powodu uważała mnie za kogoś, kto ją obraża.

— Ja... — zacząłem, ale Profesor mi przerwał.

— Wszyscy za mną — powiedział, wstając.

Zmierzyliśmy się z Megan wzrokiem, a potem wszyscy podążyliśmy za Profesorem, który skierował się do mniejszego pomieszczenia, znajdującego się po prawej stronie większej sali. Nawet Cody dołączył do nas, wynurzając się z trzeciego pokoju. Oczywiście wszystko słyszał. Na prawej dłoni miał rękawicę, która świeciła jasnym, zielonym światłem.

— Czy imager jest gotowy? — zapytał Profesor.

— Prawie — odrzekł Abraham. — Od razu zacząłem go przygotowywać. — Przykleknął przy stojącym na podłodze urządzeniu, które było podłączone do ściany kilkunastoma przewodami. Włączył je.

Nagle wszystkie metalowe powierzchnie w pomieszczeniu zrobiły się czarne. Aż podskoczyłem. Czułem się tak, jakbym płynął w ciemnościach.

Profesor uniósł rękę i zastukał w jedną ze ścian. Na wszystkich ścianach pojawił się wizerunek miasta. Ukazał się naszym oczom w taki sposób, jakbyśmy stali na szczycie sześciopiętrowego budynku. W ciemnościach lśniły światła stalowych budynków Newcago. Starsze budowle były już rzadsze, nowe, o wiele bardziej nowoczesne, ciągnęły się aż do miejsca, które niegdyś było jeziorem. Zbudowano je z materiałów, które celowo przekształcono w stal. Słyszałem, że dzięki temu można było dokonywać jakichś ciekawych architektonicznych zmian.

— Oto jedno z najbardziej nowoczesnych miast na świecie — powiedział Profesor. — Rządzone przez niezaprzeczalnie najpotężniejszego Epika Ameryki Północnej. Jeśli przeciwko niemu wystąpimy, stawka będzie dramatycznie wysoka, a my zapłacimy najwyższą cenę. Klęska będzie oznaczała całkowity upadek Mścicieli. Być może nastąpi katastrofa, która sprawi, że zgaśnie ostatnie ognisko oporu, które pozostało ludzkości.

— Pozwólcie mi przedstawić mój plan — rzekłem. — Myślę, że to was przekona. — Nagle doznałem olśnienia. Profesor chciał pokonać Stalowe Serce. Jeśli będę miał szansę przedstawić moje zamysły, stanie po mojej stronie.

Profesor zwrócił się ku mnie.

— Chcesz, żebyśmy to zrobili? Doskonale, dam ci szansę. Ale nie chcę, żebyś mnie przekonywał. — Wskazał Megan, która stała przy drzwiach, wciąż krzyżując ręce na piersiach. — Przekonaj ją.

*Wspaniale* — pomyślałem. Spojrzenie Megan mogło wywiercić dziury w... cóż, we wszystkim, jak podejrzewałem. To znaczy, wiedziałem, oczywiście, że oczy nie mogą wywiercić dziur w rzeczach, więc metafora była nietrafna, nieprawdaż?

Niech Megan wierci spojrzeniem dziury w maśle. *Przekonać ją?* — pomyślałem. *Niemożliwe.*

Nie mogłem jednak zrezygnować, nawet nie spróbowałem. Podeszedłem do ściany, na której widniał zarys Newcago.

— Czy imager może nam pokazać także coś innego?

— Wszystko, co podstawowa sieć szpiegowska może pokazać czy usłyszeć — wyjaśnił Abraham, wstając znad urządzenia kreującego obrazy.

— Sieć szpiegowska? — zdziwiłem się, czując się dziwnie niekomfortowo. Postąpiłem do przodu. To urządzenie było warte uwagi; sprawiło, że miałem uczucie, iż stoję na szczycie budynku nad miastem, a nie w zamkniętym, niewielkim pokoju. Iluzja nie była jednak doskonała. Jeśli rozejrzałbym się wokół dokładniej, dostrzegłbym kąty pomieszczenia, w którym się znajdowaliśmy, a obrazy w 3D nie pokazywały dokładnie wszystkich szczegółów.

Jednakże, dopóki nie przyglądałem się zbyt uważnie i — o ile nie przywiązywałem wagi do braku powiewu wiatru i zapachów miasta — mogłem z łatwością wyobrazić sobie, że znajduję się poza podziemiami. Czy obraz miasta powstał dzięki użyciu sieci szpiegowskiej? Stalowe Serce miał własny system inwigilacji, dzięki któremu jego siły zbrojne kontrolowały poczynania ludzi w Newcago.

— Wiem, że Stalowe Serce nas obserwuje — odrzekłem. — Ale nie zdawałem sobie sprawy, że ta obserwacja jest tak... szczegółowa.

— Na szczęście — odezwała się Tia — znaleźliśmy sposób, by wpływać na to, co sieć rejestruje. Więc nie należy się obawiać, że Stalowe Serce nas widzi.

Wciąż czułem się nieswojo, ale nie było sensu myśleć o tym w tej chwili. Podeszedłem do krawędzi dachu i spojrzałem na ulicę w dole. Przejechało nią kilka samochodów, imager zaś odtworzył dźwięk silnika. Położyłem rękę na ścianie pomieszczenia — pozornie wydawało się, że dotykam czegoś niewidzialnego w powietrzu. To mnie mocno zdezorientowało.

W przeciwieństwie do tensorów słyszałem o czymś takim jak imager — ludzie płacili sporą kasę, by obejrzeć filmy zrealizowane za pomocą tego urządzenia. Rozmowa z Codym nasunęła mi pewną myśl. Czyżby pomysł konstrukcji imagera zrodził się dzięki obserwacji zdolności Epików obdarzonych mocą tworzenia iluzji?

— Ja... — zacząłem.

— Nie — powiedziała Megan. — Jeśli on ma mnie przekonywać, to ja poprowadzę rozmowę. — Podeszła do mnie.

— Ale...

— Zaczynaj, Megan — polecił Profesor.

Sarknąłem i wycofałem się w miejsce, w którym nie czułem już, że stoję na krawędzi wieżowca.

— Sprawa jest prosta — powiedziała Megan. — Jest jeden olbrzymi problem, uniemożliwiający stanięcie ze Stalowym Sercem oko w oko.

— Jeden? — zapytał Cody, opierając się o ścianę. Wyglądało to tak, jakby opierał się o otwartą przestrzeń. — Podsumujmy: Stalowe Serce jest niesamowicie silny, potrafi razić

śmiertelną energią emitowaną z rąk, może przekształcać otaczające go rzeczy martwe w metal, potrafi kontrolować wiatr i perfekcyjnie latać... a także jest całkowicie odporny na kule, broń, ogień, promieniowanie, urazy tępymi narzędziami, duszenie i eksplozje. To są... jeszcze trzy rzeczy, panienko. — Cody uniósł do góry rękę z rozpostartymi czterema palcami.

Megan przewróciła oczami.

— Wszystko to prawda — rzekła, po czym zwróciła się w moją stronę. — Ale żadna z tych rzeczy nie stanowi głównego problemu.

— Głównym problemem jest dotarcie do Stalowego Serca — oświadczył cicho Profesor. Rozłożył składane krzesło, podobnie jak Tia, i teraz oboje siedzieli w centrum wymyślanego dachu wieżowca. — Stalowe Serce ma paranoję. Właściwie nikt nie wie, gdzie on się znajduje.

— Właśnie — powiedziała Megan, podnosząc ręce i używając kciuków, by obsługiwać imager. Śmignęliśmy przez miasto, a budynki pod nami stały się zamazaną plamą.

Zachwiałem się, czując, że żołądek podchodzi mi do gardła. Chciałem oprzeć się o jakąś ścianę, ale nie byłem pewien, gdzie ona się znajduje. Nim ją znalazłem, potoczyłem się na bok. Nagle zatrzymaliśmy się, wisząc w otwartej przestrzeni i mając przed sobą obraz pałacu Stalowego Serca.

Była to mroczna forteca, wykonana z anodyzowanej stali, wyrastająca na skraju miasta. Została wybudowana w miejscu, gdzie kiedyś znajdowało się jezioro, później zamienione w stal. Siedziba Stalowego Serca była bardzo rozległa. Z daleka rysowała się ciemną, długą, metalową linią wież, dźwigarów i przejść. Forteca stanowiła połączenie starej, wiktoriańskiej siedziby, średniowiecznego zamku i szybu wiertniczego. Z rozmaitych zakamarków sączyło się jaskrawe czerwone światło, a z kominów wydobywał się czarny dym.

— Mówi się, że Stalowe Serce celowo zbudował swoją siedzibę w taki sposób, by wzbudzić dezorientację — powiedziała Megan. — Są tam setki pokoi, a Stalowe Serce każdej nocy śpi w innym. To samo dotyczy posiłków. Każdy posiłek je w innym pomieszczeniu. Prawdopodobnie nawet służba nie wie, gdzie Stalowe Serce będzie się znajdował. — Zwróciła się do mnie z nieprzyjaznym wyrazem twarzy. — Nigdy go nie znajdziesz. To jest główny problem.

Zachwiałem się, wciąż czując się tak, jakbym stał na otwartej przestrzeni, choć reszta nie wydawała się mieć takich kłopotów.

— Czy moglibyśmy... — zwróciłem się do Abrahama głosem człowieka, któremu zbiera się na mdłości.

Zachichotał, wykonał parę ruchów i nagle znaleźliśmy się na szczycie pobliskiego budynku. Znajdował się tam komin, a kiedy „wylądowaliśmy”, komin spłaszczył się, stając się dwuwymiarowy. Nie był to hologram — o ile wiedziałem, nikomu nie udało się osiągnąć takiego poziomu iluzji za pomocą techniki. Użyto natomiast sześciu bardzo zaawansowanych technologicznie ekranów i obrazów 3D.

— W porządku — powiedziałem, czując się stabilniej. — A wracając do sprawy: to byłby problem, gdyby...

— To znaczy? — zapytał Profesor.

— Gdyby nie to, że nie musimy szukać Stalowego Serca — wyjaśniłem. — To on przyjdzie do nas.

— On rzadko pokazuje się publicznie — powiedziała Megan. — A jeśli już, nikt nie jest w stanie przewidzieć, kiedy to nastąpi. Jak masz zamiar...

— Faultline — odparłem. — Kobieta Epik, która sprawiła, że ziemia pochłonęła bank w dniu, w którym zginął mój ojciec, i która później rzuciła wyzwanie Stalowemu Sercu.

— Punkt dla Davida — powiedział Abraham. — Stalowe Serce rzeczywiście opuścił

miejsce swego pobytu, by walczyć z nią, kiedy próbowała przejąć władzę nad Newcago.

— A także wtedy, gdy do miasta przybył Ides Hatred i rzucił Stalowemu Sercu wyzwanie — dodałem. — W takich wypadkach Stalowe Serce sam stawia czoła konkurentom.

— O ile sobie przypominam — rzekł Profesor — podczas tej potyczki zniszczyli cały kwartał ulic.

— Całkiem fajnie się bawili — zauważył Cody.

— Tak — przytaknąłem. Miałem zdjęcia przedstawiające tę walkę.

— Tak więc mówisz, że musimy przekonać potężnego Epika, by przybył do Newcago, a potem mamy rzucić mu wyzwanie — powiedziała Megan matowym głosem. — I oczywiście będziemy wiedzieli, gdzie się zjawi. Proste jak drut.

— Nie, nie — odrzekłem, stając twarzą w kierunku Mścicieli, za plecami zaś mając mroczny, migocący światłami pałac Stalowego Serca. — To tylko pierwsza część planu. Sprawimy, że Stalowe Serce będzie myślał, iż do miasta przybywa inny potężny Epik, by go obalić.

— Jak to zrobimy? — zapytał Cody

— Właściwie już zaczęliśmy — wytłumaczyłem. — W świat poszła wiadomość, że Fortuity został zabity przez agentów nowego Epika. Zaczniemy zabijać kolejnych Epików, tak by myślano, że to robota tego samego rywala Stalowego Serca. Potem postawimy Stalowemu Sercu ultimatum: jeśli nie chce zguby swoich popleczników, będzie musiał stawić się do walki. A on przybędzie. Musimy w to wierzyć. Powiedział pan, Profesorze, że Stalowe Serce jest ogarnięty paranoją. Ma pan rację. Tak jest. Stalowe Serce nie potrafi znieść, że ktoś mu się przeciwstawia. Zawsze sam rozprawia się z rywalizującymi z nim Epikami, tak jak to było w przypadku Siewcy Śmierci wiele lat temu. Jeśli jest jakaś rzecz, w której Mściciele są dobrzy to jest to zabijanie Epików. Jeśli zabijemy większą ich liczbę w krótkim czasie, będzie to stanowić zagrożenie dla Stalowego Serca. Jeśli uda nam się go sprowokować, sami będziemy mogli wybrać pole walki. Sprawimy, że Stalowe Serce do nas przyjdzie i wpadnie w pułapkę.

— Nie zadziała — oceniła Megan. — Po prostu wyśle Pożara lub Władcę Ciemności.

Pożar i Władca Ciemności, dwaj niezwykle potężni Epicy, którzy ochraniali Stalowe Serce, będąc jednocześnie jego najbliższymi doradcami. Byli prawie tak samo niebezpieczni jak on.

— Pokażę wam, jaką słabą stroną ma Władca Ciemności — odrzekłem. — To światło słoneczne, a konkretnie promieniowanie ultrafioletowe. Władca Ciemności nie zdaje sobie sprawy, że ktokolwiek o tym wie. Możemy użyć tej wiedzy, żeby go schwytać w pułapkę.

— Nie udowodniłeś niczego — zauważyła Megan. — Powiedziałeś jedynie, że Władca Ciemności ma jakąś słabość. Ale ma ją każdy Epik. Nie wiesz na pewno, że to światło słoneczne.

— Przejrzałam jego zapiski — odezwała się Tia. — Naprawdę... naprawdę wygląda na to, że David ma coś interesującego.

Megan zacisnęła szczękę. Jeśli przedstawiłbym jeszcze inne przekonujące argumenty, i tak poniósłbym porażkę. Nie wydawało się, żeby Megan miała przyznać mi kiedykolwiek rację.

Ale ja wiedziałem, że nie potrzebuję jej poparcia, niezależnie od tego, co powiedział Profesor. Widziałem, jak patrzą na niego pozostali Mściciele. Jeśli Profesor stwierdzi, że mój pomysł jest dobry, reszta podąży za nim. Miałem nadzieję, że moje argumenty przekonają go, choć powiedział, że muszę przekonać Megan.

— Pożar — rzekła Megan. — Co z nim?

— To proste — odparłem, czując, jak wzrasta moja pewność siebie. — Pożar nie jest taki, jaki się wydaje.

— Co masz na myśli?

— Żeby to wytłumaczyć, potrzebuję swoich notatek. Ale spośród trojga najpotężniejszych Epików jego najłatwiej będzie wyeliminować. To wam mogę obiecać.

Megan zrobiła taką minę, jakby obrażało i rozzłościło ją to, że nie chce jej tłumaczyć swoich zamiarów bez podparcia się notatkami.

— Niech będzie — powiedziała, potem wykonała gest, który sprawił, że pomieszczenie się obróciło. Zachwiałem się, choć obrót nie był wykonany z impetem. Megan zerknęła na mnie i dostrzegłem uśmiezek na jej ustach. Cóż, przynajmniej jedna rzecz przebiła się przez okazywany przez nią chłód: zadowolenie, że o mało nie zwróciłem ostatniego posiłku.

Kiedy pokój przestał się obracać, to, co mogliśmy zobaczyć, znajdowało się teraz pod pewnym kątem nad naszymi głowami. Każda część mego ciała podpowiadała mi, że powinienem szukać schronienia pod ścianą, ale wiedziałem, że tak naprawdę podziałała na mnie perspektywa.

Dokładnie nad nami przelatywały nisko trzy helikoptery. Były lśniące i czarne. Każdy z nich miał dwa wirniki. Po bokach maszyn widniał emblemat sił zbrojnych Stalowego Serca: miecz i tarcza.

— Nie będziemy nawet musieli angażować w sprawę Władcy Ciemności i Pożara — stwierdziła Megan. — Bo najpierw natkniemy się na armię.

— Ona ma rację — powiedział Abraham. — Stalowe Serce jest zawsze otoczony swoimi oddziałami.

— Tak więc one pójdą na pierwszy ogień — odparłem. — Rywalizujący ze Stalowym Sercem Epik zrobiłby najpewniej jedną rzecz. Wyeliminowałby armię, ściągając ją do miasta. To by pomogło przekonać Stalowe Serce, że naprawdę pojawił się konkurent. Mścicielom nigdy nie udało się przejąć kontroli nad armią.

— Nie zrobilibyśmy tego — odezwała się Megan. — Przecież to byłby kompletny idiotyzm!

— To wydaje się nieco przekraczać nasze możliwości, synu — rzekł Profesor, choć mogłem się założyć, że już połknął bakcyła. Słuchał z wyraźnym zainteresowaniem. Pomysł wywabienia Stalowego Serca z jego fortecy spodobał mu się. Mściciele robili takie właśnie rzeczy, igrając z arogancją Epików.

Uniosłem ręce w górę, naśladowując gesty wykonywane przez resztę, tak by pokazać im, że chcę, byśmy się obrócili w stronę kwatery wojsk Stalowego Serca. Pomieszczenie zadrżało, przechylając się na boki, po czym pomknęliśmy przez miasto, by w końcu uderzyć w jakiś budynek. Tutaj się zatrzymaliśmy, nie mogąc wnikać do wnętrza, ponieważ sieć szpiegowska tam już nie sięgała. Cały pokój drżał, jak gdyby desperacko próbując dostosować się do mego życzenia, lecz nie było pewności, dokąd tak naprawdę zmierzamy.

Potoczyłem się na ścianę, po czym plasnąłem o ziemię, czując zawroty głowy.

— Uch...

— To tutaj chciałeś dotrzeć? — zapytał Cody ubawiony.

— Tak. Dzięki. Kwatera armii, poproszę.

Cody wykonał kilka ruchów. Pomieszczenie przesunęło się w górę, ustabilizowało się na pewnym poziomie, obróciło się i pomknęliśmy przez miasto, po czym zawisliśmy nad czarnym, ogromnym budynkiem. Wyglądał niczym więzienie, choć nie było w nim kryminalistów. No, może jedynie był tam pewien rodzaj przestępców, zaaprobowanych przez państwo.

Zebrałem się w sobie, nie chcąc wyglądać jak ofierma w oczach reszty, choć nie miałem pewności, czy to teraz możliwe.

— Istnieje jeden prosty sposób zneutralizowania armii — oznajmiłem. — Wywabimy Confluxa.

Chyba po raz pierwszy mój pomysł nie wzbudził protestu wśród obecnych. Nawet Megan

wyglądała na zainteresowaną. Stała nieopodal mnie, z rękami założonymi na piersiach. *Chciałbym znowu widzieć ją uśmiechniętą* — pomyślałem, po czym zmusiłem się, by przestać fantazjować o takich rzeczach. Muszę się skoncentrować. Nie wolno mi pozwolić, by ziemia usunęła mi się spod stóp. Przynajmniej w przenośni.

— Wy już też rozważaliście ten krok — zaryzykowałem twierdzenie, rozglądając się po pokoju. — Dostaliście Fortuity;ego, ale mieliście zamiar zaatakować Confluxa.

— To byłoby potężne uderzenie — stwierdził cicho Abraham. Stał oparty o ścianę obok Cody ego.

— Abraham to zaproponował — rzekł Profesor. — Właściwie walczył o to. Używał argumentów podobnych do twoich. Że nie robimy wystarczająco dużo, że nie eliminujemy najpotężniejszych Epików.

— Conflux jest nie tylko dowódcą sił zbrojnych — powiedziałem podekscytowany. — On jest obdarowującym.

— Kim? — zdumiał się Cody.

— To slang — wyjaśniła Tia. — Używamy go, mówiąc o Epikach posiadających zdolność przekazywania.

— Tak — potwierdziłem.

— Fajnie — powiedział Cody. — Ale co naprawdę potrafi taki Epik?

— Czy ty nigdy nie zwracasz uwagi na to, co się mówi? — zapytała Tia. — Już o tym rozmawialiśmy.

— Czyścił swoją broń — odezwał się Abraham.

— A tak w ogóle to jestem artystą — stwierdził Cody.

— Jest artystą — potwierdził Abraham.

— A czystość jest podobna do śmiertelności — oświadczył Cody.

— Przestańcie, proszę — powiedziała Tia i zwróciła się w moją stronę.

— Obdarowujący — rzekłem — to Epik, który ma moc przekazywania swoich zdolności innym. Conflux może przekazywać dwa rodzaje zdolności, obie niezwykle potężne. Może potężniejsze nawet od tych, które ma Stalowe Serce.

— Dlaczego więc to nie Conflux rządzi? — zapytał Cody.

— Może dlatego, że jest zbyt słaby — wzruszyłem ramionami. — Ponoć jego zdolności nie mają związku z niemoralnością. Dlatego pozostaje w ukryciu. Nikt nawet nie wie, jak on wygląda. Trwa przy boku Stalowego Serca przez ponad pół dekady, dowodząc armią. — Popatrzyłem na kwaterę armii. — Conflux potrafi wyemitować ze swojego ciała nieprawdopodobną moc. Przekazuje ją dowódcom wojska; dzięki temu mogą używać mechanicznego umundurowania i broni energetycznej. Nieobecny Conflux to brak opancerzenia i broni.

— To oznacza także coś więcej — odezwał się Profesor. — Eliminacja Confluxa może sprawić, że całe miasto zostanie pozbawione energii.

— Co takiego? — zapytałem.

— Newcago zużywa więcej energii, niż może jej wyprodukować — wyjaśniła Tia. — Wszystkie te wciąż palące się światła... To olbrzymie obciążenie, niemożliwe do osiągnięcia nawet w czasach, gdy jeszcze nie było Calamity. Cząstkowe Stany nie mają dostatecznej infrastruktury, która zapewniłaby Stalowemu Sercu wystarczającą ilość energii, by mógł zarządzać miastem. Robi to więc sam.

— Posługuje się Confluxem, by zwiększyć zapasy energii — powiedział Profesor. — Znalazł sposób.

— To czyni Confluxa doskonałym celem! — zauważyłem.

— Mówiliśmy już o tym parę miesięcy temu — rzekł Profesor, pochylając się do przodu i splatając palce rąk. — Zdecydowaliśmy jednak, że jest zbyt niebezpieczny, by go zaatakować. Nawet gdyby nam się powiodło, zwrócilibyśmy na siebie zbyt dużą uwagę i sam Stalowe Serce zaczęłyby nas ścigać.

— I to jest to, czego chcemy — powiedziałem.

Reszta nie wydawała się o tym przekonana. Jeśli zrobią ten krok, wystąpią przeciwko imperium Stalowego Serca i w ten sposób się odsłonią. Nie będzie więcej ukrywania się w miejskich podziemiach, atakowania starannie wybranych Epików. Nie będzie więcej mowy o cichym buncie. Zabicie Confluxa będzie oznaczało brak odwrotu. Albo Stalowe Serce zginie, albo Mściciele zostaną pochwyteni, pokonani i zamordowani.

*On powie „nie”* — pomyślałem, patrząc w oczy Profesora. Zawsze wyobrażałem go sobie jako starszego. Był mężczyzną w średnim wieku, z włosami przetykanymi srebrnymi nitkami, a jego twarz, wskazywała, że przeżył zmierzch jednej epoki i ciężko pracował przez następnych dziesięć lat, by kolejna era dobiegła końca. Te lata nauczyły go ostrożności.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale w tej chwili odezwała się komórka Abrahama. Wyjął ją z przyczepionego do ramienia pokrowca.

— Czas na Przesłanie — powiedział, uśmiechając się.

*Przesłanie.* Codzienna wiadomość kierowana przez Stalowe Serce do jego obiektów.

— Możemy zobaczyć to na ścianie? — zapytałem.

— Jasne — rzekł Cody, zwracając swoją komórkę w stronę projektora i wciskając klawisz.

— To nie będzie... — zaczął Profesor.

Program już trwał. Tym razem pokazywano Stalowe Serce. Czasami pokazywał się osobiście, czasem nie. Stał na wysokiej, radiowej wieży swego pałacu. Smoliście czarna peleryna rozpościerała się za jego plecami, łopocąc na wietrze. Audycje były zazwyczaj nagrywane wcześniej, ale nie było wiadomo kiedy; jak zawsze bowiem nie było na niebie słońca, a w mieście nie rosły jakiegokolwiek drzewa, dzięki którym można byłoby określić, jaka jest pora roku. Prawie już zapomniałem, jak to było móc wyjrzeć przez okno i powiedzieć, jaką mamy porę dnia.

Postać Stalowego Serca oświetlały padające z dołu czerwone światła. Jedną stopę postawił na balustradzie, potem pochylił się do przodu i ogarnął wzrokiem swoje miasto. Jego dominium.

Zadrzałem, wpatrując się w jego wizerunek, widniejący w powiększeniu na ścianie przede mną. Morderca mojego ojca. Tyran. Wyglądał na tak spokojnego i zadumanego. Kruczoczarne, lekko kręcone włosy opadały mu na ramiona. Koszula opinała nieludzko szeroką pierś. Luźne spodnie, nowsza wersja tych workowatych, które nosił pamiętnego dnia w banku. Ujęcie, w jakim zaprezentowano Stalowe Serce, miało go pokazywać jako troskliwego i zaangażowanego dyktatora, kogoś na kształt dawnych komunistycznych przywódców, o których uczyłem się w szkole w Fabryce.

Stalowe Serce uniósł rękę, którą wskazał na rozpościerające się u jego stóp miasto, po czym jego dłoń zaczęła emanować straszliwą siłą. Żółtobiałą, kontrastującą z czerwonym światłem świecącym poniżej. Moc emitowana z jego dłoni nie była elektrycznością, ale czystą energią. Stalowe Serce wzmacniał ją przez chwilę, tak że lśniła tak jasno, iż kamery nie mogły zarejestrować już niczego poza światłem i cieniem Stalowego Serca.

Potem Epik wskazał palcem na miasto i posłał w jego kierunku żółty strumień energii. Uderzyła w jeden z budynków, wybijając w nim dziurę. Wybuchł ogień, a eksplozja spowodowała, że kawałki gruzu wybiły szyby w oknach budynków naprzeciwko. Z płonącego

domu uciekali ludzie. Kamera wykonała zbliżenie, by dokładnie pokazać, co się dzieje. Stalowe Serce chciał, byśmy widzieli, że podpalił miejsce, w którym mieszkali ludzie.

Następnie posłał kolejny strumień energii, który spowodował, że dom zatrzęsł się w posadach, jedna z metalowych ścian stopiła się i zapadła. Stalowe Serce uderzył dwukrotnie w sąsiedni budynek, powodując pożar i stopienie się ścian na skutek działania potężnej energii.

Kamera wycofała się i ponownie skierowała ku Epikowi, który wciąż znajdował się w tej samej pozycji, na wół przykucnięty. Patrzył w dół na miasto z beznamiętnym wyrazem twarzy. Czerwone, płynące z dołu światło padało na jego silną szczękę i zamyślane oczy. Dokonał zniszczeń bez jakiegokolwiek powodu, choć z pewnością późniejsza wiadomość wystosowana do ludności Newcago będzie zawierać informację o prawdziwych lub rzekomych grzechach, jakich się dopuścili.

Albo i nie. Życie w Newcago było związane z ryzykiem; jednym z jego przejawów było to, że Stalowe Serce mógł skazać na śmierć ciebie i twoją rodzinę bez żadnego wyjaśnienia.

Jeśli jednak podjąłeś ryzyko, miałeś możliwość żyć w miejscu, gdzie była elektryczność, bieżąca woda, praca i jedzenie. Wszystko to stanowiło rzadkość na większości obszarów całego kraju.

Postąpiłem do przodu i podszedłem wprost do ściany, tak by móc przyjrzeć się istocie, która majaczyła na horyzoncie. *Chce, żebyśmy się bali* — pomyślałem. *I to dlatego to wszystko robi. Pragnie, żebyśmy myśleli, iż nikt nie jest w stanie rzucić mu wyzwania.*

W czasach, gdy Epicy dopiero się pojawili, naukowcy zastanawiali się, czy nie są oni kolejnym stopniem w procesie rozwoju ludzkości. Wyłomem w procesie ewolucji. Nie zgadzałem się z tą opinią. Epicy nie byli ludźmi. Nigdy nimi nie byli. Stalowe Serce odwrócił się do kamery. Na jego ustach widniał cień uśmiechu.

Za moimi plecami skrzypnęło krzesło. Odwróciłem się. Profesor wstał i wpatrywał się w Stalowe Serce. W jego spojrzeniu była nienawiść. Głęboka nienawiść. Profesor odwrócił wzrok i nasze spojrzenia spotkały się. To wydarzyło się znowu. Chwila zrozumienia pomiędzy nim a mną.

Każdy z nas wiedział, co myśli ten drugi.

— Nie powiedziales, w jaki sposób masz zamiar go zabić — odezwał się Profesor. — Nie przekonałeś Megan. Wszystko, co przedstawiłeś, to wąty, połowiczny plan.

— Widziałem, jak Stalowe Serce krwawił — odrzekłem. — Sekret jego słabości tkwi gdzieś w mojej głowie, Profesorze. To najlepsza szansa, jaką kiedykolwiek będzie mieć pan czy ktokolwiek inny, kto będzie chciał go zabić. Czy może pan to zlekceważyć? Czy naprawdę może pan z tego zrezygnować, jeśli trafia się taka szansa?

Profesor spojrział mi w oczy. Patrzył w nie przez dłuższą chwilę. Za moimi plecami transmisja z udziałem Stalowego Serca skończyła się i ściana na powrót stała się czarna.

Profesor miał rację. Mój plan, choć z początku wydawał mi się tak mądry, oparty był w dużej mierze na spekulacjach. Wywabić go za pomocą wiadomości o fałszywym Epiku. Obezwładnić jego ochronę. Pozbawić się jego wojsko. Zabić Stalowe Serce dzięki tajemnicy, której rozwiązanie tkwiło gdzieś w mojej głowie.

Niepewny plan. Dlatego właśnie potrzebowałem pomocy Mścicieli. Tylko oni mogli go urzeczywistnić. Ten człowiek, Jonathan Phaedrus, mógł to zrobić.

— Cody — powiedział Profesor. — Zacznij uczyć dzieciaka, jak posługiwać się tensorem. Tia, sprawdź, czy jesteśmy w stanie śledzić poczynania Confluxa. Abraham, musimy zrobić burzę mózgow i ustalić, jak rozegrać sprawę z rzekomym potężnym Epikiem, jeśli to możliwe.

Poczułem, że serce mi wali jak szalone.



— Czy to zrobimy?

— Tak — odrzekł Profesor. — Boże, dopomóż nam, tak.

## CZEŚĆ II

— Teraz musisz postępować z nią delikatnie — powiedział Cody. — To tak jak pieszczenie kobiety przed wielkim rzutem kłoda.

— Rzutem kłoda? — zdumiałem się, wyciągając ręce w kierunku kawałka metalu, który leżał na krześle przede mną. Siedziałem ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, w kryjówce Mścicieli. Obok mnie siedział Cody, oparty o ścianę, z nogami wyciągniętymi przed siebie. Minął tydzień od momentu zamachu na Fortuity'ego.

— Tak, rzut kłoda — potwierdził. Choć jego akcent był czysto południowy, nawet bardzo mocno południowy, zawsze sugerował, że ma jakiś związek ze Szkocją. Odgadywałem, że jego rodzina pochodziła z tamtych stron albo coś w tym rodzaju. — To sport uprawiany w mojej ojczyźnie. Włączając w to rzucanie drzewami.

— Małymi drzewkami? Tak jak oszczepem?

— Nie, nie. Kłody muszą być tak szerokie, by twoje palce nie były w stanie ich objąć. Wyrrywamy drzewa z ziemi, a potem rzucamy nimi tak daleko, jak tylko się da.

Sceptycznie uniosłem brew.

— Dodatkowe punkty dla tego, kto potrafi jednocześnie trafić lecącego ptaka — dodał Cody.

— Cody — wtrąciła Tia, przechodząc obok nas z plikiem papierów dłoniach — czy ty w ogóle wiesz, co to jest kłoda?

— Drzewo — odparł. — Używaliśmy ich do budowy hal widowiskowych. Stąd pochodzi słowo „kabaret”, panienko.

Siedział z tak niewzruszoną twarzą, że nie potrafiłem powiedzieć, czy jest poważny, czy żartuje.

— Jesteś błaznem — powiedziała Tia, siadając przy stole zasłanym różnymi szczegółowymi mapami, na których w ogóle się nie znałem. Były to chyba plany i wykresy miasta z czasów przed Aneksją.

— Dzięki — odparł Cody, uchylając nieznacznie swej czapki baseballowej.

— To nie był komplement.

— Och, po prostu tego nie planowałeś, panienko. Ale słowo „błazen” oznaczało dawniej kogoś silnego i mądrego, co z kolei...

— Czy nie miałeś nauczyć Davida, jak posługiwać się tensorem? — przerwała mu Tia. — I mi nie przeszkadzać?

— W porządku — odparł Cody. — Mogę robić dwie rzeczy naraz. Jestem człowiekiem o wielu talentach.

— Ale żaden z nich nie jest umiejętnością bycia cicho, niestety — zamruczała Tia, pochylając się i robiąc jakieś notatki na arkuszach z mapami.

Uśmiechnąłem się. Nawet po tygodniu spędzonym z Mścicielami nie wiedziałem dokładnie, co mam o nich myśleć. Wyobrażałem ich sobie jako elitarną jednostkę zbrojną, mocno ze sobą związaną i całkowicie wobec siebie lojalną.

Oczywiście coś takiego istniało w tej grupie; nawet przekomarzania Tii i Cody'ego były dobrodusze. Jednakże każdy tutaj był silną indywidualnością. Każdy zajmował się czym innym. Profesor wydawał się nie tyle przywódcą, ile średniego szczebla kierownikiem, Abraham zajmował się technologią, Tia badaniami naukowymi, Megan zbierała informacje, a Cody wykonywał całą resztę — wypełniając przestrzeń majonezem, jak sam lubił to określać.

Cokolwiek miałyby to oznaczać.

Było czymś dziwnym widzieć ich jako zwykłych ludzi. Jakaś część mnie była nawet trochę zawiedziona. Moi bogowie byli zwykłymi ludźmi, którzy klócili się, śmiali, grali sobie na nerwach i — w przypadku Abrahama — chrapali przez sen. I to bardzo głośno.

— A teraz popatrz i maksymalnie się skoncentruj — powiedział Cody. — Fajna robota, chłopie. Trzeba tylko utrzymywać umysł w stanie gotowości. Koncentracji. Jak sam sir William. Dusza wojownika. — Ugryzł kanapkę.

Nie koncentrowałem się na moim tensorze, ale nie miałem zamiaru zwracać na to uwagi. Zamiast tego podniosłem rękę, tak jak mnie tego uczono. Z przodu każdego palca cienkiej rękawiczki, którą miałem na dłoni, znajdowały się metalowe linie, które zbiegały się w jednym miejscu. Wszystkie lśniły na zielono.

Kiedy się skoncentrowałem, moja dłoń zaczynała lekko wibrować, tak jakby ktoś w pobliżu grał muzykę, używając basów. Trudno było pozostać skupionym, czując wibracje biegnące po mojej ręce.

Skierowałem dłoń ku kawałkowi metalu; był to odcinek rury. Teraz najwyraźniej miałem odepchnąć wibracje od siebie. Za pomocą sensorów w rękawicze urządzenie poruszyło moje nerwy, wyzwalając impulsy elektryczne w moim mózgu. Tak wytłumaczył mi to Abraham.

Cody twierdził, że to magia, i radził mi nie zadawać żadnych pytań, chyba że chcę „rozłościć te maleńkie demony, które sprawiają, że rękawiczka działa, a nasza kawa dobrze smakuje”.

Wciąż nie zdołałem sprawić, by tensor zaczął pracować, choć czułem, że idzie mi coraz lepiej. Musiałem pozostać skoncentrowany, opanować drżenie rąk i wypchnąć wibracje na zewnątrz. Miało to przypominać wydmuchanie kółka z dymu papierosowego, jak twierdził Abraham. Albo też oddziaływanie ciepłem ciała, gdy jesteśmy w uścisku — bez używania rąk. To była interpretacja Tii. Każdy określał to zapewne po swojemu.

Moja ręka zaczęła drżeć coraz bardziej energicznie.

— Spokojnie — powiedział Cody. — Nie trać kontroli, chłopie.

Usztywniłem mięśnie.

— Ejże. Nie tak sztywno. Pewnie, mocno, ale spokojnie. Tak jakbyś pieścił piękną kobietę, kapujesz?

To sprawiło, że pomyślałem o Megan.

Straciłem kontrolę i zielona, lekko dymiąca fala energii buchnęła z mojej dłoni i poleciała na wprost ode mnie. Nie trafiła w rurę, ale noga krzesła, na której leżała, wyparowała. W dół opadł obłoczek pyłu, krzesło przekrzywiło się, a rura ze szczękiem upadła na podłogę.

— Calamity — powiedział Cody. — Przypomnij mi, żeby nigdy nie próbował cię pieścić.

— Wydawało mi się, że mówiłeś mu o pięknej kobiecie — zauważyła Tia.

— Taa — rzekł Cody. — A jeśli tak je traktuje, to nie chcę wiedzieć, co zrobiłby z brzydkim Szkotem.

— Udało mi się! — krzyknąłem, wskazując na kupkę popiołu, która była kiedyś nogą od krzesła.

— Tak, ale nie trafiłeś.

— Nieważne — odparłem. — Wreszcie zadziałało! — Zawahałem się. — Ale to nie przypominało wystrzału. To było jak... śpiew, który wydobył się z mojej ręki.

— Coś nowego — powiedział Cody.

— U każdego wygląda to inaczej — odezwała się siedząca przy stole z pochyloną głową Tia. Otworzyła puszkę coli i robiła jakieś notatki. Tia nie umiała funkcjonować bez coli. —

Używanie tensora nie jest dla twojego umysłu czymś naturalnym, Davidzie. Ścieżki neuronowe już się u ciebie wytworzyły, toteż potrzebujesz czegoś w rodzaju zwarcia kabli, aby twój mózg mógł się zorientować, które z mięśni ma napiąć. Zawsze się zastanawiałam, czy jeśli dalibyśmy tensor dziecku, byłoby ono w stanie użytkować go skuteczniej, w sposób bardziej naturalny, tak jakby dostało dodatkową kończynę, której może używać.

Cody popatrzył na mnie. Potem westchnął.

— Maleńkie demony. Nie pozwól, żeby ona cię ogłupiła, chłopie. Myślę, że ona dla nich pracuje. Którejś nocy widziałem, że chyba dawała im cynk.

Nie wiedziałem, jak poważnym człowiekiem był Cody, bym mógł stwierdzić, że naprawdę wierzy w to, co mówi. Iskierki w jego oczach sprawiały, że wyglądał na głuptasa, ale tym razem miał absolutnie poważną minę...

Zdjąłem tensor i odłożyłem go. Zajął się nim Cody, potem w zamyśleniu wyciągnął rękę — najpierw dłoń — na bok, a następnie wykonał pchnięcie. Kiedy jego ręka poruszyła się, tensor zaczął wibrować, a gdy wibracje osłabły, pojawiła się znowu zielona, dymna fala energii, która trafiła w krzesło i w rurę. Oba przedmioty zamieniły się w pył, który obłoczkiem opadł na ziemię.

Za każdym razem, gdy widziałem działający tensor, byłem zdumiony. Jego zasięg nie był wielki, niewiele ponad metr. Urządzenie nie wywierało wpływu na ciało. Tensory nie były szczególnie użyteczne podczas walki — oczywiście mogłeś sprawić, że broń przeciwnika wyparowała, ale tylko wówczas, gdy był on blisko ciebie. Każdorazowa konieczność koncentrowania się sprawiała, że traciło się czas i walka za pomocą tensora była mniej skuteczna niż walnięcie przeciwnika pięścią.

Jednakże możliwości, jakie dawał tensor, były niesamowite. Poruszanie się w zakamarkach stalowych katakumb Newcago, wnikanie do pomieszczeń i wydostawanie się z nich. Jeśli zdołałeś ukryć tensor, mogłeś wydostać się z każdego więzów i każdej celi.

— Trenuj dalej — powiedział Cody. — Masz talent, dlatego Profesor chce, żebyś dobrze opanował obsługę tensora. Potrzebujemy kolejnego członka grupy, który by się na tym znał.

— To nie wszyscy to potrafią? — zapytałem zaskoczony.

Cody potrząsnął głową.

— Megan nie umie obsługiwać tensorów, a Tia rzadko ma możliwość używać ich w akcji. Potrzebujemy kogoś na zapleczu, kto dawałby wsparcie w razie konieczności. Tak więc zazwyczaj to ja i Abraham wykorzystujemy tensory.

— A co z Profesorem? — zapytałem. — To on je wynalazł. Powinien więc nieźle się na nich znać, prawda?

Cody potrząsnął głową.

— Nie wiem. Odmawia ich używania. To ma jakiś związek ze złymi doświadczeniami z przeszłości. Profesor nic na ten temat nie powie. Być może nawet nie powinien. Nie ma potrzeby, byśmy to wiedzieli. Tak czy siak, ćwicz dalej. — Cody pokręcił głową, zdjął tensor i wcisnął go do kieszeni. — Co ja bym dał, żeby mieć coś takiego wcześniej...

Inne technologiczne wynalazki Mścicieli też były niesamowite. Na przykład kurtki, które pełniły po trosze funkcję pancerzy. Cody, Megan i Abraham — wszyscy je mieli, z wierzchu zupełnie inne, lecz wewnątrz wyposażone w system diod, który w jakiś sposób ich chronił. Wykrywacz służący do badania, czy ktoś był Epikiem, czy nie, był kolejnym wynalazkiem. Poza tym miałem okazję zobaczyć także coś, co nazywano wzmacniaczem — było to urządzenie, które zwiększało zdolności samoleczenia ludzkiego organizmu.

To takie smutne — myślałem, podczas gdy Cody zmiatał nagromadzony pył. Cała ta technologia... mogłaby zmienić świat. Gdyby Epicy nie zrobili tego pierwsi. Zrujnowany świat

nie mógł cieszyć się owocami postępu technicznego.

— Co robiłeś, zanim przystałeś do Mścicieli? — zapytałem, podając Cody emu śmietniczkę. — Zanim to wszystko się wydarzyło? Czym się zajmowałeś?

— Nie uwierzyłybyś — rzekł Cody, uśmiechając się.

— Niech zgadnę — powiedziałem, uprzedzając jego odpowiedź. — Zawodowy piłkarz? Dobrze płatny zabójca albo szpieg?

— Policjant — odrzekł Cody przyciszonym głosem, patrząc na kupkę popiołu. — W Nashville.

— Co? Naprawdę? — Byłem zaskoczony.

Cody skinął głową, po czym dał mi znak, że bym wyrzucił zawartość śmietniczki do kosza, gdy tymczasem on wciąż jeszcze zamiatał.

— Mój ojciec w młodości też był policjantem, jeszcze w swojej ojczyźnie. W małym miasteczku. Nigdy o nim pewnie nawet nie słyszałeś. Ojciec przeniósł się do Ameryki, kiedy poznał moją matkę. Dorastałem tutaj i nigdy nie byłem w kraju ojca. Ale chciałem być taki jak on, więc po jego śmierci poszedłem do szkoły policyjnej, a potem wstąpiłem do policji.

— Uch. — Schyliłem się ponownie, by uprzątnąć resztę śmieci. — To znacznie mniej efektywne, niż sobie wyobrażałem.

— Cóż, samodzielnie unicestwiłem cały kartel narkotykowy, rozumiesz.

— Oczywiście.

— Było i tak, że tajne służby prezydenta eskortowały go podczas jazdy po mieście. Wszyscy tajniacy najedli się nieświeżych bułek z masłem i się pochorowali, dlatego my w naszym wydziale dostaliśmy zadanie ochrony prezydenta przed zamachem. — Zawołał do Abrahama, który majstrował coś przy broni. — Kryli się za tym Francuzi, wiesz.

— Nie jestem Francuzem! — wrzasnął Abraham w odpowiedzi. — Jestem Kanadyjczykiem, kretynie!

— Nie ma różnicy! — odrzekł Cody. Wyszczerył zęby w uśmiechu i popatrzył na mnie. — Może i rzeczywiście nie zawsze było efektywne. Nie przez cały czas. Ale lubiłem tę pracę. Lubię robić dobre rzeczy dla ludzi. Służ i chroń. A potem...

— Co potem? — zapytałem.

— Nashville zostało zaanektowane, gdy państwo upadło — wyjaśnił Cody. — Większością południa zawładnęło pięciu Epików.

— Coveni — powiedziałem, kiwając głową. — Tak naprawdę jest ich sześcioro, jedna para to bliźniacy.

— A, tak. Zapomniałem, że ty jesteś nieludzko dobrze poinformowany o tych sprawach. Tak czy inaczej, przejęli władzę, a policja znalazła się na ich usługach. Jeśli ktoś się na to nie zgadzał, musiał oddać odznakę i odejść na emeryturę. Porządni ludzie to zrobili. Ci gorsi zostali i wpadają w coraz większe bagno.

— A ty? — zapytałem.

Cody klepnął jakiś przedmiot, który nosił w okolicach pasa, przytroczony do paska po prawej stronie. Przedmiot ten przypominał cienki portfel. Cody odpiął zatrask futerału i moim oczom ukazała się porysowana, lecz wypolerowana policyjna odznaka.

— Tego się nie pozbyłem — powiedział Cody stłumionym głosem. — Złożyłem przysięgę. Służ i chroń. Nie mogę przestać spełniać swojej misji tylko dlatego, że zbiry o magicznych umiejętnościach zaczęły poniewierać ludźmi. Tak to jest.

Jego słowa sprawiły, że przeszył mnie dreszcz. Popatrzyłem na odznakę, a mój umysł zachowywał się niczym naleśnik podrzucany na patelni. Próbowiałem zrozumieć tego człowieka, pogodzić jego żarty i pełne przechwałek historyjki z wizerunkiem policyjnego oficera, który

zachował godność. Wciąż był na służbie, choć rząd przestał istnieć, posterunki policyjne zamknięto, a jemu odebrano wszystko.

*Pozostali mają pewnie podobne historie* — pomyślałem, popatrując na Tię, która pracowała zawzięcie, sącząc colę. Co sprawiło, że zdecydowała się na walkę, którą wielu określiłoby jako beznadziejną? Na prowadzenie życia, które było wieczną ucieczką? Na wymierzanie sprawiedliwości tym, których prawo winno potępić, ale nie było na to szansy? Co pociągnęło ku walce Abrahama, Megan i wreszcie samego Profesora?

Popatrzyłem znowu na Cody'ego, który zamykał futerał. Za plastikową część usztywniającą futerał zatknięto zdjęcie kobiety. Fragment fotografii usunięto, tak że widać było tylko zarys oczu i większą część nosa.

— Kto to jest?

— Ktoś szczególny — odparł Cody.

— Kto?

Nie odpowiedział.

— Lepiej, jeśli nie wiemy albo nie pytamy się nawzajem o swoje rodziny — powiedziała Tia znad stołu. — Zazwyczaj służba w szeregach Mścicieli kończy się w momencie śmierci, ale czasem niektórzy z nas bywają schwytani. Lepiej, żebyśmy nie ujawniali jakichś szczegółów o innych członkach grupy, bo mogłoby to narazić ich bliskich na niebezpieczeństwo.

— Taa — burknąłem. — To ma sens. — Nad czymś takim się nie zastanawiałem. Nie miałem już nikogo bliskiego.

— Jak idzie, panienko? — zapytał Cody, podchodząc do stołu. Przyłączyłem się do niego i ujrzałem, że Tia rozłożyła na blacie listę raportów i rejestrów.

— Wcale nie idzie — odparła, krzywiąc się. Potarła powieki pod okularami. — Przypomina to odtwarzanie układanki puzzli w sytuacji, gdy został tylko jeden ich kawałek.

— A co dokładnie robisz? — zapytałem. Nie umiałem sporządzać wykresów i nie znałem się na mapach.

— Tego dnia Stalowe Serce został zraniony — odparła Tia. — Jeśli twoje wspomnienia są zgodne z prawdą...

— Są — zapewniłem.

— Ludzka pamięć jest zawodna — zauważył Cody.

— Nie moja — odparłem. — Nie w tym przypadku. Nie co do tamtego dnia. Mogę wam powiedzieć, jakiego koloru krawat nosił facet od kredytów. Mogę powiedzieć, jak wielu kasjerów było wtedy w banku. Byłbym w stanie przeliczyć, iloma płytkami wyłożono sufit. To wszystko jest tu, w mojej głowie. Wszystko tu wręcz płonie.

— W porządku — powiedziała Tia. — Jeśli masz rację, Stalowego Serca nie dało się zranić przez większą część całego zdarzenia. Nastąpiło to dopiero pod koniec. Coś się zmieniło. Rozpracowuję wszystkie możliwości, wszystko, co związane było z twoim ojcem, miejscem i sytuacją. Najbardziej prawdopodobne wydaje się to, o czym wspomniałeś, to znaczy powiązanie ze skarbcem. Być może coś, co się w nim znajdowało, osłabiło moc Stalowego Serca, a kiedy skarbiec wskutek wybuchu został otwarty, to coś miało szansę zadziałać.

— Tak więc szukasz wykazów zawartości skarbcza.

— Tak. Ale to zadanie niemożliwe do wykonania. Większa część rejestrów została zniszczona w momencie zburzenia banku. Zewnętrzne rejestry mogą być przechowywane na jakimś serwerze. First Union był własnością firmy znanej jako Dorry Jones LLC. Większa część ich serwerów była zlokalizowana w Teksasie, ale budynek spłonął osiem lat temu podczas rozruchów Ardry. Być może istniały jakieś dokumenty albo zapasowa, komputerowa kopia danych w jednej z filii firmy. Jednakże w spalonym budynku mieściły się główne biura, więc i ta

szansa jest maleńka. Dlaczego zrobiłam więc coś jeszcze — zaczęłam szukać listy stałych klientów banku, tych bogatych i wpływowych, którzy przychodzili tam często i mieli swe skrytki w skarbcu. Prawdopodobnie złożono w nich coś, co mogło zostać ujęte w rejestrach. Jakiś kamień albo symbol, który Stalowe Serce mógł zobaczyć.

Popatrzyłem na Cody'ego. Serwery? Zapisy danych? O czym ona mówiła? Cody wzruszył ramionami.

Problem polegał na tym, że słaby punkt Epika mógł być związany z czymkolwiek. Tia wspomniała o symbolach — istnieli Epicy, którzy zobaczywszy określony wzór, tracili swoje moce na krótki czas. Innych osłabiały pewne myśli, niespożywanie niektórych pokarmów albo spożywanie niewłaściwych. Słabe punkty Epików były jeszcze bardziej zróżnicowane niż ich zdolności.

— Jeśli nie ułożymy tej układanki — mówiła Tia — reszta planu jest bezużyteczna. Posuwamy się po niebezpiecznym gruncie, wciąż nie wiedząc, czy na końcu drogi będziemy w stanie wykonać to, co powinniśmy. To najbardziej mnie martwi, Davidzie. Jeśli wiesz o czymś — o czymkolwiek — co byłoby dla mnie ważną wskazówką w mojej pracy, powiedz mi to.

— Tak zrobię — obiecałem.

— Dobrze — odrzekła. — A teraz weź stąd Cody'ego i pozwólcie mi się skoncentrować.

— Naprawdę powinnaś nauczyć się robić dwie rzeczy naraz, panienko — rzekł Cody. — Tak jak ja.

— To proste — błaznować i bałaganić jednocześnie, Cody — odcięła się. —

Porządkowanie rzeczy i użeranie się z błaznem jest znacznie trudniejsze. Idź i postrzelaj albo zacznij robić cokolwiek, czym się zazwyczaj zajmujesz.

— Właśnie robiłem coś, czym się zazwyczaj zajmuję — powiedział Cody w zamyśleniu. Postukał palcem w linijkę tekstu, widocznego na jednej z kartek, która wyglądała jak lista klientów banku. Napisano tam „Johnson Liberty Agency”.

— Co ty — zaczęła Tia, po czym urwała, przeczytawszy tę nazwę.

— Co? — zapytałem, rzucając okiem na dokument. — Czy to ci ludzie przechowywali w banku pieniądze?

— Nie — odrzekła Tia. — To nie jest lista klientów. To lista ludzi, którym bank płacił.

To jest...

— Nazwa firmy ubezpieczeniowej — powiedział Cody, uśmiechając się.

— Calamity, Cody — mruknęła Tia. — Nienawidzę cię.

— Wiem o tym, dziewczyno.

Co dziwne, oboje, mówiąc to, byli uśmiechnięci. Tia natychmiast zaczęła grzebać w papierach, zauważywszy przy okazji z niezadowoleniem, że Cody pozostawił na oglądanym przez siebie dokumencie smugę majonezu z kanapki.

Cody ujął mnie za ramię i odciągnął od stołu.

— Co się właściwie stało? — zapytałem.

— Firma ubezpieczeniowa — rzekł Cody. — Ludzie, którym bank First Union płacił kupę pieniędzy za ubezpieczanie rzeczy przechowywanych w skarbcu.

— Więc ta firma ubezpieczeniowa...

— Musiała mieć dokładny spis wszystkich rzeczy, które ubezpieczała — rzekł Cody, z zadowoleniem szczerząc zęby. — Ludzie z tej branży są na tym punkcie szczególnie wrażliwi. Jak bankierzy. I jak Tia. Jeśli mamy szczęście, okaże się, że bank wystąpił o odszkodowanie za utratę budynku. Będziemy mieli kolejny trop.

— Nieglupie. — Byłem pod wrażeniem.

— Jestem bardzo sprawny, jeśli chodzi o znajdowanie rzeczy, które płaczą mi się gdzieś



przed nosem. Mam bystre oczy. Pewnego razu znalazłem nawet leprechauna\*.

Spojrzałem na niego sceptycznie.

— Czy to nie jest coś irlandzkiego?

— Pewnie. Trafił do nas w wyniku wymiany handlowej. My z kolei posłaliśmy Irlandczykom trzy rzepy i owczy pęcherz.

— Nie bardzo mi to wygląda na korzystną wymianę handlową.

— Och, myślę, że wyszliśmy na tym całkiem dobrze, biorąc pod uwagę, jak bardzo urojone są leprechauny. Halo, Profesorze, jak tam twój kilt?

— Tak samo zmyślony jak twój leprechaun, Cody — odparł Profesor, wchodząc do pokoju z sąsiedniego pomieszczenia, które spełniało funkcję jego „gabinetu do przemyśleń”. To tam znajdował się imager, a reszta Mścicieli omijała to miejsce z daleka. — Mogę wypożyczyć Davida?

— Profesorze, doprawdy — rzekł Cody. — Jesteśmy przyjaciółmi. Powinieneś wiedzieć, że nie musisz zadawać takich pytań... powinieneś być już dobrze zorientowany co do zasad wymiany moich sług. Trzy funty i butelka whisky.

Nie byłem pewien, co było gorszą obrazą — nazwanie mnie sługą czy niska cena wypożyczenia mojej osoby.

Profesor zignorował go i ujął mnie pod ramię.

— Posyłam dziś Abrahama i Megan do Diamonda.

— Do tego handlarza bronią? — zapytałem podekscytowany.

Mściciele wspominali, że znajduje się on w posiadaniu jakiejś technologii, która mogłaby nam pomóc w stwarzaniu wizerunku fałszywego Epika. Jego „moc” powinna się manifestować krzykliwie i siać zniszczenie, tak by przykuło to uwagę Stalowego Serca.

— Chciałbym, żebyś i ty wziął w tym udział — powiedział Profesor. — To będzie dla ciebie cenne doświadczenie. Słuchaj poleceń — Abraham dowodzi — i daj mi znać, jeśli ktoś, kogo spotkasz, rozpozna cię.

— Tak zrobię.

— Weź swój karabin. Wkrótce ruszacie.

\* Leprechaun — rodzaj skrzata z bajek irlandzkich.

— A co z bronią? — zastanawiał się Abraham, kiedy wyruszyliśmy. — Bank i zawartość skarbca mogą być fałszywymi tropami, nieprawdaż? A może było coś szczególnego w pistolecie, z którego twój ojciec strzelił do Stalowego Serca?

— Pistolet został upuszczony przez zwykłego strażnika banku — odrzekłem. — Smith and Wesson M&P dziewięć milimetrów, półautomat. Nie było w nim nic szczególnego.

— Pamiętasz dokładnie ten konkretny egzemplarz?

Szliśmy stalowym korytarzem podziemi. Kopnąłem leżący na ziemi śmieć.

— Tak jak powiedziałem, pamiętam tamten dzień. Poza tym znam się na broni. — Urwałem, a potem dodałem: — Kiedy byłem młodszy, doszedłem do wniosku, że tamten pistolet musiał być jakiś inny. Zacząłem oszczędzać pieniądze, żeby kupić taki model, ale nikt nie chciał sprzedać broni dzieciakowi. Planowałem przeniknąć do siedziby Stalowego Serca i zastrzelić go.

— Przeniknąć do pałacu — powiedział Abraham beznamiętnie.

— Uhm, tak.

— I zabić Stalowe Serce.

— Miałem wtedy dziesięć lat. Okaż trochę uznania.

— Chłopcu o takich aspiracjach mogę okazać szacunek, ale nie uznanie. Albo wykupić mu ubezpieczenie na życie. — Głos Abrahama zdradzał rozbawienie. — Jesteś interesującą postacią, Davidzie Charleston, ale wygląda na to, że byłeś jeszcze bardziej interesującym dzieckiem.

Uśmiechnąłem się. Było coś bardzo sympatycznego w tym elokwentnym Kanadyjczyku o łagodnym głosie, który mówił z lekkim francuskim akcentem. Właściwie niemal nie zauważało się wielkiego karabinu maszynowego — wraz z granatnikiem — który Abraham niósł na swych barkach.

Wciąż znajdowaliśmy się w podziemiach, gdzie nawet uzbrojenie najwyższej klasy nie przyciągało niczyjej uwagi. Mijaliśmy grupki ludzi, z których część gromadziła się wokół koksowników albo nosiła grzejniki podłączone do pirackich gniazdek elektrycznych. Więcej niż kilka osób miało karabiny szturmowe.

Przez ostatnich parę dni zrobiłem kilka wypadów z naszej kryjówki, zawsze w towarzystwie jednego z Mścicieli. To niańczenie denerwowało mnie, ale musiałem na to przystać. Na razie nie miałem prawa oczekiwać, że będą mi całkowicie ufać. Poza tym — choć nigdy nie powiedziałem tego głośno — nie chciałem wędrować poprzez katakumby samotnie.

Przez lata unikałem tych podziemnych głębin. W Fabryce opowiadano nam koszmarnie historie o zdeprawowanych ludziach — straszliwych potworach — którzy tam mieszkali. O gangach, dosłownie żywiących się głupcami, którzy odważyli się zapuścić do katakumb i których mordowano, by zjeść ich ciała. O mordercach, kryminalistach, uzależnionych. Nie o tych, którzy żyli na powierzchni, lecz o tych w sposób szczególnie zdeprawowanych.

Prawdopodobnie przesadzano. Ludzie, których mijaliśmy, zapewne byli w jakimś stopniu niebezpieczni, ale z pewnością nie byli obłąkani. Obserwowali cię z ponurym wyrazem twarzy, śledząc twój każdy ruch aż do momentu, gdy zniknąłeś im z oczu.

Ci ludzie chcieli pozostać tutaj sami. Byli wyrzutkami pośród odszczepieńców.

— Dlaczego on pozwala im tutaj żyć? — zapytałem, gdy mijaliśmy następną grupę.

Megan nie odpowiedziała — szła sama na przodzie — ale Abraham obejrzał się przez ramię, spoglądając w kierunku koksowników i ludzi, którzy przyglądali się nam, by się upewnić,

że już odchodzimy.

— Zawsze będą istnieli tacy jak oni — powiedział Abraham. — Stalowe Serce zdaje sobie z tego sprawę. Tia uważa, że stworzył to miejsce specjalnie dla nich, tak żeby mieć pewność, gdzie tacy ludzie przebywają. To ważne, żeby wiedzieć, gdzie gromadzą się wyrzutki społeczeństwa. Lepsi już ci oswojeni niż ci, których zachowań nie możesz przewidzieć.

Poczułem się nieswojo. Myślałem, że w podziemiach pozostawaliśmy kompletnie poza zasięgiem Stalowego Serca. A tymczasem to miejsce nie było wcale tak bezpieczne, jak myślałem.

— Nie jest możliwe wciąż trzymać w zamknięciu wszystkich ludzi — mówił Abraham — przynajmniej jeśli nie stworzy się więzienia o ostrym reżimie. Zamiast tego można dać namiastkę wolności tym, którzy naprawdę, naprawdę jej pragną. W ten sposób tacy ludzie nie stają się rebeliantami. Jeśli zrobisz to we właściwy sposób.

— Ale z nami nie postąpiono właściwie — powiedziałem cicho.

— Tak, nie postąpiono.

Podczas marszu oglądałem się niekiedy za siebie. Nie mogłem pozbyć się obawy, że ludzie z katakumb nas zaatakują. Co prawda nigdy to się nie wydarzyło. Oni...

Nagle spostrzegłem, że kilku z nich jednak za nami idzie.

— Abraham! — powiedziałem cicho. — Idą za nami.

— Tak — odparł spokojnie. — I kilku już czeka na nas z przodu.

Tunel rozpościerający się przed nami zawęził się. I rzeczywiście, oczekiwała nas grupka szemranych postaci. Ich stroje, charakterystyczne dla mieszkańców katakumb składały się z kompletnie niepasujących do siebie części. Mieli karabiny i pistolety zawinięte w skórę. Była to broń, która zapewne działała przez jeden dzień, a na drugi już niekoniecznie, i którą użytkował przez ostatnie dziesięć lat już z tuzin właścicieli.

Nasza trójka zatrzymała się, otoczona przez dwie grupy obwiesiów. Nie mogłem zobaczyć ich twarzy. Nikt z nich nie nosił komórek, a bez ich światła w tunelu panowały ciemności.

— Całkiem ładny sprządek, przyjacielu — powiedział jeden z opryszków, który czekał na nas z przodu. Nikt nie uczynił żadnego jednoznacznie wrogiego gestu. Obwiesie nosili pistolety skierowane lufami w bok.

Ostrożnie zacząłem ściągać mój karabin. Serce mi waliło. Jednakże Abraham położył mi dłoń na ramieniu. W jednej ręce trzymał swój potężny automat, skierowany lufą w górę. Miał na sobie kurtkę Mścicieli, podobnie jak Megan, choć jego była szaro-biała, z wysokim kołnierzem i kilkunastoma kieszeniami, podczas gdy jej kurtka była standardowo brązowa.

Zawsze tak się ubierali, gdy opuszczali kryjówkę. Jak dotąd nie widziałem, w jakim stopniu sposób kurtki te działają, i nie miałem pojęcia, na ile skutecznie mogą chronić.

— Stój spokojnie — powiedział Abraham.

— Ale...

— Sam to rozwiążę — rzekł mężczyzna zupełnie spokojnym głosem, postępując do przodu.

Megan przysunęła się do mnie, trzymając rękę na kaburze swego pistoletu. Nie wyglądała na spokojniejszą ode mnie. Obydwoje usiłowaliśmy kontrolować ludzi znajdujących się zarówno za nami, jak i przed nami.

— Podoba ci się nasz sprzęt? — zapytał uprzejmie Abraham.

— Rzućcie broń — odparł opryszek. — Dalej.

— To nie ma żadnego sensu — rzekł Abraham. — Jeśli ja jestem posiadaczem broni, którą wy chcecie mieć, wniosek jest taki, że mój sprzęt jest lepszy niż wasz. Jeśli będziemy

walczyć, przegracie. Rozumiesz? Nie zastraszyście mnie.

— Nas jest więcej niż was, przyjacielu — padła cicha odpowiedź. — I jesteśmy gotowi umierać. A wy?

Poczułem dreszcz. Nie, to nie byli tacy mordercy, o jakich myślałem. Byli bardziej niebezpieczni. Niczym wataha wilków.

Poznawałem to po sposobie, w jaki się poruszali, w jaki nas obserwowali. Byli wyrzutkami, ale uformowali grupę i stali się jednością. Nie egzystowali w samotności, lecz jako całość.

Dla grupy takiej jak oni broń Abrahama i Megan zwiększała szanse na przetrwanie. Chcieli ją mieć, nawet jeśli miałyby to oznaczać utratę paru członków bandy. Przeciwno naszej trójce stanęło mniej więcej dwanaścioro kobiet i mężczyzn, w dodatku byliśmy otoczeni. Mieliśmy kiepskie szanse. Świerzbiły mnie palce, by opuścić mój karabin i zacząć strzelać.

— Nie dacie rady schwytać nas w pułapkę — powiedział Abraham. — Możecie jednak zakończyć sprawę, wychodząc z zajścia bez ofiar.

Złodzieje nie odpowiedzieli.

— To bardzo uprzejmie z waszej strony, że dajecie nam szansę. — Abraham skinął głową w ich kierunku. Była w tym człowieku jakaś nieprawdopodobna szczerłość; słowa, które wypowiedział, w ustach innej osoby brzmiałyby protekcyjnie lub sarkastycznie, lecz w przypadku Abrahama brzmiały prawdziwie. — Kilkanaście razy pozwoliliście nam przejść przez terytorium, które uważacie za swoje. Za to wam dziękuję.

— Broń — powiedział opryszek.

— Nie możemy wam jej oddać — odrzekł Abraham. — Potrzebujemy jej. Poza tym, jeśli znalazłaby się w waszych rękach, nie byłoby to dla was korzystne. Inni zobaczyliby ten sprzęt i chcieliby go mieć. Inny gang pragnąłby wam go odebrać, tak jak teraz wy chcecie odebrać go nam.

— Nie ty będziesz o tym decydował.

— Prawdopodobnie nie. Ale jako gest szacunku w stosunku do was zaoferuję wam układ. pojedynek pomiędzy mną a tobą. Tylko jeden z nas zostanie ranny. Jeśli wygram, zostawicie nas w spokoju i pozwolicie przechodzić przez wasz teren w przyszłości. Jeśli wygrasz ty, moi przyjaciele oddadzą wam swoją broń, a wy będziecie mogli ograbić moje ciało ze wszystkiego, co zechcecie.

— Tu są stalowe katakumby — odezwał się złodziej. Kilku jego kompanów szeptało pomiędzy sobą. — To nie jest miejsce na układy.

— A przecież jakiś układ sam nam oferowałeś — powiedział spokojnie Abraham. — Okazaliście nam szacunek. Ufam, że zrobicie to raz jeszcze.

Sprawa, moim zdaniem, wcale nie dotyczyła honoru. Nie zasadzili się na nas, bo się nas bali. Chcieli naszej broni. Nie pragnęli walki. Próbowali nas zastraszyć.

Jednakże przywódca bandy w końcu skinął głową.

— Dobrze — powiedział. — Układ.

Potem szybko podniósł swoją broń i wystrzelił. Kula trafiła Abrahama prosto w klatkę piersiową.

Podskoczyłem, klnąc, i złapałem za swój karabin.

Ale Abraham nie upadł. Nie zachwiał się nawet. W tunelu rozległy się dwa kolejne strzały, a kule znowu trafiły Abrahama, jedna w nogę, druga w ramię. Nie zwracając uwagi na swój ogromny automat, spokojnie sięgnął do boku, wyjął pistolet z kabury, a potem postrzelił złodzieja w udo.

Facet zawył, rzucił na ziemię swój pistolet i upadł, trzymając się za zranioną nogę.

Większa część członków gangu była zbyt zszokowana, by zdobyć się na reakcję, ale kilku nerwowo opuściło broń. Abraham schował pistolet do kabury.

Poczułem, że się pocę. Kurtka sprawdziła się, i to lepiej, niż mogłem przypuszczać. Ale ja takiej nie miałem. Jeśli reszta bandy otworzy ogień...

Abraham wręczył swój karabin Megan, po czym uklęknął przy leżącym na ziemi człowieku.

— Uciskaj tutaj — powiedział przyjacielskim tonem, kładąc rękę złodzieja na jego udzie.  
— Tutaj, bardzo dobrze. Teraz, jeśli nie masz nic przeciwko, zabandażuję ci ranę. Postrzeliłem cię w takie miejsce, w którym kula mogła przejść przez mięsień, tak więc nie utkwiała w ciele.

Opryszek jęczał z bólu, gdy Abraham bandażował mu nogę.

— Nas nie da się zabić, przyjacielu — powiedział cicho Abraham. — Nie jesteśmy tymi, za kogo nas uważasz. Rozumiesz?

Złodziej energicznie skinął głową.

— Mądrzej jest być naszym sprzymierzeńcem, nie sędzisz?

— Tak — odparł złodziej.

— Wspaniale — rzekł Abraham, ciaśniej zawiązując bandaż. — Zmieniaj go dwa razy dziennie. Używaj tylko wygotowanych bandaży.

— Tak.

— Dobrze. — Abraham wstał, wziął z powrotem swój karabin i zwrócił się do reszty gangu. — Dzięki, że pozwoliliście nam przejść.

Wyglądali na zakłopotanych, ale rozstąpili się, robiąc nam przejście. Abraham ruszył pierwszy, a my spiesznie podążyliśmy za nim. Spojrzałem przez ramię. Członkowie gangu otoczyli swego przywódcę.

— To było niesamowite — powiedziałem, gdy już się nieco oddaliliśmy.

— Nie. To była tylko grupa przestraszonych ludzi, którzy walczyli o tę niewielką cząstkę, do której jeszcze mogą rościć sobie prawo — o swoją reputację. Żal mi ich.

— Postrzelili cię. Trzy razy.

— Dałem im na to przyzwolenie.

— Dopiero wtedy, kiedy zaczęli nam grozić!

— Wtedy, kiedy wkroczyliśmy na ich teren — poprawił mnie Abraham. Ponownie wręczył swój automat Megan i nie przystając, zdjął kurtkę. Zobaczyłem, że jedna z kul nieco ją uszkodziła. Poprzez dziurę w koszuli sączyła się krew.

— Kurtki nie blokują kul całkowicie?

— Nie są perfekcyjne — rzekła Megan, podczas gdy Abraham ściągał koszulę. — Moja cały czas zawodzi.

Przystanęliśmy, tak by Abraham mógł oczyścić ranę chusteczką. Potem wyciągnął niewielki odłamek metalu. Tylko tyle pozostało z pocisku, który najwidoczniej rozpadł się po trafieniu w kurtkę. Przebił się przez nią tylko jeden niewielki kawałeczek metalu.

— Co by się stało, gdyby tamten złodziej trafił cię w twarz? — zapytałem.

— W kurtkach znajduje się zaawansowane technologicznie urządzenie osłaniające — odparł Abraham. — To nie kurtka jako taka stanowi ochronę, ale pole, które wytwarza. Ochrania ono całe ciało. Niewidzialna bariera, która jest odporna na działanie siły.

— Co? Naprawdę? To niesamowite.

— Tak. — Abraham zahałał się, po czym włożył koszulę. — Jednak nawet to prawdopodobnie nie zdołałoby ochronić twarzy. Miałem więc szczęście, że tamten facet nie wycelował w to miejsce.

— Tak jak mówiłam — wtrąciła Megan — kurtki nie są idealne. — Wyglądała na

wściekłą na Abrahama. — Pole ochronne działa lepiej w przypadku upadków i uderzeń — pociski są małe i uderzają z dużą szybkością, co powoduje, że osłona jest zbyt szybko obciążona. Którakolwiek z kul mogła cię zabić, Abraham.

— Ale tak się nie stało.

— Mogłeś odnieść rany — powiedziała Megan surowo.

— Zostałem ranny.

Przewróciła oczami.

— Twoje obrażenia mogły być poważniejsze.

— A tamci mogli zacząć strzelać — powiedział — i zabić nas wszystkich. Wszystko jest ryzykiem. Poza tym sądzę, że ta banda myśli teraz, iż jesteśmy Epikami.

— Ja sam o mały włos nie pomyślałem, że nim jesteś — zauważyłem.

— Zazwyczaj staramy się nie demonstrować naszych technologicznych wynalazków — rzekł Abraham, wkładając z powrotem kurtkę. — Ludzie nie powinni zastanawiać się, czy Mściciele to Epicy; to zaburza nasze cele. Ale w tym przypadku myślę, że wyjdzie to nam na korzyść. Twój plan zakłada, że ma pójść plotka o pojawieniu się w mieście nowego Epika, który chce wystąpić przeciwko Stalowemu Sercu. Ci ludzie sprawią, że taka wieść zacznie się rozprzestrzeniać.

— Pewnie tak będzie — powiedziałem. — To był dobry ruch, ale, cholera, przez chwilę myślałem, że już po nas.

— Ludzie rzadko chcą zabijać, Davidzie — rzekł spokojnie Abraham. — To nie jest typowe dla ludzkiego umysłu. W większości sytuacji ludzie zrobią dużo, by uniknąć zabijania. Zapamiętaj to, bo może ci to kiedyś pomóc.

— Widziałem wielu ludzi, którzy zabijali — odrzekłem.

— Tak, i to powinno ci sporo unaocznic. Albo czuli, że nie mają wyboru, i gdybyś dał im możliwość tegoż wyboru, chętnie by z niej skorzystali. Albo nie byli zdrowi na umyśle.

— A Epicy?

Abraham sięgnął ku szyi i dotknął niewielkiego srebrnego naszyjnika, który nosił.

— Epicy nie są ludźmi.

Skinąłem głową. Z tym się zgadzałem.

— Wróćmy do rozmowy, którą nam przerwano — powiedział Abraham, biorąc swą broń od Megan i zwyczajowo umieszczając ją na swych barkach. Ruszyliśmy do przodu. — Jak to się stało, że Stalowe Serce odniósł ranę? To mogło być związane z bronią, której użył twój ojciec. Nigdy nie próbowałeś swego śmiałego planu znalezienia takiej samej broni, a potem... co miałeś zrobić? Wślizgnąć się do pałacu Stalowego Serca i zastrzelić go?

— Nie, nie próbowałem — odparłem, czerwieniąc się. — Zmądrzałem. Poza tym nie sądzę, żeby cały sekret miał związek z bronią. M&P dziewięć milimetrów są często spotykane. Ktoś mógł już próbować zastrzelić go z takiej broni. No i nigdy nie słyszałem o Epiku, którego słabym punktem byłoby postrzelenie pociskiem o konkretnym kalibrze czy z określonego typu broni.

— Prawdopodobnie masz rację — rzekł Abraham — ale słabe punkty Epików często są mało sensowne. Cała sprawa mogła być powiązana na przykład z producentem broni. Albo z materiałem, z którego zrobiono pocisk. Słabość wielu Epików ma związek z różnymi stopami metali.

— Prawda — przyznałem. — Ale co takiego miałyby odróżniać tę jedną kulę od innych, wystrzelonych tamtego dnia?

— Nie wiem — odparł Abraham. — Ale warto się nad tym zastanowić. Jak sądzisz, co mogło wyzwolić wówczas słabość u Stalowego Serca?

— Coś, co było w skarbcu, tak jak sądzi Tia — odrzekłem, ale wierzyłem w to tylko do pewnego stopnia. — To albo coś innego, mającego związek z całą sytuacją. Może chodziło o wiek mojego ojca. Dziwne to, wiem, ale w Niemczech był Epik, którego mógł zranić jedynie ktoś, kto miał trzydzieści siedem lat. A może znaczenie miała liczba osób, które strzelały do Stalowego Serca. Crossmarka, Epika z Meksyku, można zabić tylko wtedy, gdy strzela do niego pięć osób jednocześnie.

— Nieważne — wtrąciła Megan, odwracając się i zatrzymując w tunelu, by na nas popatrzeć. — Nigdy się tego nie domyślicie. Jego słabym punktem może być praktycznie wszystko. Nawet na podstawie historyjki Davida — aż dziwne, że to w ogóle prawda — nie ma sposobu, by się tego dowiedzieć.

Abraham i ja przystanęliśmy. Megan miała czerwoną twarz i sprawiała wrażenie osoby, która traci nad sobą kontrolę. Po tygodniu, podczas którego zachowywała zimny, zawodowy dystans, jej złość była wielkim szokiem.

Megan odwróciła się i ruszyła do przodu. Popatrzyłem na Abrahama, a on wzruszył ramionami.

Szliśmy dalej, ale nasza rozmowa się urwała. Megan przyspieszała kroku, ilekroć Abraham próbował się z nią zrównać, toteż w końcu odpuściliśmy. Obydwoje — Megan i Abraham — znali drogę do handlarza bronią, dlatego zarówno ona, jak i on byli w stanie nas do niego doprowadzić. Najwidoczniej ów Diamond był w mieście tylko przez krótki czas, a kiedy się pojawiał, za każdym razem wyznaczał spotkanie w innym sklepie.

Krętymi labiryntami katakumb szliśmy jeszcze przez dobrą godzinę. Megan poleciła nam zatrzymać się w miejscu, gdzie korytarze się przecinały. Jej twarz oblało światło z komórki, gdy sprawdzała mapę, którą wgrała jej Tia.

Abraham również wyjął z futerału na ramieniu swój telefon i zrobił to samo.

— Już prawie jesteśmy — rzekł, wskazując mapę. — Tędy. Przy końcu tego tunelu.

— Jak bardzo możemy ufać temu facetowi? — zapytałem.

— Wcale — powiedziała Megan. Jej twarz przybrała już normalny, obojętny wyraz.

Abraham przytaknął.

— Lepiej nigdy nie ufać handlarzom bronią, przyjacielu. Sprzedają sprzęt obu stronom i są jedynymi, którzy zyskują, gdy konflikt trwa w nieskończoność.

— Obu stronom? — zapytałem. — Handlują też ze Stalowym Sercem?

— Oni się do tego nie przyznają, jeśli zapytasz — powiedział Abraham — ale to fakt. Nawet Stalowe Serce nie odważy się zrobić krzywdy dobrym handlarzom broni. Jeśli zabiłby albo torturował ludzi takich jak Diamond, inni handlarze już by się nie pojawili. Armia Stalowego Serca nie miałaby więc broni tak zaawansowanej jak inne kraje. Co nie znaczy, że Stalowemu Sercu to się podoba. Diamond na przykład nigdy nie mógłby otworzyć sklepu na normalnej ulicy, lecz na to, co dzieje się w podziemiach, Stalowe Serce przymyka oko tak długo, jak jego żołnierze mają zapewniony sprzęt.

— Więc... cokolwiek od niego kupimy, Stalowe Serce się o tym dowie.

— Nie, nie. — Abraham wydawał się ubawiony, tak jakbym pytał o coś bardzo prostego, na przykład o zasady gry w chowanego.

— Handlarze bronią nie mówią o innych klientach — odezwała się Megan. — Przynajmniej dopóki ci klienci żyją.

— Diamond pojawił się w mieście dopiero wczoraj — powiedział Abraham, prowadząc nas tunelem w dół. — Będzie tutaj przez tydzień. Jeśli dotrzemy do niego pierwsi, będziemy mogli zobaczyć, co ma do zaoferowania, nim zrobią to ludzie Stalowego Serca. To zaleta, nie? Diamond ma zawsze... bardzo interesujące towary.

*W porządku* — pomyślałem. Może i nie miało znaczenia, że Diamond był kanałią. Użyłbym każdego środka, żeby dopaść Stalowe Serce. Obiekcje moralne już dawno przestały się dla mnie liczyć. Kto miał na nie czas w obecnym świecie?

Dotarliśmy do korytarza prowadzącego do sklepu Diamonda. Oczekiwałem jakichś strażników, może nawet w pełni uzbrojonych. Jednakże jedyną osobą obecną w sklepie była młoda dziewczyna w żółtej sukience. Leżała na kocu rozłożonym na podłodze i srebrnym długopisem rysowała coś na kartce papieru. Popatrzyła na nas, po czym zaczęła ssać koniec długopisu.

Abraham grzecznie wręczył jej mały chip z danymi, który obejrzała, po czym wsunęła go w otwór widniejący z boku komórki.

— Jesteśmy od Phaedrusa — oznajmił Abraham. — Mamy umówione spotkanie.

— Chodźcie — odparła dziewczyna, rzucając mu chip.

Abraham złapał go w locie. Popatrzyłem na dziewczynę, odwracając się przez ramię.

— To nie jest szczególnie silna ochrona.

— Diamond ma zawsze przygotowanego coś nowego — powiedział Abraham, uśmiechając się. — Prawdopodobnie za kurtyną kryje się coś szczególnego, jakiś rodzaj pułapki, którą dziewczyna umie uruchomić. Pewnie ma to związek z materiałami wybuchowymi. Diamond lubi eksplozje.

Skręciliśmy za róg i weszliśmy do rajy.

— Oto jesteśmy — obwieścił Abraham.



Sklep Diamonda nie mieścił się w pokoju, ale w jednym z długich korytarzy katakumb. Pomyślałem, że na drugim końcu korytarza znajduje się albo ślepa ściana, albo ochrona. Korytarz oświetlały przenośne lampki, które niemal nas oślepiły po marszu przez ciemne korytarze podziemi.

Lampki świeciły, porozwieszane na broni — setki jej sztuk wisiały na ścianach tunelu. Doskonale wypolerowany metal i głęboka, zgaszona czern. Karabiny szturmowe. Pistolety ręczne. Masywne, sprężone elektronowo bestie, podobne do automatu, który miał Abraham. Klasyczne rewolwery, granatniki i wyrzutnie rakiet.

W całym swoim życiu miałem tylko dwie sztuki broni — pistolet i karabin. Karabin był dobrym przyjacielem. Miałem go od trzech lat i mogłem na nim polegać. Działał zawsze, gdy go potrzebowałem. Nasza relacja była świetna — ja dbałem o niego, a on troszczył się o mnie.

Kiedy jednak ujrzałem sklep Diamonda, poczułem się jak chłopiec, który mając samochód — dziecięcą zabawkę — zobaczył nagle wystawę aut Ferrari.

Abraham wszedł do tunelu. Nieszczerólnie zwracał uwagę na broń. Pojawiła się też Megan. Depcząc jej po piętach, gapilem się na ściany i asortyment oferowany przez Diamonda.

— Wow — powiedziałem. — To przypomina... farmę bananów z bronią.

— Farmę bananów — powtórzyła Megan bez emocji.

— Pewnie. Widziałaś, jak rosną na drzewach i jak z nich zwisają?

— Klęzko, jesteś do dupy w metaforach.

Zaczerwieniłem się. *Galeria sztuki* — pomyślałem. *Powinienem był powiedzieć „niczym galeria sztuki dla broni”.* Nie, chwileczkę. *Jeśli powiedziałbym to w ten sposób, oznaczałoby to, że broń ma odwiedzać galerię. Może więc „galeria broni”?*

— Skąd w ogóle możesz wiedzieć, jak wyglądają banany? — zapytała cicho, podczas gdy Abraham witał się z postawnym mężczyzną stojącym obok pustej ściany. To musiał być Diamond. — Stalowe Serce nie sprowadza ich z Ameryki Łacińskiej.

— Moje encyklopedie — odparłem, myśląc o czymś innym. *Galeria sztuki występku. Tak powinienem był powiedzieć. To robi wrażenie, czyż nie?* — Czytałem je parę razy. Niektóre są wciągające.

— Encyklopedie?

— Tak.

— I czytałeś je po parę razy.

Nagle zrozumiałem, co powiedziałem.

— Nie. Yyy, przeglądałem je tylko. Wiesz, szukałem zdjęć broni. Ja...

— Bystrzak z ciebie — rzekła, dołączając do Abrahama. Wydawała się rozbawiona.

Westchnąłem i podszedłem do nich, starając się zwrócić jej uwagę i popisać się moją nową metaforą, ale Abraham zaczął nas sobie przedstawiać.

— ... nowy dzieciak — powiedział, wskazując na mnie. — David.

Diamond skinął mi głową. Miał na sobie kolorową koszulę w kwiaty, jakie zwykle noszą ludzie w tropikach. Może to jego ubiór podsunął mi metaforę o bananach. Diamond miał siwą brodę i długie, białe włosy, choć na czubku głowy już zaczynał łysieć. Uśmiechał się szeroko, a w jego oczach igrały iskierki.

— Przypuszczam — powiedział — że chcecie zobaczyć, co jest nowego. Co ekscytującego. Wiecie, moi — echem — inni klienci jeszcze tu nie byli! Jesteście pierwsi. Macie

więc prawo pierwokupu!

— I najwyższe ceny — rzekł Abraham, odwracając się, by popatrzeć na ścianę pełną pistoletów. — Śmierć przychodzi dziś po wysokiej stawce.

— Powiedział facet, który nosi sprzęt elektronicznie Manchester 451 — rzekł Diamond. — Z gravatoniksem i granatnikiem. Na tej ścianie macie sprzęt wywołujący eksplozje. Na drugiej coś mniejszego, ale możecie z tym nieźle poszaleć.

— Pokaż, co masz na składzie — poprosił Abraham uprzejmie, lecz w jego głosie było wyczuwalne napięcie. Mógłbym przysiąc, że jego głos brzmiał spokojniej, gdy rozmawiał z opryszkami, którzy go postrzelili. Dziwne.

— Mam parę rzeczy, które chciałbym ci pokazać — oświadczył Diamond. Miał uśmiech papugoryby, o której zawsze myślałem, że musi wyglądać jak papuga, choć nigdy jej nie widziałem. — Dlaczego po prostu się nie rozejrzysz? Przyjrzyj się, co mamy. Powiedz, co zaspokaja twoje kaprysy.

— Doskonale — odrzekł Abraham. — Dziękuję.

Skinął głową na mnie i na Megan. Wiedzieliśmy, czego od nas oczekuje. Mamy rozejrzeć się za czymś niezwykłym. Bronią, która mogłaby spowodować wielkie zniszczenia — takie, jakich mógłby dokonać Epik. Jeśli mieliśmy udawać jednego z nich, musieliśmy mieć broń robiącą wrażenie.

Megan podeszła do mnie i zaczęła przyglądać się karabinowi maszynowemu, który wzniecał ogień.

— Nie jestem bystrzakiem — wysyczałem cicho.

— A jakie to ma znaczenie? — zapytała obojętnym tonem. — Nie ma nic złego w byciu mądrym. Jeśli rzeczywiście jesteś inteligentny, będziesz cennym nabytkiem dla grupy.

— Ja... ja... po prostu nie lubię, gdy ktoś tak się do mnie zwraca. Poza tym, kto słyszał kiedykolwiek o bystrzaku, który skacze z lecącego odrzutowca i strzela do Epika w powietrzu, spadając na ziemię?

— Nigdy nie słyszałam o kimkolwiek, kto by zrobił coś takiego.

— Phaedrus zrobił — powiedziałem. — To była egzekucja Czerwonolistnego, trzy lata temu.

— Ta historia jest nieco przesadzona — odezwał się Abraham cicho, przechodząc obok nas. — To był helikopter. Wszystko było częścią planu. Byliśmy bardzo ostrożni. A teraz proszę, skoncentrujcie się na bieżącym zadaniu.

Zamilkłem i zacząłem przyglądać się broni. Automat rażący żywym ogniem robił wrażenie, ale nie był niczym szczególnym. Potrzebowaliśmy czegoś bardziej spektakularnego. Tak naprawdę nie zadowalał nas żaden rodzaj zwykłej broni — niezależnie od tego, czy miotała pociski, rakiety czy granaty. Potrzebowaliśmy czegoś takiego jak energetyczna broń Epików. Czegoś, co imitowałoby wewnętrzną siłę rażenia ogniem, którą miałyby posiadać hipotetyczny Epik.

Zacząłem posuwać się w głąb korytarza i im dalej szedłem, tym oryginalniejszy sprzęt mogłem ujrzeć. Zatrzymałem się przy szczególnie zdumiewających egzemplarzach. Wydawały się zupełnie niewinne — miały formę butelki, telefonu komórkowego, długopisu. Były przyłączone do ściany jak pozostała broń.

— Ach... Jesteś bystrym obserwatorem, nieprawdaż, Davidzie?

Podskoczyłem. Odwróciwszy się, ujrzałem za swoimi plecami Diamonda. Jak to się stało, że tak gruby facet poruszał się, nie robiąc w ogóle hałasu?

— Co to jest? — zapytałem.

— Zaawansowane technologicznie materiały wybuchowe o podstępym działaniu —

wyjaśnił z dumą Diamond. Wyciągnął rękę i postukał w ścianę, na której pojawił się obraz. Widocznie gdzieś zamontowano imager. Obraz pokazywał butelkę wody na stole. Obok przechodził biznesmen z dokumentami w rękę. Położył je na stole, sięgnął po butelkę i odkręcił ją.

I wybuchł.

Odskokczyłem.

— Mam nadzieję, że doceniasz jakość materiału filmowego. Rzadko udaje mi się uzyskać dobre zdjęcia eksplozji, jeśli ma ona miejsce na otwartej przestrzeni. Ten film jest wart obejrzenia. Zwróć uwagę, że ciało zostało odrzucone w tył, ale wokół nie doszło do żadnych zniszczeń. To ważne w podstępnych eksplozjach, zwłaszcza jeśli osoba, na którą dokonuje się zamachu, ma w pobliżu jakieś cenne dokumenty.

— To obrzydliwe — powiedziałem, odwracając się.

— To biznes związany z zabijaniem, młody człowieku.

— Mam na myśli to nagranie.

— Nie był szczególnie miłym człowiekiem, jeśli ci to pomoże. — Wątpię, by dla Diamonda miało to jakieś znaczenie. Kiedy znowu postukał w ścianę, sprawiał wrażenie przyjaznego człowieka. — Świetna eksplozja. Mówiąc szczerze, trzymam tu połowę tego sprzętu, bo lubię prezentować to wideo. Jest jedyne w swoim rodzaju.

— Czy te wszystkie przedmioty wybuchają? — zapytałem, przyglądając się niewinnie wyglądającym urządzeniom.

— Długopis jest detonatorem — oznajmił Diamond. — Naciśnij na jego końcówkę, a uruchomisz niewielkie urządzenia, które są w pobliżu. To uniwersalne spłonki. Zbliź je do czegoś, co może wybuchnąć, uruchom je i eksplozja gotowa. Dużo zależy od materiału, ale spłonki są zaprojektowane przy użyciu algorytmów detekcji. Działają na większość materiałów wybuchowych. Przyczep spłonki na przykład do granatu, oddal się i naciśnij końcówkę długopisu.

— Jeśli potrafiłbyś przyczepić spłonkę do czyjegoś granatu — powiedziała Megan, podchodząc do nas — byłbyś w stanie pociągnąć za zawleczkę. Lepiej byłoby od razu zabić tego człowieka.

— To nie odnosi się do każdej sytuacji — powiedział Diamond obronnym tonem. — Ale może być naprawdę zabawne. Cóż jest lepszego od możliwości wysadzenia czyichś materiałów wybuchowych, kiedy ten ktoś zupełnie się tego nie spodziewa?

— Diamond! — zawołał Abraham z oddali. — Przyjdź tu i powiedz mi coś o tym.

— Ach! Wspaniały wybór. Rewelacyjne wybuchy... — Diamond potruchtał w jego kierunku.

Popatrzyłem na wszystkie te niewinnie wyglądające, lecz w rzeczywistości śmiertelnie niebezpieczne rzeczy. Coś mi się w nich nie podobało. Zabijałem już wcześniej, ale w słusznym celu. Z pistoletem w rękę i tylko dlatego, że byłem do tego zmuszony. Nie prowadziłem wielu filozoficznych rozmyślań o życiu, lecz ojciec nauczył mnie pewnej rzeczy: nigdy nie zadawaj pierwszego ciosu. Jeśli musisz zadać drugi, upewnij się, że twój przeciwnik już nie wstanie, tak byś nie musiał go uderzyć po raz trzeci.

— Ten sprzęt mógłby być użyteczny — powiedziała Megan, zakładając ręce na piersiach. — Chociaż nie sądzę, żeby ten chwalipięta naprawdę wiedział, do jakich celów powinien być użyty.

— Wiem — odparłem, próbując się zrehabilitować. — Masz na myśli nagranie śmierci jakiegoś biedaka? To było całkowicie nieprofesjonalne.

— W zasadzie on handluje materiałami wybuchowymi, więc nagrywanie eksplozji w jego

mniemaniu jest profesjonalne. Podejrzewam, że ma nagranie wybuchu każdego z tych przedmiotów, bo przecież nie można przetestować ich własnoręcznie na miejscu.

— Megan, to nagranie pokazywało wysadzenie w powietrze człowieka. — Potrząsnąłem głową zbulwersowany. — To było straszne. Nie powinno się robić pokazów takich jak ten.

Zawahała się. Wyglądała na zatroskaną czymś innym.

— Tak. Oczywiście. — Popatrzyła na mnie. — Nie wytłumaczyłeś, dlaczego tak cię wzburzyło, gdy nazwałam się bystrzakiem.

— Mówiłem ci już. Nie podoba mi się to, bo jak wiesz, mam zamiar dokonać wielkiej rzeczy. A bystrzaki nie...

— To nie to — rzekła, patrząc na mnie zimno. Calamity, ależ miała piękne oczy. — Przyczyna tkwi głębiej. Jest coś, co chcesz pokonać. To twoja słaba strona. — Zerknęła na butelkę wody, potem odwróciła się i podeszła do Abrahama, który oglądał jakąś broń. To był pewien typ wyrzutni.

Zabezpieczyłem swój karabin, przewiesiłem go przez ramię i włożyłem ręce do kieszeni. Wychodziło na to, że ostatnio spędziłem mnóstwo czasu, słuchając wykładów. Myślałem, że po opuszczeniu Fabryki nauka skończy się definitywnie, ale powinienem był przewidzieć, że tak się nie stanie.

Odwróciłem się do najbliższej ściany. Nie mogłem się skoncentrować na pistoletach, co przecież powinno być priorytetem. Mój umysł przetrawiał to, o co zapytała Megan. Dlaczego ubodło mnie nazywanie bystrzakiem?

Podszedłem do niej.

— ... nie wiem, czy to jest to, czego chcemy — mówił Abraham.

— Ale eksplozje są niesamowite — odparł Diamond.

— To dlatego, że oni przejmowali tych mądrzejszych — powiedziałem cicho do Megan. Poczulem jej wzrok na sobie, choć wpatrywałem się w ścianę.

— Mnóstwo dzieciaków w Fabryce starało się ze wszystkich sił udowodnić, jak są mądre — mówiłem dalej. — Mieliśmy szkołę, wiesz. Przez pół dnia się uczyliśmy, przez następne pół pracowaliśmy aż do czasu ukończenia nauki. Jeśli szło ci kiepsko, nauczyciele usuwali cię ze szkoły i wtedy musiałeś pracować cały dzień. W szkole było lżej niż w Fabryce, dlatego większość dzieciaków naprawdę się starała. Zdolni... ci naprawdę zdolni... bystrzaki... opuszczali podziemia. Zabierano ich do miasta na powierzchnię. Jeśli wykazałeś jakieś zdolności do komputerów, matematyki, pisania, odchodziłeś. Tacy ludzie dostawali dobre posady, jak słyszałem. Pracowali w departamentach propagandy Stalowego Serca albo w jego biurach księgowości czy czymś w tym rodzaju. Kiedy byłem młodszy, śmiałem się z tego, że Stalowe Serce ma księgowych. Ale on ma mnóstwo takich ludzi. Imperium ich potrzebuje.

Megan popatrzyła na mnie zdziwiona.

— Więc ty...

— Nauczyłem się, jak być głupkiem — powiedziałem. — A raczej, jak być przeciętniakiem. Głupich wyrzucano ze szkoły, a ja chciałem się uczyć — wiedziałem, że to ważne — więc musiałem utrzymać się w szkole. Wiedziałem też, że jeśli powędruję do miasta na powierzchnię, stracę swoją wolność. Stalowemu Sercu znacznie łatwiej jest kontrolować swoich księgowych niż pracowników Fabryki. Byli i inni chłopcy tacy jak ja. Wiele dziewczyn szło do góry, zwłaszcza tych zdolnych. Jednak kilku chłopców, których znałem, było dumnych z tego, że nie zabrano ich do miasta na powierzchnię. Nie chcieli być mądrzy. Ja musiałem być natomiast wyjątkowo ostrożny, bo zadawałem wiele pytań o Epików. Musiałem ukrywać swoje notatki, znaleźć sposób na tych, którzy uważali mnie za niegłupiego.

— Ale nie mieszkasz już w podziemiach. Teraz jesteś wśród Mścicieli. Więc nie ma to

już znaczenia.

— Ma — odparłem. — Bo taki nie jestem. Nie jestem mądry, jestem nieustępliwy. Moi koledzy, którzy byli mądrzy, nie musieli się wcale uczyć. Ja musiałem harować jak wół, ucząc się do każdego testu.

— Jak wół?

— No, wiesz. Przecież woły pracują ciężko? Przy pracach w polu i takich rzeczach?

— Tak, ale to nieważne.

— Nie jestem mądry — powiedziałem.

Nie wspomniałem, że jednym z powodów, dla których pracowałem tak ciężko, był fakt, że musiałem znać odpowiedzi na wszystkie pytania. Tylko w ten sposób miałem pewność, na ile pytań mam udzielić błędnej odpowiedzi, tak by utrzymać się w środku grupy. Być wystarczająco mądrym, by nie zostać wyrzuconym ze szkoły, ale nie zasługiwać na szczególne wyróżnienie czy uwagę.

— Poza tym — mówiłem dalej — naprawdę zdolne dzieciaki, które znałem, uczyły się, bo to kochały. Ja nie. Nienawidziłem się uczyć.

— Przeczytałeś encyklopedię. Parę razy.

— Bo szukałem informacji o rzeczach, które mogą być słabościami Epików — odparłem. — Musiałem wiedzieć wszystko o różnych typach metali, związkach chemicznych, pierwiastkach i symbolach. Praktycznie wszystko może sprowokować ujawnienie się słabej strony Epików. Mam nadzieję, że to coś błysnie kiedyś w mojej głowie. Coś na jego temat.

— Więc wszystko dotyczy jego.

— Wszystko w moim życiu dotyczy jego, Megan — powiedziałem, patrząc na nią. — Wszystko.

Obydwoje milczeliśmy, choć Diamond nadawał nieustannie. Abraham zwrócił się w moją stronę. Wyglądało na to, że nad czymś głęboko się zastanawia.

*Wspaniale* — pomyślałem. *On słyszał. Świetnie.*

— To wystarczy, Diamond — rzekł Abraham. — Ta broń nie zadziała.

Handlarz bronią westchnął.

— Bardzo dobrze. Ale musisz mi podpowiedzieć, do czego chcecie jej użyć.

— Szukamy czegoś szczególnego — powiedział Abraham. — Czegoś, czego jeszcze nikt nie widział i co sieje zniszczenie.

— Cóż, nie mam tu wielu rzeczy, które nie dokonywałyby zniszczeń — oznajmił Diamond. — Ale coś wyjątkowego... Zobaczmy.

Abraham dał nam znak, żebyśmy kontynuowali oglądanie sprzętu. Kiedy Megan poszła do przodu, schwycił mnie za ramię. Jego uścisk był dość mocny.

— Stalowe Serce przechwytyje mądrych — rzekł Abraham cicho — ponieważ się ich boi. On wie, Davidzie. Cała widoczna tu broń go nie przeraża. To nie ona go pokona. To będzie osoba mądra i sprytna na tyle, by znaleźć rysę w jego zbroi. Stalowe Serce wie, że nie może zabić wszystkich, więc ich zatrudnia. Jeśli kiedyś zginie, to zabity przez kogoś takiego jak ty. Pamiętaj o tym.

Uwolnił moje ramię z uścisku i ruszył ku Diamondowi.

Popatrzyłem za nim, po czym podszedłem ku kolejnym egzemplarzom broni. Słowa Abrahama nic nie zmieniały, ale, co dziwne, czułem, że trzymam się jakoś prościej, gdy tak stałem przy zawieszonych rzędem pistoletach, których producentów byłem w stanie rozpoznać.

*Nie jestem bystrzakiem.* Przynajmniej w końcu wiedziałem to na pewno.

Patrzyłem na pistolety przez dobrych kilka minut. Byłem dumny z tego, ilu jej producentów jestem w stanie wymienić. Niestety, żaden z nich nie produkował nic szczególnego.

Właśnie fakt, że byłem w stanie zidentyfikować producentów, już był dowodem na to, że ich wyroby nie są wyjątkowe. My potrzebowaliśmy czegoś, czego wcześniej nikt nie widział.

*Być może Diamond nic takiego nie ma — pomyślałem. Jeśli jego asortyment się zmienia, może wybraliśmy po prostu nieodpowiedni czas na wizytę. Niekiedy w koszyku szczęścia, z którego losujesz nagrody, nie ma nic wartego uwagi. To...*

Przystanąłem, ujrawszy coś zupełnie innego. Motocykle.

W odległej części korytarza stały rzędem trzy maszyny. Z początku ich nie dostrzegłem, bo byłem zajęty pistoletami. Były lśniące, ciemnozielone z czarnymi wzorami biegnącymi po obu stronach. Natychmiast poczułem ochotę, aby wskoczyć na taki, pochylając się nisko, tak by zmniejszyć opór powietrza. Wyobraziłem sobie, jak mknę nim po ulicach miasta. Wyglądały niebezpiecznie, niczym aligatory. Naprawdę szybkie, czarne aligatory. Aligatory ninja.

Zdecydowałem się nie dzielić tym określeniem z Megan.

Na motocyklach nie dostrzegłem żadnego sprzętu do walki, choć po bokach maszyny miały jakieś urządzenia. Może to była broń energetyczna? Nie bardzo pasowały do asortymentu sklepu Diamonda, ale w końcu to, co sprzedawał, było pewnego rodzaju mieszanką.

Pokazałem motocykle Megan.

— Nie — powiedziała stanowczo, wcale na nie nie patrząc.

— Ale...

— Nie.

— Ale one są niesamowite! — odrzekłem, wyrzucając w górę ręce, jakby to, że maszyny robiły wrażenie, było wystarczającym argumentem. I, cholera, powinno tak być. Naprawdę były niezwykle!

— Ledwo dawałeś sobie radę z prowadzeniem sedana, Klęczko — powiedziała Megan.

— Nie chcę cię widzieć kierującego czymś z gravatoniksem.

— Gravatoniks! — To czyniło motocykle jeszcze bardziej wspaniałymi.

— Nie — rzekła Megan stanowczo.

Zerknąłem na Abrahama, który oglądał coś w pobliżu. Spojrzał na mnie, potem na motory i uśmiechnął się.

— Nie.

Westchnąłem. Czyżby wybieranie broni było bardziej interesujące niż te motocykle?

— Diamond! — zawołał handlarz Abraham. — Co to jest?

Diamond podreptał w naszą stronę.

— Och, to coś wspaniałego. To... — Lekko struchlał, gdy zbliżył się i zobaczył, o czym mowa. — A, to. To jest dosyć interesujące, choć nie wiem, czy to jest to, czego szukacie...

Przedmiotem zainteresowania był wielki karabin z bardzo długą lufą i celownikiem na szczycie. Wyglądał trochę jak AWM — jeden z karabinów snajperskich, na którym wzorowała się Fabryka, produkując swoje wyroby. Lufa była jednak dłuższa, a broń posiadała dziwne cewki zapłonowe. Karabin był czarno-zielony i miał wielką dziurę w miejscu, w którym powinien być magazynek.

Diamond westchnął.

— Ta broń jest wspaniała, ale ty jesteś dobrym klientem. Muszę cię uprzedzić, że nie masz odpowiednich środków, by ją uruchomić.

— Co? — zapytała Megan. — Sprzedajesz zepsutą broń?

— To nie tak — odparł Diamond, postukując w ścianę, na której wisiał automat. Pojawił się na niej obraz przedstawiający mężczyznę znajdującego się na ziemi. Trzymał karabin i przez celownik namierzał zniszczone budynki. — To broń magnetyczna Gaussa. Została skonstruowana w wyniku obserwacji Epików, którzy razili kulami w ludzi.

— Rick O'Shea — powiedziałem, kiwając głową. — Epik z Irlandii.

— To jego prawdziwe imię? — zapytał Abraham cicho.

— Tak.

— To straszne. — Abraham zadrżał. — Piękne francuskie słowo przekształcone w... w coś, o czym by mógł powiedzieć Cody. *Calice!*

— Tak czy inaczej — rzekłem — ten Epik sprawia, że dotknięte przez niego objekty zaczynają się chwiać, a potem wybuchają, gdy zadziała na nie jakiś wstrząs czy uderzenie. Najczęściej O'Shea ładuje energią skały, rzuca nimi w ludzi, a potem one eksplodują. Klasyczny Epik energii kinetycznej.

Byłem bardzo zainteresowany tym, że technologia została stworzona w oparciu o zdolności Epika. Ricky był Epikiem, który ujawnił się niedawno. Nikt nie miał pojęcia o jego istnieniu w czasach, gdy Epików więziono i przeprowadzano na nich eksperymenty. Czy to oznaczało, że nadal je prowadzono? Czy istniało miejsce, w którym przetrzymywano Epików? Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

— A ten automat? — zapytał Diamonda Abraham.

— Cóż, tak jak powiedziałem. — Diamond postukał w ścianę i zaczęła się projekcja filmu. — Jest to broń Gaussa, z tym że używamy do niej pocisków, które najpierw zostały naładowane energią. Zdolna do wybuchu kula jest w stanie osiągnąć ekstremalną prędkość dzięki użyciu maleńkich magnesów.

Na filmie mężczyzna z automatem w ręku włączył przycisk i cewki zaświeciły się na zielono. Pociągnął za spust i nastąpił wybuch energii, choć nie było odrzutu. Bryza zielonej energii wydostała się z lufy automatu, pozostawiając ślad w powietrzu. Jeden z dalej stojących budynków eksplodował, czemu towarzyszył dziwny, zielony deszcz odłamków, który wydawał się zakrzywiać powietrze.

— Nie jesteśmy... pewni, dlaczego tak się dzieje — przyznał Diamond. — Ani w jaki sposób. Technologiczne zabiegi zmieniają kulę w naładowane materiały wybuchowe.

Poczułem dreszcz, myśląc o tensorach, kurtkach — technologii używanej przez Mścicieli. Właściwie wiele wynalazków pojawiło się wraz z nastaniem Epików. Jak wiele z zasad ich funkcjonowania naprawdę rozumieliśmy?

Opieraliśmy się na połowicznie rozumianej technologii, powstałej z badania zdolności tajemniczych istot, które nie wiedziały nawet, jak robią to, do czego są zdolne. Byliśmy niczym głusi ludzie, usiłujący tańczyć do rytmu, którego nie słyszeliśmy na długo potem, jak muzyka ustała. Albo... zaraz. Właściwie nie miałem pojęcia, co to porównanie miało znaczyć.

Tak czy inaczej, światła, które się pokazały po eksplozji, robiły wrażenie. Były piękne. Po wybuchu nie widać było wiele gruzu, za to dużo zielonego dymu, który wciąż unosił się w powietrzu. Wyglądało to tak, jak gdyby budynek zamieniono po prostu w energię.

Potem coś mnie uderzyło.

— Zorza polarna — powiedziałem. — To wygląda zupełnie jak zorza, którą widziałem kiedyś na zdjęciu.

— Potencjał wybuchu niezły — odezwała się Megan. — Ten budynek został niemal całkowicie zniszczony jednym strzałem.

Abraham skinął głową.

— To może być to, czego potrzebujemy. Czy mogę jednak zapytać cię, Diamond, o to, o czym wspominałeś wcześniej? Powiedziałaś, że ta broń nie działa.

— Działa dobrze — pospieszył z wyjaśnieniem handlarz. — Ale aby wystrzelić, potrzebuje porcji energii. Wielkiej porcji.

— Jak wielkiej?

— Pięćdziesiąt sześć KC — rzekł Diamond, po czym zawahał się. — Na jeden strzał. Abraham westchnął.

— Czy to dużo? — chciała wiedzieć Megan.

— Tak — odparłem zdumiony. — To jest mniej więcej jak kilkanaście tysięcy ogniów paliwowych.

— Zazwyczaj — rzekł Diamond — musisz podłączyć ten automat przewodami do jego własnego źródła energii. Nie możesz podłączyć tego niegrzecznego chłopczyka do kontaktu w ścianie. Strzały na filmie zostały oddane przy użyciu kilkunastu piętnastocentymetrowych przewodów, podłączonych do generatora mocy. — Spojrzał na broń. — Kupiłem ją, mając nadzieję, że uda mi się pozyskać od pewnego klienta wysokoenergetyczne ogniwa paliwowe, a potem będę mógł sprzedać broń już gotową do użytku.

— Kto wie o tej broni? — zapytał Abraham.

— Nikt. Kupiłem ją prosto z laboratorium, które ją wyprodukowało, a człowiek, który nakręcił ten film, był moim pracownikiem. Nigdy nie było jej na rynku. Jej konstruktorzy zginęli parę miesięcy później. Wyszli się w powietrze, biedacy. Tak to jest, gdy tworzysz urządzenia, które trzeba naładować energią.

— Weźmiemy ją — oznajmił Abraham.

— Tak? — Diamond wyglądał na zaskoczonego, a potem na jego twarzy zajaśniał uśmiech. — Cóż... doskonały wybór! — Jestem pewien, że będziecie zadowoleni. Ale, dla jasności, powiem jeszcze raz, że broń nie wystrzeli, dopóki nie znajdziecie źródła energii. Potężnego, takiego, którego nie dacie rady transportować. Rozumiecie?

— Znajdziemy je — rzekł Abraham. — Ile?

— Dwanaście — odrzekł Diamond, natychmiast chwytając okazję.

— Nie masz innego nabywcy niż my — powiedział Abraham — i nie potrafisz uruchomić tej broni. Dam ci cztery. Dzięki. — Abraham wyciągnął małe pudełko. Postukał w nie i wręczył Diamondowi.

— I jeszcze weźmiemy ten długopis — detonator — powiedziałem, choć tego nie uzgadniałem z resztą. Za pomocą mojej komórki nagrywałem wideo z prezentacją automatu Gaussa w akcji. O mało nie poprosiłem o jeden z motocykli, ale zdałem sobie sprawę, że to byłoby już nadmierne forsowanie moich życzeń.

— Bardzo dobrze — rzekł Diamond, przyglądając się pudełku podanemu przez Abrahama. Nie miałem pojęcia, co w nim było. — Czy Fortuity jest tutaj? — zapytał.

— Niestety — odrzekł Abraham. — Nasze spotkanie z nim nie pozostawiło czasu na zbieranie plonów. Ale mamy tutaj czworo innych, w tym Nieobecną.

Plony? Co to miało oznaczać? Nieobecna była Epikiem, Mściciele zabili ją w zeszłym roku.

Diamond chrząknął. Byłem niesamowicie ciekawy, co znajdowało się w pudełku.

— I także to — Abraham wręczył Diamondowi chip.

Handlarz przyjął go z uśmiechem.

— Wiesz, jak osłodzić robienie interesów, Abraham. Tak, potrafisz to zrobić.

— Nikt nie może się dowiedzieć, że mamy coś takiego — powiedział Abraham, wskazując głową w stronę karabinu. — Nie mów żadnemu człowiekowi, że taka broń istnieje.

— Oczywiście, że nie — odparł Diamond urażonym tonem. Podeszedł do biurka, skąd wyciągnął standardowy pokrowiec, w który zaczął pakować nasz zakup.

— Czym mu właściwie zapłaciliśmy? — zapytałem cicho Megan.

— Kiedy ginie Epik, coś dzieje się z jego ciałem — odparła.

— Mutacja mitochondrialna — skinąłem głową. — Tak.



— Kiedy unicestwiamy jakiegoś Epika, zabieramy jego mitochondria — wyjaśniła Megan. — Potrzebują ich naukowcy. Diamond sprzedaje je sekretnym laboratoriom naukowym. Gwizdnąłem cicho.

— Wow.

— Tak — odparła z zakłopotaną miną. — Komórki giną po kilku minutach, jeśli ich nie zamroziysz, dlatego trudno je pozyskać. Istnieją pewne grupy, które zajmują się pobieraniem żywych komórek. Nie zabijają Epików, ale pobierają próbki ich krwi, a potem je mrożą. Takie działania są jednak trzymane w absolutnej tajemnicy.

A więc o to chodziło. Epicy nie musieli nawet o tym wiedzieć. Jednakże wiedza na ten temat sprawiła, że poczułem się zaniepokojony. Jaką część z tego procesu naprawdę pojmowaliśmy? Co pomyśleliby Epicy, gdyby wiedzieli, że część ich materiału genetycznego jest sprzedawana?

O całym procederze nie miałem pojęcia pomimo moich śledztw związanych z Epikami. Moje notatki były źródłem wiedzy. Mogłem dorzucić parę nowych faktów, ale okazało się, że istniała cała sfera spraw, o których nie miałem pojęcia.

— A co z chipem, który Abraham dał Diamondowi? — zapytałem. — Tym, który handlarz nazwał osłodą?

— Zarejestrowano na nim wybuchy.

— Ach. Oczywiście.

— Po co ci ten detonator?

— Nie wiem — odparłem. — Brzmiało to wszystko fajnie. A ponieważ wygląda na to, że potrwa chwilę, zanim będę miał taki motocykl...

— Nigdy nie będziesz miał jednego z tych motocykli.

— ... pomyślałem, że poproszę o coś innego.

Nie odpowiedziała. Wyglądała tak, jakbym niechcący ją czymś rozzłościł. Znowu. Było mi niebywale trudno zrozumieć, co ją ciągle denerwuje — wydawała się mieć własne zasady, według których ustalała, co jest „profesjonalne”, a co nie.

Diamond zapakował broń i ku mojej radości dorzucił detonator w kształcie długopisu i paczkę „wymazywaczy”, które były z nim kompatybilne. Byłem zadowolony, że dostałem coś ekstra. Potem poczułem zapach czosnku.

Zmarszczyłem brwi. To nie był dokładnie zapach czosnku, ale coś podobnego. Co...

Czosnek.

Fosfor pachnie tak jak czosnek.

— Mamy kłopot — powiedziałem bez tchu. — Władca Ciemności jest tutaj.

— To niemożliwe! — krzyknął Diamond, sprawdzając swoją komórkę. — Nie spodziewałem się ich tutaj jeszcze przez godzinę albo dwie. — Urwał, po czym podniósł brzęczący telefon do ucha, w którym nosił koleczyk.

Poblądł, otrzymawszy wiadomość, najpewniej od dziewczyny, którą widzieliśmy wcześniej.

— O rany.

— Calamity — powiedziała Megan, przerzucając pokrowiec z automatem przez ramię.

— Masz dzisiaj spotkanie ze Stalowym Sercem? — zapytał Abraham.

— To nie będzie on — odparł Diamond. — Pomimo że jest moim klientem, nigdy nie zjawia się osobiście.

— Posyła Władcę Ciemności — oznajmiłem, wężąc. — Tak, to on. Czujecie to?

— Dlaczego nas nie ostrzegłeś? — zapytała Megan Diamonda.

— Nie mówię klientom o innych...

— Nieważne — powiedział Abraham. — Wychodzimy. — Wskazał korytarz biegnący w odwrotnym kierunku do tego, którym przyszliśmy. — Gdzie on prowadzi?

— Do ślepej ściany.

— Pracujesz w miejscu bez zapasowego wyjścia? — zapytałem sceptycznie.

— Nikt mnie tu nie zaatakuje! — powiedział Diamond. — Nie w sytuacji, gdy mam tutaj taki sprzęt! Do diabła! Nie spodziewałem się tej wizyty. Moi klienci wiedzą, że nie powinni przybywać za wcześnie.

— Zatrzymaj go jakoś na zewnątrz.

— Zatrzymać Władcę Ciemności? — zapytał Diamond z powątpiewaniem. — On nie ma ciała. Może przenikać przez ściany.

— W takim razie powstrzymaj go przed zapuszczeniem się w głąb korytarza — rzekł Abraham spokojnie. — Tu jest ciemno. Zdołamy się ukryć.

— Ja nie... — zaczął Diamond.

— Nie ma czasu na sprzeczki, przyjacielu — uciął Abraham. — Wszyscy udają, że nie interesuje ich to, że handlujesz z obydwoma stronami, ale wątpię, czy Władca Ciemności potraktuje cię dobrze, gdy odkryje nas tutaj. Rozpozna mnie, bo widział mnie już wcześniej. Jeśli znajdzie mnie tutaj, zginiemy wszyscy. Rozumiesz?

Diamond, wciąż blady, skinął głową.

— Chodźmy — zakomenderował Abraham, umieszczając swój automat na barkach i spiesząc w głąb korytarza na tyłach magazynu. Megan i ja pospieszyliśmy za nim. Serce mi waliło. Władca Ciemności miałby rozpoznać Abrahama? Jaka historia ich łączyła?

Na drugim końcu korytarza stała sterta skrzynek i pudeł. Korytarz rzeczywiście kończył się ślepą ścianą, ale nie było tam światła. Abraham gestem wskazał nam, żebyśmy ukryli się za pudłami. Stąd mogliśmy widzieć ściany z bronią, gdzie byliśmy przed chwilą. Diamond stał tam, załamując ręce.

— Tutaj — powiedział Abraham, lokując swój olbrzymi automat na jednym z pudeł i nakierowując go na Diamonda. — Uważaj, David. Strzelaj dopiero wtedy, gdy będziesz musiał.

— To i tak nie podziała na Władcę Ciemności — rzekłem. — On ma niepokonalność pierwszego stopnia. Kule, broń energetyczna czy wybuchy po prostu przez niego przechodzą. — Chyba że uda nam się go porazić światłem słonecznym, jeżeli miałem rację w tym względzie.

Przed innymi trzymałem fason, ale tak naprawdę słyszałem jedynie pogłoski.

Abraham pogrzebał w kieszeni swoich spodni moro i coś z niej wyciągnął. Jeden z tensorów.

Natychmiast poczułem ulgę. Abraham miał zamiar wyciąć nam drogę na wolność.

— Nie mamy zamiaru przeczekać tutaj?

— Jasne, że nie — odrzekł spokojnie. — Czuję się jak szczur w pułapce. Megan, skontaktuj się z Tią. Musimy wiedzieć, gdzie jest najbliższy tunel. Przebiję nam do niego drogę.

Megan skinęła głową. Zasłoniwszy usta dłonią, zaczęła coś szeptać do telefonu. Abraham wziął się za rozgrzewanie tensora, a ja przygotowałem celownik na jego karabinie, nastawiając tryb działania maszyny na wybuchy. Abraham zaakceptował to skinięciem głowy.

Spojrzałem przez celownik. Był świetny, o wiele lepszy niż mój. Doskonale było widać przez niego nawet dalekie obiekty, monitorował prędkość wiatru i miał kompensatory braku światła. Jak na dłoni widziałem Diamonda, witającego nowych klientów z otwartymi ramionami i z uśmiechem na ustach.

Napięcie rosło. Było ich ośmioro — dwóch mężczyzn i kobieta oraz czworo ludzi w mundurach armii Stalowego Serca. I Władca Ciemności. Był wysokim mężczyzną o azjatyckich rysach twarzy — obecny tylko połowicznie. Ledwie widoczny, niemal bezcielesny. Nosił gustowny garnitur, przy czym marynarka miała nieco wschodni styl. Miał krótkie włosy. Ręce trzymał założone do tyłu.

Mój palec kierował się ku spustowi karabinu. Ta kreatura była prawą ręką Stalowego Serca, przyczyną ciemności, która pozbawiła Newcago słońca i gwiazd. Podobna ciemność rozlewała się po ziemi wokół Epika, przeslizgując się w kierunku mroczniejszej części korytarza i pozostawiając tam czarne plamy. Władca Ciemności potrafił w ten sposób zabić. Umiał stworzyć pasma ciemnej mgły tak twardej, że mogła przebić człowieka niczym włócznia.

Te zdolności — bezcielesność i manipulowanie mgłą — były dwoma, o których wiedziano. Władca Ciemności potrafił również przenikać przez stałe obiekty i jak wszyscy bezcielesni, umiał latać z pewną prędkością. Mógł sprawić, że w pomieszczeniu zapadała ciemność, a potem przebić cię nią. No i miał moc utrzymywania całego miasta w stałym mroku. Wielu podejrzewało, że to pochłaniało większą część jego mocy.

Władca Ciemności i jego dwoje sługusów rozmawiało z Diamondem. Żałowałem, że nie mogę usłyszeć, o czym mówią. Zawahałem się, po czym odsunąłem się od celownika. Wiele nowoczesnych karabinów miało...

Tak. Przesunąłem przycisk na bok i aktywowałem wzmacniacz dźwięków. Wyciągnąłem słuchawkę z mojej komórki i połączyłem ją ze wzmacniaczem za pomocą chipa celownika. Następnie umieściłem słuchawkę w uchu. Pochyliłem się i nakierowałem celownik wprost na rozmawiającą grupę. Odbiornik rejestrował to, co mówiono.

— ... tym razem zainteresowany specjalnym rodzajem broni — klarowała właśnie kobieta ze świty Władcy Ciemności. Była ubrana w damski garnitur, a jej włosy sięgały uszu. — Nasz władca nie jest zadowolony, że nasze siły opierają się w zbyt dużym stopniu na ciężkim sprzęcie. Co masz dla oddziałów, które są bardzo mobilne?

— Mnóstwo rzeczy — powiedział Diamond.

*Calamity, ależ on się denerwuje.* Nie patrzył na nas, ale kręcił się nerwowo i pewnie intensywnie się pocił. Jak na mężczyznę, który handlował bronią w podziemiach, kiepsko radził sobie ze stresem.

Diamond przeniósł wzrok z kobiety na Władcę Ciemności, który nadal trzymał ręce założone do tyłu. Jak wynikało z moich notatek, rzadko wypowiadał się osobiście podczas spotkań w sprawach biznesowych. Wolał polegać na swoich sługusach. To był jakiś element

związany z kulturą japońską.

Rozmowa trwała, podczas gdy Władca Ciemności stał sztywno wyprostowany i milczał. Nie podszedł, by obejrzeć towar na ścianach, nawet gdy Diamond napomknął, że mogą do tego przystąpić. Zamiast tego przyniesiono mu broń, a jeden z jego asystentów przeprowadzał oględziny i zadawał pytania.

*To całkiem wygodne* — pomyślałem, czując jak po skroniach płyną mi kropelki potu. *Władca Ciemności może patrzeć na Diamonda. Obserwuje, namyśla się, nie zadając sobie trudu, by włączyć się do dyskusji.*

— Mam to — wyszeptła Megan. Spostrzegłem, że obraca swój telefon, dłonią przesłaniając padające z niego światło, tak by pokazać Abrahamowi mapę, którą przesłała Tia. Abraham musiał przybliżyć się i pochylić, by cokolwiek zobaczyć, bo ekran telefonu Megan był mocno przyciemniony.

Chrząknął leciutko.

— Dwa metry wprost do tyłu, kilka stopni w dół. To zajmie parę minut.

— Więc weź się za to — powiedziała Megan.

— Potrzebuję pomocy przy usuwaniu pyłu.

Megan przesunęła się, a Abraham oparł dłonie o dolną część ściany za naszymi plecami i włączył tensor. Ogromny kawał metalu zaczął się rozpadać pod wpływem jego dotyku. Utworzył się tunel, przez który mogliśmy się przedostać. Megan zaczęła usuwać stalowy pył, podczas gdy Abraham się koncentrował.

Odwróciłem się, by popatrzeć, starając się oddychać tak cichutko, jak to tylko możliwe. Tensory nie robiły wiele hałasu. Dało się słyszeć tylko leciutkie buczenie. Miejmy nadzieję, że nikt tego nie zauważy.

— ... pan myśli, że ta broń jest złej jakości — powiedział człowiek ze świty Władcy Ciemności, odkładając ręczny pistolet. — Jesteśmy coraz bardziej rozczerowani twoją ofertą, sprzedawco.

— Cóż, chcecie kupić ciężki sprzęt, ale nie wyrzutnie. Trudno to połączyć. Ja...

— Co znajdowało się na tej ścianie? — rozległ się cichy, upiorny głos. Brzmiał trochę jak donośny szept, lecz bardziej przeszywający. Sprawił, że zadrzałem.

Diamond zesztyniał. Delikatnie nastawiłem celownik. Władca Ciemności stał przy ścianie z bronią. Wskazywał miejsce, w którym z pustej ściany wystawały haki i gdzie wcześniej wisiał Gaussa.

— Tutaj coś było, czyż nie? — zapytał Władca Ciemności. Prawie nigdy nie rozmawiał z nikim osobiście, tak jak teraz, więc nie był to dobry znak. — Otworzyłeś sklep dopiero dzisiaj. Sprzedałeś już coś?

— Ja... nie rozmawiam o innych klientach — odparł Diamond. — Wiesz o tym.

Władca Ciemności popatrzył na ścianę z tyłu. W tym momencie, zajęta usuwaniem stalowego pyłu, Megan potrąciła jedno z pudeł. Nie był to donośny dźwięk — właściwie Megan nie zauważyła nawet, że to się stało. Ale Władca Ciemności zwrócił głowę ku naszej kryjówce. Diamond zrobił to samo; wyglądał na tak zdenerwowanego, że gdyby wsadził rękę do mleka, zmieniłby je w masło.

— Zauważył nas — powiedziałem cicho.

— Co? — zapytał Abraham, wciąż się koncentrując.

— Dobra, rób swoje — odrzekłem. — Jak najciszej. Nadszedł czas na małą improwizację.

Wziąłem na barki automat Abrahama, nie zwracając uwagi na ciche przekleństwa Megan. Nim zdążyła mnie powstrzymać, opuściłem naszą kryjówkę, w ostatniej chwili przypomniawszy sobie, by wyjąć słuchawkę z ucha.

Kiedy wyłoniłem się z mroku, żołnierze Władcy Ciemności błyskawicznie skierowali na mnie broń. Ogarnął mnie niepokój i przeszywające poczucie bezbronności. Nie znoszę, gdy ludzie celują we mnie z pistoletów... ale jak sądzę, nie lubi tego nikt.

— Szefie — odezwałem się, postukując w automat — naprawiłem sprzęt. Magazynek już działa.

Obstawa Władcy Ciemności popatrzyła na niego jak gdyby w oczekiwaniu na zgodę, by mogli zacząć strzelać. Epik założył ręce do tyłu, przyglądając mi się niezwykłymi oczami. Zdawał się nie zauważać, że jego łokieć dotknął ściany i przeszedł przez jej metalową powierzchnię.

Wpatrywał się we mnie bez ruchu. Nie rozległ się żaden wystrzał broni. Dobry znak.

*Dawaj, Diamond* — pomyślałem, starając się trzymać nerwy na wodzy. *Nie bądź idiotą. Powiedz coś.*

— Czy to coś ze spustem? — zapytał Diamond.

— Nie — odparłem. — Magazynek był zgięty po jednej stronie. — Kiwnąłem z szacunkiem głową w kierunku Władcy Ciemności i jego obstawy, potem odwróciłem się, by zawiesić automat na pustym haku na ścianie. Na szczęście pasował. Zakładałem, że tak się stanie, biorąc pod uwagę, że rozmiarami przypominał automat Gaussa.

— Cóż, Diamond — odezwała się kobieta asystująca Władcy Ciemności. — Powiedz nam coś o tym nowym nabytku. Wygląda jakby...

— Nie — rzekł cicho Władca Ciemności. — Chcę o tym usłyszeć od chłopaka.

— Jest nowy — powiedział Diamond. — Nie...

— W porządku, szefie — rzekłem. — To Manchester 451. Jest jak elektrownia atomowa. Kaliber pięćdziesiątka, magazynki sprężone elektronowo. Każdy wystarcza na osiemset serii. System wyboru rażenia pozwala na wybór opcji: pojedynczy strzał, wybuch i autowybieranie opcji. Ma gravatoniczną redukcję siły odrzutu, opcjonalnie można użyć celownika powiększającego z systemem audio, znajdowaniem zasięgu i mechanizmem zdalnego sterowania ogniem. Mamy także opcję użycia wyrzutni granatów. Niektóre naboje są w stanie przebić opancerzenie, zapalając je jednocześnie, proszę pana. Nie można mieć lepszego automatu.

Władca Ciemności skinął głową.

— A to? — wskazał karabin wiszący obok.

Miałem spocone ręce. Wsunąłem je do kieszeni. To był... zaraz... Tak, wiedziałem.

— Browning M3919, proszę pana. Nieco gorszej jakości, ale w dobrej cenie. Również kaliber pięćdziesiątka. Nie ma mechanizmu osłabiania siły odrzutu, gravatoniksu ani sprężenia elektronowego. To doskonała broń pokładowa, z której można wystrzelić osiemset serii na minutę. Zasięg na półtora kilometra, wysoka precyzja.

W korytarzu zapadła cisza. Władca Ciemności obejrzał broń, po czym zwrócił się do swej świty i wykonał szorstki gest. To sprawiło, że o mało nie podskoczyłem ze zdenerwowania, ale inni nie wyglądali na zaniepokojonych. Najwidoczniej przeszedłem test w oczach Epika.

— Chcemy zobaczyć Manchester — powiedziała kobieta. — Tego właśnie szukamy. Powinieneś wspomnieć o tej broni wcześniej.

— Ja... nie byłem pewny, co z jego magazynkiem — odrzekł Diamond. — To częsty problem w przypadku Manchesterów, obawiam się. Każdy automat ma swoje słabe strony. Słyszałem, że jeśli spiłuje się nieco górne krawędzie magazynka, będzie się wysuwał znacznie łatwiej...

Rozmowa potoczyła się dalej, a o mnie zapomniano. Mogłem wycofać się do naszej kryjówki. *Czy powinienem się ulotnić?* — pomyślałem. Czy nie będzie wyglądało podejrzanie, jeśli usunę się gdzieś w głąb korytarza? Cholera. Wszystko wskazywało na to, że Władca Ciemności chce kupić automat Abrahama. Miałem nadzieję, że Abraham mi to wybaczy.

Kiedy Abraham i Megan przedostaną się przez dziurę w ścianie, ja zaczekam, aż Władca Ciemności opuści sklep, i do nich dołączę. Pozostanie na miejscu wydawało się w tej chwili najlepszą opcją.

Przyłapałem się na tym, że gapię się na plecy Władcy Ciemności, podczas gdy jego świta kontynuowała negocjacje. Znajdowałem się... tak, jakiś metr od niego? Jeden z trojga najbardziej zaufanych ludzi Stalowego Serca, jeden z najpotężniejszych żyjących na świecie Epików. Był tuż obok. A ja nie mogłem go osiągnąć, ani w dosłownym znaczeniu tego słowa, gdyż był bezcielesny, ani w przenośni.

Tak było zawsze, odkąd na niebie pojawiła się Calamity. Tylko nieliczni odważyli się wystąpić przeciwko Epikom. Widziałem, jak mordowano dzieci na oczach ich rodziców i nikt nie odważył się stawić oporu. Dlaczego ktoś miałby to zrobić? Zostałby przecież zabity.

W jakiś sposób dotyczyło to i mnie. Ja byłem przy moim ojcu i pragnąłem jedynie uciec z tamtego miejsca. *Czynisz nas egoistami* — pomyślałem o Władcy Ciemności. *Dlatego cię nienawidzę. Was wszystkich.* Lecz Stalowego Serca nienawidziłem najbardziej.

— ... można używać lepszych narzędzi śledczych — powiedziała kobieta z obstawy Władcy Ciemności. — Ale jak rozumiem, to nie jest twoja specjalność.

— Zawsze przywożę jakieś ze sobą do Newcago — odparł Diamond. — Specjalnie dla was. Proszę, pokażę wam, co posiadam.

Zamrugalem. Skończyli już rozmowę o Manchesterze i najwidoczniej go kupili — zamówili dostawę trzystu takich od Diamonda, który z zadowoleniem dokonał transakcji, choć egzemplarz Abrahama nie należał do handlarza.

*Śledztwo* — pomyślałem. Coś związanego z tym płątało się w mojej pamięci.

Diamond poczłapał, by wygrzebać spod swego biurka kilka pudeł. Zauważył mnie i odesłał skinieniem ręki.

— Możesz wracać do składu i zająć się swoją robotą, chłopcze. Tutaj nie jesteś mi już potrzebny.

Powinienem był zrobić to, co mi powiedział, ale zamiast tego zrobiłem coś głupiego.

— Już właściwie skończyłem, szefie — zapewniłem. — Chciałbym zostać, jeśli można. Nie wiem za wiele o sprzęcie, który stosuje się w kryminalistyce.

Diamond zatrzymał się, przyglądając mi się, a ja starałem się usilnie wyglądać jak niewiniątko, włożywszy ręce do kieszeni kurtki. Głos w mojej głowie szeptał cichutko: *Jesteś głupi, jesteś głupi, jesteś głupi.* Ale kiedy znowu będę mieć szansę taką jak ta?

Termin „urządzenia śledcze” obejmował cały sprzęt związany z badaniem miejsc zbrodni. Wiedziałem o tym więcej, niż zasugerowałem to Diamondowi. Czytałem w każdym razie.

Pamiętałem, że można znaleźć DNA albo odciski palców, używając światła ultrafioletowego. A ono, jak odnotowałem w swoich zapiskach, było słabością Władcy Ciemności.

— Dobrze — odparł Diamond, wracając do grzebania pod biurkiem. — Tylko nie wchodź w drogę naszej Znakomitości.

Odsunąłem się o kilka kroków i spuściłem wzrok. Władca Ciemności nie zwracał już na mnie uwagi, a jego świta stała z założonymi na piersiach rękami. Diamond wydobył stos pudełek, po czym zaczął pytać, czego jego klienci potrzebują. Dość szybko zorientowałem się z ich wypowiedzi, że rządzący Newcago — Władca Ciemności, a może nawet sam Stalowe Serce — niepokoił się zabójstwem Fortuity'ego.

Chcieli kupić sprzęt do wykrywania Epików. Diamond nie miał czegoś takiego; powiedział, że słyszał, iż sprzedawano tego typu urządzenia w Denver, ale okazało się, że to tylko plotki. Wychodziło na to, że wykrywacz, jaki posiadali Mściciele, nie był łatwo dostępny nawet dla kogoś takiego jak Diamond.

Władca Ciemności i jego ekipa byli także zainteresowani sprzętem, który pomógłby ustalić pochodzenie kul i materiałów wybuchowych. To żądanie Diamond mógł spełnić, zwłaszcza że lubił osobliwe wybuchy. Ze styropianu i kartonowych pudełek wydobył kilkanaście urządzeń, a potem pokazał skaner, dzięki któremu, wykonawszy analizę pozostałego po eksplozji popiołu, można było określić skład chemiczny materiałów wybuchowych.

Czekałem w napięciu, podczas gdy kobieta z obstawy Epika podniosła coś, co wyglądało jak metalowa walizeczka z zamknięciami po bokach. Otworzyła ją i zobaczyliśmy kilka małych urządzeń, umieszczonych w zagłębieniach styropianu. Wyglądało to jak przybory śledcze, o których czytałem.

Na szczycie umieszczono chip, który teraz leciutko świecił. To musiała być instrukcja obsługi. Kobieta przesunęła przed nim swój telefon i instrukcja została wgrana na komórkę. Postąpiłem o krok i zrobiłem to samo, a choć towarzyszka Władcy Ciemności popatrzyła na mnie, odprawiła mnie ruchem ręki i powróciła do inspekcji.

Serce waliło mi szybciej. Przebiegłem wzrokiem po instrukcji i znalazłem to, czego szukałem. Skaner odcisków palców, emitujący światło ultrafioletowe wraz z kamerą. Gdybym mógł wydobyć go teraz z walizeczki...

Kobieta wzięła do ręki inne urządzenie i zaczęła je oglądać. To nie był skaner, więc nie zwracałem na nie uwagi. Gdy na chwilę się odwróciła, pochwyliłem skaner, starając się sprawiać wrażenie, że bawię się nim ze zwykłej ciekawości.

Udało mi się go włączyć. Z przodu świecił niebieskim światłem, a z boku miał ekranik — urządzenie działało na wzór przenośnej kamery wideo z magnetowidem, tyle że emitującej światło ultrafioletowe. Kiedy światło padało na jakieś obiekty, urządzenie nagrywało to, co zostało ujawnione. Skaner był pożyteczny, zwłaszcza gdy poszukiwano w jakimś pomieszczeniu fragmentów DNA.

Włączyłem nagrywanie. To, co planowałem zrobić, mogło łatwo stać się przyczyną mojej śmierci. Zdawałem sobie sprawę, że zabijano ludzi za znacznie mniejsze przewinienia. Ale ja wiedziałem, że Tia potrzebuje bardziej przekonującego dowodu. Nadszedł czas, by jej go dostarczyć.

Włączyłem światło ultrafioletowe i skierowałem je na Władcę Ciemności.

Władca Ciemności natychmiast odwrócił się w moją stronę.

Obróciłem skaner tak, by strumień światła padał na bok i pochyliłem głowę, jakbym przyglądał się urządzeniu i próbował dojść, jak ono działa. Chciałem, by wyglądało to tak, jakbym rzucił na niego światło przez przypadek, bawiąc się skanerem.

Nie patrzyłem na Władcę Ciemności. Nie mogłem na niego patrzeć. Nie wiedziałem więc, czy światło jakoś na niego podziałało, ale gdyby tak było i Władca Ciemności zorientowałby się, że to zauważyłem, na pewno bym zginął.

Ale mogłem zginąć nie tylko w ten sposób.

Było czymś bolesnym nie móc zobaczyć, jaki był rezultat działania światła ultrafioletowego, na szczęście jednak urządzenie wszystko nagrywało. Odwróciłem się od Władcy Ciemności i palcami jednej ręki nacisnąłem parę guzików, tak jakbym próbował uruchomić sprzęt. Drugą ręką — palce drżały mi ze zdenerwowania — zdjąłem chip i ukryłem go w dłoni.

Władca Ciemności wciąż mnie obserwował. Czulem jego spojrzenie, jak gdyby wiercił dziury w moich plecach. W pomieszczeniu zrobiło się ciemniej, a cienie wydłużyły się. Stojący nieopodal Diamond nadal gadał na temat sprzętu, który demonstrował. Nikt chyba się nie zorientował, że zwróciłem na siebie uwagę Władcy Ciemności.

Udawałem, że tego nie zauważam, choć serce waliło mi w piersi jeszcze szybciej niż poprzednio. Zacząłem bawić się urządzeniem z jeszcze większym zainteresowaniem. Uniosłem je w górę, tak by pokazać, że wreszcie niby wpadłem na to, jak je obsługiwać. Poszedłem naprzód i przycisnąłem kciuk do ściany, potem odsunąłem się, starając się dostrzec odcisk palca w promieniach ultrafioletowych.

Władca Ciemności nie poruszył się. Rozwahał, co ma zrobić. Zabicie mnie chroniłoby go, jeśli dostrzegłem, jak działa na niego ultrafiolet. Mógł to zrobić. Twierdziłby potem, że zakłóciłem jego osobistą przestrzeń albo źle na niego spojrziałem. Calamity, nie musiałby nawet podawać powodu. Mógł robić to, co chciał.

Jednakże zabójstwo mogło być dla niego niebezpieczne. Jeśli Epik zabijał w sposób nagły i nieoczekiwany, ludzie zawsze podejrzewali, że była to próba ukrycia jego słabej strony. Jego sługusy widziały, że miałem w rękę skaner UV. Mogli skojarzyć fakty. Aby być w pełni bezpiecznym, Władca Ciemności powinien zabić również Diamonda i swoich żołnierzy. A także i swoich asystentów.

Czulem, jak się pocę. Było czymś strasznym stać tam, nie mogąc nawet spojrzeć Epikowi w twarz i zorientować się, czy chce mnie zabić. Pragnąłem się obrócić, spojrzeć mu w oczy i splunąć na niego, gdy będę ginął.

*Spokój* — nakazałem sobie. Postarałem się, by z mojej twarzy zniknął prowokacyjny wyraz. Podniosłem wzrok i udawałem, że dopiero teraz widzę, iż Władca Ciemności mi się przygląda. Stał tak jak wcześniej, z rękami założonymi do tyłu, w czarnej marynarce i z cienkim czarnym krawatem na szyi. Nieruchome spojrzenie, przezroczyista skóra. Nie było śladu tego, co się stało, jeżeli w ogóle coś się stało.

Widząc Władcę Ciemności, aż podskoczyłem z przerażenia. Nie musiałem udawać strachu; czulem, jak blednie mi skóra, a krew odpływa z twarzy. Upuściłem skaner, a z ust wydarł mi się cichy okrzyk. Skaner upadł i rozbił się. Zakląłem, klękając przy rozbitym sprzęcie.

— Co robisz, głupcze! — Diamond pospieszył ku mnie. Nie wydawał się szczególnie



zmartwiony z powodu skanera, lecz bardziej o to, że obraziłem Władcę Ciemności. — Tak mi przykro, Wasza Znakomitość. Jest nieudolnym idiotą, ale i tak najlepszym, jakiego udało mi się znaleźć. To...

Diamond ucichł, bo ciemne cienie w pobliżu nas zaczęły się wydłużać, a potem połączyły się w jeden wir, złożony z grubych, czarnych pasm. Potknął się, a ja skoczyłem na równe nogi. Ciemność nie uderzyła we mnie, lecz pochłonęła leżący na ziemi skaner.

Mrok zaczął się rozlewać po podłodze, wijąc się i skręcając. Mroczne pasma uniosły skaner w powietrze, a Władca Ciemności przyglądał się temu beznamiętnym wzrokiem. Spojrzał na nas i wtedy ciemność zaczęła postępować do góry i otoczyła skaner. Potem nastąpił nagły trzask, jak gdyby pękło naraz sto orzechów włoskich.

Przesłanie było oczywiste. Rozzłościł mnie, a spotka was ten sam los. Władca Ciemności zręcznie ukrył swój lęk przed skanerem i swoje pragnienie, by go zniszczyć, za parawanem groźby.

— Ja... — powiedziałem cicho. — Szefie, może pójdę na zaplecze i zajmę się asortymentem, jak pan powiedział?

— Powinieneś był to zrobić od razu — rzucił Diamond. — Jazda stąd.

Odwróciłem się i ruszyłem w głąb korytarza, przyciskając rękę do boku i ściskając w niej chip ze skanera UV. Przyspieszyłem kroku, nie dbając o to, jak to wygląda. Zacząłem biec. Dotarłem do pudeł i do względnie bezpiecznej kryjówki. Tam, blisko podłogi, znalazłem tunel wyryty w tylnej ścianie.

Zachwiałem się i przystanąłem. Wziąłem głębszy oddech, ukląknęłam, opierając się na rękach i kolanach, po czym wpełzłem do tunelu. Przepelzłem dwa metry i dotarłem do drugiego końca korytarza.

Coś chwyciło mnie za ramię, a ja instynktownie wyhamowałem. Podniosłem wzrok, zastanawiając się niezbyt logicznie, jak Władca Ciemności ożywił cienie, lecz oto ujrzałem znajomą twarz.

— Cicho! — powiedział Abraham, wciąż trzymając mnie za ramię. — Gonią nas?

— Nie sądzę — odrzekłem cicho.

— Gdzie mój karabin?

— Yy... zhandlowałem go Władcy Ciemności.

Abraham uniósł brew, po czym pociągnął mnie na bok.

Megan osłaniała nas moim karabinem. Była wcieleniem profesjonalizmu — usta zacięte w linijkę, spojrzeniem omiatała korytarz, sprawdzając, czy nie czai się w nim niebezpieczeństwo. Jedyne światło sączyło się z komórek, które ona i Abraham mieli przypięte do swoich kurtek.

Abraham skinął jej głową. Nie padły już żadne słowa i ruszyliśmy w dół korytarza. W miejscu, gdzie ponownie przecinały się podziemne korytarze, Megan wręczyła moją broń Abrahamowi — ignorując fakt, że wyciągnąłem po nią ręce — i odbezpieczyła jeden ze swoich pistoletów. Dała znak Abrahamowi, po czym pospieszyła tunelem, wyprzedzając nas.

Szliśmy dalej w milczeniu. Poprzednim razem czułem się w tunelach kompletnie zagubiony, a teraz zmieniło się to o tyle, że ledwo co orientowałem się, w jakim kierunku zmierzamy.

— Okej — rzekł wreszcie Abraham, podnosząc rękę i przywołując Megan z powrotem. — Odsapnijmy i zobaczmy, czy ktoś nas nie śledzi.

Usiadł w niewielkiej wnęce, skąd widać było część korytarza biegnącą za nami i skąd można było dostrzec, czy ktoś za nami nie idzie. Wydawało się, że częściej używa zdrowej ręki.

Przyklęknałem obok niego wraz z Megan.

— Zdecydowałeś się na nieoczekiwany krok, Davidzie — powiedział cichym, spokojnym

głosem Abraham.

— Nie miałem czasu się nad tym zastanawiać — odparłem. — Usłyszeli nas.

— To prawda. Ale Diamond zasugerował, żebyś wrócił na zaplecze, a ty oświadczyłeś, że chcesz zostać.

— Słyszałeś to?

— Nie wspomniałbym o tym fakcie, gdybym nie słyszał waszej rozmowy. — Abraham spojrział znów w głąb korytarza.

Zerknąłem na Megan, która rzuciła mi lodowate spojrzenie.

— Nieprofesjonalne — wymruczała.

Pogrzebałem w kieszeni i wyjąłem z niej chip. Abraham popatrzył na niego, marszcząc brwi. Ukryty za pudłami z pewnością nie miał możliwości dłużej obserwować, co robię. Wsunąłem chip do czytnika w mojej komórce. Chwilę potem na jej ekranie zaczęło się wyświetlać wideo ze skanera UV. Abraham przyglądał się tej prezentacji i nawet Megan obróciła głowę, by zobaczyć, co się dzieje.

Wstrzymałem oddech. Wciąż nie miałem pewności, że moje przypuszczenia co do Władcy Ciemności były słuszne — a nawet jeśli, to czy skaner zdołał zarejestrować ważne zdarzenie.

Nagranie wideo pokazało mnie machającego ręką na wprost obiektywu. Potem zobaczyliśmy Władcę Ciemności, a moje serce zaczęło bić mocniej. Dotknąłem ekranu, zatrzymując obraz.

— Ty mądry, mały skurczybyku — wymamrotał Abraham. Na ekranie widniał Władca Ciemności, a jego ciało stało się do połowy materialne. Trudno było to pojąć, ale nagranie nie kłamało. Pod wpływem światła UV ciało Epika przestało być przezroczyste, przyjmując normalny wygląd.

Dotknąłem ekranu ponownie. Światło UV przesunęło się, sprawiając, że Władca Ciemności na powrót stał się widzialny. Trwało to może sekundę lub dwie, ale wystarczyło.

— Skaner UV do prowadzenia śledztwa — wyjaśniłem. — Zrozumiałem, że mamy wspaniałą szansę, żeby się przekonać...

— Nie mogę uwierzyć, że spróbowałeś z niej skorzystać — powiedziała Megan — bez uzgadniania tego z kimkolwiek. Mogłeś spowodować, że wszystkich nas troje by zabito.

— Ale tak się nie stało — rzekł Abraham, wyjmując mi z ręki chip z zapisem nagrania. Obejrzał go z dziwnym nabożeństwem. Potem podniósł wzrok, jak gdyby przypomniałszy sobie, że powinien był kontrolować, czy ktoś nie podąża naszym śladem.

— Musimy pokazać ten chip Profesorowi. — Zawahał się. — Dobra robota.

Podniósł się z miejsca, a ja czułem, że promienieję. Następnie obróciłem się ku Megan, która rzuciła mi bardziej zimne i wrogie spojrzenie niż kiedykolwiek wcześniej. Wstała i ruszyła za Abrahamem.

*Calamity* — pomyślałem. Co mogłoby zaimponować tej dziewczynie? Potrząsnąłem głową i podążyłem za resztą.

Kiedy wróciliśmy, okazało się, że Cody był na zwiadach, wypełniając jakąś misję dla Tii. Ona sama wskazała nam porcje jedzenia, stojące na stole w głównym pomieszczeniu. Czekala nas pozerka, wyzerka, czy cokolwiek to słowo oznaczało.

— Idź powiedzieć Profesorowi, co odkryłeś — rzekł cicho Abraham, zmierzając do magazynu. Megan zabrała się do jedzenia.

— Gdzie idziesz? — zapytałem Abrahama.

— Wygląda na to, że potrzebuję nowego automatu — powiedział z uśmiechem, otwierając drzwi do magazynu. Nie zganił mnie za to, co zrobiłem z jego karabinem — wiedział, że uratowałem naszą grupę. Przynajmniej miałem nadzieję, że Abraham tak na to patrzy, choć w jego głosie dało się słyszeć poczucie straty. Lubił ten swój automat. I nietrudno było odgadnąć dlaczego. Nigdy nie widziałem równie dobrej broni jak ta.

Profesora nie było w głównym pomieszczeniu, a Tia spojrzała na mnie, unosząc brew.

— Co masz zamiar powiedzieć Profesorowi?

— Wyjaśnię ci to — odezwała się Megan, siadając obok niej. Jak zwykle stół Tii zawałowały papiery i puszki po coli. Wyglądało na to, że pracowała nad rejestrami ubezpieczeniowymi, o których wspomniał Cody, i to je miała wyświetlone na ekranie komputera.

Pomyślałem, że jeśli Profesora nie ma w głównym pokoju, musi pracować z imagerem w swojej pracowni. Zapukałem delikatnie w ścianę, bo funkcję drzwi spełniała tylko wisząca zasłona.

— Wchodź, Davidzie — rozległ się z pokoju głos Profesora.

Zawahałem się. Nie byłem w pracowni, odkąd wyjawilem grupie mój plan. Inni też rzadko tutaj zaglądali. To było sanktuarium Profesora, do którego raczej nie zapraszał nikogo na rozmowy. Jeśli chciał porozmawiać, wolał je opuścić.

Odsunąłem zasłonę i wszedłem do pokoju. Wyobrażałem sobie, co robi Profesor z imagerami — może włamuje się do sieci komputerowej, po czym krąży po mieście i śledzi Stalowe Serce i jego sługusów. Ale to nie było nic tak spektakularnego.

— Tablica i kreda? — zapytałem.

Profesor odwrócił się do mnie. Stał przy odległej ścianie, po której pisał coś kredą. Wszystkie cztery ściany oraz sufit i podłoga były wyłożone czarnymi płytkami, pokrytymi białymi zapiskami.

— Wiem — rzekł Profesor, gestem zapraszając mnie do środka. — To nie jest bardzo nowoczesne, prawda? Dysponuję technologią, która może przedstawić wszystko, co zechcę, i to w oczekiwanej przeze mnie formie. Ale wybieram pisanie kredą. — Potrząsnął głową, jak gdyby dziwiąc się własnemu ekscentryzmowi. — Myślę, że to najlepszy sposób. Przyzwyczajenie, jak sądzę.

Podszedłem ku niemu. Dopiero teraz zobaczyłem, że Profesor tak naprawdę nie pisał po ścianach. Miał w rękach niewielki pisak w kształcie kredy. Urządzenie przetwarzało jego pisaninę, sprawiając, że litery pojawiały się na tablicy w miarę ich tworzenia.

Zasłona opadła na swoje miejsce, kryjąc światło dobiegające z sąsiednich pomieszczeń. Z trudem dostrzegałem postać Profesora, bo jedynym światłem była leciutka poświata, którą lśniły zapiski na ścianach. Miałem wrażenie, że płynę w kosmosie, a słowa „gwiazdy” i „galaktyki” emanują blaskiem z odległych miejsc.

— Co to jest? — zapytałem, patrząc do góry i czytając zapiski widniejące na suficie.

Część z nich została wzięta w ramkę, od której odchodziły w różne strony strzałki i linie. Nie mogłem wychwycić sensu tego, co widziałem. Notatki sporządzono w języku angielskim. Jednakże wiele słów zostało zapisanych małymi literami, a niektóre skrótami.

— Plan — odrzekł Profesor z roztargnieniem. Nie nosił gogli ani fartucha. Obydwie te rzeczy wisiały na kołku obok drzwi. Rękawy jego czarnej koszuli były podwinięte do łokci.

— Mój plan? — zapytałem.

Uśmiech Profesora został oświetlony przez blask ściennych liter.

— Już nie tak bardzo. Lecz jego ziarna są tutaj.

Poczułem ostry ucisk w dołku.

— To znaczy, miałem na myśli...

Profesor popatrzył na mnie, po czym położył mi dłoń na ramieniu.

— Zrobiłeś kawał dobrej roboty, synu. Biorąc pod uwagę wszystkie czynniki.

— Co było nie tak z moim planem? — zapytałem. Spędziłem lata... właściwie całe moje życie, opracowując go, i byłem pewien, że jest niezły.

— Ależ nic, nic — zapewnił mnie Profesor. — Twoje pomysły są logiczne. Nawet bardzo. Przekonać Stalowe Serce, że w mieście pojawił się rywal, wywabić go, a potem zniszczyć. Choć faktem rzucającym się w oczy jest to, że nie wiesz, jaka jest jego słaba strona.

— Rozwiązanie gdzieś jest — powiedziałem.

— Tia ciężko nad tym pracuje. Jeśli ktoś może odkryć prawdę, to tylko ona — rzekł Profesor, przerwał, po czym mówił dalej: — Właściwie nie powinienem był powiedzieć, że to nie jest twój plan. Jest, i zaczerpnąłem z niego znacznie więcej niż tylko ziarna. Przejrzałem twoje zapiski. Odkryłeś wiele cennych faktów.

— Dziękuję.

— Ale twoja wizja była zbyt wąska, synu. — Profesor zdjął rękę z mojego ramienia i podszedł do ściany. Stuknął w nią pisakiem i zapiski przesunęły się. Profesor nawet tego nie zauważył, ale mnie zakręciło się w głowie, gdy ściany zaczęły wirować wokół mnie. Wszystko ustało, gdy przed Profesorem pojawiła się nowa ściana tekstu.

— Zaczniemy od tego — rzekł Profesor. — Oprócz tego, że nie znamy słabości Stalowego Serca, jaka jest największa wada twego planu?

— Ja... — Zmarszczyłem brwi. — Usunięcie Władcy Ciemności? Ale, Profesorze, my...

— Nie — rzekł Profesor. — To nie to.

Wysiliłem umysł jeszcze bardziej. Nie pomyślałem, że mój plan ma wady. Opracowałem go, usuwając niedoskonałości niczym wypryski z podbródka nastolatka.

— Rozłóżmy to na czynniki pierwsze. — Profesor uniósł rękę i zmiotł napisy ze ściany, tak jak się usuwa błoto z okiennicy. Litery z chrzęstem przesunęły się na bok, ale nie zniknęły, lecz mocno się ścisnęły. Wyglądało to tak, jak gdyby z rolki papieru rozwinięto jego nowy kawałek. Profesor uniósł swój przyrząd w kształcie kredy i zaczął pisać po czystej powierzchni.

— Krok pierwszy: stworzyć hipotetycznego Epika. Krok drugi: zacząć zabijać potężniejszych Epików, tak by Stalowe Serce zaczął się niepokoić. Krok numer trzy: wywabić go z kryjówek. Krok czwarty: zabić go. Czyniąc to, przywracamy ludzkości nadzieję i zachęcamy ludzi, by zaczęli walczyć.

Skinąłem głową.

— Jest tylko jeden problem — mówił Profesor, notując na tablicy. — Jeśli rzeczywiście zdołamy zabić Stalowe Serce, zrobimy to dzięki wykreowaniu postaci potężnego Epika. Potem wszyscy dojdą do wniosku, że za całą sprawą stał Epik, którego nie można pokonać. I co osiągamy?

— Po wszystkim musimy ogłosić, że Stalowe Serce zabili Mściciele.

Profesor potrząsnął głową.

— Nie zadziała. Nikt nam nie uwierzy. Nie po tym wszystkim, przez co będziemy musieli przejść, by w wymagowanego Epika uwierzył Stalowe Serce.

— Czy to ma znaczenie? — zapytałem. — On i tak będzie już wtedy martwy. — Następnie, nieco ciszej, dodałem: — A ja wezmę rewanż.

Profesor zawahał się z pisakiem w ręku.

— Tak — odrzekł. — Jak myślę, osiągniesz to.

— Ale i pan pragnie tego samego — powiedziałem, podchodząc bliżej. — Widzę to, Profesorze.

— Chcę śmierci wszystkich Epików.

— To coś więcej — odparłem. — Widzę to po panu.

Popatrzył na mnie surowo.

— To nie ma znaczenia. Sprawą kluczową jest, by ludzie wiedzieli, że za wszystkim stoimy my. Sam to powiedziałeś. Nie jesteśmy w stanie zabić wszystkich Epików. Jediną nadzieją dla ludzkości jest to, że zdołamy przekonać ludzi, iż mogą walczyć. Aby tak się stało, Stalowe Serce musi paść z ręki człowieka.

— Ale wywabimy go tylko wówczas, gdy uwierzy, że zagraża mu inny Epik — oznajmiłem.

— Rozumiesz, w czym jest problem?

— Ja... — chyba zacząłem rozumieć. — Nie będziemy więc kreowali nieistniejącego Epika?

— Będziemy — rzekł Profesor. — Podoba mi się ten pomysł. Na razie wyodrębniłem problemy, nad którymi musimy popracować. Jeśli ten... Limelight ma zabić Stalowe Serce, musimy znaleźć pewny sposób na to, żeby po wszystkim przekonać ludzi, że zrobiliśmy to my. Nie jest to niemożliwe, ale dlatego właśnie zacząłem intensywniej zastanawiać się nad planem, poszerzać go.

— Okej — odparłem, odprężając się. Tak więc wciąż idziemy w obranym kierunku. Fałszywy Epik... to była podstawa mego pomysłu.

— Niestety, to jest spory problem — kontynuował Profesor, postukując pisakiem o ścianę. — Twój plan zakłada, że mamy zabić Epików z bliskiego otoczenia Stalowego Serca, tak by poczuł się zagrożony i w konsekwencji dał się sprowokować do spotkania. Wymyśliłeś, że musimy to zrobić, gdyż w ten sposób udowodnimy, że do miasta przybył nowy Epik. Tylko że to nie zadziała.

— Jak to? Dlaczego?

— Bo to właśnie robili Mściciele. Zabijaliśmy Epików po cichu, nigdy nie występując otwarcie. Stalowe Serce nabierze więc podejrzeń. Musimy myśleć tak, jak by myślał rzeczywisty rywal Stalowego Serca. Ktokolwiek, kto pragnąłby władzy w Newcago, musiałby zrobić nawet więcej niż tylko to. Epik, o którym mówimy, musiałby mieć w swoim władaniu jakieś miasto, bo aby zapragnąć Newcago, trzeba być ambitnym. Trzeba chcieć być królem. Mieć Epików gotowych na skinienie i rozkazy Tak więc zabijanie ich jednego po drugim nie ma sensu. Rozumiesz?

— Ktoś taki chciałby raczej pozostawić innych Epików przy życiu, tak by mieć wsparcie — powiedziałem, z wolna chwytając, o co chodzi. — Każde zabójstwo Epika umniejszałoby władzę naszego wymagowanego Limelighta.

— Właśnie — rzekł Profesor. — Władca Ciemności, Pożar, może Conflux... Musimy być bardzo ostrożni w decyzjach, kogo zabić, a kogo przekupić.

— Tylko że ich nie możemy przekupić. Nie jesteśmy w stanie przekonać ich, że jesteśmy

Epikiem, nie na długo.

— Tak więc dostrzegasz kolejny problem — zauważył Profesor.

Miał rację. Struchlałem, czując się jak woda, z której po całej nocy ulotnił się gaz. Dlaczego nie dostrzegłem tego, tworząc mój plan?

— Pracowałem nad rozwiązaniem tych dwóch kwestii — powiedział Profesor. — Jeśli mamy zamiar naśladować Epika — a sądzę, że powinniśmy — musimy udowodnić potem, że za wszystkim stali Mściciele. Prawda musi rozprzestrzenić się po Newcago i dotrzeć do wszystkich zakątków Stanów. Nie wystarczy tylko zabić Stalowe Serce, musimy to także utrwalić na filmie. W ostatniej chwili musimy rozesłać informację o tym, co planujemy, do właściwych osób w mieście, tak by wiedzieli o fakcie i potwierdzili go. Ludzi takich jak Diamond, niebędących Epikami magnatów zbrodni, ludzi wpływowych, lecz niepowiązanych z rządzącymi.

— Dobra, ale co z drugą sprawą?

— Musimy uderzyć w słaby punkt Stalowego Serca — odrzekł Profesor — ale nie możemy poświęcać temu zbyt wiele czasu. Nie możemy też koncentrować się jedynie na Epikach. Powinniśmy zaatakować go raz lub dwa razy, tak by postrzegał nas jako zagrożenie i jako rywala, który chce zająć jego miejsce.

— Zatem...

Profesor postukał w ścianę i tekst znajdujący się na dole pojawił się nagle tuż przed nim. Postukał raz jeszcze i część tekstu zaczęła świecić na zielono.

— Zielony? — zapytałem rozbawiony. — O co to chodziło z upodobaniem do staromodnych rzeczy?

— Na tablicy możesz używać kolorowej kredy — powiedział szorstko Profesor, kreśląc trzy słowa: system odprowadzania ścieków.

— System odprowadzania ścieków? — zdziwiłem się. Oczekiwałem czegoś bardziej spektakularnego i mniej... gównianego.

Profesor skinął głową.

— Obiektem ataków Mścicieli nigdy nie są urządzenia; koncentrujemy się tylko na Epikach. Jeśli naszym celem stanie się jeden z obiektów miejskiej infrastruktury, przekona to Stalowe Serce, iż to nie Mściciele występują przeciwko niemu, lecz ktoś inny. Ktoś, kto chce zagrozić władzy Stalowego Serca — albo rebelianci w mieście, albo inny Epik, który wkroczył na jego terytorium. Newcago funkcjonuje w oparciu o dwie zasady: strach i stabilność. Miasto ma podstawową infrastrukturę, której wiele innych miast nie posiada, i to przyciąga tutaj ludzi. Strach przed Stalowym Sercem utrzymuje ich zaś w ryzach. — Profesor ponownie uprzątnął ścianę z zapisków, po czym rozwinął inne, wykonane „kredą” na dalej położonej ścianie. Wyglądały jak nieudolna światłokopia. — Jeśli uderzymy w infrastrukturę Newcago, przyjdzie do nas szybciej, niż gdybyśmy zaatakowali Epików. Stalowe Serce nie jest głupi. Wie, dlaczego ludzie przybywają do Newcago. Jeśli utraci podstawowe rzeczy — ścieki, energię, komunikację — straci miasto.

Skinąłem głową.

— Zastanawiam się dlaczego.

— Dlaczego? Zaraz ci to wyjaśnię... — Profesor urwał i spojrzał na mnie. Potem zmarszczył brwi. — Ale tobie nie o wyjaśnienie chodzi.

— Zastanawiam się, dlaczego Stalowe Serce dba o takie rzeczy. Dlaczego zadaje sobie trud utrzymania miasta, w którym ludzie chcą żyć? Dlaczego dba, by ludzie mieli jedzenie, wodę czy elektryczność? Zabija ich bezlitośnie, a jednocześnie dba o to, by zapewnić im niezbędną do życia rzeczy.

Profesor zamilkł. W końcu potrząsnął głową.

— W jaki sposób masz być królem, jeśli nie będzie nikogo, kto zechce za tobą podążać? Wróciłem myślą do tamtego dnia, w którym zginął mój ojciec. *Ci ludzie należą do mnie...* Przetrawiając te słowa, pojąłem coś, co miało związek z Epikami. Coś, czego pomimo wielu lat zbierania informacji na ich temat nigdy wcześniej nie rozumiałem.

— To nie wszystko — szepnął Profesor. — Nie wystarczy mieć boskich mocy, by zostać uznanym za kogoś, kogo nie można zabić, nie wystarczy podporządkować sobie żywiołów i osiągnąć wyżyn. To nie zadziała, chyba że użyjesz tego, by sprawić, że ludzie podążą za tobą. Innymi słowy, Epicy byłiby niczym bez zwykłych ludzi. Potrzebują ludzi, by nad nimi dominować, by pokazywać swoją władzę.

— Nienawidzę go — wysyczałem, choć nie miałem zamiaru wypowiadać tych słów na głos. Nie zdałem sobie nawet sprawy, że to pomyślałem.

Profesor popatrzył na mnie.

— Ma pan zamiar powiedzieć mi, że mój gniew nie przyniesie nic dobrego? — zapytałem. W przeszłości ludzie próbowali mówić mi takie rzeczy. Najczęściej robiła to Martha. Twierdziła, że żąda zemsty pożre mnie żywcem.

— Twoje emocje są twoją sprawą, synu — odrzekł Profesor, odwracając się. — Nie dbam o to, dlaczego walczysz, dopóki to robisz. Być może twój gniew spali cię od środka, ale lepsze już to niż tkwienie pod pręgierzem Stalowego Serca. — Urwał. — Poza tym przekonywanie cię, byś czuł inaczej, jest podobne do sytuacji, w której palenisko mówi do pieca, by nie był taki gorący.

Skinąłem głową. Profesor rozumiał. Czuł to samo.

— Tak czy inaczej, nasz plan został przeorganizowany — rzekł. — Uderzymy w oczyszczalnię ścieków, ponieważ jest najsłabiej strzeżona. Trik będzie polegał na tym, by Stalowe Serce przypisał ten atak rywalowi Epikowi, a nie grupie buntowników.

— Czy byłoby tak źle, gdyby ludzie pomyśleli, że to bunt?

— To nie sprowokowałoby Stalowego Serca, by się do nas pofatygował — odparł Profesor. — A jeśli dojdzie do wniosku, że ludzie wystąpili przeciwko niemu, ukarze ich za to. Nie chciałbym, by w ramach zemsty Stalowego Serca za to, co zrobiliśmy, ucierpieli niewinni ludzie.

— Czy to jednak nie ma trochę sensu? Pokazać innym, że można się bronić? Właściwie, jak tak o tym wszystkim myślę, może powinniśmy osiąść w Newcago na dobre. Jeśli zwyciężymy, być może kiedyś poprowadzimy to miasto...

— Stop.

Zmarszczyłem brwi.

— Zabijamy Epików, synu — powiedział Profesor, a jego głos stał się nagle cichy i poważny. — I dobrze nam to wychodzi. Ale nie kładź sobie do głowy, że jesteśmy rewolucjonistami, że jesteśmy w stanie zburzyć wszystko na zewnątrz i sami wkroczyć. W chwili, gdy zaczniemy tak myśleć, zejdziemy na złą drogę. Chcemy, by inni zaczęli walczyć. Chcemy ich inspirować. Ale nie chcemy wziąć władzy dla siebie. To wszystko. Wykonujemy egzekucje. Wywabimy Stalowe Serce z jego pałacu i wydrzemy serce z jego piersi. Potem pozwolimy innym, by decydowali, co się stanie z miastem. Ja nie chcę brać w tym udziału.

Zdecydowanie przebijające z tych słów, jakkolwiek wypowiedzianych cicho, sprawiło, że umilkłem. Nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć. Być może Profesor obrał jeden cel. Było nim zabicie Stalowego Serca. *Musimy się na tym skoncentrować.*

Wciąż jednak czułem zdziwienie, że nie złażał mnie za moją żądzą zemsty. Był chyba pierwszym człowiekiem, który nie zaserwował mi banałów o odczuwaniu chęci zemsty.

— Dobrze — powiedziałem. — Jakkolwiek myślę, że oczyszczalnia ścieków nie jest

dobrym miejscem na atak.

— A jakie jest odpowiednie według ciebie?

— Elektrownia.

— Zbyt dobrze strzeżona. — Profesor przejrzał swoje materiały, a ja zauważyłem, że był wśród nich także i plan elektrowni z adnotacjami na jego obrzeżach. Profesor też brał ją pod uwagę.

Poczułem dreszcz, uświadomiwszy sobie, że myśli nas obydwu podążają tym samym torem.

— Jeśli jest dobrze pilnowana — powiedziałem — to wysadzenie jej w powietrze będzie wyglądało znacznie bardziej imponująco. A kiedy znajdziemy się w elektrowni, możemy spróbować ukraść jedno z ogniw energetycznych. U Diamonda kupiliśmy karabin, ale to za mało. Potrzebujemy źródła energii, by mógł działać. — Uniosłem komórkę ku ścianie i włączyłem nagranie prezentujące broń Gaussa. Nagranie pojawiło się na ścianie, usuwając zapiski Profesora na bok.

Profesor oglądał wideo w milczeniu, a kiedy się skończyło, pokiwał głową.

— Tak więc nasz fałszywy Epik będzie miał wielką moc energii.

— I dlatego będzie w stanie zniszczyć elektrownię — powiedziałem. — To będzie jak symbol. — Epicy uwielbiali symbole i motywy.

— To smutne, ale zniszczenie elektrowni nie powstrzyma armii — stwierdził Profesor. — Conflux zasila ją energią. Zasila nią także i miasto, ale nasz wywiad doniósł, że robi to, ładując ogniwa energetyczne, które przechowywane są w elektrowni. — Wskazał plany ją przedstawiające. — Jedno z takich ogniw mogłoby uruchomić nasz automat. Są niezwykle funkcjonalne i mają więcej mocy, niż wydaje się to możliwe. Jeśli wysadzimy elektrownię i wszystkie ogniwa, spowoduje to zagładę miasta. — Pokiwał głową. — Podoba mi się to. Niebezpieczne, ale ciekawe.

— Wciąż musimy dostać Confluxa — zauważyłem. — To ma sens, nawet jeśli mówimy o rywalizującym ze Stalowym Sercem Epiku. Najpierw zniszczy elektrownię, potem zajmie się armią. Nastąpi chaos. Wszystko pójdzie dobrze, jeśli zabijemy Confluxa z tej broni, dając przy okazji wielki pokaz świetlny.

Profesor przytaknął.

— Muszę bardziej popracować nad szczegółami planu — powiedział, podnosząc rękę i przesuając obraz. Wideo zniknęło, jak gdyby było rysunkiem wykonanym kredą. Odsunął na bok kolejne zapiski i ujął w dłoń pisak. Najpierw jednak zerknął w moją stronę.

— Co? — zapytałem.

Profesor podszedł do stołu, na którym leżała kurtka Mścicieli, i coś spod niej wyjął. Potem wręczył to mnie. Rękawica. Jeden z tensorów.

— Ćwiczyłeś? — zapytał.

— Jeszcze nie jestem w tym dobry.

— Będiesz. I to szybko. Nie mogę mieć grupy, która byłaby pozbawiona siły, a nie wydaje się, by Megan potrafiła sprawić, aby tensor zaczął działać.

Ująłem rękawicę, nie mówiąc nic, choć miałem ochotę zadać pytanie: *Dlaczego nie pan, Profesorze? Dlaczego nie chce pan używać własnego wynalazku?* Jednakże mając w pamięci ostrzeżenie Tii, by nie wścibiać nosa w nie swoje sprawy, w porę ugryzłem się w język.

— Spotkałem się oko w oko z Władcą Ciemności — wypaliłem nieoczekiwanie, przypominając sobie, dlaczego właściwie przyszedłem porozmawiać z Profesorem.

— Co takiego?

— Przeszedł do sklepu Diamonda. Wyszedłem z kryjówki i udawałem, że jestem



pomocnikiem Diamonda. Użyłem skanera UV, żeby ujawnić słaby punkt Władcy Ciemności.

Profesor przyglądał mi się. Jego twarz nie zdradzała emocji.

— Miałeś aktywne popołudnie. Zgaduję, że zrobiłeś to, narażając grupę na spore ryzyko?

— Ja... Tak. — Lepiej, żeby usłyszał to ode mnie niż od Megan, która bez wątpienia opowiedziałaby ze szczegółami, jak to pogwałciłem nasz wcześniejszy plan.

— Obiecujesz coś — rzekł Profesor. — Podejmujesz ryzyko, masz rezultaty. Udało ci się udowodnić to, co wcześniej twierdziłeś o Władcy Ciemności?

— Mam nagranie.

— Imponujące.

— Megan to się nie spodobało.

— Megan akceptowała uprzedni stan rzeczy — powiedział Profesor. — Pojawienie się w grupie nowego członka zawsze wywraca wszystko do góry nogami. Poza tym wydaje mi się, że boi się, iż ją przyćmisz. Wciąż odczuwa gorycz, że nie potrafi poradzić sobie z tensorem.

*Megan? Boi się, że ją przyćmię?* Profesor chyba nie znał jej zbyt dobrze.

— Tak więc co do ciebie — rzekł Profesor — chcę, żebyś opanował obsługę tensora, nim uderzymy na elektrownię. I nie przejmuj się zbytnio Megan...

— Nie będę. Dziękuję.

— ... bardziej martw się mną.

Zamarłem.

Profesor zaczął pisać na tablicy i nie odwracał się, mówiąc dalej. Jego słowa były ostre.

— Osiągnąłeś cel, narażając życie moich ludzi. Jak rozumiem, nikt nie został ranny, bo w innym wypadku powiedziałbyś mi o tym. Dotrzymałeś obietnicy. Ale jeżeli z powodu twej zuchwałości ktoś z grupy zginie, Davidzie Charleston, to nie Megan będzie twoim problemem. Nie zostanie z ciebie tyle, byś w ogóle mógł się kłopotać Megan.

Przełknąłem ślinę. Poczułem, że w ustach mam zupełnie sucho.

— Powierzam ci ich życie — mówił Profesor — a im twoje. Nie zawieź tego zaufania, synu. Trzymaj swoje impulsy na wodzy. Nie podejmuj działania, bo akurat masz taką możliwość. Działaj, kiedy to jest słuszne. Jeśli to zapamiętasz, wszystko będzie dobrze.

— Tak, proszę pana — odparłem, szybko wycofując się za zasłaniającą wejście kotarę.

— Jest sygnał? — zapytał Profesor przez słuchawkę.  
Przyłożyłem rękę do ucha.

— W porządku — odpowiedziałem. Na nadgarstku miałem mój telefon komórkowy, świeżo zestrojony z komórkami Mścicieli i całkowicie zabezpieczony przed kontrolą ze strony Stalowego Serca. Dostałem również jedną z kurtek. Była cienka, czarno-czerwona, w sportowym stylu. Pod podszewką znajdowały się przewody oraz mały, wszyty na plecach zasilacz. To dzięki niemu, w przypadku odniesienia poważnej rany, uruchamiało się pole ochronne.

Profesor przygotował tę kurtkę specjalnie dla mnie. Powiedział, że ochroni mnie w razie upadku albo niewielkiej eksplozji. Nie powinienem jednak próbować skoków ze skalnych urwisk. Kurtka nie pomoże także w przypadku strzału w twarz. Nie miałem zamiaru jednak próbować żadnej z tych rzeczy.

Kurtkę nosiłem z dumą. Nigdy nie powiedziano oficjalnie, że uznano mnie za członka grupy, ale telefon i kurtka właśnie o tym świadczyły. Oczywiście mój udział w misji prawdopodobnie też był dobrym znakiem.

Zerknąłem na telefon. Pokazywał, że w tej chwili jestem połączony tylko z Profesorem. Stuknięcie w ekran powodowało, że mogłem być na linii ze wszystkimi członkami grupy, jednym z nich albo kilkoma wybranymi.

— Zajęliście już swoją pozycję? — zapytał Profesor.

— Tak. — Stałem w ciemnym, wykonanym z czystej stali tunelu, jedyne światło padało z telefonu mojego i Megan. Dziewczyna miała na sobie ciemne dżinsy i swoją brązową, skórzaną kurtkę, teraz odpiętą i ukazującą obcisły T-shirt. Megan z uwagą obserwowała sufit.

— Profesorze — powiedziałem cicho, odwracając się. — Jest pan pewien, że w tej misji moim partnerem nie może być Cody?

— Cody i Tia są zapleczem — odparł Profesor. — Tym razem jesteśmy w innej roli, synu.

— Może mógłbym pójść z Abrahamem. Albo z panem. — Obejrzałem się przez ramię, po czym zacząłem mówić jeszcze ciszej. — Megan nie za bardzo mnie lubi.

— Dwoje członków mojej grupy nie może się nie dogadać — rzekł Profesor surowo. — Nauczycie się razem pracować. Megan jest profesjonalistką. Będzie dobrze.

*Tak, jest profesjonalistkę* — pomyślałem. *Zbytnią profesjonalistkę.* Ale Profesor tego nie słyszał.

Wzięłem głębszy oddech. Moje zdenerwowanie częściowo związane było z moim zajęciem. Od czasu rozmowy z Profesorem minął tydzień. Reszta Mścicieli zgadzała się, że atak na elektrownię i stworzenie wrażenia, że zrobił to fałszywy Epik, jest najlepszym pomysłem.

I oto nadszedł ten dzień. Mieliśmy dostać się do elektrowni i ją zniszczyć. To miała być moja pierwsza operacja w szeregach Mścicieli. Wreszcie byłem członkiem grupy. Nie chciałem być tym najsłabszym.

— Wszystko w porządku, synu? — zapytał Profesor.

— Tak.

— Ruszamy. Nastaw stoper.

Zaprogramowałem komórkę na odliczanie dziesięciu minut. Profesor i Abraham mieli dostać się do elektrowni z drugiej strony kompleksu. Tam znajdowało się jej główne wyposażenie. Ich zadaniem było utorowanie drogi i podłożenie ładunków wybuchowych. Po

dziesięciu minutach do elektrowni mieliśmy przedrzeć się ja i Megan. Do nas należała kradzież ogniów energetycznych, które zasilą automat Gaussa. Tia i Cody mieli przedostać się na końcu przez dziurę, której wycięciem zajęli się Profesor i Abraham. Byli grupą wsparcia; gotowi do wkroczenia do akcji, gdyby zaszła taka potrzeba. W przeciwnym wypadku mieli pozostać na tyłach i przekazywać nam informacje i wskazówki.

Wzięłem kolejny głębszy oddech. Na jednej ręce miałem telefon, na drugiej czarny, skórzany tensor, którego świecące zielone pasemka biegły od koniuszków palców ku dłoni. Megan obserwowała mnie, jak zmierzam ku wylotowi tunelu, który Abraham wyciął na dzień przed wyprawą zwiadowczą.

Pokazałem jej czasomierz odliczający minuty.

— Jesteś pewien, że potrafisz to zrobić? — zapytała. W jej głosie czuło się ślad sceptycyzmu, choć twarz nic nie wyrażała.

— Radzę sobie z tensorami całkiem nieźle — odrzekłem.

— Zapominasz, że obserwowałam, jak trenujesz.

Uniosła brew.

— Poradzę sobie — powiedziałem, wchodząc do tunelu w miejscu, w którym Abraham wyciął kolumnę, wyrastającą wprost z podłoża. Była na tyle niewysoka, że wszedłszy na nią, mogłem bez wysiłku dotknąć sufitu tunelu. Zegarek zapikał. Milczeliśmy. W myślach parę razy rozpoczynałem konwersację z Megan, ale słowa zamierały mi na wargach, kiedy tylko otwierałem usta. Za każdym razem napotykałem jej szkliste spojrzenie. Nie miała ochoty rozmawiać. Chciała wykonać zadanie.

*Właściwie dlaczego mi tak zależy? — pomyślałem, popatrując na sufit. Wyjąwszy pierwszy dzień, potem nigdy nie okazała mi już niczego poza chłodem, a od czasu do czasu pogardę.*

Ale... było w niej coś. Coś więcej niż to, że była piękna i że nosiła przy sobie granaty — co wciąż uważałem za zdumiewające, nawiasem mówiąc.

W Fabryce były dziewczęta. Ale, tak jak reszta, udawały bez troskę. Można było powiedzieć, że starają się po prostu żyć, lecz tak naprawdę bały się. Wojska i Epików, którzy mogli je zabić.

Megan nigdy nie sprawiała wrażenia kogoś, kto się boi. Nie uprawiała kobiecych gier, nie przewracała oczami, nie mówiła rzeczy, których nie myślała. Robiła to, co należało zrobić, i była w tym dobra. W moich oczach to właśnie było atrakcyjne. Marzyłem, by jej to powiedzieć. Ale wydobyć słowa z moich ust przypominało przepychanie metalowych kulek przez dziurkę od klucza.

— Ja... — zacząłem.

Moja komórka zapikała.

— Ruszamy — powiedziała Megan, patrząc w górę.

Starając się wmówić sobie, że sygnał komórki wcale nie wyzwolił mnie od problemu, podniosłem rękę aż do sufitu i zamknąłem oczy. Naprawdę nieźle radziłem sobie z tensorem. Nie byłem jeszcze tak dobry jak Abraham, ale nie musiałem czuć już zakłopotania. W każdym razie przez większą część czasu. Dotknąłem ręką metalowego sufitu tunelu i nacisnąłem, wciąż trzymając dłoń w jednym miejscu. Zaczęły się wibracje.

Dźwięk przypominał warczenie podrasowanego samochodu, który właśnie zapalał, ale był bardziej stonowany. Była to jedna z metafor Cody'ego; ja powiedziałbym, że tak działa niestabilna pralka, wypełniona setką epileptycznych szympansów. Byłem dumny z tego porównania.

Naciskałem mocno pewną ręką, mrużąc do siebie pod nosem w rytm odgłosów tensora.

To pomagało mi się skoncentrować. Inni tego nie robili i nie musieli zawsze trzymać ręki opartej o sufit. Chciałem wreszcie nauczyć się posługiwać tensorem tak, jak robili to oni, ale póki co moja metoda musiała wystarczyć.

Wibracje narastały, ale ja wyhamowywałem je za pomocą ręki. Trwało to dopóty, dopóki nie poczułem, że paznokcie mi zaraz pękną. Potem cofnąłem rękę i dokonałem pchnięcia.

Wyobraźcie sobie, że macie w ustach rój pszczół, wypluwacie go, a potem staracie się skierować rój w jeden punkt jedynie siłą swego oddechu i woli. Robiłem coś podobnego. Moja ręka poleciała do tyłu, a ja nakierowałem na wpół muzyczne wibracje tensora na sufit, który zabrzęczał i zatrzęsł się z cichym pomrukiem. Wokół mej ręki posypał się stalowy pył, opadając na podłoże niczym ser starty na tarce.

Megan obserwowała mnie z założonymi na piersiach rękami i uniesionym łukiem brwiowym. Przygotowałem się na zimny, obojętny komentarz. Skinęła głową i powiedziała:

— Niezła robota.

— Tak, widzisz, sporo ostatnio ćwiczyłem. Rozwalałem starą ścianę sali gimnastycznej.

— Co takiego? — zmarszczyła brwi, rozstawiając drabinę, którą mieliśmy ze sobą.

— Nieważne — odparłem i zacząłem wchodzić po drabinie, po czym zajrzałem do piwnicy elektrowni. Nigdy tam wcześniej nie byłem. Przypominała bunkier ze stalowymi ścianami, który otaczały ogrodzenia. Stalowe Serce lubił mieć takie miejsca pod kontrolą; nie były one tylko elektrownią, na wyższych piętrach mieściły się bowiem rządowe biura. Wszystkie pilnie strzeżone, ogrodzone i pod obserwacją.

W piwnicy na szczęście nie umieszczono kamer. W większości znajdowały się one dopiero na korytarzach.

Megan wręczyła mi mój karabin, a ja wspiałem się do pomieszczenia na górze. Znajdowaliśmy się w magazynie. Panowała ciemność, pomimo kilku zamontowanych „wiecznych” świateł, które... cóż, zawsze się wypalały. Podeszedłem do ściany i postukałem w komórkę.

— Jesteśmy w środku — powiedziałem cicho.

— Dobrze — usłyszałem głos Cody'ego.

Zaczerwieniłem się.

— Przepraszam. Chciałem połączyć się z Profesorem.

— I tak zrobiłeś. Poleciał mi was obserwować. Włącz przesyłanie obrazu w słuchawce w uchu.

Ze słuchawki wystawała nad moim uchem miniaturowa kamera. Nacisnąłem parę klawiszy w komórce, żeby ją uruchomić.

— W porządku — rzekł Cody. — Tia i ja jesteśmy w miejscu, w którym Profesor zaczął wchodzić do elektrowni.

Profesor brał pod uwagę różne możliwości, co zazwyczaj oznaczało, że na tyłach pozostawała jedna lub dwie osoby, które umożliwiłyby odwrót lub uruchomiły plan awaryjny, gdyby część grupy miała kłopoty.

— Nie mamy tu zbyt wiele do roboty — mówił dalej Cody, przeciągając samogłoski, jak to się robi na południu — więc mam zamiar ci poprzekadzać.

— Dzięki — odrzekłem, patrząc, jak Megan gramoli się przez dziurę.

— Nie ma za co, chłopie. I nie gap się w dekolt Megan.

— Ja nie...

— Tylko się z tobą drocę. Mam nadzieję, że to zrobisz. Byłoby fajnie popatrzeć, jak Megan strzela ci w nogi, przyłapując cię na podglądaniu.

Rozejrzałem się uważnie. Na szczęście Cody nie połączył się z Megan i nie słyszała

naszej rozmowy. Poczulem jednak ulgę, dowiedziawszy się, że Cody nas widzi. Megan i ja byliśmy członkami grupy o najkrótszym stażu; jeśli ktoś z grupy miałby prawo do otrzymania pomocnych instrukcji, to byliśmy to z pewnością my.

Megan niosła na plecach pakunek z rzeczami, niezbędnymi do infiltracji. Wyjęła pistolet, który, mówiąc szczerze, w zamkniętych pomieszczeniach był poręczniejszy niż mój karabin.

— Gotowy? — zapytała.

Skinąłem głową.

— Na ile twoich „improvizacji” mam być dzisiaj przygotowana? — zapytała.

— Tylko tyle, ile będzie potrzeba — odburknąłem, podnosząc rękę ku ścianie. —

Gdybym wiedział, że improvizacja będzie konieczna, tobym nie musiał wymyślać czegoś w ostatniej chwili, prawda? Byłoby to zaplanowane.

Zachichotała.

— Nie masz o tym zbyt dużego pojęcia.

— Zbyt dużego pojęcia? Widziałas te wszystkie zeszyty z notatkami i planami, które przyniosłem do grupy? Te, przy odzyskiwaniu których o mało nie zginęliśmy?

Megan odwróciła się, nie patrząc na mnie, i zeszywniała.

*Dziwna dziewczyna* — pomyślałem. *I spróbuj tu się połapać, o co jej chodzi.*

Potrząsnąłem głową, opierając rękę o ścianę.

Do ważniejszych miejsc użyteczności publicznej trudno było się przedostać, ponieważ pilnie ich strzeżono. Kamery zamontowano na wszystkich korytarzach i klatkach schodowych. Wpadłem na pomysł, byśmy włamali się do sieci komputerowej ochrony i wyłączyli kamery. Profesor odparł, że włamujemy się do sieci, by widzieć to, co rejestrują kamery, ale ich wyłączenie po to, by można było przeniknąć do budynku, rzadko działa tak, jak na starych filmach. Stalowe Serce nie zatrudnia głupich pracowników ochrony, a ci z pewnością zauważyliby, że kamery nie pracują. Poza tym korytarze są przecież patrolowane przez ochronę.

Istniał jednakże prostszy sposób upewnienia się, że nie jesteśmy widziani. Po prostu powinniśmy trzymać się z dala od korytarzy. W większości pomieszczeń nie było kamer, jako że badania czy eksperymenty naukowe były trzymane w tajemnicy — także i przed ochroną budynku.

Podniosłem rękę, skoncentrowałem się i wyciąłem szeroką na ponad metr dziurę w ścianie. Wyjrzałem przez nią, świecąc w nią telefonem komórkowym. Jak się okazało, zniszczyłem sprzęt komputerowy stojący przy ścianie, musiałem też przesunąć zagrażające nam drogę biurko, ale wewnątrz nie było nikogo. O tej porze, nocą, większość budynków elektrowni już opustoszała. Tia bardzo dokładnie wyznaczyła naszą trasę, tak by zminimalizować niebezpieczeństwo napotkania kogoś po drodze.

Kiedy przedostaliśmy się do pomieszczenia, Megan wyjęła z plecaka jakiś przedmiot i przymocowała go do ściany obok dziury, przez którą wyszliśmy. Przedmiot błyskał złowieszczo czerwonym światłem. Naszym zadaniem było podłożyć ładunki wybuchowe obok dziur, które wyciąłem, dzięki czemu po eksplozji nikt nie będzie wiedzieć nic o zastosowaniu tensorów.

— Ruszcie dalej — powiedział Cody. — Każda kolejna minuta spędzona w tym miejscu to ryzyko, że ktoś może się tu przyplątać i zastanowić, skąd wzięły się te cholerne dziury.

— Dobra — odparłem, przesuwając palcem po ekranie komórki i uaktywniając mapę sporządzoną przez Tię. — Jeśli będziemy posuwali się prosto przez kolejne trzy pokoje, dotrzemy do ewakuacyjnej klatki schodowej, gdzie umieszczono mniejszą liczbę kamer. Unikniemy ich, wycinając dziury w ścianach i przemieszczając się o dwa piętra wyżej. Potem musimy utorować sobie drogę do magazynu, gdzie znajdują się ogniwa energetyczne. Podłożymy resztę ładunków, ukradniemy jedno lub dwa ogniwa i czmychniemy.

— Mówisz do siebie? — zapytała Megan, obserwując drzwi z przygotowanym do strzału pistoletem w rękach.

— Powiedz jej, że słuchasz małych demonów — powiedział Cody. — To zawsze działa.

— Cody jest na linii — powiedziałem, pracując nad kolejną ścianą. — Daje mi wspaniałe rady, żebyśmy się pospieszyli. I mówi coś o małych demonach.

To spowodowało, że na ustach Megan pojawiło się coś na kształt uśmiechu. Przysiągłbym, że go widziałem, przynajmniej przez chwilę.

— Małe demony są całkowicie realne — powiedział Cody. — Sprawiają, że takie mikrofony jak nasze działają. To one mówią, żebyś zjadł ostatni kawałek ciasta, chociaż to Tia ma na niego ochotę. Poczekajcie chwilę. Mam na wizji ochronę. Ktoś idzie korytarzem na dole. Chwila.

Zamarłem, po czym wyciszyłem tensor.

— Weszli do pokoju obok — odezwał się Cody. — Światła były włączone. Może ktoś tam był, ale tego nie miałem możliwości zobaczyć. Uniknęliście, póki co, kulki w łeb, albo kilku kulek.

— Co robimy? — zapytałem w napięciu.

— Z Codym? — zmarszczyła brwi Megan.

— Cody, możesz włączyć ją do rozmowy? — zapytałem rozdrażniony.

— Naprawdę chcesz gadać o jej rowku między piersiami, kiedy ona będzie na linii? — zapytał Cody niewinnym tonem.

— Nie! To znaczy, nie mów o takich rzeczach.

— Dobra. Megan, ktoś jest w pokoju obok.

— Jakie mamy opcje? — zapytała spokojnie.

— Możemy czekać, ale światła są włączone. Myślę, że być może pracuje tam jakiś naukowiec.

Megan uniosła pistolet.

— Uch... — mruknąłem.

— Nie, panienko — powiedział Cody. — Znasz zdanie Profesora na ten temat. Strzelaj do strażników, jeśli musisz. Do nikogo więcej. — Plan zakładał uruchomienie alarmu i ewakuację ludzi, nim wybuchną ładunki.

— Nie strzelałabym do ludzi z pokoju obok — odrzekła spokojnie Megan.

— A co innego byś zrobiła, panienko? — zapytał Cody. — Znokautowała, a potem zostawiła i wysadziła budynek w powietrze?

Megan zawahała się.

— Okej — rzekł Cody. — Tia mówi, że jest inne wyjście. Musicie przedostać się przez szyb windy.

— Wspaniale — powiedziała Megan.

Pospieszyliśmy do pierwszego pomieszczenia, w którym byliśmy. Tia przesłała mi nową mapę z zaznaczonymi punktami, w których musiałem użyć tensora. Zabrałem się do pracy. Tym razem denerwowałem się nieco bardziej. Czy znowu będziemy natrafiać na naukowców i ludzi z obsługi, kręcących się wokół? Co zrobimy, jeśli ktoś nas zaskoczy? A co, jeśli będzie to niewinna, przypadkowa osoba?

Po raz pierwszy w życiu poczułem, że denerwuję się zarówno tym, co stanie się na skutek moich działań, jak i tym, co ktoś może zrobić mnie. Była to wyjątkowo niekomfortowa sytuacja. To, co robiliśmy, było terroryzmem.

*Ale my jesteśmy porządnymi ludźmi* — powiedziałem do siebie, kończąc wycinanie kolejnego otworu w ścianie i przepuszczając Megan, by mogła iść pierwsza. Oczywiście, który

terrorysta nie myśli o sobie, że jest dobrym człowiekiem? Robiliśmy coś ważnego, ale czy wyda się to ważne rodzinie sprzątaczkii, którą niechcący zabijemy? Kiedy pośpiesznie przemierzałem kolejne ciemne pomieszczenie — było to laboratorium pełne menzurek i innych szklanych przyrządów — miałem problem, by odsunąć od siebie wszystkie te pytania.

Póki co, skoncentrowałem się na Stalowym Sercu. Tym strasznym, pełnym nienawiści szubrawcu. Stał z pistoletem, który zabrał mojemu ojcu, z lufą skierowaną na zależnych od niego ludzi.

To wyobrażenie pomogło. Kiedy o tym myślałem, zapominałem o innych rzeczach. Nie pomagało to może znaleźć wszystkich odpowiedzi, ale przynajmniej miałem cel. Zemsta. Kto dbał o to, czy żądza rewanżu zżera mnie albo pustoszy od środka? Jak dotąd sprawiła, że robiłem coś, by uczynić życie ludzi lepszym. Profesor to rozumiał. Ja również.

Bez kłopotów dotarliśmy do szybu windy. Dostaliśmy się tam poprzez znajdujący się piętro niżej magazyn. Ja wyciąłem dziurę w ścianie, Megan zaś wystawiła przez nią głowę i ujrzała biegnący w górę, ciemny szyb.

— I jak, Cody, czy jest jakiś sposób, by się nim przedostać do góry?

— Jasne. Po bokach tkwią uchwyty. Montuje się je we wszystkich szymbach windowych.

— Wygląda na to, że ktoś zapomniał poinformować o tym Stalowe Serce — powiedziałem, patrząc na Megan przez ramię. — Te ściany są zupełnie gładkie. Nie ma drabiny czy czegoś w tym stylu. Żadnych lin ani przewodów.

Cody zaklął.

— Tak więc wracamy, żeby poszukać innej drogi? — zapytała Megan.

Jeszcze raz przyjrzałem się ścianom. Ciemność zdawała się rozciągać ponad nami i poniżej.

— Możemy poczekać, aż przyjedzie winda.

— W windach są kamery — zauważył Cody.

— Tak więc pojedziemy na windzie — odparłem.

— I zaalarmujemy ludzi nią jadących, skacząc na nią?

— Poczekamy do momentu, kiedy w dźwigu nie będzie nikogo — odrzekłem. — Windy są puste podczas połowy przejazdów, prawda? To znaczy wtedy, kiedy dopiero jadą, wezwane przez ludzi.

— Dobrze — odezwał się Cody. — Profesor i Abraham napotkali małą przeszkodę. Czekają, aż pokój opustoszeje, żeby mogli iść dalej. Profesor mówi, że musicie zaczekać piętnaście minut. Jeśli nic się do tego czasu nie zdarzy, na chwilę musimy zastopować akcję.

— Okej — odparłem, czując cień rozczarowania.

— Mam zamiar przesłać im parę materiałów do obejrzenia — powiedział Cody. — Rozłączę się z wami na jakiś czas. Dzwońcie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Będę obserwować windę. Jeśli ruszy, dam wam znać. — W telefonach coś kliknęło, bo Cody wyłączył częstotliwość i zaczęło się oczekiwanie.

Obydwoje siedzieliśmy w milczeniu, starając się nasłuchiwać, czy winda nie jedzie, choć i tak jako pierwszy mógł dostrzec to Cody.

— Jak często to się zdarza? — zapytałem po kilku minutach. Klęczałem wraz z Megan obok dziury, którą wyciąłem, byśmy mogli przedostać się do szybu.

— O czym mówisz?

— O czekaniu.

— Częściej, niż mógłbyś przypuszczać — odparła. — Praca, którą wykonujemy, zazwyczaj związana jest z wycuciem czasu. A to z kolei oznacza czekanie. — Spojrzała na moją rękę, a ja zorientowałem się, że nerwowo postukuję palcami o ścianę.

Zmusiłem się, by przestać.

— Siedzisz — Megan ściszyła głos — i czekasz. W myślach przemierzasz plan, odtwarzasz go w głowie. A i tak wszystko na ogół idzie inaczej.

Rzuciłem jej podejrzliwe spojrzenie.

— Co? — zapytała.

— To, co mówisz. Ja myślę to samo.

— Więc?

— Więc jeśli coś idzie źle, dlaczego wciąż wypominasz mi to, że improwizuję?

Zacisnęła wargi.

— Nie — powiedziałem. — Czas już, żebyś powiedziała prawdę, Megan. Nie tylko o naszych zadaniach, ale o wszystkim. O co chodzi? Dlaczego traktujesz mnie tak, jakbyś mnie nienawidziła? Z początku to właśnie ty byłaś za tym, żeby przyjęto mnie do grupy! Wydawało się, że byłaś pod wrażeniem tego, co zrobiłem. Profesor mógł nigdy nie posłuchać mojego planu, gdybyś się nie wtrąciła. A potem zaczęłaś się zachowywać, jakbym był gorylem przy twoim bufecie.

— Kim?...

— Gorylem przy twoim bufecie. Wiesz... jakbym zjadł całą twoją porcję? Rozzłościł cię? Coś w tym stylu.

— Jesteś bardzo specyficznym człowiekiem, Davidzie.

— Tak, przyjmuję tabletkę każdego dnia. Czyni mnie ona specyficznym. Posłuchaj, Megan. Nie mam zamiaru przemykać na to oczu. Odkąd przystałem do Mścicieli, zachowujesz się tak, jakbym cię czymś obraził. O co chodzi? Co sprawia, że tak się w stosunku do mnie zachowujesz?

Odwróciła wzrok.

— Chodzi o moją twarz? — zapytałem. — To jedno przychodzi mi do głowy. Mam na myśli to, że popierałaś mnie po zabójstwie Fortuity'ego. Może więc to coś z moją facją. Uważam, że nie jest taka straszna, choć może mam nieraz głupią minę, zwłaszcza gdy...

— Nie chodzi o twój wygląd — przerwała mi Megan.

— Też tak sędzę, ale chcę, żebyś ze mną porozmawiała. Powiedz coś. — *Myślę, że wrze w tobie jak w piekle i nie rozumiem, co poszło nie tak.* Na szczęście tego ostatniego zdania nie wypowiedziałem głośno. Spojrzenie też skierowałem na jej głowę, na wypadek gdyby obserwował nas Cody.

Megan milczała.

— I cóż? — naciskałem.

— Upłynęło pięć minut — powiedziała, patrząc na komórkę.

— Nie mam zamiaru odpuścić tego tematu. To...

— Minęło pięć minut, dzieciaki. — W ciszę wciął się nagle głos Cody'ego. — Przykro mi, ale to się nie uda. Nikt nie jedzie windą.

— Nie możesz wysłać jednej z nas? — zapytałem.

Cody zachichotał.

— Mamy dostęp do sieci komputerowej ochrony, ale nie możemy kontrolować rzeczy w budynku. Jeśli Tia potrafiłaby hakować z tak daleka, moglibyśmy wysadzić budynki od środka, obejmując kontrolę nad elektrownią czy innymi miejscami.

— Hm. — Popatrzyłem na przepastny szyb. Przypominał ogromne gardło, rozciągające się w górę... musieliśmy jakoś się wzdluż niego przedostać... co sprawiało, że powinniśmy...

Kiepska analogia. Bardzo kiepska. Tak czy inaczej, wnętrzości mi się ścisnęły. Pomysł, by się wycofać, wcale mi się nie podobał. Ponad nami rozciągała się droga do zniszczenia



Stalowego Serca. Za nami było ciągle czekanie, planowanie. Planowałem przez całe lata.

— O nie — odezwała się Megan.

— Co? — zapytałem z roztargnieniem.

— Masz zamiar improwizować, prawda?

Wsunąłem do szybu rękę, na której miałem tensor, położyłem ją płasko na ścianie i wywołałem mały wibracyjny wybuch. Abraham nauczył mnie, jak wykonywać wybuchy o różnym nasileniu; mówił, że mistrz pracy z tensorem umie kontrolować wibracje i może decydować o wzorach i kształtach, które chce uzyskać.

Zwiększyłem nacisk płasko spoczywającej na ścianie ręki. Czułem, jak rękawica drży. Ale to nie była rękawica. Drżała moja ręka. To najpierw mnie zaskoczyło. Wyglądało na to, że to ja tworzę moc, a nie rękawica — ona właściwie jedynie pomagała uzyskać kształt, jaki pozostanie po eksplozji.

Nie mogło mi się nie udać. Gdybym zawiódł, nasza operacja zakończyłaby się fiaskiem. Powinienem być może czuć się zdenerwowany, ale tak nie było. Zdałem sobie sprawę, że gdy sytuacja stawiała się z jakiegoś powodu bardzo napięta, ja się odprężałem.

Stalowe Serce stoi nad moim ojcem. Strzał. Nie wycofam się.

Rękawica wibrowała; wokół mojej ręki utworzyła się kupka stalowego pyłu. Palcami sprawdziłem efekt swojej pracy.

— Występ — wyszeptała Megan, świecąc swoją komórką.

— Naprawdę? — zapytał Cody. — David, trzymałeś to przede mną w tajemnicy. Nie wiedziałem, że trenowałeś tyle, żeby coś takiego zrobić. Mogłem zasugerować wam taki ruch, gdybym wiedział, że umiesz tak dobrze operować tensorem.

Przesunąłem rękę i zacząłem wycinać kolejny występ w pobliżu pierwszego, tuż obok dziury w ścianie. Zrobiłem kolejne dwa pod nogi, po czym postawiłem na nich stopy i przytrzymałem się ich rękami.

Wyciągając się w górę, wykonałem wyżej kolejne występy. Wspinałem się z karabinem przewieszonym przez plecy. Nie spoglądałem w dół, koncentrując się na wycinaniu kolejnych par występów. Pięcie się do góry i operowanie tensorem stanowiło wyzwanie, ale byłem w stanie pracować nim tak, by można było bez trudu chwycić krawędź występu.

— Czy Profesor i Abraham mogą jeszcze wstrzymać się przez chwilę? — zapytała Megan. — David tnie niezłe, ale wydostanie się przez szyb może nam zająć więcej niż piętnaście minut.

— Tia to teraz wylicza — odparł Cody.

— Dobra, idę za Davidem — powiedziała Megan. Jej głos był stłumiony.

Obejrzałem się przez ramię; wokół twarzy zawiązała chustkę.

*Stalowy pył. Megan nie chce go wdychać.* Mądre. Ja miałem gorzej, a stalowy pył nie należał do rzeczy, które przyjemnie byłoby wdychać. Abraham mówił, że taki pył nie był bardzo niebezpieczny, ale ja uznałem, że wdychanie go to niezbyt dobry pomysł, toteż wstrzymywałem oddech za każdym razem, gdy wykonywałem nowy występ.

— Jestem pod wrażeniem — usłyszałem głos w uchu. To był Profesor. O mało co nie podskoczyłem z przerażenia, co mogłoby mieć fatalne konsekwencje. Profesor musiał podłączyć się przez swoją komórkę do przekaźnika obrazu i mógł widzieć mnie dzięki kamerze, zamontowanej przy słuchawce tkwiącej w moim uchu.

— Te występy są wycięte czysto i mają odpowiedni kształt — mówił Profesor. — Tylko tak dalej, a będziesz wkrótce tak dobry jak Abraham. Może nawet już prześcigniesz Cody'ego.

— Wydaje mi się, że niepokoi się pan czymś, Profesorze — powiedziałem.

— Nie niepokoję się. Jestem zaskoczony.

— To musi się udać — stęknąłem, dźwigając się wyżej.

Profesor milczał przez chwilę.

— Uda się. Słuchaj, nie możecie wracać tą samą drogą. Zabierze to za dużo czasu, będziecie więc musieli wy dostać się inaczej. Tia powie ci jak. Czeka j na pierwszą eksplozję.

— Przyjąłem.

— I, Davidzie...

— Tak?

— Dobra robota.

Uśmiechnąłem się, podciągając się w górę.

Pięliśmy się po ścianach szybu windowego. Bałem się, że winda nagle ruszy w dół, ale nawet gdyby tak się stało, minęłaby nas o kilkanaście centymetrów. Byliśmy po tej stronie szybu, gdzie powinna znajdować się drabina. Jednak żadnej nie zainstalowano.

*Prawdopodobnie Stalowe Serce oglądał te same filmy co my* — pomyślałem, krzywiąc się. Wreszcie minęliśmy drugie piętro. Pozostało jedno więcej.

W słuchawce usłyszałem charakterystyczne brzęknięcie komórki. Popatrzyłem na przegub dłoni — ktoś wyciszył dźwięk naszego kanału.

— Nie podoba mi się to, co zrobiłeś grupie — odezwała się Megan stłumionym głosem.

Popatrzyłem na nią przez ramię. Niosła plecak z naszym sprzętem, jej nos i usta zakryte były chustką. Jej oczy lśniły, odbijając światło padające z komórki, którą miała umocowaną na przedramieniu. Piękne oczy, spoglądające spoza zasłony materiału.

A pod nami rozciągała się wielka, czarna otchłań. Uff, powoli. Zachwiałem się leciutko.

— Fujaro — powiedziała Megan. — Nie dekoncentruj się.

— To ty się pierwsza odezwałaś! — wyszeptałem, odwracając się do niej plecami. — Co miałaś na myśli, mówiąc o czymś, co zrobiłem grupie?

— Nim się pojawiłeś, mieliśmy zamiar opuścić Newcago — padła odpowiedź z dołu. — Mieliśmy zabić Fortuity'ego, a potem się ulotnić. Sprawileś, że zostaliśmy.

Wspinałem się dalej.

— Ale...

— Och, zamknij się i pozwól mi wspinać się w spokoju.

Umilkłem.

— Przyłączyłam się do Mścicieli, żeby zabijać Epików, którzy na to zasługują — mówiła Megan. — Newcago jest najbezpieczniejszym, najbardziej stabilnym miejscem w Cząstkowych Stanach. Nie jestem zdania, że powinniśmy zabijać Stalowe Serce, i nie wiem, jakim cudem przekonałeś grupę do włączenia się w twoją osobistą wojnę przeciwko niemu. Jest brutalny, ale robi lepszą robotę niż większość Epików. Nie zasługuje na śmierć.

Jej słowa zdumiały mnie. Nie uważała, że powinniśmy zabić Stalowe Serce? Nie zasługiwał na śmierć? To szaleństwo. Oparłem się chęci spojrzenia w dół.

— Mogę coś powiedzieć? — zapytałem, zabierając się do wykonania kolejnych występów.

— Okej.

— Czy ty oszalałaś? Stalowe Serce to potwór.

— Tak. Przyznaję to. Ale jest potworem skutecznym. Spójrz, co my dzisiaj robimy?

— Chcemy wysadzić elektrownię.

— A ile miast poza Newcago je posiada? — zapytała. — Czy w ogóle wiesz?

Kontynuowałem wspinaczkę.

— Dorastałam w Portland — powiedziała Megan. — Wiesz, co tam się działo?

Wiedziałem, choć nic nie odrzekłem. To, co tam się wydarzyło, nie było niczym dobrym.

— Wojny Epików o terytorium sprawiły, że miasto obróciło się w ruinę — mówiła Megan ciszej. — Nic nie zostało, Davidzie. Nic. Cały Oregon jest teraz pustkowiem; nie ma tam nawet drzew. Nie ma żadnych elektrowni, oczyszczalni ścieków czy sklepów spożywczych. To samo stałoby się z Newcago, gdyby nie przejął go Stalowe Serce.

Wspinałem się, a pot płynął mi po szyi. Myślałem o zmianie, jaka zaszła w Megan — zrobiła się zimna w stosunku do mnie tuż po tym, jak po raz pierwszy wspomniałem o chęci zabicia Stalowego Serca. Zaczęła mnie źle traktować od momentu, gdy zaczęliśmy wspólne akcje. Kiedy wyruszyliśmy po moje zapiski i kiedy odkryłem sposób, jak zabić Władcę Ciemności.

To nie moje „improvizowanie” nastawiło ją przeciwko mnie. Stało się tak ze względu na moje zamiary i to, że udało mi się przekonać grupę do zabicia Stalowego Serca.

— Nie chcę być przyczyną tego, że powtórzy się sytuacja z Portland — mówiła Megan. — Tak, Stalowe Serce jest okrutny. Ale jest tym rodzajem okrutnika, z którym ludzie mogą żyć.

— Dlaczego więc nie zrezygnowałaś? — zapytałem. — Dlaczego jesteś tutaj?

— Bo jestem Mścicielem — odrzekła. — I nie jest moim zadaniem kwestionować decyzji Profesora. Wykonam moją robotę, Klęczko. I zrobię to dobrze. Ale myślę, że tym razem popełniamy błąd.

Użyła wobec mnie przezwiska, które sama wymyśliła. Wydawało się to dobrym znakiem, bo tak zwracała się do mnie, kiedy jeszcze nie czuła w stosunku do mnie złości. Czy nie było to nieco tkliwe? Miałem nadzieję, że przezwisko nie odnosiło się do czegoś kompromitującego. Dlaczego nie powiedziała: Super-wielki-strzał? Taka gimnastyka językowa.

Przez resztę wspinaczki milczeliśmy. Megan uruchomiła połączenie audio z resztą grupy, co oznaczało, że uważa rozmowę za skończoną. Może i tak było — ja właściwie nie wiedziałem, co mógłbym jeszcze powiedzieć. Jak w ogóle mogła myśleć, że życie pod rządami Stalowego Serca było czymś dobrym?

Pomyślałem o dzieciakach z Fabryki, o ludziach mieszkających w podziemiach. Przypuszczałem, że wielu z nich myśli to samo co Megan — przybyli do Newcago, zdając sobie sprawę, że Stalowe Serce to potwór, ale uważali, że żyje się tu lepiej niż w innych miastach.

Tyle że oni byli zastraszeni, a Megan jawiła mi się jako zupełnie inna osoba. Była aktywna, niesamowita, zdolna. Jak to się stało, że myślała tak, jak reszta społeczeństwa? To wstrząsnęło moją wizją świata — przynajmniej tego, o którym myślałem, że go znam. Sądziłem, że Mściciele są inni.

A co, jeśli Megan miała rację?

— O Calamity — odezwał się w słuchawce głos Cody ego.

— Co?

— Mamy kłopot, chłopie. To...

W tym momencie drzwi do szybu — konkretnie na trzecim piętrze — otworzyły się. Dwóch umundurowanych strażników stanęło na jego krawędzi i zaczęło spoglądać w ciemną przestrzeń.

— Mówię ci, że coś słyszałem — powiedział jeden ze strażników, zezując w dół. Wydawało się, że patrzy prosto na mnie. Jednak w szybie windowym było ciemno — i nie zrobiło się szczególnie widniej nawet po otwarciu drzwi.

— Nic nie widzę — odezwał się drugi strażnik. Jego głos rozbrzmiewał niegłośnym echem.

Pierwszy z ochroniarzy wyjął zza paska latarkę.

Serce mi waliło. Uch — och.

Oparłem rękę na ścianie; była to jedyna rzecz, którą mogłem teraz zrobić. Tensor zaczął wibrować, ja zaś starałem się skoncentrować, ale było to trudne, zważywszy że strażnicy stali dość blisko. Kliknął przycisk latarki.

— Słyszysz to?

— Brzmi, jakby paliło się w piecu — powiedział sucho drugi ze strażników.

Moja lekko postukująca w ścianę ręka wywoływała mechaniczny dźwięk. Skrzywiłem się, ale nie przestawałem pracować. Światło latarki zostało skierowane w głąb szybu. O mały włos nie straciłem kontroli nad wibracjami.

Nie było możliwości, żeby strażnicy mnie nie zobaczyli, świecąc latarką. Byli zbyt blisko.

— Nic nie ma — powiedział strażnik, chrząkając.

Co? Spojrzałem w górę. Ochroniarze znajdowali się tak blisko, a jakimś cudem mnie nie dostrzegli. Zmarszczyłem brwi zdumiony.

— Hm — powiedział drugi. — Jednak słyszę jakiś dźwięk.

— Dobeiga z... wiesz skąd — odezwał się jego towarzysz.

— A, tak. Prawda.

Pierwszy strażnik zatknął latarkę za pasek. Jak to się stało, że mnie nie zauważył? Świecił nią dokładnie w moim kierunku.

Strażnicy wycofali się i zamknęli drzwi do szybu.

*Co się, do diaska, dzieje?* — pomyślałem. Czy można było nas nie dostrzec w ciemnościach?

Tensor wyłączył się.

Przygotowywałem się do wycięcia dziury w ścianie, w której moglibyśmy się ukryć i co mogłoby uchronić nas od ewentualnych strzałów. Ponieważ jednak nie byłem w pełni skoncentrowany, wyciąłem spory kawał ściany i w jednej chwili wyrwa zniknęła. Chwyciłem za krawędź wyciętego otworu.

Obsypał mnie tuman kurzu, który kaskadą zwałił się również na Megan. Przytrzymując się z całych sił krawędzi dziury, ujrzałem, jak patrzy na mnie z wściekłością, mrugając zasypianymi pyłem powiekami. Jej ręka była o kilka centymetrów od pistoletu.

*O Calamity!* — pomyślałem, wzdrygając się. Szalik i skóra Megan pokryte były srebrnym pyłem, a w oczach miała wściekłość. Nie sądzę, bym kiedykolwiek widział taki wyraz w czyichkolwiek oczach — a w każdym razie nie w oczach skierowanych na mnie. Czułem emanującą od niej nienawiść.

Jej ręka wciąż tkwiła o kilka centymetrów od pistoletu.

— M... Megan? — zapytałem.

Jej ręka zatrzymała się. Nie byłem pewien, co naprawdę widziałem, a sytuacja zmieniła się w sekundę. Megan zamrugła, a wyraz jej twarzy złagodniał.

— Uważaj na to, co niszczysz, Kłęczko — mruknęła, strzepując pył z twarzy.  
— Dobra — odparłem, po czym spojrzałem na dziurę, której krawędzi się przytrzymałem. — Hej, tu jest jakieś pomieszczenie. — Uniosłem komórkę i poświeciłem nią do wnętrza dziury.

Był to niewielki pokój. Znajdowało się w nim kilka zwykłych biur z komputerami podłączonymi do gniazdek na jednej ścianie i szafki na drugiej. Były też dwie pary drzwi, w tym jedne wzmocnione metalowymi obiciami, zamykane na cyfrowy kod.

— Megan, tu naprawdę jest jakiś pokój. Wygląda na to, że nikogo w nim nie ma. Chodź. — Podciągnąłem się i przedostałem się do wnętrza przez dziurę w ścianie.

Kiedy znalazłem się w pomieszczeniu, pomogłem Megan dotrzeć na górę. Zawahała się, nim przyjęła moją pomoc, a kiedy stanęła obok mnie, poszła dalej bez słowa. Wyglądało na to, że znowu stała się w stosunku do mnie lodowata, a może nawet odrobinę złośliwa.

Uklęknąłem obok dziury, wyciętej w ścianie szybu. Nie mogłem pozbyć się poczucia, że właśnie zdarzyło się coś dziwnego. Najpierw nie zauważyli nas strażnicy, potem Megan — po chwilowym porozumieniu — nagle znowu zmieniła swój stosunek do mnie. Czyżby zreflektowała się, co takiego mi powiedziała? Czyżby obawiała się, że powiem Profesorowi, że nie popiera pomysłu zabicia Stalowego Serca?

— Co to za miejsce? — zapytała Megan, stojąc pośrodku pomieszczenia, w którym się znaleźliśmy. Sufit był tak nisko, że o mało co nie musiała się schylić — ja musiałbym na pewno. Megan odwiązała szalik, wznecając tuman metalowego kurzu. Krzywiąc się, zaczęła otrzepywać ubranie.

— Nie mam pojęcia — odrzekłem, patrząc na komórkę i mapę przesłaną mi przez Tię. — Tego pomieszczenia nie ma na mapie.

— Niski sufit — powiedziała Megan. — Drzwi z kodem. Interesujące. — Rzuciła mi plecak. — Zainstaluj ładunek wybuchowy w dziurze, którą wyciąłeś. Rozejrzę się tu trochę.

Zacząłem szukać ładunków w plecaku, podczas gdy Megan z trzaskiem otworzyła drzwi bez kodu i wyszła na zewnątrz. Umieściłem ładunek w dziurze, po czym na dolnej części ściany zobaczyłem kable.

Biegły aż ku podłodze. Tymczasem wróciła Megan.

— Tam dalej są dwa inne pomieszczenia — powiedziała. — Nie ma w nich ludzi. Są małe, znajdują się naprzeciwko szybu. O ile mogę się zorientować, powinien się tu znajdować sprzęt konserwacyjny, jednak zamiast tego są dwa ukryte pomieszczenia, których nie umieszczono na planach elektrowni. Zastanawiam się, czy pomiędzy piętrami są jakieś puste przestrzenie, które mieszczą tajne pokoje.

— Popatrz na to — powiedziałem, wskazując jej swoje odkrycie.

Uklęka obok mnie, przyglądając się ścianom i przewodom.

— Ładunki wybuchowe — oznajmiła.

— Pokój miał zostać wysadzony w powietrze — rzekłem.

— Dziwne, prawda?

— Cokolwiek znajduje się w pokoju, musi być ważne. Ważne na tyle, by opłacało się zniszczyć całą elektrownię, tak by nikt nie dowiedział się o istnieniu tej rzeczy.

Oboje popatrzyliśmy na komputery.

— Co się u was dzieje? — Znowu miałem połączenie z Codym.

— Znaleźliśmy jakieś pomieszczenie — odrzekłem. — I...

— Pospieszcie się — przerwał mi Cody. — Profesor i Abraham natrafili na dwóch strażników i musieli ich zastrzelić. Ciała są schowane, ale wkrótce ktoś odkryje, że strażników nie ma. Jeśli będziemy mieli szczęście, za kilka minut wyjdzie na jaw, że nie ma ich na patrolu.

Zakląłem, przeszukując kieszenie.

— Co to jest? — zapytała Megan.

— Jedno z tych uniwersalnych wybuchających urządzeń, które dostałem od Diamonda. Chcę zobaczyć, czy działa.

Zdenerwowany, użyłem elektronicznej taśmy, by przymocować do ładunków znalezionych na podłodze małą, okrągłą bryłkę. W kieszeni miałem detonator — ten, który wyglądał jak długopis.

— Z mapy, którą dostaliśmy od Tii — powiedziała Megan — wynika, że jesteśmy tylko o dwa pomieszczenia od magazynów, w których znajdują się ogniwa energetyczne, ale my jesteśmy nieco poniżej magazynu.

Wymieniliśmy spojrzenia, po czym zaczęliśmy przeszukiwać tajne pomieszczenie. Nie mieliśmy zbyt wiele czasu, ale musieliśmy przynajmniej spróbować się dowiedzieć, jakie informacje tutaj przechowywano. Megan otworzyła jedną z szafek i wyjęła plik teczek. Ja błyskawicznie otwierałem szuflady. W jednej znajdowały się dwa chipy. Schwyciłem je, pomachałem nimi Megan i schowałem do plecaka. Megan wrzuciła do niego teczki i zajęła się przeszukiwaniem kolejnego biurka, podczas gdy ja zacząłem wycinać tensorem kolejną dziurę.

Ponieważ ukryty pokój znajdował się dokładnie w połowie drogi pomiędzy dwoma piętrami, nie miałem pewności, gdzie dokładnie byliśmy. Wyciąłem dziurę w ścianie tuż pod sufitem, tak byśmy mogli iść w obranym wcześniej kierunku.

Zobaczyliśmy przez nią podłogę pokoju na trzecim piętrze. Tak więc pomiędzy ukrytym pokojem a trzecim piętrzem znajdowała się przestrzeń. Spojrzawszy na mapę, wiedziałem już, jak ukryto to pomieszczenie. Na jednym z planów szyb windy narysowano tak, że wydawał się większy, niż był w istocie. Część miejsca w szybie windowym oznaczono na schemacie jako przestrzeń serwisową. To tłumaczyło brak jakichkolwiek uchwytów. Budowniczy założyli, że w razie czego posłuży ona jako droga naprawy windy. Nie zdawali sobie sprawy, że w tym miejscu znajdzie się ukryty pokój.

Megan i ja przedostaliśmy się przez dziurę na trzecie piętro. Przecieliśmy pokój, który wydawał się pomieszczeniem konferencyjnym, a potem następny, który był punktem monitoringu. Wyciąłem w jego ścianie kolejną dziurę, która prowadziła do długiego magazynu o niskim suficie. To był nasz cel; w tym pomieszczeniu składowano ogniwa energetyczne.

— Jesteśmy w środku — poinformowała Cody'ego Megan, kiedy wślizgnęliśmy się do pomieszczenia pełnego półek z różnego typu sprzętem elektrycznym, którym jednak nie byliśmy zainteresowani.

Rozdzieliliśmy się, spiesznie przeszukując magazyn.

— Wspaniale — rzekł Cody. — Ogniwa powinny tam być. Szukajcie cylindrów o szerokości dłoni i mających długość cholewki od kozaka.

Popatrzyłem na zamknięte na klucz szafki, zamontowane na odleglejszej ze ścian.

— Możliwe, że ogniwa są tu — powiedziałem do Megan, ruszając w ich stronę. Z zamkami poradziłem sobie za pomocą tensora i po chwili mogłem otworzyć drzwiczki. Megan przyłączyła się do mnie. W jednej z szafek stał wysoki rząd zielonych cylindrów ustawionych jedno na drugim. Przypominały mi skrzyżowanie beczulek piwa z samochodowym akumulatorem.

— To są ogniwa energetyczne — poinformował Cody, a w jego głosie brzmiała ulga. — Obawiałem się trochę, że może nie być żadnych. Dobrze, że wziąłem ze sobą na akcję moją czterolistną koniczynę.

— Czterolistną koniczynę? — prychnęła Megan, wyjmując coś ze swego plecaka.

— Jasne. Z mojej ojczyzny.

— To irlandzki symbol, nie szkocki, Cody.

— Wiem — powiedział wcale niespieszony Cody. — Musiałem zabić jednego irlandzkiego kolesia, żeby taką dostać.

Wyjąłem jedno z ogniwi energetycznych.

— Nie są tak ciężkie, jak myślałem — powiedziałem. — Jesteście pewni, że mają dosyć mocy, żeby zasilić automat Gaussa? On zużywa mnóstwo energii.

— Te cacka były naładowane przez Confluxa — rzekł Cody. — Mają większą moc niż wszystkie inne, które moglibyśmy kupić lub wyprodukować. Jeśli te ogniwa nie zadziałają, to już nic nie zadziała. Bierz tyle, ile zdołasz unieść.

Ogniwa może i ważyły mniej, niż przypuszczałem, ale i tak były nieporęczne. Wyjęliśmy resztę ekwipunku z plecaka Megan, po czym znaleźliśmy mniejszy worek, który wypakowaliśmy z plecaka. Zdołałem umieścić w nim cztery ogniwa, podczas gdy Megan przełożyła resztę naszego sprzętu — parę ładunków wybuchowych, kilka lin i trochę amunicji — do mniejszego worka. Mieliśmy także ze sobą kilka laboratoryjnych fartuchów na wypadek, gdyby trzeba się było przebrać.

— Jak tam Profesor i Abraham? — zapytałem.

— Przy wyjściu — odparł Cody.

— A co z nami? Profesor mówił, że wracając, nie powinniśmy używać windy.

— Macie fartuchy laboratoryjne?

— Pewnie — odpowiedziała Megan. — Ale jeśli pójdziemy korytarzami, kamery mogą zarejestrować nasze twarze.

— To ryzyko, które musimy podjąć — rzekł Cody. — Pierwsza eksplozja nastąpi za dwie minuty.

Przebraliśmy się w fartuchy. Kucnąłem i pozwoliłem, by Megan pomogła mi włożyć plecak z ogniwami. Był ciężki, ale wciąż mogłem poruszać się względnie swobodnie. Laboratoryjny kitel leżał na Megan całkiem nieźle, ale prawdopodobnie wszystko by na niej dobrze wyglądało. Przewiesiła przez ramię swój worek, po czym zerknęła na mój karabin.

— Muszę go zdemontować — powiedziałem, wyciągając łożysko, potem magazynek i naboje. Włożyłem je do plecaka Megan i zabezpieczyłem broń.

Na fartuchach widniało logo Station Seven, a my mieliśmy wpięte w nie fałszywe identyfikatory. Przebrania nigdy nie umożliwiłyby nam przedostania się do elektrowni — ochrona była zbyt szczelna — ale w momencie, gdy zapanuje chaos, kitle mogły umożliwić nam wydostanie się na zewnątrz.

Budynkiem wstrząsnął złowieszczy huk. Nastąpiła pierwsza z eksplozji. Miała raczej sprowokować ewakuację, niż spowodować konkretne zniszczenia.

— Ruszajcie! — zawołał Cody.

Za pomocą tensora poradziłem sobie z zamkiem w drzwiach znajdujących się w pomieszczeniu i wybiegliśmy na korytarz. Ludzie wybiegali spoza drzwi innych pokoi — jak się okazało, na tym piętrze pracowało wiele osób, nawet nocą. Część z nich była z ekipy sprzątającej i nosiła błękitne kombinezony robocze, jednak pozostali byli technikami w laboratoryjnych fartuchach.

— Eksplozja! — zacząłem siać panikę. — Ktoś zaatakował budynek!

Chaos zapanował natychmiast, a my wmieszaliśmy się w tłum wylewający się z budynku. Jakieś trzydzieści sekund później Cody zdetonował kolejny ładunek na wyższym piętrze.

Otoczający nas ludzie zaczęli krzyczeć, rzucając przerażone spojrzenia na sufit. Kilkanaście osób ścisnęło w rękach małe komputery lub aktówki.

Tak naprawdę nie było specjalnego powodu do strachu. Początkowe eksplozje nastąpiły

w miejscach, w których nie przebywali ludzie i nie było mowy o zburzeniu budynku. Cztery pierwsze eksplozje sprawiły, że ludzie ewakuowali się na zewnątrz. Dopiero wtedy miały się zacząć właściwe detonacje ładunków.

Biegiem pokonaliśmy korytarze i klatki schodowe, starając się pochylać głowy. W elektrowni było jednak coś dziwnego, z czego wtedy właśnie zdałem sobie sprawę. Budynek był czysty. Podłogi, ściany, pokoje... były zbyt nieskazitelne. Kiedy wchodziliśmy do wnętrza, panowała ciemność i nie mogłem zauważyć tej przesadnej sterylności, ale oświetlenie sprawiło, że teraz to dostrzegałem. Podziemia nigdy nie były tak wysprzątane. Było doprawdy zdumiewające, że wszystkie rzeczy są wypucowane, utrzymane nader schludnie.

Kiedy biegliśmy, stało się jasne, że elektrownia była tak wielka, iż żaden z pracowników nie był w stanie znać wszystkich ludzi tu pracujących, a choć rozum podpowiadał nam, że ochrona ma z pewnością zdjęcia twarzy wszystkich zatrudnionych w dokumentach, trudno będzie nas wyłonić z tłumu.

Większość strażników uciekała wraz z tłumem, tak samo przerażona wybuchem jak wszyscy inni, co również sprawiło, że mój strach zmalął.

Wraz z grupą uciekinierów pokonaliśmy ostatnie schody i znaleźliśmy się w korytarzu.

— Co się dzieje? — wrzeszczał jeden ze strażników. Stał przy wyjściu z karabinem w dłoniach.

— Czy ktoś widział cokolwiek?

— Epik! — powiedziała Megan bez tchu. — Ubrany na zielono. Widziałam, jak przechadza się po budynku, rażąc wybuchami energii.

Budynkiem wstrząsnęła trzecia eksplozja. Potem nastąpiła seria pomniejszych wstrząsów. Ludzie wylewali się z sąsiednich podestów, schodów i korytarzy.

Strażnik zaklął, po czym zrobił mądrą rzecz. Też zaczął zwiewać. Wolał nie natykać się na Epika, bo mógłby mieć kłopoty, nawet jeśli ów Epik był rywalem Stalowego Serca. Zwykli ludzie woleli się trzymać z daleka od Epików, to wszystko. W Cząstkowych Stanach to było prawo ważniejsze od innych.

Wypadliśmy z elektrowni na podwórze. Odwróciłem się i ujrzałem pasma dymu, unoszące się nad tym wielkim budynkiem. Wtedy nastąpiła kolejna seria mniejszych eksplozji na wyższych piętrach. W trakcie każdej widać było zielone światło. Profesor i Abraham nie tylko podłożyli bomby, ale zrobili też prawdziwy świetlny pokaz.

— To ten Epik — powiedziała stojąca obok mnie kobieta. — Kto byłby tak głupi...

Uśmiechnąłem się do Megan i włączyliśmy się w strumień ludzi zmierzających do bramy. Strażnicy starali się ich zatrzymać, ale kiedy nadszedł kolejny wybuch, poddali się i otworzyli bramy. Megan i ja znaleźliśmy się wraz z innymi na ciemnych ulicach, pozostawiając za sobą palący się budynek.

— Kamery są wciąż włączone — zaraportował Cody poprzez kanał otwarty dla wszystkich. — Ewakuacja z elektrowni trwa.

— Wstrzymajcie się chwilę z ostatnią eksplozją — powiedział Profesor — ale rozrzucie ulotki.

Za naszymi plecami dał się słyszeć lekki wystrzał. Wiedziałem, że w dół z wyższych pięter spływają teraz ulotki obwieszczające, że do miasta przybył nowy Epik. Nazwaliśmy go Limelight — to imię wymyśliłem ja. Ulotki miały charakter propagandowy. Stalowemu Sercu rzucono wyzwanie — Limelight twierdził, że teraz on jest nowym panem miasta.

Megan i ja poszliśmy do samochodu, jeszcze zanim Cody zdetonował wszystkie ładunki. Chciałem zająć miejsce kierowcy. To samo zrobiła Megan, przesuając mnie na miejsce pasażera.



— Mogę prowadzić — powiedziałem.

— Ostatnim razem zniszczyłeś samochód, Klęczko — odrzekła, uruchamiając auto. — Zmiotłeś z drogi dwa znaki. A kiedy uciekaliśmy, wydaje mi się, że widziałam resztki pojemników na śmieci. — Na jej ustach igrał słaby uśmiezek.

— To nie była moja wina. — Spojrzałem na elektrownię, która płonęła na tle ciemnego nieba, i poczułem dreszcz podniecenia. — Te pojemniki same się o to prosiły. Cholerne cwaniaki.

— Detonuję duży ładunek — zabrzmiał w słuchawce głos Cody'ego.

W elektrowni rozległa się seria eksplozji. *Ładunki, które podłożyliśmy ja i Megan* — pomyślałem. Budynek zatrzęsł się, przez okna buchnęły płomienie.

— Uch — powiedział Cody nieco zaskoczony. — Nie zawalił się.

— I dobrze — odparł Profesor. — Dowody naszego wtargnięcia do budynku zostały zniszczone, a elektrownia podejmie pracę dopiero za jakiś czas.

— Dobra — rzekł Cody. W jego głosie dało się słyszeć rozczarowanie. — Chciałem, żeby było to troszkę bardziej dramatyczne.

Wyjąłem z kieszeni detonator w kształcie długopisu. Prawdopodobnie nie będzie już widać efektów jego użycia — ładunki, które zamontowaliśmy na ścianach, pewnie zdetonowały te znajdujące się na podłodze. Nacisnąłem jednak końcówkę długopisu.

Eksplozja, która nastąpiła, była dziesięć razy silniejsza niż poprzednie. Naszym samochodem zatrzęsło i na ulice posypał się gruz, kurz i kawałki muru. Megan i ja odwróciliśmy się na swoich siedzeniach dokładnie w chwili, gdy elektrownia zawałała się ze straszliwym hukiem.

— Wow — rzucił Cody. — Popatrzcie na to. To chyba eksplodowało ogniwo energetyczne.

Megan spojrzała na mnie, następnie na długopis i przewróciła oczami. Kilka sekund później mknęliśmy ulicą w przeciwnym kierunku niż samochody straży pożarnej i służby reagowania w wyjątkowych wypadkach. Jechaliśmy na miejsce spotkania z innymi Mścicielami.

## CZEŚĆ III

Chrząknąłem, ciągnąc za linę. Za każdym pociągnięciem koło wydawało żalosne skrzypienie, tak jakbym torturował za pomocą maszyny jakąś nieszczęsną myszkę.

Urządzenie służyło do transportowania rzeczy tunelami do kryjówki Mścicieli. Od naszego ataku na elektrownię minęło pięć dni. Przez ten czas nie opuszczaliśmy bazy, planując następny krok — uderzenie na Confluxa, tak by osłabić armię.

Abraham właśnie wrócił z wyprawy po zaopatrzenie. Oznaczało to, że przestałem być w grupie specjalistą od tensora, a zacząłem być źródłem taniej siły roboczej.

Ciągnąłem dalej, spływając potem. Moja koszulka już nim przesiąkła. Wreszcie w głębinie dziury pojawiła się skrzynia, którą Megan zdjęła z podnośnika i wniosła do kryjówki. Zwolniłem linę, tak by ruchoma platforma powędrowała na dół i by Abraham mógł załadować na nią kolejną skrzynię z zapasami.

— Może masz ochotę teraz pociągnąć? — zapytałem Megan, ocierając czoło rękawiczką.

— Nie — odparła lekko. Umieściła na platformie na kółkach kolejną skrzynkę i potoczyła ją w kierunku sterty innych skrzynek.

— Jesteś pewna? — zapytałem. Ramiona mnie bolały.

— Robisz dobrą robotę — odparła. — I masz dobrą gimnastykę. — Ustawiła skrzynkę, po czym usiadła na krześle, położyła nogi na biurku i sącząc lemoniadę, zaczęła czytać książkę, która wyświetlała się na ekranie komórki.

Potrząsnąłem głową. Była niewiarygodna.

— Pomyśl o tym w kategoriach rycerskości — powiedziała Megan nieuważnie, postukując w ekran, by pokazało się więcej tekstu. — Chronienie bezbronnej dziewczyny przed bólem i takie sprawy.

— Bezbronnej? — zapytałem, gdy tymczasem Abraham zaczął nawoływać.

Westchnąłem, po czym zacząłem spuszczać platformę.

Skinęła głową.

— Abstrakcyjnie rzecz ujmując.

— Jak ktoś może być abstrakcyjnie bezbronny?

— To wymaga mnóstwa wysiłku. — Upiła kolejny łyk. — To tylko wygląda na łatwe zajęcie. To tak jak sztuka abstrakcyjna.

Chrząknąłem.

— Sztuka abstrakcyjna?

— Właśnie. Wiesz, facet maluje na płótnie czarną linię, nazywa to metaforą, a potem sprzedaje dzieło za miliony.

— To nigdy się nie zdarzyło.

Zerknęła na mnie ubawiona.

— Zdarzyło się z całą pewnością. Nigdy nie uczyłeś się o sztuce abstrakcyjnej w szkole?

— Chodziłem do szkoły w Fabryce. Podstawy matematyki, czytanie, geografia, historia.

Na nic innego już nie było czasu.

— Ale przedtem. Zanim pojawiła się Calamity.

— Miałem osiem lat — odrzekłem. — I mieszkałem w Chicago, Megan. Moja nauka obejmowała głównie to, jak unikać gangów i jak przetrwać w szkole.

— I tego się uczyłeś, gdy miałeś osiem lat? W szkole podstawowej?

Wzruszyłem ramionami i zacząłem ciągnąć linę. Wyglądała na zakłopotaną tym, co

powiedziałem, a ja, prawdę rzekłszy, byłem zakłopotany tym, co powiedziała ona. Ludzie chyba nie płacili tak wielkich pieniędzy za proste rzeczy? Poczułem się zbity z tropu. Ludzie z czasów przed Calamity byli dziwni.

Zacząłem wciągać następną skrzynkę, a Megan zeskoczyła ze swojego krzesła, żeby ją umieścić obok naszych zapasów. Nie zdążyła chyba przeczytać dużo, ale nie wyglądała na zdenerwowaną tym, że musi sobie stale przerywać. Przyglądałem się jej, upiwszy spory łyk wody.

Od momentu wyznania w szybie windowym stosunki między nami wyglądały... inaczej. Megan wydawała się bardziej zrelaksowana w moim towarzystwie, co było dość dziwne. Mogłem się raczej spodziewać, że obydwójce będziemy się czuć niezręcznie. Wiedziałem przecież, że dziewczyna nie popiera naszych planów. A to było dla mnie ważną sprawą.

Jednakże Megan była profesjonalistką. Nie zgadzała się z pomysłem zabicia Stalowego Serca, ale nie opuściła Mścicieli ani nie poprosiła o przeniesienie do innej grupy. Nie wiedziałem, z ilu takich grup składali się Mściciele — prawdopodobnie wiedzieli to tylko Tia i Profesor — ale z pewnością była przynajmniej jeszcze jedna.

Póki co, Megan została na pokładzie i nie pozwalała, by jej odczucia zaburzały wykonywanie obowiązków. Mogła się nie zgadzać z tym, że Stalowe Serce ma umrzeć, ale jak wnioskowałem z jej zachowania, wierzyła w sens walki z Epikami. Była jak żołnierz, który nie wierzy, że bitwa została taktycznie dobrze rozegrana, lecz mimo to wspiera generałów, przystępując do walki.

Szanowałem ją za to. Calamity, lubiłem ją coraz bardziej. I choć ostatnio nie odnosiła się do mnie jakoś specjalnie czule, przestała być otwarcie wroga i zimna. To sprawiało, że w pomieszczeniu unosiła się jakaś magiczna aura. Miałem nadzieję, że umiem ją wykreować.

Megan umieściła skrzynię na miejscu, ja zaś czekałem, aż Abraham zawoła, że mogę zacząć ciągnąć linę. Zamiast tego pojawił się u wylotu tunelu i zaczął demontować urządzenie. Jego ramię zostało wyleczone za pomocą wzmacniacza, urządzenia, którego Mściciele używali, by przyspieszyć gojenie ran.

Niewiele o tym wiedziałem, choć rozmawiałem o wzmacniaczu z Codym — on nazywał go „ostatnim z trzech”. Trzy niezwykle technologiczne wynalazki, które pochodziły z czasów, gdy Profesor pracował jako naukowiec. Tensory, kurtki, wzmacniacze. Abraham mówił mi, że Profesor opracował technologię i wykradł wynalazki z laboratorium, w którym kiedyś pracował, z myślą o rozpoczęciu walki z Epikami.

Abraham skończył demontaż.

— Gotowy? — zapytałem.

— Tak.

— Skrzynek miało być więcej, niż wciągnąłem na platformie.

— Kilka innych jest zbyt dużych, by przeszły przez tunel — odrzekł Abraham. — Cody przetransportuje je do hangaru.

Tak określali miejsce, w którym trzymali samochody. Widziałem je; było to duże pomieszczenie, w którym stało kilka samochodów i jedna furgonetka. Hangar nie był tak bezpieczny jak nasza kryjówka. Samochody musiały wyjeżdżać na miasto, więc hangar nie mógł znajdować się w podziemiach.

Abraham podszedł do sterty skrzyń, które przetransportowaliśmy do kryjówki. Potarł podbródek, przyglądając się im.

— Możemy zacząć je rozładowywać — powiedział. — Mam godzinę wolną.

— Przed czym? — zapytałem, przyłączając się do rozładowywania skrzyń.

Nic nie odrzekł.

— Przez ostatnie dni często cię nie było — zauważyłem.

Znowu nie było odpowiedzi.

— Nie ma zamiaru ci powiedzieć, gdzie był, Klęczko — odezwała się Megan, rozpierając się za biurkiem. — Przywyknij do tego. Profesor wysłała go na sekretne misje.

— Ale... — zacząłem, czując się zraniony. Myślałem, że mam już swoje miejsce w grupie.

— Niech cię to nie smuci, Davidzie — powiedział Abraham, biorąc łom, by otworzyć jedną ze skrzyń. — To nie jest kwestia braku zaufania. Musimy zachowywać pewne rzeczy w tajemnicy nawet w obrębie grupy, na wypadek gdyby ktoś z nas został pojmany. Stalowe Serce ma swoje sposoby, by wydrzeć z ludzi to, co chcą ukryć — nikt poza Profesorem nie powinien wiedzieć o wszystkim, co robimy.

To było logiczne tłumaczenie i z tych samych powodów nie mogłem poznać szczegółów dotyczących ogniów energetycznych, ale mimo wszystko byłem nieco poirytowany. Podczas gdy Abraham zabrał się do otwierania kolejnej skrzyni, ja sięgnąłem do pokrowca i wyjąłem tensor. Dzięki niemu bez trudu poradzę sobie z drewnianymi wiekami skrzynek.

Abraham uniósł brew.

— Co? — zdziwiłem się. — Cody powiedział, żebym ćwiczył.

— Radzisz sobie coraz lepiej — odparł Abraham. Potem sięgnął do wnętrza skrzyni, którą otworzyłem, i wyjął jabłko, teraz obsypane trocinami, toteż trochę nabałaganił. — Całkiem dobrze — mówił dalej. — Ale czasem łom jest bardziej odpowiedni, prawda? Poza tym być może będziemy chcieli używać tych skrzyń ponownie.

Westchnąłem, skinąwszy głową. To było... cóż, trudne. Poczucie mocy, jakie miałem podczas akcji przenikania do elektrowni, trudno było zapomnieć. Wycinanie dziur w ścianach i występów sprawiło, że uwierzyłem, iż mogę kształtować rzeczy zgodnie ze swoją wolą. Im więcej używałem tensora, tym bardziej ekscytowałem się możliwościami, jakie dawał.

— Ważne jest także to — rzekł Abraham — by unikać pozostawiania śladów, mogących świadczyć o tym, co potrafimy zrobić. Wyobraź sobie, co by się działo, gdyby wszyscy wiedzieli o tensorach? Świat stałby się inny, o wiele dla nas trudniejszy.

Skinąłem głową, niechętnie odkładając tensor.

— Źle się stało, że Diamond widział dziurę, którą wyciąłeś.

Abraham zawahał się, choć tylko przez chwilę.

— Tak — powiedział. — Źle.

Pomogłem mu wyładować zapasy. Megan przyłączyła się do nas, pracując z charakterystyczną dla niej efektywnością. Skończyło się na tym, że instruowała nas, gdzie mamy postawić poszczególne artykuły żywnościowe. Abraham godził się na to bez słowa skargi, choć Megan była młodszym członkiem grupy.

Kiedy byliśmy w połowie rozładunku, ze swej pracowni wyszedł Profesor. Podeszedł do nas, zatopiony w przeglądaniu jakichś papierów z teczki.

— Dowiedział się pan czegoś, Profesorze? — zapytał Abraham.

— Plotki szybko się rozchodzą — rzekł Profesor, przekazując teczkę Tii. — Miasto huczy od plotek, że przybył nowy Epik, który chce rzucić wyzwanie Stalowemu Sercu. Pół Newcago o tym mówi, a pół dekuje się w piwnicach, czekając, aż wybuchnie walka.

— To wspaniale! — krzyknąłem.

— Tak. — Profesor wyglądał na zatroskanego.

— Co w takim razie nie gra?

Postukał palcami o teczkę.

— Czy Tia mówiła ci, co znajdowało się w chipach, które zabrałeś z elektrowni?

Pokręciłem głową, starając się ukryć ciekawość. Czy Profesor zechce mi to powiedzieć? Być może będzie stanowiło to klucz do wyjaśnienia zagadki, czym zajmował się Abraham w ostatnim czasie.

— To materiały propagandowe — powiedział Profesor. — Sądźmy, że odkryliście istnienie skrzydła rządu Stalowego Serca, które zajmuje się manipulowaniem opinią publiczną. Pliki zawierają komunikaty prasowe, zarysy pogłosek, które miały być rozprzestrzeniane, i historie o czynach Stalowego Serca. Większa część tych historii i pogłosek nie ma nic wspólnego z prawdą, o ile może to ocenić Tia.

— Stalowe Serce nie byłby pierwszym władcą, który fabrykuje wspaniałe opowieści na swój temat — zauważył Abraham, umieszczając kurczaka w puszcze na jednej z półek, które zajmowały całą ścianę tylnego pomieszczenia.

— Ale po co Stalowe Serce miałby robić coś takiego? — zapytałem, ocierając czoło. — To znaczy... praktycznie nie można go zabić. Nie musi pozować na potężniejszego, niż jest w rzeczywistości.

— Jest bezczelny — powiedział Abraham. — Wszyscy o tym wiedzą. To widać w jego oczach, w sposobie, w jaki mówi i w jaki się zachowuje.

— Tak — przytaknął Profesor. — I dlatego właśnie plotki te są tak zdumiewające. Historie na jego temat nie mają wzmacniać jego pozycji — a jeśli nawet, to ma dziwny pomysł na realizację tego planu. Większość opowieści dotyczy okrucieństw, których się dopuścił. Ludzi, których zamordował, budynków, czy nawet małych miasteczek, które zmiotł z powierzchni ziemi. Ale żadna z tych rzeczy nie miała miejsca.

— Stalowe Serce rozpusza pogłoski o zagładzie miast pełnych ludzi? — zapytała skonfundowana Megan.

— Na to wygląda — odparł Profesor. Zaczął nam pomagać przy rozpakowywaniu skrzyń. Zauważyłem, że od momentu, gdy do nas dołączył, Megan przestała wydawać rozkazy. — Komuś zależy, by Stalowe Serce wydawał się bardziej okrutny, niż jest w rzeczywistości.

— Być może odkryliśmy jakąś grupę rebeliancką? — powiedziałem poruszony.

— Wątpię — rzekł Profesor. — W jednym z głównych budynków rządowych? Przy tak szczelnej ochronie? Poza tym z tego, co mówicie, wynika, że strażnicy wiedzieli o miejscu przechowywania materiałów dotyczących Stalowego Serca. Do wielu z tych historii dołączono dokumentację stwierdzającą, że wymyślił je sam Stalowe Serce. Dokumenty potwierdzają fałszywość tych historii, są też dowody, iż pewne fakty zmyślono.

— Stalowe Serce lubi się pysznić — powiedział Abraham — i upiększać fakty. Dlatego jego ministrowie muszą sprawić, by wszystkie historie brzmiały prawdopodobnie. W przeciwnym wypadku wyszedłby na głupka.

Profesor skinął głową. Miałem nadzieję, że znaleźliśmy coś ważnego, a tymczasem były to jedynie dokumenty, które miały na celu polepszenie wizerunku Stalowego Serca i sprawienie, by wydawał się jeszcze bardziej zły.

— Tak więc Stalowe Serce nie jest tak straszny, jak nam się to wydaje — rzekł Abraham.

— Jest straszny, niestety — powiedział Profesor. — Chcesz coś powiedzieć, Davidzie?

— Jest sprawcą siedemnastu tysięcy potwierdzonych zabójstw — rzuciłem z roztargnieniem. — Mam to w swoich zapiskach. Wielu ludzi było całkowicie niewinnych. Wszystkie te informacje nie mogły być więc sfabrykowane.

— I nie są — odrzekł Profesor. — Stalowe Serce jest straszliwym, przerażającym indywiduum. Chce, byśmy wszyscy byli tego pewni.

— Koszmarne — mruknął Abraham.

Zacząłem grzebać w skrzyni z serami. Wyjmowałem zapakowane w papier bloki serów i

umieszczałem je w dziurze, która znajdowała się w odległym kącie pokoju i w której panował chłód. Na wiele rzeczy, które jadali Mściciele, ja nigdy nie mógłbym sobie pozwolić. Sery, świeże owoce. Większą część żywności trzeba było sprowadzać z powodu panujących w Newcago ciemności. Nie było możliwości hodować tutaj owoców ani warzyw, a Stalowe Serce kontrolował gospodarstwa znajdujące się poza miastem.

Sporo kosztująca żywność. Teraz przywykłem już, że i ja taką jadam. Dziwne, jak szybko to się stało.

— Profesorze — powiedziałem, umieszczając krążek sera w dziurze — czy myślał pan kiedyś o tym, że Newcago być może byłoby gorsze bez Stalowego Serca niż z nim?

W przeciwległym kącie pokoju Megan odwróciła się gwałtownie i spojrzała na mnie. *Nie powiem mu, że ty to powiedziałaś, więc nie patrz tak na mnie. Po prostu chcę znać zdanie Profesora.*

— Tak prawdopodobnie by było — odparł. — Przynajmniej przez jakiś czas. Infrastruktura miasta najpewniej by się załamała. Byłoby mniej żywności. Nim ktoś potężny zająłby miejsce Stalowego Serca i objął dowodzenie armią, doszłoby do wielu grabieży.

— Ale...

— Chcesz zemsty, synu? Cóż, oto jej koszt. Nie będę słodził. Musimy starać się nie krzywdzić niewinnych, ale jeśli zabijemy Stalowe Serce, nie unikniemy pewnych cierpień.

Usiadłem obok naszej prowizorycznej chłodni.

— Nigdy o tym nie pomyślałeś? — zapytał Abraham. Pocierał swój naszyjnik, który wystawał mu spod koszuli. — Przez wszystkie te lata planowania i przygotowań do zabicia tego, którego nienawidzisz, nigdy nie rozważałeś, co stanie się z Newcago?

Zaczerwieniłem się, po czym pokręciłem głową. Nie, nie rozważałem.

— To... co w takim razie robimy?

— Kontynuujemy to, co zaczęliśmy — odrzekł Profesor. — Nasza robota to odcięcie zainfekowaną część ciała. Tylko wówczas ciało może zacząć się leczyć. Ale najpierw musi bardzo boleć.

— Ale...

Profesor odwrócił się w moją stronę, a ja zobaczyłem coś w wyrazie jego twarzy. Głębokie wyczerpanie, zmęczenie człowieka, który prowadzi walkę od bardzo, bardzo długiego czasu.

— Pomyśl o tym, synu. Zastanów się. Niech cię to podręczy. Nie prześpij nocy, zastanawiając się nad konsekwencjami wiary w jakąś ideę. To sprawi, że zrozumiesz, jakie są koszty walki. Jednakże muszę cię ostrzec. Wielu odpowiedzi nie da się znaleźć. Nie ma dobrych wyborów. Posłuszeństwo tyranowi albo chaos i cierpienie. Ostatecznie wybieram to drugie, choć wymuszam to na własnej duszy. Jeśli nie będziemy walczyć, ludzkość jest skończona. Powoli staniemy się dla Epików zwierzętami, niewolnikami, sługami. I pozostaniemy w takiej stagnacji. Nie chodzi tylko o zemstę i odpłatę. Chodzi o przetrwanie rodzaju ludzkiego. O człowieka, który ma decydować o swoim przeznaczeniu. Wybieram cierpienie i niepewność ponad bycie psem uwiązanym do łańcucha.

— To wszystko jest w porządku — odezwała się Megan — jeśli dokonujemy wyborów w swoim imieniu. Ale pan, Profesorze, decyduje za wszystkich ludzi w mieście.

— Tak jest. — Profesor ustawiał puszki na półce.

— Tak więc — mówiła dalej Megan — ci ludzie nie są panami własnego losu. Albo będą żyli zdominowani przez Stalowe Serce, albo będą musieli walczyć o przetrwanie, przynajmniej do czasu, gdy przybędzie nowy Epik i nad nimi zapanuje.

— Więc jego też zabijemy — powiedział Profesor cicho.

— Jak wielu możemy zabić? — zapytała Megan. — Nie da rady powstrzymać wszystkich Epików, Profesorze. W końcu zawsze przybędzie do miasta jakiś nowy Epik. Czy sądzi pan, że będzie lepszy od Stalowego Serca?

— Wystarczy, Megan — odparł Profesor. — Już o tym rozmawialiśmy i dokonałem wyboru.

— Newcago to jedno z najlepszych miejsc do życia w całych Częstkowych Stanach — mówiła dalej Megan, ignorując słowa Profesora. — Powinniśmy skoncentrować się na Epikach, którzy nie są dobrymi zarządcami, i na miejscach, gdzie żyje się gorzej niż w Newcago.

— Nie — odparł szorstko Profesor.

— Dlaczego nie?

— Bo w tym właśnie jest rzecz! Wszyscy mówią, jak wspaniałe jest Newcago. Ale w rzeczywistości nie jest, Megan. Wypada dobrze tylko w porównaniu z innymi miastami! Tak, są gorsze miejsca, ale dopóki ta otchłań piekielna uznawana jest za ideał, niczego nie osiągniemy. Nie możemy pozwolić, by przekonano nas, że to wszystko jest normalne!

W pokoju zapadła cisza. Megan wyglądała na zaskoczoną wybuchem Profesora. Ja siedziałem z opuszczonymi ramionami.

Nie tak to sobie wyobrażałem. Wspaniali Mściciele, którzy wymierzają Epikom sprawiedliwość. Nigdy wcześniej nie pomyślałem o poczuciu winy, które na sobie dźwigali, o kłótniach, niepewności. Widziałem w nich ten sam strach, który odczuwałem w elektrowni. Obawę, że tylko pogarszamy istniejący stan rzeczy, że możemy skończyć tak źle, jak Epicy.

Profesor wyszedł, machnąwszy ręką w desperacji. Słyszałem szelest zasłony, odgradzającej jego pracownię od reszty pomieszczeń. Megan patrzyła, jak nas opuszcza, czerwony na twarzy ze złości.

— Nie jest tak źle, Megan — powiedział cicho Abraham. Wydawał się spokojny. — Będzie dobrze.

— Skąd możesz to wiedzieć? — zapytała.

— Nie musimy zabijać wszystkich Epików — odrzekł Abraham. W ciemnoskórej ręce trzymał łańcuszek z breloczkiem, który zazwyczaj nosił na szyi. — Musimy po prostu walczyć tak długo, jak się da.

— Nie mam zamiaru słuchać tych głupot, Abraham — odparła Megan. — Nie teraz. — Powiedziawszy to, odwróciła się i opuściła pokój. Wpełzła do tunelu, który wiódł do stalowych katakumb, i zniknęła.

Abraham westchnął i zwrócił się w moją stronę.

— Nie wyglądasz dobrze, Davidzie.

— Jest mi niedobrze — powiedziałem szczerze. — Myślałem, że... jeśli ktokolwiek zna odpowiedzi, to są to właśnie Mściciele.

— To błędna ocena — rzekł Abraham, podchodząc do mnie. — Także w stosunku do Profesora. Nie oceniaj egzekutora na podstawie faktu, że jego ostrze nieraz zawiedzie. A Profesor jest egzekutorem działającym w imieniu społeczeństwa, wojownikiem walczącym o dobro ludzkości. Inni przybędą, by odbudować zniszczenia.

— Ale czy to cię nie niepokoi? — zapytałem.

— Nieszczególnie — przyznał szczerze Abraham, nakładając łańcuszek z powrotem na szyję. — Mam nadzieję, że innych też nie.

Teraz dostrzegłem breloczek, jaki miał przypięty do łańcuszka. Był mały, srebrny, z widoczną na nim wystylizowaną literą S. Pomyślałem, że gdzieś już widziałem taki symbol. Przypominał mi o moim ojcu.

— Jesteś jednym z Wiernych — odgadłem. Słyszałem o nich, ale nigdy nie spotkałem



żadnego. Fabryka wychowywała realistów, a nie marzycieli, a żeby być jednym z Wiernych, musiałeś być marzycielem.

Abraham skinął głową.

— Jak to możliwe, że wciąż wierzysz w to, iż dobrzy Epiccy nadejdą? — zapytałem. — Przecież minęło już dziesięć lat.

— Dziesięć lat to nie tak dużo. Nie w szerszej perspektywie. Ludzie nie są wcale tak bardzo starą rasą, jeśli spojrzymy z szerszej perspektywy. Bohaterowie nadejdą. Kiedyś będą istnieli Epiccy, którzy nie będą zabijali, nienawidzili i nie będą dominowali. Znajdziemy się pod ich opieką.

*Idiota* — pomyślałem. Była to instynktowna reakcja i natychmiast zrobiło mi się głupio, że to pomyślałem. Abraham nie był idiotą. Był mądrym człowiekiem, a przynajmniej na takiego wyglądał do tej pory. Ale... jak w ogóle mógł jeszcze sądzić, że istnieją dobrzy Epiccy? To samo rozumowanie sprawiło, że mój ojciec zginął.

*Ale przynajmniej Abraham ma coś, na co czeka* — pomyślałem. Czy byłoby to takie złe — wierzyć w mityczną grupę Epików, którzy nadejdą i przyniosą zbawienie?

Abraham ścisnął mnie za ramię i posłał mi uśmiech. Potem odszedł. Stałem i patrzyłem, jak zmierza do pracowni Profesora. Nigdy nie widziałem, by ktokolwiek z grupy to robił. Następnie dobiegła mnie stamtąd cicha rozmowa.

Potrząsnąłem głową. Powróciłem do rozładowywania skrzyń, ale nie miałem już do tego głowy. Popatrzyłem w kierunku tunelu prowadzącego do katakumb. Powodowany kaprysem, wyruszyłem na poszukiwania Megan.

Megan nie odeszła daleko. Znalazłem ją u wylotu tunelu. Siedziała na stercie skrzynek na zewnątrz naszej kryjówki.

Z wahaniem podszedłem, a Megan rzuciła mi podejrzliwe spojrzenie. Po chwili jej twarz złagodniała, ona zaś odwróciła się i zaczęła wpatrywać w ciemność. Miała komórkę nastawioną tak, by dawała światło.

Wspiąłem się na stertę skrzynek i usiadłem obok niej, ale nic nie mówiłem. Chciałem powiedzieć coś bardzo odpowiedniego, ale — jak zawsze — nie miałem pojęcia, co to mogłoby być. Kłopot polegał na tym, że w zasadzie zgadzałem się z Profesorem, choć z tego powodu czułem się winny. Nie posiadałem zdolności przewidywania, co stanie się z Newcago, jeśli jego władca zginie. Ale wiedziałem na pewno, że Stalowe Serce jest złem. Nie mógł go skazać żaden sąd, lecz ja miałem prawo żądać sprawiedliwości za to, co zrobiono mnie i mojemu ojcu.

Siedziałem więc, starając się powiedzieć coś, co nie obrazi Megan, ale nie będzie też pozbawione siły. Jest to trudniejsze, niż można by przypuszczać — dlatego przeważnie mówię po prostu to, co akurat w danym momencie przychodzi mi do głowy. Kiedy zaczynam się zbyt głęboko namyślać, nigdy nic mądrego nie jestem w stanie stworzyć.

— On naprawdę jest potworem — odezwała się w końcu Megan. — Wiem, że jest. I nienawidzę sytuacji, w której wychodzi na to, że go bronię. Po prostu nie wiem, czy zabicie go wyjdzie na dobre ludziom, których usiłujemy chronić.

Skinąłem głową. Rozumiałem to, naprawdę. Znowu zapadła cisza. Kiedy tak siedzieliśmy, dobiegały nas z korytarzy dalekie odgłosy, zniekształcone przez przedziwny układ podziemi i ich akustykę. Czasem słyhać było napływającą wodę, tak jakby rury odprowadzające ścieki znajdowały się gdzieś w pobliżu. Innym razem przysiągłbym, że słyszę szczury, choć nie bardzo wiedziałem, jakim cudem dałyby radę żyć w podziemiach. Kiedy indziej wydawało się, że grunt pod naszymi nogami jęczy.

— Kim oni tak naprawdę są, Megan? — zapytałem. — Zastanawiałaś się nad tym?

— Masz na myśli Epików? — zapytała. — Wielu ludzi ma rozmaite teorie.

— Wiem. Ale jakie jest twoje zdanie?

Nie odpowiedziała natychmiast. Mnóstwo ludzi miało swoje opinie na ten temat i chętnie by się nimi podzieliło. Epicy byli następnym etapem ewolucji lub też karą zesłaną przez tego czy tamtego boga, a może byli kosmitami. Albo rezultatem tajnego projektu rządowego. A może wszystko to było oszustwem i Epicy używali zaawansowanej technologii, udając w ten sposób, że posiadają jakieś szczególne moce.

Większość teorii nie wytrzymała konfrontacji z faktami. Normalni ludzie zaczęli posiadać pewne zdolności i stawali się Epikami; nie byli kosmitami ani niczym podobnym. Wiele historii świadczyło o tym, że w obrębie jednej rodziny nagle ujawniały się jakieś specyficzne zdolności. Naukowcy byli zaskoczeni genetyką Epików, ale o tym nie wiedziałem wiele. Poza tym wielu naukowców już nie żyło albo pracowało dla któregoś z potężniejszych Epików.

Tak czy inaczej, wiele pogłosek było po prostu głupich, ale to nie sprawiło, że przestano je rozpowszechniać, i prawdopodobnie nigdy tak się nie stanie.

— Myślę, że są jakimś rodzajem testu — powiedziała Megan.

Zmarszczyłem brwi.

— Masz na myśli sprawy religijne?

— Nie, nie chodzi mi o test wiary czy coś w tym stylu. Mam na myśli sprawdzian, co

byśmy zrobili, jeśli mielibyśmy moc. Ogromną moc. Jaki ma to na nas wpływ? Jak byśmy sobie z tym poradzi?

Pociągnąłem nosem.

— Jeśli Epicy mają być przykładem na to, co można zrobić dzięki swoim zdolnościom, to lepiej, żebyśmy w ogóle ich nie mieli.

Megan zamilkła. Kilka chwil później usłyszałem kolejny dziwny dźwięk.

Pogwizdywanie.

Odwróciłem się i ku swemu zdziwieniu zobaczyłem, że korytarzem podąża Cody. Był sam, a swój motocykl — dzięki któremu przetransportował skrzynki z zapasami — zostawił najwyraźniej w hangarze. Szedł z karabinem przewieszonym przez ramię i miał na głowie czapkę baseballową z herbem jego domniemanego szkockiego klanu. Uchylił czapki.

— Więc... mamy przyjęcie? — zapytał. Sprawdził komórkę. — Już czas na herbatę?

— Herbatę? — zdziwiłem się. — Nigdy nie widziałem, żebyś ją pił.

— Zazwyczaj wystarczają mi paluszki rybne i torebka ziemniaczanych chipsów — powiedział Cody. — To brytyjski zwyczaj. Wy wszyscy jesteście jankesami, więc nie zrozumiecie.

Coś mi się w tym twierdzeniu nie zgadzało, ale wiedziałem zbyt mało, by zaczynać na ten temat dyskusję.

— Skąd ten poważny wyraz twarzy? — zapytał Cody, wskakując na stertę skrzynek i przysiadając obok nas. — Wyglądacie jak para łowców szopów w deszczowy dzień.

*Wow* — pomyślałem. *Dlaczego mnie do głowy nie przychodzą takie metafory.*

— Profesor i ja mieliśmy sprzeczkę — powiedziała Megan, wzdychając.

— Znowu? Myślałem, że to macie już za sobą. O co poszło tym razem?

— Nie chcę o tym mówić.

— No ładnie, ładnie. — Cody wyjął swój długi myśliwski nóż i zaczął czyścić sobie paznokcie. — Władca Ciemności był w mieście. Ludzie widzieli go często, jak przechodził przez ściany mieszkań różnych kreatur i pomniejszych Epików.

— To dobrze — powiedziałem. — To oznacza, że Stalowe Serce traktuje zagrożenie poważnie.

— Możliwe — rzekł Cody. — Możliwe. Nie powiedział jeszcze nic o rzuconym mu wyzwaniu, a Władca Ciemności sprawdza na razie zwykłych ludzi. Stalowe Serce być może podejrzewa, że ktoś chce spowodować eksplozję, podpalając jedynie jego kilt.

— Być może powinniśmy uderzyć na Władcę Ciemności — zasugerowałem. — Teraz już znamy jego słabość.

— To może być dobry pomysł — rzekł Cody. Pogrzebał w plecaku i wyciągnął cienkie i długie urządzenie, które mi rzucił.

— Co to jest?

— Latarka UV. Udało mi się znaleźć miejsce, w którym takie sprzedają. Albo raczej żarówki, które wkłada się do latarki. Przygotowałem dla nas parę takich. Musimy być gotowi, na wypadek gdyby Władca Ciemności nas zaskoczył.

— Myślisz, że nas tutaj znajdzie? — zapytałem.

— W końcu zacznie penetrować i katakumby — odpowiedział Cody. — Może już zaczął. Mieć bazę obronną nie oznacza wiele, jeśli Władca Ciemności zdecyduje się przejść przez ściany i udusić nas we śnie.

Cóż za pogodna perspektywa. Zadrzałem.

— Przynajmniej mamy przeciw niemu broń. — Podał latarkę Megan. — Ale sądzę, że jesteśmy źle przygotowani.

Wciąż nie wiemy, jaka jest słabość Stalowego Serca. A co, jeżeli podejmie wyzwanie Limelighta?

— Tia znajdzie odpowiedź — odparłem. — Ma wiele tropów, które pomogą jej odkryć, co było w skarbcu.

— A Pożar? — zapytał Cody. — Nie zaczęliśmy nawet jeszcze planować, jak sobie z nim poradzimy.

Pożar, drugi z najpotężniejszych Epików, stanowiących straż przyboczną Stalowego Serca. Megan popatrzyła na mnie, wyraźnie zaciekawiona, co powiem w następnej kolejności.

— Pożar nie będzie stanowić problemu — odrzekłem.

— To już mówiłeś wcześniej, kiedy się u nas pojawiłeś po raz pierwszy. Ale jak dotąd nie powiedziałeś, dlaczego Pożar to nie problem.

— Przedyskutowałem to z Tią — odparłem. — Pożar nie jest tym, za kogo go macie. — Byłem tego dość pewny. — Chodźcie, pokażę wam coś.

Cody uniósł brew, ale ruszył za mną, gdy wpełzałem do tunelu. Profesor znał już zawartość moich notatek, choć nie wiedziałem, czy uwierzył w ich słuszność. Wiedziałem, że planuje spotkanie, by omówić kwestie Władcy Ciemności i Pożara, ale wiedziałem także, że nim posunie się dalej w planowaniu, czeka na opinię Tii. Jeśli ona nie rozwiąże zagadki, jak zabić Stalowe Serce, nic innego nie będzie się już liczyło.

Nie chciałem o tym myśleć. Poddawanie się teraz tylko dlatego, że nie znamy słabości Stalowego Serca, można było przyrównać do sytuacji w Fabryce, gdy zrobiłeś wszystko, by dostać deser, i byłeś już o krok od nagrody. Ale to i tak nie ma znaczenia, bo Pete został przyłapany na próbie kradzieży deseru i nikt w związku z tym nie dostanie ani kawałka — nawet Pete, bo okazało się, że deseru w ogóle nie było. Coś w tym rodzaju. Ta metafora jeszcze się rozwinie.

Powiodłem Cody'ego do pudła, w którym trzymaliśmy moje notatki. Przeglądałem je przez parę minut, zauważając przy okazji, że dołączyła do nas Megan. Wyraz jej twarzy nie zdradzał żadnych emocji.

Znalazłem wreszcie teczkę z zapiskami o Pożarze i położyłem je na biurku, rozkładając także parę zdjęć.

— Co wiecie o Pożarze?

— Ognisty Epik — odrzekł Cody, wskazując zdjęcie.

Przedstawiała osobę złożoną z płomieni, która emitowała takie ciepło, że powietrze wokół falowało. Na zdjęciu nie widać było twarzy Pożara, tylko języki ognia. Właściwie wszystkie posiadane przeze mnie zdjęcia pokazywały go w łunie tak ognistej, że fotki były zdeformowane.

— Posiada moce standardowe dla Epików władających mocą ognia — rzekła Megan. — Może zmienić się w płomień. Prawie zawsze pojawia się w tej postaci. Umie latać, emitować fale płomieni z rąk i manipulować ogniem. Wokół siebie wytwarza intensywne ciepło, które jest w stanie stopić kule, choć i tak nie mogłyby go zabić, nawet jeśli się nie stopiły. To taki podstawowy profil Pożara.

— Zbyt podstawowy — odrzekłem. — Każdy Epik ma cechy charakterystyczne. Żaden nie ma takiego samego zakresu i rodzaju mocy. Coś naprowadziło mnie na pewien trop. I mam parę dowodów. — Pokazałem na kilka fotografii, z których każda została zrobiona innego dnia. Zazwyczaj przedstawiały Stalowe Serce i jego świtę. I o ile na ogół Władcę Ciemności wysyłano z misjami, o tyle Pożar pozostawał blisko Stalowego Serca, by służyć za pierwszą linię ochrony.

— Widzisz to? — zapytałem.

— Ale co? — zdziwił się Cody.

— Tutaj — powiedziałem, wskazując mężczyznę, który stał w grupie ochroniarzy Stalowego Serca. Był szczupły, nie miał zarostu i nosił dopasowany garnitur, okulary przeciwsłoneczne oraz kapelusz o szerokim rondzie, który osłaniał jego twarz.

Wskazałem kolejne zdjęcie. Był na nim ten sam człowiek. I następne, a potem kolejne. Jego twarz była słabo widoczna również i na innych fotkach — zresztą żadne z nich nie koncentrowało się na nim, a okulary zawsze maskowały jego rysy twarzy.

— Ta osoba pojawia się zawsze tam, gdzie jest Pożar — powiedziałem. — To podejrzane. Kto to jest? I co tutaj robi?

Megan zmarszczyła brwi.

— Co sugerujesz?

— Tutaj. Popatrzcie na to. — Wyjąłem serię pięciu zdjęć. Ujęcia zostały zrobione bardzo szybko, w trakcie lotu Stalowego Serca nad miastem, który odbywał wraz ze świtą sługusów. Czasem robił coś takiego. Choć zawsze sprawiał wrażenie, że robi coś wyjątkowo ważnego, podejrzewałem, że była to po prostu jego swoista parada.

Na zdjęciach widać było, że towarzyszą mu Władca Ciemności i Pożar. Lecieli jakieś trzy metry nad ziemią. Dołem sunęła kawalkada samochodów, przypominająca wojskowy konwój. Nie mogłem rozróżnić żadnych twarzy, ale przypuszczałem, że podejrzana osoba jest gdzieś w grupie towarzyszącej Stalowemu Sercu.

Pięć fotografii. Na czterech z nich trio Epików, lecących ramię w ramię. A na jednym — dokładnie w środku — postać Pożara rozmazywała się i stawała się przezroczysta.

— Pożar potrafi stać się bezcielesny, tak jak Władca Ciemności? — zgadywał Cody.

— Nie — odpowiedziałem. — Pożar nie jest realny.

Cody zamrugał.

— Co?

— W rzeczywistości nie istnieje. A przynajmniej nie w takiej formie, w jakiej myślimy. Pożar jest niezwykle misterną i niesamowicie mądrze wymyśloną iluzją. Przypuszczam, że człowiek, którego widzimy na zdjęciach, ten, który nosi garnitur i kapelusz, jest prawdziwym Epikiem. Potrafi tworzyć iluzje, sterując światłem, podobnie jak Lśniąca, tyle że na znacznie wyższym poziomie. Prawdziwy Pożar wraz ze Stalowym Sercem stworzyli fałszywego Epika, tak jak my stworzyliśmy Limelighta. To zdjęcie zostało zrobione w momencie rozproszenia uwagi, kiedy prawdziwy Epik nie koncentrował się na swej iluzji, a ta zaczynała znikać.

— Fałszywy Epik? — spytała z lekceważeniem Megan. — Jaki to miałyby sens? Stalowe Serce nie potrzebowałoby robić czegoś takiego.

— Stalowe Serce kieruje się swoistą psychologią — odparłem. — Uwierz mi. Założę się, że znam go lepiej niż którykolwiek z jego najbliższych współpracowników. Jest bezczelny, tak jak to powiedział Abraham, ale także ma paranoję. Większą część swoich działań poświęca na utrzymanie się przy władzy i dominację nad ludźmi. Zmienia wciąż miejsca, w których śpi. Po co miałyby to robić? Nie można go zranić, czyż nie tak? Ma paranoję, boi się, że ktoś odkryje jego słaby punkt. Zniszczył cały bank, bo obawiał się, że znajdziemy wskazówkę, jak można go zranić.

— Mnóstwo Epików ma taki problem — zauważył Cody.

— To dlatego, że większa część z nich też ma paranoję. Czy istnieje lepszy sposób na zaskoczenie ewentualnych zabójców niż stworzenie postaci Epika, którego w rzeczywistości nie ma? Jeśli zabójcy poświęcą cały swój czas na planowanie, jak usunąć Pożara, to wystąpią tak naprawdę przeciw iluzji.

— I my także, zakładając, że masz rację — powiedział Cody. — Walka z iluzjonistami jest trudna. Nie znoszę, gdy nie mogę ufać temu, co widzą moje oczy.

— Ale zdolności do kreowania iluzji nie wyjaśniają wszystkiego — zauważyła Megan. — Zarejestrowano momenty, w których widać, jak Pożar stapał pociski.

— Pożar sprawia, że kule znikają, kiedy sięgają iluzorycznego celu, a potem tworzy iluzoryczne, stopione pociski, które spadają na ziemię. Później któryś ze sługusów Stalowego Serca rozrzuca prawdziwe, naprawdę stopione naboje, które mają służyć za dowód. — Wyjąłem kolejne dwa zdjęcia. — Mogę potwierdzić, że to robią. Mam górę dokumentacji na ten temat, Megan. Możesz się z nią zapoznać. Tia zgadza się z moim zdaniem.

Ze stosiku fotografii wyjąłem kilka.

— Zobacz tę. Została zrobiona w chwili, gdy Pożar „spala” budynek. Sam zrobiłem to zdjęcie. Widzisz, jak operował ogniem? Jeśli przyjrzałabyś się śladom na ścianach, które widać na zdjęciu wykonanym następnego dnia, zobaczyłabyś, że różnią się od tych, które powinny być widoczne po strumieniach płomieni wyemitowanych przez Pożara. Prawdziwe ślady zostały zrobione przez ludzi Stalowego Serca dopiero następnego dnia. Świadców, co prawda, usunięto z miejsca zdarzenia, więc nie mogłem obserwować takiej ekipy w akcji, ale dowody widoczne następnego dnia są oczywiste.

Megan wyglądała na głęboko zmartwioną.

— Co? — zapytał Cody.

— Chodzi o to, co powiedziałeś — odrzekła. — Iluzjoniści. Są wkurzający. Mam nadzieję, że nie staniemy oko w oko z żadnym z nich.

— Nie sądzę, żebyśmy musieli — wymamrotałem. — Przemyślałem to i pomijając sławę, jaką się cieszy Pożar, tak naprawdę nie stanowi on straszliwego zagrożenia. Nie mogę go powiązać z jakimiś zabójstwami, rzadko staje do bezpośredniej walki. To z pewnością dlatego, że nie chce ujawnić, kim naprawdę jest. Mam w teczkach parę opisów pewnych faktów. Kiedy Pożar się pojawi, jedyne, co będziemy musieli zrobić, to zabić człowieka tworzącego iluzje — tego mężczyznę ze zdjęcia — a wszystkie one znikną. To nie powinno być zbyt trudne.

— Być może macie rację, jeśli chodzi o iluzje — odezwał się Cody, przeglądając kolejne zdjęcia. — Ale nie mam pewności co do osoby, która je kreuje. Gdyby Pożar był mądry, stworzyłby iluzje, a potem zniknął.

— Całkiem prawdopodobne, że tego właśnie nie może zrobić — odrzekłem. — Nie wszyscy iluzjoniści są w stanie zrobić coś takiego. — Zawahałem się. — Ale masz rację. Nie mamy pewności, kto tworzy fałszywego Epika, jednak wciąż myślę, że Pożar nie będzie stanowił problemu. Wszystko, co musimy zrobić, to przestraszyć go. Zastawić pułapkę, która ujawni fakt, iż jego iluzje to bzdura. Kiedy Pożar poczuje się zagrożony zdemaskowaniem, rzuci się do ucieczki. Na tyle, na ile byłem w stanie się zorientować, Pożar ma naturę tchórza.

Cody kiwał głową z namysłem.

— Myślę, że traktujesz to zbyt lekko — odezwała się Megan, a w jej głosie brzmiała złość. — Jeśli Stalowe Serce naprawdę oszukiwał wszystkich przez cały czas, to całkiem prawdopodobne, że Pożar jest nawet bardziej niebezpieczny, niż myślimy. Coś mnie w tym wszystkim niepokoi. Nie sądzę, byśmy byli dobrze przygotowani do rozgrywki.

— Szukasz powodu, by cały nasz plan wziął w łeb — powiedziałem rozzłoszczony.

— Nigdy tego nie powiedziałam.

— Nie musiałaś. To...

Przerwałem, bo w tunelu prowadzącym do kryjówki dał się wyczuć jakiś ruch i pojawiła się w nim Tia, ubrana w stare dżinsy i kurtkę Mścicieli. Spodnie na kolanach były pobrudzone. Wstała, uśmiechając się.

— Znaleźliśmy to.

Serce skoczyło mi w piersi i prąd elektryczny przebiegł mi po ciele.

— Słaby punkt Stalowego Serca? Odkryłaś, co to takiego?

— Nie — odrzekła, a oczy lśniły jej z podniecenia. — Ale to powinno doprowadzić nas do rozwiązania zagadki. Znalazłam to.

— Co takiego, Tia? — zdziwił się Cody.

— Bankowy sejf.

— Zaczęłam rozważać tę możliwość, gdy opowiedziałeś swoją historię, Davidzie — tłumaczyła Tia. Cała grupa Mścicieli podążała za nią tunelem stalowych katakumb. — A im bardziej badałam sprawy związane z bankiem, tym bardziej wzrastała moja ciekawość. Odkryłam parę osobliwych rzeczy.

— Osobliwych rzeczy? — zdziwiłem się.

Szliśmy zwartą grupą. Prowadził Cody, a Abraham zamykał pochód. Zastąpił swój wspianiały automat podobnym, tyle że ten nie wydawał już z siebie tylu rozmaitych dźwięków.

Czułem się bezpiecznie, mając Abrahama z tyłu. Ciasnota tunelu sprawiała, że automat był tym bardziej niebezpieczny dla kogoś, kto chciałby za nami podążać; ściany działałyby jak ograniczniki toru kręgli, a Abraham nie miałby żadnego problemu z oddawaniem strzałów.

— Kopacze — powiedział Profesor. Szedł obok mnie. — Nie pozwolono im wykonać podziemi pod bankiem.

— Tak — odparła podekscytowana Tia. — A z tym było różnie. Stalowe Serce nie dawał im szczególnych instrukcji. Potwierdza to chaos architektonicznych dolnych partii podziemi. Szaleństwo Kopaczy sprawiło, że stracili nad tym kontrolę. Ale jeden rozkaz był stanowczy: mają się trzymać z daleka od obszaru pod bankiem. Gdyby nie to, co opisywałeś, nigdy bym nie pomyślała, że Stalowe Serce zamienił większą część głównego pomieszczenia w metal, zanim do miasta przybyła Faultline. Miała dwa rodzaje mocy...

— Tak — byłem zbyt podniecony, by nie wpaść jej w słowo. Faultline — kobieta, którą wezwał Stalowe Serce, by zburzyła bank już po tym, jak ja zdołałem uciec. — Wiem, miała podwójne zdolności. Dwie drugiego stopnia, które, połączone, tworzyły zdolność pierwszego stopnia.

Tia uśmiechnęła się.

— Czytałeś mój system klasyfikacji.

— Równie dobrze możemy używać tej samej terminologii. — Wzruszyłem ramionami.

— Nie mam problemu z przrzucaniem się z jednego nazewnictwa na drugie.

Megan zerknęła na mnie, uśmiechając się kącikami ust.

— Co? — zapytałem.

— Bystrzak.

— Nie jestem...

— Nie daj się wyprowadzić z równowagi, synu — rzekł Profesor, rzucając Megan ostre spojrzenie. — Tak się składa, że mam słabość do bystrzaków.

— Nigdy nie mówiłam, że ja nie mam — rzuciła Megan lekko. — Interesuje mnie tylko to, dlaczego niektórzy udają kogoś, kim nie są.

*Nieważne* — pomyślałem. Według klasyfikacji Tii Faultline była Epikiem o zdolnościach pierwszego stopnia, bez skłonności do czerpania korzyści z demoralizacji. To sprawiło, że była potężna, ale jednocześnie delikatna. Powinna była sobie z tego zdawać sprawę. Kiedy parę lat później próbowała zdobyć Newcago, nie miała żadnych szans.

Tak czy inaczej, była Epikiem, którego pomniejsze moce złożyły się na jedną, bardziej imponującą zdolność. W jej przypadku była to umiejętność sprawiania, że ziemia się trzęsła — ale tylko wówczas, gdy nie była zbyt twarda. Potrafiła także zmienić zwykły kamień i glebę w sypki piach.

To, co wyglądało jak trzęsienie ziemi, było w rzeczywistości zmiękczeniem gruntu, który



zaczynał się zapadać. Istnieli Epiccy, którzy wywoływali prawdziwe trzęsienia ziemi, ale jak na ironię byli mniej potężni lub przynajmniej mniej użyteczni. Najsilniejsi potrafili zniszczyć miasto, ale nie byli w stanie zburzyć na zawołanie pojedynczego budynku i pogrzebać pod jego zwałami grupy ludzi. Trzęsienia tektoniczne miały zbyt wielką skalę, co wykluczało precyzję.

— Nie rozumiecie? — zapytała Tia. — Stalowe Serce sprawił, że główne pomieszczenie banku, czyli ściany, większa część sufitu, podłoga, przemieniło się w stal. Potem Faultline zmiękczyła grunt i bank się zawalił. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie istnieje szansa...

— ... że sejf wciąż tam jest — powiedziałem niegłośnie.

Skręciliśmy za róg w tunelu, po czym Tia wysunęła się do przodu, przesunęła parę kawałków żelastwa i naszym oczom ukazał się nowy tunel. Miałem już dosyć praktyki, by powiedzieć, że prawdopodobnie został wykonany tensorem. Tensory, jeśli używa się ich precyzyjnie, wycinają okrągłe przejścia, podczas gdy Kopacze zbudowali tunele w kształcie prostokąta lub kwadratu.

Ten tunel miał niewielki spadek. Cody oświetlił go latarką.

— Teraz już wiem, nad czym ty i Abraham pracowaliście przez ostatnich kilka tygodni, Tia.

— Musieliśmy przygotować kilkanaście dróg dostępu — odparła. — Nie mieliśmy pewności, jak głęboko zapadło się pomieszczenie banku i na ile zostało się w całości.

— I w końcu jak to jest? — zapytałem, czując dziwną drętwotę.

— Niesamowicie — odrzekła Tia. — Chodź i zobacz. — Ruszyła w dół tunelu, który był dość wysoki, by można nim było swobodnie przejść, choć Abraham musiał pochylić głowę.

Zawahałem się. Inni czekali, by pójść za mną, więc zmusiłem się, by ruszyć za nią. Reszta podążyła z tyłu, oświetlając drogę telefonami komórkowymi.

Nie, chwileczkę. Światło padało z góry; ledwo dostrzegalne. Szczupła figura Tii rzucała cienie. W końcu dotarliśmy do końca tunelu i wszedłem w strefę wspomnień.

Tia zapaliła kilka świateł w rogach pomieszczenia i na stołach, ale w mrocznej, wielkiej przestrzeni dawały one jedynie słaby poblask. Pomieszczenie znajdowało się pod pewnym kątem, a podłoga zapadała się z lekka. Zniekształcona perspektywa podkreślała surrealistyczną atmosferę tego miejsca.

Zamarłem, stojąc u wylotu tunelu. Pomieszczenie wyglądało dokładnie tak, jak je zapamiętałem. Zachowało się zdumiewająco dobrze. Wysokie kolumny — teraz stalowe — połamane biurka, kontuary, gruz. Wciąż widać było mozaikowe płytki na podłodze, choć tylko w zarysie. Zamiast marmuru i kamienia wszędzie była tylko srebrna stal, tu i ówdzie nieco wybrzuszona.

Prawie nie było kurzu, choć w powietrzu unosiło się leniwie parę pyłków, tworząc wokół latarenek, które ustawiła Tia, niewielkie aureole.

Zdałem sobie sprawę, że stoję wciąż u wylotu tunelu, toteż wreszcie wszedłem do wnętrza. *O Calamity...* — pomyślałem, czując ucisk w piersiach. Zorientowałem się, że zaciskam dłonie na karabinie, choć wiedziałem, że nic mi nie grozi. Wspomnienia zalały mnie niczym fala.

— Patrząc na to teraz — mówiła Tia, a ja słuchałem jej jednym uchem — nie powinnam była się szczególnie dziwić, że to pomieszczenie przetrwało w tak dobrym stanie. Ziemia zapadła się tak, że powstał rodzaj warstwy, która chroniła je, gdy Stalowe Serce zamienił prawie wszystko w metal. Inne pomieszczenia bankowe zostały zniszczone podczas jego ataku i po osunięciu się ziemi nic z nich nie zostało. Ale ta część banku wraz z sejfem jak na ironię została ocalona.

Tak się złożyło, że przedostaliśmy się do głównej sali banku w miejscu, w którym były kiedyś oszklone, piękne drzwi frontowe. Zostały zniszczone podczas strzelaniny i rażenia

strumieniami energii. Kawałki żelastwa i kości ofiar Siewcy Śmierci, zamienione w stal, leżały porozrzucane na ziemi. Kiedy postąpiłem parę kroków do przodu, szedłem dokładnie tą drogą, którą przemierzał Stalowe Serce po wejściu do budynku.

*Tutaj są kontuary* — pomyślałem, patrząc dokładnie na wprost. *Tu pracowali księgowi.* Część kontuarów była zupełnie zrujnowana. Jako dziecko prześlizgnąłem się przez dziurę, która pomiędzy nimi powstała, i ukryłem się w sejfie. Sufit był pęknięty i zniekształcony, ale sejf zachował się w takim stanie, w jakim był przed atakiem Stalowego Serca. Oznaczało to, że jego zawartość mogła ocaleć, zważywszy na sposób, w jaki przebiegała transformacja, dokonana przez Stalowe Serce.

— Większa część rumowiska znajduje się tam, gdzie zawalił się sufit — powiedziała Tia, a jej głos odbił się echem po rozległym wnętrzu. — Wraz z Abrahamem oczyściliśmy wnętrze na tyle, na ile się dało. Poprzez pęknięte ściany i sufit przedostało się mnóstwo stalowego pyłu, który osiadł na sejfie. Abraham i ja użyliśmy tensorów, a potem wycięliśmy dziurę w podłodze — poniżej jest już tylko pusta przestrzeń — i zgarnęliśmy do niej pył.

Zszedłem po trzech schodkach. To tutaj, pośrodku pomieszczenia, Stalowe Serce zmierzył się z Siewcą Śmierci. *Ci ludzie należą do mnie...* Instynktownie odwróciłem się w lewo. Przycupnąłem pod filarem i znalazłem tam ciało kobiety, której dziecko zabito w jej ramionach. Zadrżałem. Teraz była statuetką ze stali. Kiedy zginęła? Jak? Nie pamiętałem. Zabita pociskiem? Mogła zostać zamieniona w stal dopiero po utracie życia.

— To miejsce przetrwało tak naprawdę dzięki temu — kontynuowała Tia — że doszło do Wielkiej Transferii, kiedy to Stalowe Serce przemienił wszystko w stal. Gdyby tego nie zrobił, wnętrze przysypałby kurz, a pod ciężarem ziemi zawaliłby się sufit. Jednakże Transferia sprawiła, że wszystkie rzeczy tutaj zostały zmienione w metal, podobnie jak i zwały ziemi. W ten sposób Stalowe Serce niejako odizolował to pomieszczenie. Ocalało, niczym bąbelki powietrza w zamrożonym stawie.

Ruszyłem dalej i zatrzymałem się dopiero przed wejściem do boksu, w którym zajmowano się kredytami. Jego dawniej szklane okienka były teraz mętne, ale można było do niego wejść. Uczyniłem to i powiodłem palcami po biurku. Boks był mniejszy, niż to zapamiętałem.

— Dokumenty ubezpieczeniowe okazały się nieprzydatne — mówiła Tia. — Ale sam budynek podlegał ubezpieczeniu na wypadek trzęsienia ziemi. Zastanawiam się, czy właściciele banku naprawdę liczyli, że takie odszkodowanie będzie im kiedykolwiek wypłacone. Brzmi to śmiesznie, ale, oczywiście, w tamtych dniach było tyle niepewnych faktów związanych z Epikami. Tak czy inaczej, zaczęłam dokładniej badać ewidencję związaną ze zniszczeniami banku.

— I to doprowadziło cię aż tu? — zapytał Cody, obchodząc pomieszczenie wokół.

— Właściwie nie. Sprawilo to, że odkryłam coś dziwnego. Próbę zatuszowania faktów. Powód, dla którego nie mogłam znaleźć niczego istotnego w dokumentach ubezpieczeniowych ani nie natrafiłam na spisy zawartości sejfów, wiązał się z tym, że ludzie Stalowego Serca ukryli pewne informacje. Zrozumiałam, że skoro Stalowe Serce podjął próbę zatuszowania pewnych faktów, w dokumentach niczego nie znajdę. Jedynym wyjściem będzie przedostanie się do banku. Stalowe Serce sądzi, że miejsce to jest poza zasięgiem wszystkich.

— To słuszne założenie — rzekł Cody z namysłem. — Bez tensorów albo bez dysponowania mocą Epików, jaką mieli Kopacze, przedostanie się tutaj byłoby niemożliwe. Jak pokonać piętnaście metrów czystej stali?

Kopacze byli początkowo normalnymi ludźmi, którym specyficzną moc przekazał Epik zwany Digzone, który, podobnie jak Conflux, był obdarowującym. To... nie wyszło im na dobre.

Jak się okazało, nie wszystkie zdolności Epików mogły być wykorzystywane przez śmiertelników.

Wciąż stałem w boksie. Kości urzędnika nadal tam były, porzucane po podłodze wokół biurka i wystające z kupek gruzu. Wszystkie były teraz metalem.

Nie chciałem patrzeć, ale musiałem. Musiałem.

Odwrociłem się. Przez chwilę przeszłość zlała się w jedno z teraźniejszością. Mój ojciec stał tutaj z uniesionym pistoletem, zdecydowany bronić potwora. Eksplozje, krzyki, pył, wrzaski, ogień.

Strach.

Zamrugałem, drżąc. Ręką dotykałem zimnej powierzchni ściany boksu. W pomieszczeniu czuć było zapach starości i kurzu, ale mnie wydawało się, że czuję zapach krwi. I przerażenia.

Opuściłem boks i poszedłem do miejsca, w którym stał Stalowe Serce z pistoletem w dłoni. Wyciągał rękę w kierunku mego ojca. Jeden wystrzał. Na pewno go słyszałem, ale nie jestem pewien, czy mój umysł go zarejestrował. Byłem wtedy ogłuszony eksplozjami.

Uklęknałem przy kolumnie. Wszystko, co znajdowało się na wprost mnie, pokrywała warstwa srebrnego pyłu, jednakże miałem tensor. Reszta grupy o czymś dyskutowała, ale ja przestałem na to zwracać uwagę, a ich słowa były tylko szumem w tle. Przygotowałem tensor i ruszyłem do przodu. Bardzo ostrożnie zacząłem przedzierać się przez warstwy żelastwa.

Nie trwało to długo. Stalowa bryła składała się z jednego wielkiego kawałka sufitowego panelu. Zniszczyłem go, a potem zamarłem.

On tam był.

Mój ojciec spoczywał oparty o kolumnę, z głową przechyloną na bok. Pomiedzy stalowymi fałdami koszuli widniała — jak gdyby zamarznięta — rana po pocisku. Miał wciąż otwarte oczy. Wyglądał jak statua, odlana w metalu z zaskakującymi szczegółami. Widać było nawet pory na skórze.

Wpatrywałem się w niego, niezdolny, by się poruszyć czy opuścić rękę. Po dziesięciu latach widok znajomej twarzy ojca po prostu mnie przygniótł. Nie miałem żadnych zdjęć jego ani matki; nie miałem odwagi wrócić do domu po ataku w banku, choć Stalowe Serce nie wiedział, kim byłem. Byłem zbyt przerażony i zszokowany.

Widok twarzy ojca sprawił, że wszystko do mnie wróciło. Ojciec wyglądał tak... normalnie. Normalnie na sposób, który już nie istniał od lat. Normalnie na sposób, którego świat nie powinien już dłużej tolerować.

Objąłem się rękami i wciąż wpatrywałem się w twarz ojca. Nie mogłem odwrócić wzroku.

— David? — To był głos Profesora. Klęczał przy mnie.

— Mój ojciec... — wyszeptałem. — Zginął, walcząc, ale także broniąc Stalowego Serca. A teraz ja jestem tutaj, próbując zabić kogoś, kogo on ratował. Zabawne, prawda?

Profesor nie odrzekł nic.

— W jakimś sensie — powiedziałem — to jego wina. Siewca Śmierci miał zamiar zabić Stalowe Serce.

— To by nie dało rezultatu — odrzekł Profesor. — Siewca Śmierci nie wiedział, jak potężny jest Stalowe Serce. Wtedy nikt nie wiedział.

— Też tak sędzę. Ale mój ojciec był głupcem. Nie wierzył, że Stalowe Serce jest wcielonym złem.

— Twój ojciec wierzył w dobro tkwiące w człowieku — rzekł Profesor. — Możesz nazywać to głupotą, ale ja nigdy nie uznaję tego za błąd. Był bohaterem, synu. Przeciwstawił się i zabił Siewcę Śmierci, Epika, który dokonał bezsensownej rzezi. Jeśli czyniąc to, ocalił Stalowe

Serce... cóż, wówczas jeszcze Stalowe Serce nie uczynił niczego złego. Twój ojciec nie mógł przewidzieć przyszłości. Nie można obawiać się tego, co może nastąpić, i nie podejmować żadnych działań.

Wpatrywałem się w martwe oczy mojego ojca i kiwałem głową.

— To jest odpowiedź — szepnąłem. — To jest odpowiedź na pytania, o które klóciliście się z Megan.

— To nie jest jej odpowiedź — powiedział Profesor. — Tylko moja. I być może twoja. — Uścisnął mnie za ramię, a następnie dołączył do reszty Mścicieli, którzy stali zgromadzeni wokół sejfu.

Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek jeszcze ujrzę twarz ojca. Tamtego dnia uciekłem z banku jak tchórz, ulegając błaganiom ojca, żebym się ratował. Przez dziesięć lat żyłem zdominowany przez jedno uczucie: żądzę zemsty. Potrzebę udowodnienia, że nie byłem tchórzem.

I teraz widziałem go znowu. Patrząc w stalowe oczy ojca, zdałem sobie sprawę, że on nie dążyłby do zemsty. Ale gdyby miał szansę, by powstrzymać zabójstwa, on także zabiłby Stalowe Serce. Czasem musisz pomóc bohaterom.

Wstałem. Jakimś niepojętym sposobem pojąłem, że bankowy sejf i jego zawartość były fałszywym tropem. To nie tutaj kryło się źródło słabości Stalowego Serca. To miało związek z moim ojcem albo czymś z nim związanym.

Na chwilę odszedłem od jego ciała i dołączyłem do reszty.

... bardzo ostrożni, gdy otworzymy sejf — mówiła Tia. — Nie możemy zniszczyć tego, co jest w środku.

— Nie sądzę, by to przyniosło rezultat — powiedziałem, a wszystkie oczy zwróciły się ku mnie. — Myślę, że zawartość sejfu nie ma znaczenia.

— Twierdziłeś, że Stalowe Serce spoglądał w kierunku sejfu, nim eksplozja spowodowała, że został otwarty — oznajmiła Tia. — A jego agenci pracowali ciężko, by pozyskać, a potem ukryć dokumenty, które były wewnątrz sejfu.

— Nie sądzę, żeby Stalowe Serce wiedział, jak to się stało, że go zraniono — rzekłem. — Wielu Epików nie zna swoich słabych punktów. W tajemnicy wynajął ludzi, którzy mieli zgromadzić to, co było w sejfie, i przeanalizować wszelkie dokumenty, tak by Stalowe Serce dowiedział się, co jest jego słabością.

— I być może już to wie. — Cody wzruszył ramionami.

Uniosłem brew.

— Gdyby znalazł w sejfie coś, co uczyniło go bezbronnym, to czy myślisz, że to miejsce jeszcze w ogóle by istniało?

Reszta zamilkła. Nie, tak by się nie stało. Gdyby to tutaj znalazł rozwiązanie zagadki, Stalowe Serce już dawno kazałby zniszczyć ocalałą pod ziemią część banku, nawet gdyby miało to być bardzo trudne. Byłem coraz bardziej pewny, że to nie jakiś przedmiot uczynił go słabym. To było coś związanego z tamtym wydarzeniem w banku.

Tia szeptowała. Prawdopodobnie wolałaby, żebym powiedział to, zanim ona zaczęła przedostawać się do podziemi. Nie mogłem jednak tego zrobić, bo nikt mi nie powiedział, co robią Tia i Abraham.

— Cóż — rzekł Profesor. — Przeszukajmy ten sejf. Teoria Davida ma swoją wartość, ale mają także założenie, że coś, co znajduje się gdzieś tutaj, wyzwoliło słabość Stalowego Serca.

— Czy w ogóle coś tu znajdziemy? — zastanowił się Cody. — Wszystko zostało przemienione w stal. Nie wiem, czy będę w stanie cokolwiek rozróżnić, skoro wszystko stopiło się niemal w jedną całość.

— Coś mogło przetrwać w niezmienionej formie — powiedziała Megan. — Jest takie prawdopodobieństwo. Moc dokonywania transformacji jest tłumiona przez metal.

— Jak to? — zapytał Cody.

— Stalowe Serce emituje coś w rodzaju pulsacji, która przenika i zmienia fizyczne substancje. Działa to trochę jak dźwięk rozprzestrzeniający się w powietrzu lub fala przemieszczająca się przez kałużę wody. Jeśli fala napotka na swej drodze metal, szczególnie żelazo lub stal, zatrzymuje się. Stalowe Serce potrafi wpływać na inne rodzaje metalu, choć jego działanie przebiega wolniej, ale nie na stal.

— Tak więc te bankowe skrytki... — zaczął Cody, zbliżając się do sejfu.

— Mogły ochronić swą zawartość — dokończyła Megan, idąc w ślady Cody ego. — Część sejfu mogła ulec zmianie, bo fala wyemitowana podczas Transferii była niezwykle silna. Myślę, że możemy coś znaleźć, ponieważ sejf był wykonany ze stali i mógł działać jako rodzaj ochroniacza. — Obejrzała się przez ramię i dostrzegła, że się w nią wpatruje. — Co? — zapytała.

— Bystrzak — odparłem.

Co dziwne, gwałtownie się zaczerwieniła.

— Uważnie studiuje informacje o Stalowym Sercu. Chciałam wiedzieć wszystko o jego mocy, skoro już przybyliśmy do miasta.

— Nie powiedziałem, że to coś złego — rzuciłem lekko, podchodząc do sejfu i przygotowując tensor. — Ja tylko na coś zwróciłem uwagę.

Jeszcze nigdy czyjeś spojrzenie nie dało mi tyle satysfakcji.

Profesor zachichotał.

— W porządku — powiedział. — Cody, Abraham, David, bierzcie się za przednią część skrytek, ale nie zniszczcie ich zawartości. Tia, Megan i ja zajmiemy się jej wydobyciem i oceną, czy natrafiliśmy na coś interesującego. Zabierajmy się do pracy, bo zajmie nam to trochę czasu...

— Cóż — rzekł Cody, popatrując na stos kamieni szlachetnych i biżuterii — jeśli nie osiągnąłem nic ponad to, co tu widzę, to przynajmniej jestem bogaty. Z takim niepowodzeniem jestem w stanie żyć.

Tia parsknęła, przeglądając biżuterię. Nasza czwórka, włączając Profesora, siedziała wokół dużego biurka w jednym z boksów. Megan i Abraham stali na straży, obserwując tunel prowadzący do ocalałego wnętrza banku.

W pomieszczeniu panował nastrój podniosłości — jakbym musiał okazać jakiś rodzaj czci — i wydaje mi się, że inni też to czuli. Mówili przyciszonymi, stonowanymi głosami. Wszyscy z wyjątkiem Cody'ego. Próbował odchylić się na krzesło, podnosząc w górę duży rubin, ale, oczywiście, stalowe krzesło było zespolone z metalową podłogą.

— Ten mógłby cię uczynić bogatym, Cody — powiedziała Tia — ale miałbyś kłopoty z jego sprzedażą.

Tia miała rację. Biżuteria w obecnych czasach była zupełnie bezwartościowa. Było dwóch Epików, który umieli tworzyć kamienie szlachetne.

— Być może — odparł Cody. — Ale złoto pozostaje jak zawsze standardem. — Podrapał się w głowę. — Nie wiem dlaczego. Nie zjesz go przecież, a pragnie go większa część ludzi.

— To proste — powiedział Profesor. — Złoto nie rdzewieje, łatwo mu nadać dowolny kształt i można je łatwo podrobić. Nie ma wielu Epików, którzy potrafiliby je wytworzyć. Jeszcze nie ma. Ludzie muszą mieć sposoby, by nim handlować, zarówno w obrębie danego kraju, jak i miasta. — Profesor potarł złoty łańcuch. — Cody ma w zasadzie rację.

— Tak? — Cody wyglądał na zdziwionego.

Profesor skinął głową.

— Niezależnie od tego, czy dopadniemy Stalowe Serce, złoto, które pozyskaliśmy, stanie się źródłem finansowania Mścicieli na kilka lat.

Tia położyła na biurku swój notatnik i postukiwała weń długopisem w roztargnieniu. Na drugim biurku złożyliśmy wszystko, co znaleźliśmy w sejfie. Udało się odzyskać trzy czwarte zawartości skrytek sejfu.

— W większości weszliśmy w posiadanie testamentów — zauważyła Tia, otwierając puszkę coli — akcji giełdowych, paszportów, kopii praw jazdy...

— Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy zapełnić całe miasto fałszywymi ludźmi — powiedział Cody. — Wyobraźcie sobie, jaka byłaby zabawa.

— Druga pod względem wielkości grupa — mówiła dalej Tia — to wyżej wymieniona biżuteria, cenna albo zupełnie bezwartościowa. Jeśli coś stąd miałyby podzielać na Stalowe Serce, to ze względu na liczbę sztuk powinniśmy stawiać na tę grupę rzeczy.

— Ale to nie to — powiedziałem.

Profesor westchnął.

— David. Wiem, co...

— Mam na myśli to — przerwałem mu — że biżuteria jest bezsensownym tropem. Stalowe Serce nie zaatakował innych banków i nie zrobił nic, pośrednio ani bezpośrednio, by zakazać noszenia biżuterii w jego obecności. Ozdoby są dość powszechne wśród Epików, a Stalowe Serce nie przykłada do tego faktu żadnej wagi.

— Zgadza się — odezwała się Tia — ale tylko częściowo. Możliwe, że coś przeoczyliśmy. Stalowe Serce w przeszłości wykazał się bystrością umysłu; być może należał

rodzaj embarga na jakiś rodzaj kamieni szlachetnych. Przyjrę się jeszcze temu, ale myślę, że David ma rację. Jeśli coś sprowokowało słabość Stalowego Serca, to musiało być to coś osobliwego.

— Ile kamieni w sumie mamy? — zapytał Profesor.

— Ponad trzysta — odrzekła Tia, krzywiąc się. — Przeważnie bezwartościowa biżuteria pamiątkowa. Coś pośród niej mogłoby teoretycznie stanowić przyczynę, której szukamy. Ale istnieje też możliwość, że było to coś, co mieli na sobie ludzie przebywający tamtego dnia w banku. Albo, jak sądzi David, jest to coś, co ma związek z tamtą sytuacją.

— Rzadko się zdarza, by słabą stroną Epika ujawniała znajdująca się w pobliżu zwykła rzecz — powiedziałem wzruszając ramionami. — Jeśli rzecz znajdująca się w sejfie nie wyemitowała jakiegoś rodzaju promieniowania, światła albo dźwięku — czegoś, co dosięgnęło Stalowego Serca — to szanse, by była to poszukiwana przez nas przyczyna, są niewielkie.

— Przejrzyj jednak to wszystko, Tia — polecił Profesor. — Może znajdziemy jakiś związek z tym, co Stalowe Serce zrobił w mieście.

— A co z ciemnością? — zapytał Cody.

— Wywołaną przez Władcę Ciemności?

— Oczywiście — przytaknął Cody. — Zawsze wydawało mi się dziwne, że panują tu takie mroki.

— To prawdopodobnie ma związek z samym Władcą Ciemności — powiedziałem. — Nie chce, by padały na niego promienie słoneczne, bo wtedy zyskuje fizyczne kształty. Nie zdziwiłbym się, gdyby była to część układu pomiędzy Stalowym Sercem a Władcą Ciemności, jeden z powodów, dla których Władca Ciemności służy Stalowemu Sercu. Stalowe Serce z kolei zapewnia funkcjonowanie infrastruktury — żywność, prąd, służby bezpieczeństwa — jako rekompensatę za wieczne ciemności.

— To ma sens — zauważył Cody. — Władca Ciemności potrzebuje mroku, a to jest możliwe tylko wtedy, gdy będzie działał w odpowiednim mieście. Jest jak kobziarz, który potrzebuje, by jakieś miasto go wspierało, tak by mógł stać na szczycie klifu i grać.

— Kobziarz? — zdziwiłem się.

— Proszę — odezwała się Tia — nie zachęcaj go, by znowu zaczął swoje. — Uniosła rękę do głowy.

— Dudziarz — powiedział Cody.

Popatrzyłem na niego w osłupieniu.

— Nigdy nie słyszałeś o dudach? — zapytał zdumiony. — Są tak szkockie, jak kilty czy rude włosy pod pachą!

— Yyy... co?

— Tak jest. Stalowe Serce zostanie obalony, tak więc musimy powrócić do prawidłowej edukacji dzieci. To obraza godności mojej ojczyzny.

— Wspaniale — powiedział Profesor. — Cieszę się, że mamy motywację. — Postukiwał od niechcenia w biurko.

— Czymś się martwisz — powiedziała Tia. Wydawało się, że dobrze zna jego reakcje.

— Jesteśmy wciąż bliżej i bliżej konfrontacji. Jeśli będziemy dalej postępowali według planu, sprowokujemy Stalowe Serce do starcia, ale nie będziemy w stanie go pokonać.

Wszyscy siedzący przy biurku zamarli. Spojrzałem w górę, na sufit. Sterylne światło nie było dostatecznie jasne, byśmy mogli zobaczyć, co znajduje się w odleglejszych częściach pomieszczenia. Panował w nim chłód i cisza.

— Kiedy jest ostatni moment, byśmy mogli się wycofać?

— Cóż — rzekł Profesor. — Możemy zmusić Stalowe Serce do konfrontacji z

Limelightem i wcale się nie pokazać.

— To mogłoby być nawet zabawne pod pewnymi względami — rzekł Cody. — Wątpię, by Stalowe Serce bardzo często stawał do walki.

— Ale to nie byłoby mądre — rzekł Profesor. — Póki co Mściciele są jak denerwujący cień. Jak dotąd uderzyliśmy w Newcago trzy razy, nigdy nie zabijając nikogo ważnego z najbliższego grona Stalowego Serca. Jeśli teraz uciekniemy, wszystko, co do tej pory zrobiliśmy, pójdzie na marne. Abraham i ja pozostawiliśmy na miejscu ataku dowód na to, że to my za nim stoimy. I jest to jedyny sposób, by w przyszłości nasze zwycięstwo zostało przypisane Mścicielom, a nie jakiemuś Epikowi.

— Więc jeśli uciekniemy... — zaczął Cody.

— Stalowe Serce zorientuje się, że Limelight jest postacią fikcyjną i że to Mściciele opracowali sposób, by go zabić — powiedziała Tia.

— Cóż — rzekł Cody — większa część Epików chce nas zabić. W sumie więc nic się nie zmieni.

— Sprawy raczej się pogorszą — odezwał się, wciąż wpatrując się w sufit. — Zabił ekipę ratunkową tamtego dnia, Cody. On jest paranoikiem. Będzie nas ścigał zajadłe, gdy dowie się, w co byliśmy zamieszani. Myśl, że chcieliśmy się do niego dobrać... że próbowaliśmy odkryć jego słaby punkt... on tego nie przepuści.

Cienie zadrgały, a ja zobaczyłem, że do boksu wchodzi Abraham.

— Profesorze, prosił mnie pan, żebym dał znak, gdy czas nam się będzie kończył.

Profesor sprawdził komórkę, po czym skinął głową.

— Powinniśmy wracać do kryjówki. Każdy z was weźmie worek i zapakuje do niego znalezione tutaj rzeczy. Przyjrzymy się im jeszcze dokładniej w bezpieczniejszym miejscu.

Podnieśliśmy się z miejsc. Cody poklepał po głowie martwego i zamienionego w stal klienta banku, który opierał się o ściankę boks. Kiedy pozostała trójka wyszła, Abraham położył coś na biurku.

— Dla ciebie.

To był pistolet.

— Nie jestem dobry w... — zacząłem i umilkłem. Broń wyglądała znajomo. *Pistolet... to ten, który podniósł mój ojciec.*

— Znalazłem go w rumowisku obok ciała twojego ojca — powiedział Abraham. — Pod wpływem transformacji część broni przemieniła się w metal, ale ona już wcześniej zawierała solidne stalowe części. Wyjąłem magazynek i przeczyściłem komorę, ale suwadło i cyngiel wciąż działają sprawnie. Nie polegałbym całkowicie na tej broni, dopóki nie zabierzemy jej do bazy, ale jest szansa, że będzie można z niej strzelać.

Podniosłem pistolet. Z tej broni zastrzelono mojego ojca. Trzymanie jej w ręku wydało mi się czymś nieodpowiednim.

Ale to była także — z czego zdawałem sobie sprawę — jedyna broń, z której kiedykolwiek zraniono Stalowe Serce.

— Nie wiemy, czy to jakieś właściwości tego pistoletu sprawiły, że udało się zranić Stalowe Serce — powiedział Abraham. — Myślę, że warto to sprawdzić. Rozłożę tę sztukę na części i wyczyszczę, sprawdzę też naboje. Powinny być w porządku, choć będę musiał wymienić proch, jeśli osłonki nie okazały się odporne na transformację. Jeśli wszystko będzie w porządku, możesz wziąć tę broń. A jeśli nadarzy się sposobność, być może zabijesz z niej Stalowe Serce.

Skinąłem głową w podzięcie, potem wziąłem worek i załadowałem do niego część naszych zdobyczy.



— Dźwięk wydawany przez dudy jest jednym z najsubtelniejszych, jakie kiedykolwiek słyszeliście — mówił Cody, gestykulując żywo, gdy szliśmy korytarzem prowadzącym do naszej kryjówki. — Donośna mieszanina mocy, delikatności i namysłu.

— Dudy brzmią jak umierający kot wsadzony do blendera — powiedziała do mnie Tia. Cody wyglądał na zadumanego.

— Ech, a jakie piękne melodie można na nich grać, panienko.

— Zaraz, poczekaj — rzuciłem, podnosząc w górę palec. — Te dudy. Żeby je wykonać... co o tym mówiłeś? Musisz zabić maleńkiego smoka, zupełnie prawdziwego, ani trochę mitologicznego... Żyją w górach w Szkocji do dzisiejszego dnia.

— Tak, tak — odparł Cody. — To ważne, żeby wybrać małego smoka. Wielkie są zbyt niebezpieczne, a z ich pęcherzy nie da się zrobić porządných dud. Ale musisz zabić smoka własnoręcznie. Dudziarz musi sam zarznąć smoka. To część rytuału.

— A potem trzeba wyciąć pęcherz i przymocować do niego... co to było?

— Rzeźbiony róg jednoroźca. Wtedy dopiero powstaną dudy — wyjaśnił Cody. — Możesz użyć też czegoś mniej unikatowego, na przykład kości słoniowej. Ale jeśli chcesz być perfekcjonistą, najlepsze są rogi jednoroźców.

— Dalibóg, co to za historia — mruknęła Tia.

— Użyłaś ciekawego słowa — powiedział Cody. — Ma szkocki źródłosłów. „Dal” pochodzi od nazwy Dál Riata, starożytnego, wspaniałego, mitycznego królestwa w Szkocji. Jedna z najwspanialszych melodii granych na dudach pochodzi z tamtych czasów. *Abharsair e d' a chois e na Dùn Èideann*.

— Ab... ha... co? — zapytałem.

— *Abharsair e d' a chois e na Dùn Èideann* — powiedział Cody. — To piękny, poetycki tytuł, którego nie tłumaczy się na angielski.

— Oznacza: „Diabeł zawitał do Edynburga” w celtyckim szkockim — rzekła Tia, pochylając się ku mnie, lecz mówiąc na tyle głośno, by usłyszał to Cody.

Cody zmylił krok.

— Mówisz po celtycku, panienko?

— Nie — odrzekła Tia — ale sprawdziłam to, gdy ostatnim razem o tym opowiadałeś.

— Yyy... zrobiłaś tak?

— Tak. Chociaż to tłumaczenie jest dyskusyjne.

— No cóż. Zawsze mówiłem, że jesteś mądra, panienko. Naprawdę. — Zakasłał w zaciśniętą pięść. — O, patrzcie. Już dochodzimy do bazy. Opowiem wam dalszy ciąg tej historii później. — Reszta dotarła do bazy wcześniej i Cody pospieszył za nimi, doganiając Megan.

Tia potrząsnęła głową. Szedłem na końcu. Sprawdziłem, czy kable i przewody, za którymi kryło się wejście do bazy Mścicieli, są na miejscu. Włączyłem ukryte sensory ruchu, które miały nas ostrzec, gdyby ktoś nadszedł, a potem wszedłem do kryjówki.

— ... właściwie nie wiem, Profesorze — mówił cicho Abraham. — Nie wiem.

Oni dwaj wracali do bazy razem, wyprzedzając nas, rozmawiając o czymś przyciszonymi głosami. Chciałem nieznacznie zbliżyć się do nich, żeby coś usłyszeć, ale Tia położyła mi rękę na ramieniu i odciągnęła mnie na bok.

— No więc? — odezwała się Megan, zakładając ręce na piersiach. Wszyscy zgromadziliśmy się przy głównym stole. — Co się dzieje?

— Abraham nie jest zadowolony ze sposobu, w jaki rozchodzą się pogłoski — powiedział Profesor.

— Opinia publiczna wydaje się nie akceptować naszej opowieści o nowym Epiku —

oznajmił Abraham. — Ludzie są przerażeni, a nasz atak na elektrownię ma taki skutek, że światła na ulicach są czasowo wyłączane. Nie mamy też dowodu, że Stalowe Serce uwierzył w postać Limelighta. Armia przeczesuje podziemia. Władca Ciemności penetruje miasto. Nasi informatorzy twierdzą, że Stalowe Serce poszukuje grupy rebeliantów, a nie Epika — rywala.

— Musimy więc zaatakować z całą mocą — powiedział Cody, zakładając ręce na piersiach i opierając się o ścianę. — Zabijmy paru Epików.

— Nie — rzekłem, myśląc o mojej rozmowie z Profesorem. — Musimy się bardziej skoncentrować. Nie możemy zajmować się przypadkowymi Epikami; musimy zacząć myśleć jak ktoś, kto chce przejąć miasto.

Profesor skinął głową.

— Każdy atak, którego dokonujemy i podczas którego Limelight nie pojawia się otwarcie, powoduje, że Stalowe Serce staje się bardziej podejrzliwy.

— Rezygnujemy? — zapytała Megan z lekką nadzieją w głosie, choć starała się to ukryć.

— Jeszcze nie — odparł Profesor. — Być może zdecyduję o konieczności wycofania się, jeśli nie będziemy mieli pewności, jaki jest słaby punkt Stalowego Serca. Na razie jednak trzymamy się planu. Musimy zrobić coś spektakularnego, być może związanego z pojawieniem się Limelighta. Musimy przycisnąć Stalowe Serce z całej mocy i doprowadzić go do ostateczności. Zmusić go, by opuścił swój pałac.

— A jak to zrobimy? — zapytała Tia.

— Nadszedł czas, by zabić Confluxa — odrzekł Profesor. — I obezwładnić armię.

CONFLUX.

Był częstokroć kręgosłupem władzy Stalowego Serca. Tajemnicza postać, nawet gdyby przyrównać go do Pożara lub Władcy Ciemności.

Nie miałem jego dobrych zdjęć. Tych parę, za które słono zapłaciłem, było zamazanych i niewyraźnych. Nie byłem nawet pewien, czy przedstawiały prawdziwego Confluxa.

Furgonetka dudniła, pokonując ciemne ulice Newcago. Wewnątrz auta było duszno. Siedziałem na miejscu pasażera obok kierowcy. Megan prowadziła. Cody i Abraham siedzieli z tyłu. Profesor jechał innym samochodem, a Tia, która pozostała w bazie, stanowiła nasze wsparcie, śledząc ulice miasta na ekranie. Był to zimny dzień, a ogrzewanie w naszej furgonetce nie działało — Abraham go nie naprawił.

W głowie dźwięczały mi słowa Profesora. *Rozważaliśmy zabicie Confluxa już wcześniej, ale porzuciliśmy ten pomysł, bo byłoby to zbyt niebezpieczne. Ale wciąż mamy opracowane plany. Teraz niebezpieczeństwo nie jest mniejsze, jednak weszliśmy już głęboko w sprawę. Nie ma powodu, byśmy nie mieli zrobić kolejnego kroku.*

Czy Conflux istniał naprawdę? Czulem w kościach, że tak. O ile wiele przesłanek wskazywało, że Pożar był konfabulacją, o tyle różne sprawy dotyczące Confluxa sugerowały, że może on być postacią realną. Był potężnym, choć kruchym Epikiem.

— Conflux wciąż jest w ruchu — powiedział Profesor. — Stalowe Serce nigdy nie pozwala mu przebywać z nim w jednym miejscu. Ale on przemieszcza się w określony sposób. Zawsze jeździ opancerzoną limuzyną z sześcioma ochroniarzami i eskortą dwóch motocykli. Musimy poczekać, aż znowu przemieści się tym konwojem. Wtedy spróbujemy go zabić — podczas jazdy po ulicach.

Wskazówki. Nawet posiadając elektrownie, Stalowe Serce nie miał dostatecznej ilości energii, by miasto mogło funkcjonować. A jednak jakimś sposobem produkował ogniwa energetyczne. Mechaniczne opancerzenie nie miało źródła zasilania, podobnie jak wiele helikopterów. Fakt, że były zasilane przez wysoko postawionych członków armii, nie był tajemnicą. Wszyscy o tym wiedzieli.

A więc istniał. Obdarowujący, który produkował energię w formie pozwalającej zasilać nią pojazdy, napędza ogniwa energetyczne, a nawet oświetla dużą część miasta. Ten poziom mocy był zdumiewający, ale nie przerastał zdolności Stalowego Serca czy Władcy Ciemności. Najpotężniejsi Epiccy mieli własną skalę mocy.

Furgonetka podskoczyła, a ja ścisnąłem mój karabin. Trzymałem go dość nisko, odbezpieczony, z lufą skierowaną do dołu, ku drzwiom. Poza zasięgiem wzroku, ale na podorędziu. Na wszelki wypadek.

Tia ustaliła, że dziś przejeżdżać będzie ulicami konwój z Confluxem, a my skorzystaliśmy z okazji. Megan wiozła nas do miejsca, w którym nasza trasa przetnie się z trasą, pokonywaną przez limuzynę Confluxa. Jej oczy były charakterystycznie intensywne, ale dziś czaiło się w nich coś jeszcze. Może obawa?

— Uważasz, że nie powinniśmy tego robić, prawda? — zapytałem.

— Myślałam, że wypowiedziałam się jasno — odrzekła Megan obojętnym głosem, wpatrując się w przestrzeń. — Stalowe Serce nie musi ginąć.

— Ale ja mówię o Confluxie. Jesteś zdenerwowana. Zazwyczaj taka nie bywasz.

— Uważam, że nie wiemy o nim dostatecznie dużo. Nie powinniśmy zabijać Epika,

którego nie widzieliśmy na zdjęciu.

— Ale ty jesteś zdenerwowana.

Prowadziła auto, nie odrywając oczu od drogi i mocno ściskając kierownicę.

— W porządku — powiedziałem. — Ja czuję się jak cegła zrobiona z owsianki.

Popatrzyła na mnie, marszcząc czoło. W szoferce zapadła cisza. Potem Megan zaczęła się śmiać.

— Nie, nie — powiedziałem. — To ma sens! Posłuchaj. Cegła powinna być twarda, prawda? Jeśli jednak jedną z nich zrobiono sekretnie z owsianki, a reszta cegieł o tym nie wie, ona tkwi pośród nich, bojąc się, że będzie słaba, a one twarde. Kiedy umieszczą ją w murze, zostanie spłaszczona, a owsianka zmiesza się z zaprawą, która spaja cegły.

Megan zaczęła się śmiać jeszcze bardziej, tak bardzo, że aż brakło jej tchu. Chciałem wyjaśniać dalej, ale zamiast tego uśmiechnąłem się. Nigdy nie słyszałem, żeby Megan się śmiała, tak naprawdę śmiała. Chichotanie czy wredny uśmieszek — owszem, to było jej znane, ale nigdy prawdziwie się nie śmiała. Nim odzyskała nad sobą panowanie, pociekły jej łzy rozbawienia. Myślę, że mieliśmy sporo szczęścia, że nie wpadliśmy na jakiś słupek lub coś podobnego.

— David — powiedziała, łapiąc oddech. — To chyba najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam. Najdziwaczniejsza, zuchwała głupota.

— Hmm...

— Calamity — powiedziała Megan, wypuszczając powietrze. — Potrzebowałam tego.

— Tak?

Skinęła głową.

— Czy możemy... udawać w takim razie, że dlatego to powiedziałem?

Popatrzyła na mnie, uśmiechając się, a oczy jej błyszczały. W powietrzu nadal wyczuwało się napięcie, ale jak gdyby ciut mniejsze.

— Pewnie — odrzekła. — Gra słów jest czymś w rodzaju sztuki, prawda? Dlaczego nie mamy używać kiepskich metafor?

— Właśnie.

— A jeśli są one sztuką, to jesteś niczym mistrz malarstwa.

— Właściwie — zauważyłem — to nie dokładnie tak, bo metafory mają głębszy sens. Ja wolałbym się raczej określić jako as lotnictwa czy coś w tym stylu. To dopiero ma metaforyczny sens. — Calamity, tworzenie metafor z ukrytą intencją było trudne i niezupełnie mi pasowało.

— Wy dwoje tam, wszystko w porządku? — usłyszałem w słuchawce głos Cody'ego.

Tylna część furgonetki była odseparowana od szoferki metalową przegrodą. Było w niej co prawda okienko, ale Cody wolał się porozumiewać przez komórkę.

— W porządku — odrzekła Megan. — Prowadzimy abstrakcyjną dyskusję o lingwistycznych paralelach.

— Nie byłbyś zainteresowany — powiedziałem. — To nie dotyczy Szkotów.

— Cóż, w zasadzie — zaczął Cody — mój ojczysty język...

Megan i ja popatrzyliśmy na siebie, po czym obydwój sięgnęliśmy po swoje komórki i wyciszyliśmy perorowanie Cody'ego.

— Daj mi znać, kiedy on skończy, Abraham — powiedziałem.

Abraham westchnął na drugim końcu linii.

— Chcesz się zamienić miejscami? Sam bym chciał go uciszyć, ale to straszliwie trudne, kiedy siedzi obok.

Zachichotałem, po czym popatrzyłem na Megan. Wciąż się uśmiechała. Widząc jej uśmiech, poczułem się tak, jakbym zrobił coś wspaniałego.

— Megan — odezwała się w słuchawkach Tia. — Jedź nadal prosto. Konwój jedzie

wzdłuż trasy, nigdzie nie zbaczając. Powinniście się na nich natknąć mniej więcej za piętnaście minut.

— W porządku.

Uliczne światła zamigotały, podobnie jak światła w mijanych przez nas domach. Kolejny spadek napięcia.

Jak dotąd w mieście nie zanotowano przypadków plądrowania. Po ulicach krążyli żołnierze, a ludzie byli zbyt przestraszeni. Kiedy minęliśmy skrzyżowanie, zobaczyłem posuwającego się boczną ulicą zmechanizowanego robota. Była to wysoka na trzy i pół metra machina, której ramiona były lufami; towarzyszyło jej pięciu żołnierzy z armii Stalowego Serca. Jeden z nich miał charakterystyczną broń energetyczną w ostrzegawczym kolorze czerwonym. Kilka strumieni wyemitowanych z tej broni mogło zburzyć budynek.

— Zawsze chciałem pilotować maszynę taką jak ta — powiedziałem.

— To wcale nie jest takie fajne — odparła Megan.

— Robiłaś to kiedyś? — zapytałem zdumiony.

— Wewnątrz jest duszno, a maszyna reaguje powoli. — Przerwała. — Tak naprawdę strzelanie z dwóch pistoletów obrotowych jest łatwiejsze, bo strzały są celniejsze.

— To może powinniśmy wymienić twoje pistolety?

— Nie ma szans — odparła, poklepując swoją kaburę. — A co, jeżeli utknę w jakimś ciasnym pomieszczeniu?

— Wtedy walniesz ich karabinem. Dobrze jest mieć przy sobie broń, którą możesz po prostu przyłożyć przeciwnikowi.

Megan spojrzała na mnie stanowczo.

— Użycie karabinów zabiera zbyt dużo czasu. Nie są... dostatecznie spontaniczne.

— I to mówi kobieta, która nie znosi, gdy ludzie improwizują.

— Ja nie lubię, gdy ty improwizujesz — odrzekła. — Inaczej jest, gdy improwizuję ja.

Poza tym nie wszystkie pistolety są nieprecyzyjne. Strzelałeś kiedyś z MT 318?

— Fajna broń — powiedziałem. — Gdybym musiał używać pistoletu, to wybrałbym MT.

Problem w tym, że ten pistolet jest za słaby, na przykład do tego, żeby miotać kulami.

— Jeśli jesteś dobrym strzelcem, to nie ma wielkiego znaczenia.

— Jeśli dobrze strzelasz — powiedziałem uroczyście, kładąc rękę na piersi — to najprawdopodobniej właśnie strzelasz z karabinu.

Prychnęła.

— A jaki pistolet ty byś wybrał?

— Jennings 44.

— Spitfire, pistolet samopowtarzalny? — zapytała sceptycznie. — Są mnie więcej tak samo celne jak garść pocisków rzucona w ogień.

— Pewnie. Ale skoro strzelam z broni ręcznej, to znaczy, że strzelam do kogoś, kto znajduje się blisko. Mogę nie mieć szansy wykonać drugiego strzału, więc muszę położyć przeciwnika bardzo szybko. W tym przypadku celność nie ma znaczenia, bo moi przeciwnicy są obok.

Megan przewróciła oczami i potrząsnęła głową.

— Jesteś beznadziejny. Polegasz na przypuszczeniach. Możesz strzelać tak samo celnie z pistoletu, jak i z karabinu, i to z bliska. Tak naprawdę prawdziwi zawodowcy strzelają z pistoletu. Każda niedorajda może zabić z karabinu.

— Tego nie chciałaś powiedzieć.

— Chciałam. A że prowadzę, decyduję, kiedy kłótnia ma się zakończyć.

— Ale... ale to nie ma sensu!

— Nie musi — odparła. — To cegła zrobiona z owsianki.

— Wiecie — odezwał się w słuchawkach głos Tii. — Obydwoje moglibyście nosić i pistolet, i karabin jednocześnie.

— Nie w tym rzecz — powiedziałem dokładnie w chwili, gdy Megan mówiła: „Nie rozumiesz”.

— Wszystko jedno — odparła Tia, popijając colę. — Dziesięć minut. — Ton jej głosu wskazywał, że była znudzona naszą kłótnią. Jednakże Tia nie mogła widzieć, że oboje się uśmiechamy.

*Calamity, lubię tę dziewczynę* — pomyślałem, obserwując Megan, która wydawała się myśleć, iż wygrała potyczkę słowną.

Nacisnąłem klawisz wyciszający wszystkie rozmowy przez komórkę.

— Przepraszam — powiedziałem.

Megan uniosła brew.

— Za wszystko, co zrobiłem Mścicielom — mówiłem. — Za to, że wszystko poszło innym torem, niż chciałaś. Za wciągnięcie cię w to wszystko.

Wzruszyła ramionami, a następnie kliknęła klawisz wyciszający na swojej komórce.

— To już przeszłość.

— Co się zmieniło?

— Wychodzi na to, że lubię cię za bardzo, żeby cię nienawidzić, Klęczko. — Popatrzyła na mnie. — Tylko niech ci to nie uderzy do głowy.

Nie martwiłem się o swoją głowę. Natomiast moje serce to była całkiem inna sprawa. Zalała mnie fala zdumienia. Czy Megan naprawdę to powiedziała?

Zanim jednak zdążyłem się całkiem rozpląnąć, zaświeciła moja komórka. To Profesor próbował się z nami połączyć. Szybko kliknąłem odpowiedni przycisk.

— Bądźcie czujni obydwój — powiedział. Jego głos brzmiał podejrzliwie. — Trzymajcie się kursu.

— Tak, proszę pana — odrzekłem.

— Osiem minut — powiedziała Tia. — Konwój skręcił w lewo na Frewanton. Na następnym skrzyżowaniu wy skręćcie w prawo.

Megan skoncentrowała się na jeździe, ja — żeby nie skupiać się za bardzo na patrzeniu na nią — jeszcze raz przebiegłem w myślach cały nasz plan działania.

— Musimy zrobić to w prosty sposób — powiedział wcześniej Profesor. — Nic wymyślnego. Conflux jest na swój sposób kruchy. Jest aranżerem, organizatorem, to on pociąga za sznurki, ale nie posiada mocy, które by go chroniły. Podjedziemy w pobliże kawalkady, a Abraham użyje wykrywacza, by stwierdzić, czy Epik rzeczywiście jest w samochodzie. Furgonetka zajedzie drogę samochodowi, otworzymy tylne drzwi, w których będzie stał Cody w przebraniu. Cody podniesie rękę, a z za jego pleców Abraham puści serię z karabinu Gaussa. W zamieszaniu będzie to wyglądało tak, jakby pociski wystrzeliwały z rąk Cody'ego. Ostrzelamy całą limuzynę, pozostawiając z niej tylko popiół, po czym uciekniemy. Ochrona jadąca na motorach nie ucierpi, bo ma opowiedzieć potem całą historię.

*To zadziała* — pomyślałem. *Miejmy nadzieję*. A w momencie, gdy Conflux nie będzie już zasilał armii swą energią, zmechanizowane opancerzenie, broń energetyczna i helikoptery przestaną działać. Ognia paliwowe będą jałowe, a w mieście zabraknie energii.

— Zbliżamy się — powiedziała cicho Tia. — Limuzyna skręca w Beagle. Profesorze, proszę użyć szyku beta. Jestem pewna, że jadą do bogatej dzielnicy, a to oznacza, że skręcają w Finger Street. Megan, pilnuj czasu.

— Dobrze — rzekł Profesor. — Jadę tą trasą.

Minęliśmy opustoszałe miejsce, które kiedyś było parkiem.

Można to było poznać po chwastach i gałęziach, które zamieniono w stal. Tylko zwiędłe rośliny można było przemienić w metal — Stalowe Serce nie miał wpływu na żywe obiekty. Tak naprawdę jego moc nie działała także na rzeczy, które znajdowały się w pobliżu ludzkiego ciała. Na przykład ubranie nie uległoby transformacji, ale podłóże w pobliżu człowieka już tak.

Takie osobliwości były czymś charakterystycznym dla zdolności Epików i nie miało to naukowego wytłumaczenia. Z punktu widzenia nauki martwe i żywe ciała wykazywały pewne podobieństwa. Tylko że te pierwsze ulegały transformacji, podczas gdy drugie nie.

Mój oddech sprawił, że okno w furgonetce zaparowało. Mijaliśmy plac zabaw, który nie był miejscem dostatecznie bezpiecznym, by można było się na nim bawić. Chwasty były teraz kawałkami metalu. Stal, w którą Stalowe Serce zamieniał obiekty i rzeczy, nie rdzewiała, ale mogła pęknąć, ukazując ostre brzegi.

— Okej — powiedział Profesor kilka minut później. — Jestem już na miejscu. Wspinam się na budynek. Megan, natychmiast informuj mnie, jeśli będą jakiegokolwiek kłopoty.

— Wszystko pójdzie bez problemu — odparła Megan, a jej głos dźwięczał jednocześnie obok mnie i w słuchawce.

— Zawsze coś idzie nie tak — rzekł Profesor. Słyszałem, jak dyszy, wspinając się na wyższe kondygnacje budynku, choć miał na sobie gravatoniczny pas, który go wspomagał. — Nieprzewidziane sytuacje.

— Jeśli pan albo Tia wydacie rozkaz, wycofamy się lub rozdzielimy — poinformowała Megan. — Wy zadecydujecie o ewentualnym przegrupowaniu. Czwooro z nas przebiję się przez dwa oddziały zbrojne, a potem ruszymy w przeciwnych kierunkach. Spotkamy się w punkcie zbiórki.

— Tego nie rozumiem — powiedziałem. — Jak mamy się rozdzielić i jechać w przeciwnych kierunkach. Przecież jesteśmy w jednej furgonetce.

— W drodze powrotnej czeka na nas mała niespodzianka — rzekł Cody. Zlikwidowałem już opcję wyciszenia dźwięku i mogłem słyszeć całą grupę. — Właściwie liczę na to, że coś pójdzie nie tak. Mam ochotę wypróbować tę niespodziankę.

— Nigdy nie powinieneś mieć nadziei, że będą kłopoty — rzekła Tia.

— Ale zawsze się ich spodziewaj — dopowiedział Profesor.

— Masz paranoję, staruszkule — rzuciła Tia.

— Jesteś cholernie akurata — odrzekł Profesor. Mówił stłumionym głosem, prawdopodobnie dlatego, że kuczał z wyrzutnikami rakiet w dłoniach. Myślałem, że w budynku ulokuje Cody'ego z karabinem snajperskim, ale orzekł, że potrzebujemy czegoś cięższego na wypadek włączenia się armii. Diamond byłby dumny.

— Jesteś coraz bliżej, Megan — powiedziała Tia. — Powinnaś natknąć się na nich za kilka minut. Utrzymuj dotychczasową prędkość. Limuzyna jedzie szybciej niż zazwyczaj.

— Podejrzewają coś? — zapytał Cody.

— Byliby głupcami, gdyby nie podejrzewali — powiedział cicho Abraham. — W ostatnich dniach Conflux podjął na pewno specjalne środki ostrożności.

— Ale warto zaryzykować — odezwał się Profesor. — Bądźcie ostrożni.

Skinąłem głową. W sytuacji przerw w dostawie energii osłabiona armia może nie zapanować nad porządkiem w mieście. To może popchnąć Stalowe Serce do działania i osobistej interwencji, tak by powstrzymać rabunki lub zamieszki. A to z kolei sprawi, że będzie musiał pojawić się w mieście.

— On nigdy się nie obawiał walki z innymi Epikami — powiedziałem.

— O czym ty mówisz? — zapytał Profesor.

— O Stalowym Sercu. Bez problemu stawia czoła innym Epikom. Ale nie lubi tłumić zamieszek osobiście. Zawsze używa do tego armii. Podejrzewaliśmy, że to dlatego, iż nie chce się fatygować, ale może kryje się za tym coś więcej. A co, jeśli boi się wymiany ognia?

— Z czyjej strony? — zapytał Abraham.

— Nie Epika. Po prostu zastanowiło mnie: a co, jeśli Stalowe Serce boi się być trafiony przypadkowo? Może to jest jego słaby punkt? Stalowe Serce został zraniony przez mojego ojca, ale mój ojciec nie mierzył w niego. A co, jeśli Stalowe Serce można zranić tylko wtedy, gdy kula nie jest dla niego przeznaczona?

— To możliwe — powiedziała Tia.

— Musimy się skupić — powiedział Profesor. — David, odłóż tę sprawę na później. Wrócimy do tego.

Miał rację. Pozwoliłem sobie na rozproszenie niczym królik, który chciał rozwiązać zadanie z matematyki, zamiast rozglądać się za lisami.

Jednakże... *Jeśli mam rację, Stalowe Serce nigdy nie będzie zagrożony w sytuacji jeden na jednego. Stawił czoła innym Epikom. Wydaje się, że Stalowe Serce boi się większych starć, kiedy kule latają wokół.* To miało sens. Byłaby to prosta rzecz, lecz większość słabych stron Epików była nieskomplikowana.

— Zwolnij trochę — powiedziała cicho Tia.

Megan zastosowała się do jej słów.

— A oto nadjeżdża...

Na ulicę na wprost nas wytoczył się czarny, lśniący samochód. Jechał w tę samą stronę co my. Z obu stron towarzyszyły mu dwa motocykle — dobra ochrona, ale niespecjalnie liczna. Dzięki przygotowaniom do pierwotnego planu zabicia Confluxa wiedzieliśmy, że w tej kawalkadzie podąża także i on sam. Jednakże, by mieć pewność, musieliśmy użyć wykrywacza.

Jechaliśmy za limuzyną. Byłem pod wrażeniem; chociaż Tia i Megan nie wiedziały, gdzie podąża limuzyna, wyliczyły wszystko tak precyzyjnie, że samochód natknął się na nas, a nie my na niego. To sprawiało, że nie wyglądaliśmy na podejrzanych.

Moim zadaniem było mieć oczy szeroko otwarte i, gdyby coś poszło źle, otworzyć ogień, tak by Megan mogła prowadzić furgonetkę. Wyjąłem z kieszeni lornetkę i pochyliwszy się, obserwowałem przez nią limuzynę.

— I co? — zapytał Profesor.

— Wygląda nieźle — odparłem.

— Na następnych światłach mam zamiar zatrzymać się obok nich — powiedziała Megan. — To będzie wyglądało naturalnie. Bądź gotowy, Abraham.

Wsunąłem lornetkę do kieszeni i starałem się wyglądać nonszalancko. Następne światło było zielone, więc Megan nadal podążała za limuzyną w bezpiecznej odległości. Następne światła były już czerwone.

Zrównaliśmy się z limuzyną po jej lewej stronie.

— Niedaleko nas na pewno jest Epik — powiedział Abraham. Pogwizdywał cichutko. — Potężny Epik. Bardzo potężny. Wykrywacz to wskazał.

Jeden z motocyklistów spojrział w naszą stronę. Nosił hełm armii, a na plecach miał pistolet maszynowy. Spróbowałem zajrzeć przez okna limuzyny i złapać spojrzenie Confluxa. Zawsze byłem ciekawy, jak on wygląda.

Nie mogłem wiele zobaczyć przez zaciemnione szyby tylnych okien. Kiedy jednak posunęliśmy się do przodu, zobaczyłem, że na miejscu pasażera obok kierowcy ktoś siedzi. Kobieta, która wydawała mi się znajoma. Złapała moje spojrzenie, ale potem odwróciła wzrok.

Garnitur biznesowy, sięgające do uszu ciemne włosy. Była asystentką Władcy Ciemności,



tą samą, którą spotkaliśmy u Diamonda. Prawdopodobnie współpracowała z armią. To uzasadniało jej obecność w limuzynie.

Nagle coś mnie zaalarmowało. Spotkaliśmy się wzrokiem.

Mogła mnie rozpoznać. Być może... rozpoznała mnie, ale nie była zaskoczona moim widokiem.

Ruszyliśmy do przodu, światło zmieniło się na zielone, a mnie przeszył dreszcz niepokoju.

— Profesorze, myślę, że to pułapka.

W tym momencie przez dach limuzyny wyfrunął Władca Ciemności. Miał szeroko rozłożone ramiona, a z jego palców emanował mrok, który rozlewał się wokół.

Większa część ludzi nigdy nie widziała potężnych Epików w pełnej świetności. Ma to miejsce wówczas, gdy ich zdolności są wykorzystane do maksimum, kiedy unoszą się na wyżyny swych mocy, a ich uczucia to gniew i furia.

Bije wtedy od nich łuna. Powietrze staje się ostre, jak gdyby naładowane elektrycznością. Zwalnia bicie serca. Wiatr ustaje. Wzlot Władcy Ciemności był takim właśnie zdarzeniem. Jak dotąd podobne sytuacje widziałem wcześniej tylko dwa razy.

Władca Ciemności przybrany był w noc, a ciemność wiła się i okręcała wokół niego. Jego twarz była blada i przezroczysta, lecz oczy płonęły, a usta wykrzywiał grymas nienawiści. Była to pogarda boga, którą trudno zapewne było znieść nawet jego współpracownikom. On przybył, by niszczyć.

Spoglądając nań w górze, poczułem przerażenie.

— Calamity! — zakłęła Megan, przyciskając pedał gazu i gwałtownie zbaczając w bok. Cienie otaczające Epika zaczęły się przesuwać w naszym kierunku. Poruszały się niczym palce ducha.

— Stać! — krzyknęła Tia. — Zabierajcie się stamtąd!

Nie było czasu. Władca Ciemności unosił się w powietrzu, ignorując wiatr i ciężenie. Pomknął niczym zjawa w naszym kierunku. Sam nie stanowił wielkiego niebezpieczeństwa — groźne były macki ciemności. Nie byliśmy w stanie ich uniknąć; były ich dziesiątki.

Starając się odsunąć od siebie strach, sięgnąłem po swój karabin. Furgonetka chwiała się i podskakiwała. Macki owijały się wokół naszego samochodu.

*Idiota* — pomyślałem. Odrzuciłem karabin i wsunąłem rękę do kieszeni. Latarka! W panice włączyłem ją i zaświeciłem prosto w twarz Władcy Ciemności, który unosił się tuż obok mego okna.

Reakcja była natychmiastowa. Chociaż latarka dawała niewiele światła, twarz Władcy Ciemności natychmiast przestała być bezcielesna. Jego oczy przestały świecić, a cienie widniejące wokół głowy zniknęły. Strumień światła niczym laser przebił macki ciemności.

W ultrafioletowym świetle twarz Epika w ogóle nie wyglądała na boską. Była wątła, ludzka i bardzo, bardzo zdumiona. Ze wszystkich sił próbowałem podnieść karabin i strzelić do Epika, ale moją bronią ciężko było manewrować, a pistolet mojego ojca miałem przypięty pod ramieniem, toteż nie mogłem po niego sięgnąć, trzymając jednocześnie latarkę w rękę.

Władca Ciemności przyglądał mi się przez jedno uderzenie serca, a jego oczy przepełniała trwoga. Potem w mgnieniu oka umknął w bok. Nie byłem pewien, ale wydawało mi się, że kiedy rzuciłem na niego światło, zaczął wytracać wysokość, jak gdyby jego moce słabły.

Władca Ciemności zniknął w bocznej ulicy, a cienie otaczające naszą furgonetkę rozplynęły się wraz z nim. Miałem przeczucie, że nie wróci prędko, nie po tym, co mu zafundowałem.

Wokół nas rozległy się wystrzały z karabinów, a pociski odbijały się od furgonetki z metalicznym pogłosem. Zakląłem, schylając się w chwili, gdy pękła szyba w oknie. Motocykliści otworzyli ogień. Chociaż klęczałem na podłodze naszego pojazdu, widziałem przerażającą rzecz: lśniący czarny helikopter armii wylaniał się zza biurowców przed nami.

— Calamity, Tia! — zakłęła Megan. — Jak mogłaś to przegapić?

— Nie wiem — odrzekła Tia. — Ja...

Na niebie pojawiła się kula światła, napędzana długim pasmem dymu. Ekspłodowała tuż

obok helikoptera, który przechylił się i stanął w płomieniach. W powietrze wyleciały kawałki betonu.

Silniki zwalniały, a helikopter zaczął spadać.

*Wyrzutnia rakiet* — pomyślałem. *Profesor*.

— Bez paniki. — Głos Profesora był spokojny. — Przetrywamy to. Cody, Abraham, rozdzielacie się.

— Profesorze! — odezwał się Abraham. — Myślę, że powinien pan...

— Nadlatują cztery następne helikoptery! — wpadła nam w słowo Tia. — Wygląda na to, że kryły się za magazynami podczas przejazdu limuzyny. Nie wiedzieli, gdzie ich zaatakujemy; ten akurat był najbliższy. Ja... Megan, co ty robisz?

Pilot helikoptera nie miał już nad nim kontroli. Z jednego boku uderzył dym. Helikopter spadał, zataczając krzywe koła w kierunku autostrady przed nami. Megan nie zawracała. Zwiększała prędkość, pochylając się nad kierownicą i prowadząc furgonetkę w szaleńczym tempie w kierunku miejsca, w które miał spaść helikopter.

Zamarłem, wciśnięty w siedzenie, w panice przytrzymując się za drzwiczki furgonetki. Megan straciła rozum!

Nie było czasu na sprzeciw. Kule obijały się o furgonetkę, ulice wydawały się zamazane, a Megan prowadziła tak, że helikopter znalazł się nad naszymi głowami. Następnie spadł z siłą, która sprawiła, że ziemia zadrżała.

Coś uderzyło w dach furgonetki z upiornym zgrzytem metalu o metal. Furgonetka zjechała z trasy, zahaczając o ceglany mur. Hałas, chaos, iskry. Drzwi po mojej stronie były roztrzaskane. Mur z cegieł był kilkanaście centymetrów ode mnie. Wydawało się, że wszystko to trwało wieczność.

Sekundę później furgonetka zatrzymała się. Trzęsąc się, wziąłem głęboki oddech. Byłem przysypany kawałkami szkła, gdyż przednia szyba w samochodzie pękła.

Megan siedziała na miejscu kierowcy, dysząc ciężko z szaleńczym uśmiechem na ustach i szeroko otwartymi oczami. Popatrzyła na mnie.

— Calamity! — krzyknąłem, patrząc w lusterko wsteczne, w którym widać było płonący helikopter. Uderzył w autostradę tuż po tym, jak pod nim przemknęliśmy, blokując motocyklistów i pogoń. — Calamity, Megan! To było niesamowite!

Megan uśmiechnęła się szeroko.

— Wy dwaj z tyłu, wszystko w porządku? — zawołała, patrząc w małe boczne lusterko.

— Czuję się tak, jakbym wyszedł z wirówki — poskarżył się jęklonie Cody. — Moja szkocka dusza poszła mi w nogi, a amerykańska część mnie pofrunęła mi w uszy.

— Profesorze — powiedział Abraham. — Kiedy Władca Ciemności uciekał, mój wykrywacz był wciąż włączony i nastrojony na pokazywanie położenia Epików. Odczyt jest dziwny, bo w limuzynie jest jeszcze jakiś Epik. Może trzeci. To nie bardzo ma sens...

— Ma sens — powiedziała Megan, pospiesznie otwierając drzwi furgonetki i wyskakując na ulicę. — Conflux jechał tą limuzyną; oni nie wiedzieli, czy uderzymy. Chcieli być przygotowani na wszelki wypadek. Conflux był w aucie. To dlatego pokazał się taki odczyt, Abraham. W limuzynie mógł być też mniej znaczący, trzeci Epik.

Spiesznie zacząłem odpinać pasy, po czym zorientowałem się, że jeden urwał się, gdy zahaczyliśmy o mur. Zadrzałem, po czym wyskoczyłem z furgonetki, stając obok Megan.

— Pospieszcie się wszyscy — powiedział Profesor. Po jego stronie linii słychać było zwiększające się obroty helikoptera. — Inne helikoptery są już niemal nad wami, a motocykle zaczną krążyć.

— Obserwuję je — odezwała się Tia. — Macie może minutę.

— Gdzie jest Władca Ciemności? — zapytał Profesor.

— David przegnał go za pomocą latarki — powiedziała Megan, podchodząc do tylnej części furgonetki i otwierając pokrywę.

— Dobra robota — pochwalił Profesor.

Uśmiechnąłem się z satysfakcją, podchodząc do wozu dokładnie w chwili, gdy Cody i Abraham otwierali tylną część skrzyni znajdującej się z tyłu furgonetki. Nie widziałem, żeby coś do niej ładowali — musieli to zrobić w hangarze.

Cody miał na sobie ciemnozieloną marynarkę i okulary — strój, który zaprojektowaliśmy specjalnie dla Limelighta. Mój wzrok spoczął na trzech rzeczach, które znajdowały się w skrzyni: trzech lśniących, zielonych motocyklach.

— Motocykle ze sklepu Diamonda! — wykrzyknąłem. — Kupiliście je!

— Oczywiście — powiedział Abraham, wodząc ręką po gładkiej, ciemnozielonej części pojazdu. — Nie moglibyśmy pozwolić, by takie maszyny przeszły nam koło nosa.

— Ale... mnie powiedzieliście, że ich nie kupimy!

Abraham zaśmiał się.

— Słyszałem, jak jeździsz, Davidzie — rzekł, wysuwając z tylnej części furgonetki podest i sprowadzając po nim motocykl, który przejęła Megan. Wsiadła na niego i zapaliła motor. Z boku motocykli widniały owalne części w kolorze jasnej zieleni. Zauważyłem to już w sklepie Diamonda.

*Gravatoniksy* — pomyślałem. Może mają za zadanie sprawić, by motocykle były lżejsze? Gravatoniksy nie były w stanie spowodować, że maszyny latały; miały zredukować siłę odrzutu albo sprawiać, że cięższe części pojazdu były bardziej mobilne.

Abraham sprowadził po podeście następny motor.

— Miałeś takim jeździć, Davidzie — rzekł Cody, szybko wyjmując rzeczy z furgonetki, w tym wykrywacz. — Ale ktoś zniszczył furgonetkę.

— I tak nie przegonimy helikopterów — zauważyła Megan. — Dwoje z nas będzie musiało jechać razem.

— Wezmę Davida na swój motocykl — powiedział Cody. — Weź ten plecak, chłopie. Gdzie są kaski?

— Szybciej! — krzyknęła Tia.

Schwyciłem plecak wskazany przez Cody'ego. Był ciężki.

— Mogę poprowadzić motor! — zaproponowałem.

Megan zerknęła na mnie, wkładając kask na głowę.

— Staranowałeś dwa znaki, próbując skrócić zaledwie raz.

— To były małe znaki! — powiedziałem, zarzucając worek na plecy i idąc ku motocyklowi Cody'ego. — I byłem pod silną presją!

— Naprawdę? Pod taką, jak znajdujemy się teraz?

Zawahałem się. *Wow. A więc będę jechał na takiej maszynie.*

Cody i Abraham uruchomili swoje motocykle. Mieliśmy tylko trzy kaski. Nie poprosiłem o niego — kurtka Mścicieli będzie musiała wystarczyć za wszystko.

Zanim zdążyłem zająć miejsce na motorze Cody'ego, usłyszałem dudniący warkot helikopterów. Z bocznej uliczki wyłoniła się opancerzona furgonetka armii z wieżyczką strzelecką zamontowaną na dachu. Mężczyzna w niej zasiadający otworzył ogień.

— Calamity! — rzucił Cody, ruszając z kopyta, bo kule już uderzyły w ziemię obok niego. Wycofałem się za wrak naszej furgonetki.

— Wsiadaj! — wrzasnęła Megan; stała najbliżej mnie. — Teraz!

Schylony, podbiegłem do jej motoru i usiadłem za jej plecami. Objąłem ją w pasie, kiedy

zapalała silnik. Pomknęliśmy aleją, podczas gdy z sąsiedniej ulicy wyjeżdżały motocykle armii.

W jednej chwili straciliśmy z oczu Cody'ego i Abrahama. Silniej przyłgnąłem do Megan — przyznam, że miałbym ochotę zrobić to w mniej koszmarnych okolicznościach. Worek Cody'ego objął mi się o plecy.

*Zostawiłem karabin w furgonetce* — pomyślałem, czując ucisk w dołku. Nie zauważyłem tego, w panice chwytając plecak i wsiadając na motor.

Czułem się strasznie, tak jakbym opuścił przyjaciela.

Wypadliśmy z zaułka i Megan skręciła w jedną z ciemnych ulic miasta, zwiększając szybkość do nieprawdopodobnych granic. Wiatr straszliwie mocno chłostał mnie w twarz, toteż musiałem mocno przywrzeć do Megan, pochylając się na tyle, na ile to było możliwe.

— Gdzie jedziemy? — zapytałem.

Na szczęście wciąż mieliśmy swoje komórki i słuchawki w uszach. Nie mogłem normalnie rozmawiać z Megan, ale jej głos rozbrzmiewał w słuchawce.

— Zgodnie z planem! Każdy z nas pojedzie inną drogą, a potem się spotkamy!

— Tylko że jedziesz złą trasą — odezwała się poirytowana Tia. — I Abraham także!

— Gdzie jest limuzyna? — zapytał Abraham. Wiatr sprawiał, że nawet w słuchawce słyszałem go słabo.

— Zapomnij o limuzynie — nakazał Profesor.

— Wciąż możemy próbować dostać Confluxa — powiedział Abraham.

— To nieważne — odrzekł Profesor.

— Ale...

— To koniec. Uciekajcie.

Uciekaliśmy.

Natrafiliśmy na wybój i szarpnęło mną, ale trzymałem się mocno. Zakręciło mi się w głowie, gdy dotarły do mnie słowa Profesora. Epik, który chciałby rzucić wyzwanie Stalowemu Sercu, nie uciekałby przed armią; byłby w stanie sam poradzić sobie z paroma jej oddziałami.

Uciekając, udowodniliśmy, kim naprawdę jesteśmy. Stalowe Serce nigdy nie będzie chciał spotkać się z nami osobiście.

— Chcę zrobić jedną rzecz — powiedział Abraham. — Zranić go, zanim opuścimy miasto. Połowa armii zajęta jest ściganiem nas. Limuzyna jest niestrzeżona, a ja mam parę granatów.

— Jon, pozwól mu spróbować — powiedziała Tia. — I tak ponieśliśmy klęskę. Niech przynajmniej kosztuje to Stalowe Serce co nieco.

Uliczne światła były zamazane. Słyszałem motocykle nas ścigające i odważyłem się obejrzeć przez ramię. *Calamity!* — pomyślałem. Motocykle były coraz bliżej, a ich światła iluminowały ulicę.

— To ci się nie uda — rzekł Profesor do Abrahama. — Masz armię na ogonie.

— Odciągniemy ich od ciebie — powiedziałem.

— Czekaj — odezwała się Megan. — Co powiedziałaś?

— Dzięki — rzekł Abraham. — Spotkajmy się na Fourth i Nodell. Spróbujcie uwolnić mnie od pościgu.

Megan usiłowała skręcić i spojrzała na mnie poprzez osłonę kasku.

— Jedź! — krzyknąłem.

— *Calamity* — rzuciła, znowu skręcając. Nie zwolniła.

Wrzasnąłem, pewien, że już po nas. Motocykl jechał niemal równolegle do podłoża, sunąc przez ulicę. Gravatoniksy lśniły na zielono, chroniąc nas przed przewróceniem się. Z poślizgiem wypadliśmy za róg.

Motocykl powrócił do normalnej pozycji. Okrzyk zamarł mi na ustach.

Za naszymi plecami doszło do eksplozji i stalowe ulice zatrzęsły się. Obejrzałem się przez ramię. Włosy targał mi wiatr. Jeden z czarnych motocykli armii z powodu szybkości nie zdołał skręcić za róg i był teraz płonącym wrakiem, wbitym w stalową ścianę jednego z budynków. Jego gravatoniks, jeśli takowy posiadał, nie był tak dobry jak nasz.

— Ile ich jest? — zapytała Megan.

— Teraz trzy. Nie, są jeszcze kolejne dwa. Pięć. Cholera!

— Wspaniale — wymruczała Megan. — Jak planujesz wspomóc Abrahama?

— Nie wiem. Będę improwizował!

— Na sąsiednich ulicach rozstawiają blokady — ostrzegła Tia. — Jon, helikopter jest na siedemnastej ulicy.

— Przyjąłem.

— Co robicie? — zapytałem.

— Staramy się zachować was przy życiu, dzieciaki — odparł Profesor.

— Calamity — zaklął Cody. — Blokada na ósmej ulicy. Pojadę boczną ulicą, kieruję się ku Marston.

— Nie — zaprotestowała Tia. — Oni chcą cię zmusić, byś pojechał właśnie tą drogą. Zawracaj. Kieruj się ku podziemiom na Moulton.

— Dobrze — odparł Cody.

Megan i ja wypadliśmy na długą szosę. Sekundę później z jednej z bocznych uliczek wyłonił się motocykl Abrahama. Jechał mocno przechylony, niemal równolegle do podłoża. Gravatoniks chronił go przed upadkiem. To było niesamowite; motocykl był nachylony maksymalnie, spod wirujących kół tryskały iskry. Gravatoniks działał jak amortyzator, toteż koła trzymały się nawierzchni drogi, a motocykl mógł skręcać, choć z poślizgiem.

*Załóżę się, że byłbym w stanie prowadzić takie cacko — pomyślałem. Nie wydaje się to zbyt trudne.* To było trochę jak poślizgnięcie się na skórcie od banana na drodze, po której pędzisz sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Bułka z masłem.

Obejrzałem się przez ramię. Za nami było przynajmniej dwanaście czarnych motocykli, ale jechaliśmy zbyt szybko, by ktoś z oddziałów Stalowego Serca próbował do nas strzelać. Wszyscy byli skoncentrowani na samej jeździe. Dlatego właśnie pędziliśmy tak szybko.

— Zmechanizowany robot! — krzyknęła Tia. — Z przodu!

Ogromna, wysoka na ponad cztery metry machina, poruszająca się na dwóch nogach, wypełzła na ulicę i otworzyła ogień z obu pistoletów obrotowych. Kule uderzyły w stalową ścianę budynku za naszymi plecami, wzbudzając deszcz iskier. Pochyliłem głowę i zacisnąłem szczęki, podczas gdy Megan kopniakiem przesunęła dźwignię motocykla i pojazd przechylił się. Dzięki gravatoniksowi sunęliśmy niemal równolegle do podłoża, omijając grad kul.

Wiatr powiewał moją kurtką, oślepiały mnie iskry. Ledwie zauważyłem dwie ogromne, żelazne nogi, pomiędzy którymi się prześlizgnęliśmy. Kiedy skręciliśmy za róg, Megan przywróciła motocykl do normalnej pozycji. Abraham pędził za nami, ale jego motocykl dymił.

— Dostałem — powiedział.

— Wszystko z tobą w porządku? — zapytała z niepokojem Tia.

— Dzięki kurtce jestem w jednym kawałku — odparł Abraham, chrząkając.

— Megan — odezwałem się cicho. — On nie wygląda dobrze. — Abraham zwalniał, jedną ręką trzymając się za bok.

Popatrzyła na niego, potem szybko zawróciła ku drodze.

— Abraham, za następnym zakrętem wjedź w pierwszy zaułek. Ludzie Stalowego Serca są tak daleko, że mogą tego nie zauważyć. Ja będę jechała dalej i odciągnę ich.

— Będą się zastanawiać, gdzie ja jestem — rzucił Abraham. — To...

— Zrób to! — powiedziała ostro Megan.

Abraham nie sprzeciwiał się dłużej. Skręciliśmy za następny róg, ale zwolniliśmy, tak by nie wyprzedzić Abrahama. Widziałem, jak krwawił, a na jego motocyklu znać było ślady kul. Zastanawiające było to, że w ogóle jeszcze jeździł.

Zatoczyliśmy koło, a w tym momencie Abraham zawrócił i pomknął w prawo. Megan poderwała nasz motocykl i oto szum wiatru przemienił się w wycie, gdy mknęliśmy ciemną ulicą. Zaryzykowałem obejrzenie się do tyłu i o mały włos nie zgubiłem plecaka Cody'ego, który zsunął mi się z ramienia.

Musiałem przez chwilę trzymać się Megan jedną ręką, a drugą poprawić plecak. To spowodowało, że o mały włos nie straciłem równowagi i nie spadłem z motocykla.

— Uwważaj — powiedziała Megan i zaklęła.

— Jasne — odparłem zawstydzony. W tym momencie wydało mi się, że widzę identyczny zielony motocykl, który sunął za nami.

Spojrzałem znowu. Motocykle armii połknęły najwidoczniej przynętę i ścigały nas, nie Abrahama. Przednie światła maszyn rozjaśniały ulicę, a w kaskach odbijały się światła ulicznych latarni. Po fantomowym zielonym motocyklu, który wydawało mi się, że dostrzegam, nie było ani śladu.

— Calamity — powiedziała Tia. — Megan, blokady są prawie na wszystkich ulicach prowadzących do podziemi. Wydaje się, że oni spodziewają się, dokąd zmierzacie.

W oddali ujrzałem rozbłysk eksplozji na tle nieba i kolejny helikopter, który zaczynał dymić. W oddali widać było jakiś ciemny kształt błyskający światłami.

Megan przyspieszyła.

— Megan? — W głosie Tii słychać było ponaglenie. — Jedziesz prosto w kierunku blokady.

Megan nie odpowiedziała. Czuję, jak jej ciało sztywnieje w moim uścisku. Pochyliła się do przodu, zaciekłość dosłownie się z niej wylewała.

— Megan! — krzyknąłem, dostrzegłszy światła błyskające z przodu. — To ludzie Stalowego Serca rozstawili blokady. Samochody, furgonetki, ciężarówki. Tuzin żołnierzy, opancerzony robot. MEGAN! — wrzasnąłem.

Wydawało się, że zadrzała przez chwilę, po czym zaklęła i przechyliła motocykl, by uniknąć serii strzałów. Przemknęliśmy wąskim zaułkiem — mój łokieć od ściany dzieliły dosłownie centymetry — następnie wpadliśmy na ulicę i wykonaliśmy długi zakręt, krzesząc iskry.

— Zgubiłem ich — usłyszałem w słuchawce głos Abrahama. Mówił cicho, pochrząkując. — Zostawiam motocykl. Odstawiam go do jednej z kryjówek. Nie zauważyli mnie, ale żołnierze już są na autostradzie, z której zjechałem.

— Calamity — wymruczał Cody. — Monitorujesz połączenia armii, Tia?

— Tak — odparła Tia. — Są zaniepokojeni. Myślą, że to atak na miasto, zakrojony na szeroką skalę. Profesor wysadza helikoptery w powietrze, a my wszyscy rozproszyliśmy się. Żołnierze myślą, że przyszło im walczyć z dziesiątkami, setkami rebeliantów.

— Dobrze — powiedział Profesor. — Cody, zgubiłeś ich już?

- Wymykam się paru motocyklom — odrzekł. — Zataczam pętlę. — Przerwał. — Tia, gdzie jest limuzyna? Wciąż jest na mieście?

— Limuzyna jedzie w kierunku pałacu Stalowego Serca.

— Jadę wobec tego w tamtym kierunku — powiedział Cody. — Jaka to ulica?

— Cody... — zaczął Profesor.

Wystrzał za moimi plecami sprawił, że przestałem przysłuchiwać się wymianie zdań. Dostrzegłem motocykle. Ich pasażerowie trzymali karabiny i razili ogniem. Jechaliśmy teraz wolniej. Megan pokierowała nas do dzielnicy slumsów, w której ulice były węższe, a my musieliśmy kluczyć przez mnóstwo zaułków.

— Megan, to niebezpieczne — rzuciła Tia. — Tam jest pełno ślepych uliczek.

— Jeśli nie damy rady tędy, to czeka nas koniec — odparła

Megan. Wyglądało na to, że już otrząsnęła się po błędzie, który popełniła, zmierzając niemal wprost ku blokadzie.

— Będzie mi cię trudno prowadzić — powiedziała Tia. — Spróbuj wjechać w następną przecnicę po prawej.

Megan chciała skierować się w tamtą stronę, ale nadjeżdżający motocykl odciął nam drogę, a jego kierowca puścił w naszym kierunku serię z automatu. Megan zaklęła i zwolniła, po czym skręciła w zaułek znajdujący się po naszej lewej stronie. O mało nie wpadliśmy na wielki pojemnik na śmieci, ale Megan zdążyła go ominąć. Odgadywałem, że jedziemy mniej więcej trzydzieści kilometrów na godzinę.

*Zaledwie trzydzieści na godzinę* — pomyślałem. Trzydzieści na godzinę wąskimi zaułkami, pod ostrzałem. To było szaleństwo, a w każdym razie jego specyficzny rodzaj.

Przy tej prędkości mogłem się przytrzymywać Megan jedną ręką. Plecak Cody'ego podskakiwał mi na plecach. Powiniennem go już wyrzucić. Nawet nie wiedziałem, co było...

Sięgnąłem po plecak, bo nagle coś sobie uświadomiłem. Ostrożnie ściągnąłem go z pleców i umieściłem na siedzeniu pomiędzy plecami Megan a sobą. Ścisnąłem siedzenie motocykla kolanami i odpiąłem plecak.

Wewnątrz znajdował się automat Gaussa. Miał kształt charakterystyczny dla zwykłego karabinu, z tym że był nieco dłuższy, a na boku zamocowano jedno z ogniwo energetycznych, które ukradliśmy z fabryki. Wyciągnąłem broń. Ogniwo energetyczne sprawiło, że była ciężka, ale mogłem nim manewrować.

— Megan! — zawołała Tia. — Blokady z przodu.

Skręciliśmy w następny zaułek i o mało co nie upuściłem automatu, chwytając Megan za ramię.

— Nie! — krzyknęła Tia. — Nie tak. To...

Jeden z motocykli armii pojawił się za nami. Kule uderzyły w mur tuż nad moją głową. A dokładnie na wprost przed nami zaułek kończył się ślełą ścianą.

Nie było czasu na zastanowienie. Chwyciłem automat w obie ręce, odchyliłem się i uniosłem lufę na wysokość ramienia Megan.

A potem wypaliłem w ścianę.



Ściana przed nami wyleciała w powietrze w błysku zielonej energii. Megan próbowała zawrócić motor i zatrzymać się. Prześlizgnęliśmy się przez kłęby zielonego dymu. Małe kamyczki pryskały nam spod kół. Zatrzymaliśmy się po drugiej stronie ulicy. Megan nastawiona była na uderzenie. Wydawała się oszołomiona. Z dymu wyłonił się jadący żołnierz armii. Machnąłem automatem, wyrывая spod niego pojazd. Strzał zmienił motor w błysk zielonej energii, unicestwiając go razem z częścią oficera. Jego ciało potoczyło się po ziemi. Karabin był niesamowity — nie miał odrzutu, a strzały, zamiast wybuchać, powodowały wyparowanie obiektu. Nie pozostawiały dużo odłamków, tylko niezwykle pokaz światła i mnóstwo dymu. Megan odwróciła się do mnie, szczerząc zęby w uśmiechu.

— No, czas już był, żebyś zrobił coś pożytecznego.

— Jedź — ponagliłem. Z alei dochodził dźwięk nadjeżdżających motorów.

Megan szarpnęła naszym motocyklem i rozpoczęła szaleńczą jazdę wąskimi uliczkami slumsów. Nie mogłem się odwrócić i strzelać, więc jedną ręką trzymałem dziewczynę w talii, opierając broń na jej ramieniu, nastawiając celownik i odsuwając lornetkę w bok. Z rykiem wypadliśmy z alei i popędziliśmy ku blokadzie. Wypaliłem sporą dziurę w ciężarówce i jeszcze dołożyłem żołnierzom po nogach. Rozpierzchli się z wrzaskiem. Niektórzy próbowali strzelać, ale przedarliśmy się przez wykonany otwór. Oddział rozproszył się i Megan błyskawicznie skręciła w ciemną alejkę. Za nami rozbrzmiewały krzyki i przekleństwa, jakby ścigające nas motory pogubiły się w powstałym zamieszaniu.

— Dobra robota — odezwała się Tia już spokojnym głosem. — Chyba mogę was doprowadzić do podziemi. Przed wami jest stary tunel, na dole kanału odpływowego. Być może będziecie musieli rozwalić parę ścian.

— Da się zrobić — odparłem. — Pod warunkiem, że są słabe w uchyłaniu się.

— Uważajcie — powiedział Profesor. — Ta spluwa pochłania energię jak Tia sześciopak coli. Bateria wystarczy na zasilanie małego miasta, ale strzeli najwyżej dwanaście razy. Abraham, jesteś tam?

— Jestem.

— Zamknąłeś się tam?

— Tak. Opatruję ranę, nic poważnego.

— Ja to ocenię. Zaraz tam będę. Cody, jak tam?

— Widzę limuzynę — odezwał się Cody. Megan znów skręciła. — Trochę rozgoniłem pościg. Mam tensor, rzucę w limuzynę granatem i używając tensora, przedostanę się do podziemi.

— Nie ma takiej możliwości — przeciwstawił się Profesor. — Za długo ci zajmie drążenie tak głęboko.

— Ściana! — ostrzegła Tia.

— Dobra. — Wybiłem dziurę w murze na końcu alei. Z rykiem wjechaliśmy na podwórko, gdzie strzeliłem w kolejną ścianę, co pozwoliło nam przedostać się na następne. Megan skręciła w prawo i wjechała w bardzo wąski przesmyk między dwoma budynkami.

— W lewo — powiedziała Tia, gdy wyjechaliśmy na ulicę.

— Profesorze — odezwał się Cody — widzę limuzynę. Mogę ją trafić.

— Cody, nie...

— Strzelam, Profesorze — powiedział Cody. — Abraham ma rację, Stalowe Serce nam

tego nie daruje. Musimy go osłabić, ile się da, kiedy jeszcze mamy szansę.

— No dobrze.

— Skręćcie w prawo — poleciła Tia.

Skręciliśmy.

— Kieruję was na duży budynek — dodała. — Poradzicie sobie?

Na ścianie obok nas zagrzechotały strzały. Megan zaklęła, pochylając się nad kierownicą. Ścisnąłem broń w spoczonej dłoni, cały czas myśląc, że moje plecy są świetnym celem. Za nami słyszałem motory.

— Naprawdę chcą dorwać was dwoje — powiedziała Tia cicho. — Wysyłają na was mnóstwo sił i... Calamity!

— Co? — spytałem.

— Przestało działać wideo. Coś jest nie tak. Cody?

— Jestem trochę zajęty — chrząknął.

Znów dały się słyszeć strzały. Coś uderzyło w nasz motor, który się zakołysał. Megan znów zaklęła.

— Budynek, Tia! — zawołałem. — Jak go znaleźć? W środku już ich zgubimy.

— Druga w prawo — odpowiedziała Tia. — Potem prosto do końca. To stary dom handlowy, kanał jest tuż za nim. Szukałam innych dróg, ale...

— Tak jest dobrze — odparła krótko Megan — David, bądź gotowy. Otworzysz nam przejazd.

— Jasne. — Ustawiłem broń, choć było to trudne, bo Megan przyspieszyła. Skręciliśmy za róg i skierowaliśmy się ku dużej, płaskiej konstrukcji na końcu drogi. Jak przez mgłę przypomniałem sobie sklepy, które tu istniały przed Calamity.

Megan pędziła wprost na budynek. Starannie wycelowałem i wybiłem dziurę w stalowych drzwiach frontowych. Przebiliśmy się przez dym i wjechaliśmy w głęboką ciemność opuszczonego domu. Światło motoru ukazało sklepy po obu stronach. Dawno zostały złupione, choć wiele towarów nadal leżało na półkach. Ubrania, które przekształciły się w stal, nie były szczególnie przydatne.

Megan z łatwością pokonywała otwarte korytarze. Po zastygłych ruchomych schodach wjechaliśmy na piętro. Za nami już były motory armii, ich hałas odbijał się wokół echem.

Wyglądało na to, że Tia nie może nas już pilotować, ale Megan chyba wiedziała, co robić. Z galerii na górze strzeliłem do ścigających nas motorów. Trafiłem w podłogę przed nimi, wyrывая kawał posadzki. Niektórzy stracili równowagę, inni rozpięchli się w poszukiwaniu ukrycia. Nikt z nich nie prowadził tak dobrze, jak Megan.

— Ściana przed nami — ostrzegła Megan. Rozwaliłem mur i zerknąłem na wskaźnik poziomu energii. Profesor miał rację; wyczerpywała się raczej szybko. Zostało nam pewnie parę strzałów.

Z rykiem silnika wydostaliśmy się na otwartą przestrzeń. Włączyły się gravatoniksy, łagodząc lądowanie motoru na ulicy piętro niżej, ale i tak wstrząs był potężny. Motor nie był przystosowany do skoków tej wysokości. Jęknąłem, bo porządnie zabołały mnie plecy i noga. Megan natychmiast skierowała pojazd ku wąskiej alejce za budynkiem. Przed nami zobaczyłem, jak droga opada w dół. Kanał. Musieliśmy tylko...

Z kanału wzniósł się w górę smukły, czarny helikopter. Obrotowe działka po obu jego stronach zaczęły się kręcić.

*Zero szans* — pomyślałem, unosząc broń obiema rękami i celując. Megan pochyliła się jeszcze niżej, motor uderzył w krawędź kanału. Helikopter zaczął strzelać. Przez szybę kokpitu widziałem hełm pilota.

Strzeliłem.

Dawniej często marzyłem o zrobieniu czegoś nieprawdopodobnego. Wyobrażałem sobie, jak to by było pracować z Mścicielami, walczyć z Epikami, robić to wszystko, zamiast tylko siedzieć i rozmyślać. Ten strzał dał mi wreszcie szansę.

Zawisłem w powietrzu, patrząc w dół na stutonową zabójczą maszynę, i nacisnąłem spust. W jednej chwili dach helikoptera i pilot wyparowali. Przez chwilę czułem się tak, jak prawdopodobnie czują się Epicy. Jak bóg.

A potem wyleciałem z siedzenia.

Powinienem był to przewidzieć — wolny upadek w sześciometrowy wąwóz z obiema rękami na spluwie nie mógł się skończyć inaczej. Nie powiedziałbym, że bym czuł się bardzo szczęśliwy, lecąc w dół na spotkanie połamanych nóg. I pewnie jeszcze gorszych rzeczy.

Ale ten strzał... Ten strzał był tego wart.

Upadłem tak szybko, że prawie tego nie poczułem. Zaraz po tym, jak uświadomiłem sobie, że spadłem z siedzenia. Usłyszałem trzask, potem ogłuszające bum! i poczułem falę gorąca. Leżałem oszołomiony, z zamglonym wzrokiem. Widziałem płonący w pobliżu wrak helikoptera. Byłem całkiem otępiały.

Nagle Megan potrząsnęła mną. Zakaszlałem, przekręciłem się i spojrzałem na nią. Ściągnęła kask, więc widziałem jej twarz. Piękną twarz. Martwiła się o mnie. Ta myśl sprawiła, że się uśmiechnąłem. Coś mówiła. W uszach mi dzwoniło, więc zmrużyłem oczy, próbując czytać z ruchu jej ust. Mało co słyszałem.

— ...wstawaj, frajerze! Wstawaj!

— Nie powinnaś potrząsać kimś, kto właśnie upadł — wymamrotałem. — Mogę mieć uszkodzony kręgosłup.

— Zaraz będziesz miał uszkodzoną głowę, jeśli się nie ruszysz.

— Ale...

— Idiota. Kurtka wchłonęła uderzenie. Pamiętasz? Ta, którą nosisz, żeby nie dać się zabić? Ma cię chronić przed konsekwencjami robienia głupot, jak puszczenie się mnie w powietrzu.

— Nie mam zamiaru cię puścić — wymamrotałem. — Nigdy.

Zamarła. Zaraz. *Czy ja to powiedziałem na głos?*

*Kurtka* — pomyślałem, poruszając palcami u stóp i podnosząc ramiona. *Ochronne urządzenie w kurtce ocaliło mnie. I... i nadal nas ścigają.*

Calamity! Byłem frajerem. Uklęknąłem i pozwoliłem Megan pomóc mi wstać. Kaszlnąłem kilka razy, ale już czułem się pewniej. Puściłem Megan i zanim dotarliśmy do motoru, było już w porządku. Wylądowała bez wypadku.

— Czekaj. — Rozejrzałem się. — Gdzie jest...

Broń magnetyczna leżała w kawałkach tam, gdzie upadła, rozbijając się o stalową skałę. Zrobiło mi się słabo, chociaż wiedziałem, że teraz już się nam tak bardzo nie przyda. Nie mogliśmy używać jej i udawać, że jesteśmy Epikami po tym, jak żołnierze widzieli, że z niej strzelam. Ale żal było stracić taką fajną broń, zwłaszcza że własny karabin zostawiłem w ciężarówce. Jakoś zaczynało mi to wchodzić w krew.

Wdrapałem się na motor za Megan, która włożyła kask. Biedna maszyna była z maltretowana, podrapana i wgięta tu i tam, szyba ochronna pękła. Jeden z gravatoniksów — owal wielkości dłoni po prawej stronie — nie zapalił się, jak pozostałe. Ale silnik działał i zawył, kiedy Megan ruszyła dnem wąwozu w kierunku dużego tunelu. Wyglądało na to, że prowadzi do systemu kanalizacyjnego, ale wiele takich rzeczy w Newcago sprawiało teraz mylące wrażenie, po Wielkiej Transferii i utworzeniu systemu podziemnych ulic.

— Hej, wy tam? — usłyszałem Cody'ego. Jakimś cudem mój telefon i słuchawka przetrwały upadek. — Dzieje się coś dziwnego. Coś bardzo, bardzo dziwnego.

— Cody — odezwała się Tia. — Gdzie jesteś?

— Załatwiłem limuzynę — odparł. — Przestrzeliłem jedną oponę i wpakowała się na ścianę. Musiałem jeszcze pozbyć się sześciu żołnierzy, zanim mogłem podejść.

Megan i ja wjechaliśmy do tunelu, w pogłębiającą się ciemność. Grunt obniżał się. Trochę znałem ten teren i wyliczyłem, że niebawem znajdziemy się pod Gibbons Street, w stosunkowo słabo zamieszkaney okolicy.

— Co z Confluxem? — spytał Cody'ego Profesor.

— Nie było go w samochodzie.

— Może Conflux był jednym z oficerów armii, których zastrzeliłeś? — zasugerowała Tia.

— Niee — odparł Cody. — Znalazłem go. W bagażniku.

Przez chwilę na linii panowała cisza.

— Jesteś pewien, że to on? — spytał Profesor.

— No, nie — przyznał Cody. — Może mieli jakiegoś innego Epika związanego w bagażniku. Tak czy inaczej, wykrywacz pokazał, że ten chłoptaş jest bardzo potężny. Ale nieprzytomny.

— Zastrzel go — polecił Profesor.

— Nie — sprzeciwiła się Megan. — Zabierz go.

— Myślę, że ona ma rację, Profesorze — rzekł Cody. — Jeśli jest związany, nie może być bardzo silny. Albo użyli jego słabego punktu, by pozbawić go mocy.

— Ale my nie znamy jego słabych punktów — powiedział Profesor. — Skończ jego udrękę.

— Nie będę strzelał do nieprzytomnego gościa, Profesorze — zaprotestował Cody. — Nawet jeśli jest Epikiem.

— To go zostaw.

Byłem rozdarty. Epicy zasługiwali na śmierć. Wszyscy. Ale dlaczego był nieprzytomny — co z nim robili? Czy to w ogóle był Conflux?

— Jon — włączyła się Tia — on nam się przyda. Jeśli jest Confluxem, mógłby nam dużo powiedzieć. Moglibyśmy nawet wykorzystać go przeciwko Stalowemu Sercu albo użyć jako karty przetargowej przy ucieczce.

— Chyba nie jest bardzo niebezpieczny — przyznałem. Krwawiła mi warga. Przygryzłem ją, upadając. Teraz, kiedy już trochę doszedłem do siebie, czułem, że boli mnie noga, a bok wręcz pulsuje. Kurtki pomagały, ale przecież nie były idealne.

— Dobrze — zdecydował Profesor. — Kryjówka siedem, Cody. Nie zabieraj go do bazy. Ma być związany, zakneblowany i z przepaską na oczach. Nie rozmawiaj z nim. Musimy to zrobić wspólnie.

— Dobra — przystał Cody. — Już idę.

— Megan i David — zwrócił się do nas Profesor — chcę, żebyście...

Nie usłyszałem reszty, bo wokół nas rozległa się strzelanina. Poobijany motocykl okręcił się w kółko i upadł.

Dokładnie na tę stronę, gdzie gravatoniksy były zniszczone.

Bez gravatoniksu zachowywał się jak każdy normalny motocykl, kiedy upadnie przy wielkiej prędkości.

Co nie zwiastuje nic dobrego.

Natychmiast wyrwało mnie z siedzenia. Motocykl wyślizgnął się spode mnie. Upadłem na nogę, siła tarcia pociągnęła mnie w tył. Megan nie miała tyle szczęścia. Motocykl ją przywalił i pociągnął za sobą, zderzając się z półokrągłą metalową ścianą korytarza. Tunel zadrżał. Pałący ból objął moją nogę. Przeturlałem się na bok i drzenie ustało. Zrozumiałem, że jeszcze żyję. Wydało mi się to zaskakujące.

Za nami dwóch mężczyzn w pełnym umundurowaniu armii wyłoniło się z cieni we wgłębieniu, które minęliśmy. Na brzegach zagłębienia migotały słabe światełka, tworząc krąg. Wywnioskowałem z tego, że żołnierze byli całkiem spokojni. Przysięgłbym, że jeden zarechotał pod hełmem, mówiąc coś przez mikrofon do swojego towarzysza. Zakładali, że po takim uderzeniu oboje jesteście martwi, a w każdym razie niezdolni do walki.

*Do cholery z tym* — pomyślałem, czując, jak policzki mi płoną z gniewu. Zanim zdążyłem pomyśleć, wyciągnąłem spod pachy pistolet — ten, który zabił mojego ojca — i strzeliłem im cztery razy prawie prosto w twarz. Nie celowałem w pierś — pancerze ich osłaniały. Wrażliwym punktem była szyja.

Obydwaj upadli. Odetchnąłem głęboko, urywanie. Ręka, w której trzymałem broń, dygotała. Zamrugałem kilka razy, w szoku, że udało mi się ich trafić. Może Megan jednak miała rację co do broni ręcznej.

Jęknąłem i usiadłem. Moja kurtka Mścicieli była w strzępach; wiele diod wzdłuż wewnętrznej strony, które tworzyły pole ochronne, dymiło albo było oderwanych. Nogę pokrywały paskudne zadrapania. Bolało jak Calamity, ale ślady nie były bardzo głębokie; zdołałem jakoś wstać i iść. Jakoś. Ból był... raczej nieprzyjemny.

*Megan!* Myśl przedarła się przez mgłę oszołomienia. Choć to było bardzo głupie, nie sprawdziłem, czy dwaj żołnierze rzeczywiście nie żyją. Pokuśtykałem do miejsca, w którym motor po upadku uderzył w ścianę. Jedyne światło pochodziło z mojej komórki. Odepchnąłem rozzerwane resztki motocykla i znalazłem Megan rozciągniętą pod spodem. Jej kurtka była w jeszcze gorszym stanie niż moja.

Nie wyglądała dobrze. Leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami. Pęknięty kask zsunął się do połowy. Po policzku Megan ciekła krew. Jedno ramię było wykręcone pod dziwnym kątem, a cały bok zakrwawiony. Przykląkłem przerażony. Chłodne, spokojne światło mojego telefonu ujawniało straszliwe rany wszędzie, gdzie je skierowałem.

— David? — odezwał się cichy głos Tii w mojej komórce, nadal przyczepionej do kurtki. Nie wiem, jakim cudem działała, choć straciłem słuchawkę. — David? Nie mogę połączyć się z Megan. Co się dzieje?

— Z Megan bardzo źle — odparłem tępo. — Jej telefon pewnie zmiażdżyło.

*Oddycha? Muszę sprawdzić, czy oddycha.* Pochyliłem się i przyłożyłem telefon do jej ust, a potem poszukałem pulsu. *Jestem w szoku, nie myślę normalnie.* Czy przyszedłoby mi to do głowy, gdybym nie myślał normalnie? Przycisnąłem palce do szyi Megan. Jej skóra była wilgotna i zimna.

— David! — rozległ się nagły głos Tii. — David, słyszysz rozmowy na liniach armii. Wiedzą, gdzie jesteś. Wysyłają tam całe oddziały. Piechota i wojska pancerne. Uciekaj!

Wyczułem puls. Płytki, słaby, ale był.

— Ona żyje — powiedziałem. — Tia, ona żyje!

— Musisz się stamtąd wydostać, David!

Ruszenie Megan mogło jej zaszkodzić, ale jeszcze bardziej zaszkodziłoby zostawienie jej samej. Jeśli ją złapią, będzie torturowana, a potem ją zamordują.

Ściągnąłem podartą kurtkę i owinąłem wokół nogi. Poczuję, że coś jest w kieszeni, i wyciągnąłem to. Minidetonator i bezpieczniki. W przeblasku olśnienia założyłem jeden z bezpieczników na baterię paliwową motoru. Słyszałem gdzieś, że można je w ten sposób zdestabilizować i wysadzić, jeżeli się wie, jak to zrobić. Ja nie wiedziałem, ale wydawało się to dobrym pomysłem. Jedynym pomysłem. Umocowałem telefon na nadgarstku, odetchnąłem głęboko, odciągnąłem rozwalony motor, którego przednie koło odleciało, po czym podniosłem Megan.

Jej pęknięty kask spadł i uderzył o ziemię. Włosy Megan rozsypały się na moim ramieniu. Była cięższa, niż na to wyglądała, zawsze tak jest z ludźmi. Drobna, ale zbita w sobie, zwarta. Doszedłem do wniosku, że chyba nie spodobałby się jej taki opis.

Przerzuciłem Megan przez ramię i niepewnym krokiem ruszyłem w dół tunelu. W regularnych odstępach zwisały z sufitu niewielkie, żółte światełka, ale mało co było w nich widać, nawet dla kogoś, tak jak ja, przyzwyczajonego do życia pod ziemią.

Nie minęło wiele czasu, jak rozbolały mnie ramiona i plecy. Posuwałem się jednak dalej, krok za krokiem. Nie mogłem iść szybko. Nie byłem też w stanie za dobrze myśleć.

— David. — Głos Profesora. Cichy, spięty.

— Nie zostawię jej — odezwałem się przez zaciśnięte zęby.

— Nigdy bym tego od ciebie nie oczekiwał. Już prędzej spodziewałbym się, że przeciwstawisz się armii i że oboje zginiecie.

Nie bardzo mnie to pocieszyło.

— Nie dojdzie do tego, synu — rzekł Profesor. — Pomoc w drodze.

— Chyba ich słyszę — odparłem. Dotarłem wreszcie do końca tunelu; wychodził na wąskie skrzyżowanie podziemnych korytarzy. Nie było tu żadnych budynków, tylko stalowe korytarze. Nie znałem za dobrze tej części miasta.

Sufit był jednolity, bez prześwitów, jak tam, gdzie dorastałem. Z prawej strony dobiegały echa krzyków, a z tyłu szczykanie stalowych stóp na stalowym podłożu. I jeszcze więcej krzyków. Znaleźli motor.

Oparłem się o ścianę, przekładając Megan na drugie ramię, i przycisnąłem guzik detonatora. Z ulgą usłyszałem kliknięcie, po którym bateria motoru eksplodowała. Krzyki nasiliły się — może paru trafiłem. Przy odrobinie szczęścia założyliby, że ukrywam się gdzieś w pobliżu wraku i rzuciłem granat lub coś podobnego.

Dźwignąłem Megan i skręciłem w lewo na skrzyżowaniu korytarzy. Jej krew przemakała przez moje ubranie. *Pewnie już nie...*

*Nie, nie będę o tym myślał.* Krok za krokiem. *Nadchodzi pomoc, Profesor obiecał, że nadchodzi.* Profesor nie kłamał. Jonathan Phaedrus, twórca Mścicieli, człowiek, którego rozumiałem. Jeśli komukolwiek na świecie ufałem, to jemu.

Po dobrych pięciu minutach musiałem się zatrzymać. Tunel przede mną kończył się metalową ścianą. Ślepa uliczka. Zerknąłem przez ramię i zobaczyłem światła latarek i poruszające się cienie. Tędy nie było ucieczki.

Korytarz był szeroki na jakieś dwadzieścia kroków i wysoki. Na ziemi leżały stare części narzędzi budowlanych, kilka stert pokruszonych cegieł i nadpalonych bloków, choć większość pewnie zabrali oportuniści. Ktoś budował tu niedawno więcej pomieszczeń. Może uda się w nich

jakoś schować.

Położyłem Megan na ziemi za największym stosem i przełączyłem telefon na odbiór ręczny. Profesor i pozostali nie byliby w stanie mnie usłyszeć, chyba że dotknąłbym ekranu aktywacyjnego, ale także nie zdradziliby mojego położenia, próbując się ze mną skontaktować.

Przykucnąłem za cegłami. Nie zasłaniały mnie całkowicie, ale lepsze to niż nic. Przyciśnięty do ściany, bez broni, żadnego sposobu, żeby...

Nagle poczułem się jak idiota. Zanurzyłem dłoń w kieszeni spodni, szukając tensora. Wyciągnąłem go triumfalnie. Może mógłbym przekuć się do niższych stalowych katakumb albo nawet w bok i znaleźć bezpieczniejszą drogę. Naciągnąłem rękawicę i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że tensor jest poszarpany w kawałki. Gapiłem się na niego z obezwładniającą rozpaczą. Tensor był w kieszeni po tej stronie, na którą upadłem, i rozpruł się na dole. Brakowało mu dwóch palców, a cała elektronika roztrzaskała się; części zwisały na drucikach jak oczy zombie w starych horrorach.

Usiadłem. Chciało mi się śmiać. Żołnierze armii przeszukiwali korytarze. Krzyki. Odgłosy kroków. Światła.

Zbliżali się.

Moja komórka leciutko zamrugła. Maksymalnie ją ściszyłem, wcisnąłem ekran i pochyliłem się nad nim.

— David? — spytała Tia prawie niedosłyszalnie. — David, gdzie jesteś?

— Doszedłem do końca tunelu — odszepnąłem z telefonem przy samych ustach. — Skręciłem w lewo.

— W lewo? To ślepy zaułek. Musisz...

— Wiem — odpowiedziałem. — Ale gdzie indziej byli żołnierze.

Zerknąłem na Megan, skuloną na ziemi. Znów dotknąłem jej szyi. Wyczułem puls i z ulgą zamknąłem oczy. *Nie, żeby to miało jeszcze jakieś znaczenie.*

— Calamity! — zakłęła Tia. Usłyszałem strzały i podskoczyłem, ale nie dochodziły z korytarzy. Słyszeć je było przez telefon.

— Tia? — zaszepotałem.

— Są tutaj — powiedziała. — Nie martw się o mnie, utrzymam miejsce. David, musisz...

— Hej, ty! — zawołał ktoś z miejsca, w którym przecinały się tunele. Pochyliłem się najbardziej, jak mogłem, ale stos cegieł nie zakrywał mnie, chyba żebym się położył.

— Tam ktoś jest! — zawołał znów głos. Potężne latarki armii skierowały się w moją stronę. Wiedziałem, że większość z nich jest umocowanych na karabinach.

Mój telefon znów zaświecił. Odebrałem.

— David — usłyszałem podekscytowany głos Profesora. — Użyj tensora.

— Nie działa — szepnąłem. — Rozwalił się przy upadku.

Cisza.

— Spróbuj i tak — nalegał Profesor.

— Profesorze, on jest nie do użytku. — Wyjrzałem zza cegieł. Duża grupa żołnierzy gromadziła się w przeciwległym końcu. Kilku kłęczało z karabinami skierowanymi we mnie i oczami przy celownikach. Trwałem w bezruchu.

— Po prostu zrób to — nakazał Profesor.

Westchnąłem i przycisnąłem dłoń do ziemi. Zamknąłem oczy, ale nie było łatwo się skoncentrować.

— Podnieś ręce do góry i idź powoli do przodu! — wrzasnął głos za mną. — Jeśli nie wyjdiesz, otwieramy ogień!

Staralem się zignorować ich, skupiając się na tensorze, na wibracjach. Przez chwilę

zdawało mi się, że coś czuję, przytłumiony szum — głęboki i potężny. Ale zaraz zniknął. To było głupie. Jakbym próbował wywiercić dziurę w ścianie butelką napoju.

— Przykro mi, Profesorze — powiedziałem. — Rozwalił się na amen.

Sprawdziłem magazynek w pistolecie ojca. Pięć pocisków. Pięć cennych strzałów, które być może zraniłyby Stalowe Serce. Nie będę już miał szansy, by to sprawdzić.

— Przyjacielu, czas ci się kończy! — zawołał żołnierz.

— Musisz wytrzymać — odezwał się Profesor nagle. Przy minimalnej głośności słyszałem go bardzo słabo.

— Powinien pan iść do Tii — zasugerowałem.

— Poradzi sobie — odparł Profesor. — Abraham zaraz jej pomoże, a kryjówka była zaplanowana na wypadek ataku. Może zablokować wejście i ich przeczekać. David, musisz wytrzymać, dopóki nie przyjdę.

— Nie wezmą nas żywcem, Profesorze, dopilnuję tego — obiecałem. — Bezpieczeństwo Mścicieli jest ważniejsze niż ja.

Pomacałem przy boku Megan, wyciągnąłem jej spluwę i odbezpieczyłem. SIG Sauer P226, kaliber czterdzieści. Ładny kawałek broni.

— Już idę, synu — powiedział cicho Profesor. — Wytrzymaj.

Wyjrzałem jeszcze raz. Oficerowie zbliżali się z uniesionymi karabinami.

Prawdopodobnie chcieli mnie żywego. To mogło pomóc mi położyć paru, zanim mnie zastrzelą. Podniosłem broń Megan i wystrzeliłem szybką serię. Przyniosła oczekiwany efekt; żołnierze rozpierzchli się w poszukiwaniu ukrycia. Niektórzy strzelali — cegły rozpryskiwały się pod ogniem z automatów, obsypując mnie kawałkami.

*To tyle, jeśli chodzi o wzięcie nas żywcem.* Byłem cały spocony.

— Nieźle sobie radzimy, co? — zwróciłem się do Megan, uchylając się i trafiając oficera, który zanadto się zbliżył. Jedna z kul chyba przebiła jego ochronny strój, bo utykał, wskakując za kilka zardzewiałych beczek.

Znów się skuliłem, gdyż wokół rozbrzmiały strzały jak kapiszony w metalowej puszcze. Właściwie, jak się zastanowić, tym właśnie były. *Coraz lepiej mi idzie* — pomyślałem kwaśno, odrzucając pusty magazynek i zakładając następny.

— Przepraszam, że cię zawiodłem — mówiłem dalej do leżącej nieruchomo Megan. — Zasługiwałaś, by przeżyć, nawet jeśli ja zginę.

Próbowałem wystrzelić kilka serii, ale strzały wroga zepchnęły mnie z powrotem do ukrycia, zanim zdołałem zacząć.

Oddychałem ciężko, ocierając krew z policzka. Kawałki cegły zraniły mnie podczas strzelaniny.

— Wiesz — mruknąłem — zakochałem się w tobie od razu pierwszego dnia. Głupie, co? Miłość od pierwszego spojrzenia. Co za banał.

Strzeliłem trzykrotnie, ale żołnierze już się ośmielili. Zorientowali się, że byłem sam i miałem tylko ręczną broń. Żyłem jeszcze pewnie tylko dlatego, że wystrzelałem cały magazynek i przestraszyli się materiałów wybuchowych.

— Nie wiem nawet, czy można to nazwać miłością — wyszeptalem, przeladowując broń. — Czy jestem zakochany? Czy to tylko zadurzenie? Znamy się krócej niż miesiąc i przez połowę tego czasu traktowałaś mnie jak śmiecia. Ale wtedy, kiedy walczyliśmy z Fortuitym... i wtedy w elektrowni... wydawało mi się, że coś między nami jest. Coś... Nie wiem. Coś wspólnego. Coś, czego pragnąłem.

Zerknąłem na jej bladą, nieruchomą postać.

— Sądzę — dodałem — że jeszcze miesiąc temu zostawiłbym cię przy motorze. Bo tak



bardzo chciałem się zemścić na nim.

*Bam, bam, bam!* Sterta cegieł zatrzęsła się, jakby oficerowie usiłowali przedrzeć się przez nią do mnie.

— To mnie przeraża w samym sobie — powiedziałem cicho, nie patrząc na Megan. — Tak czy inaczej, dziękuję ci. Dzięki tobie zaczęło mi zależeć na czymś innym niż Stalowe Serce. Nie wiem, czy cię Kocham, ale cokolwiek to jest, to dla mnie najsilniejsze uczucie od lat. Dziękuję ci.

Puściłem znów serię, ale uchyliłem się przed pociskiem, który musnął moje ramię. Magazynek był pusty. Westchnąłem, rzucając broń Megan i podnosząc pistolet mego ojca. I skierowałem go na nią. Mój palec zadrżał na spuście. To byłaby łaska. Szybka śmierć jest lepsza niż tortury zakończone egzekucją. Próbowałem się zmusić do pociągnięcia za spust.

*Calamity, ależ ona jest piękna* — pomyślałem. Była odwrócona zdrowym bokiem w moją stronę. Złote włosy rozsypały się po bladej skórze, oczy miała zamknięte, jakby spała.

*Czy naprawdę mógłbym to zrobić?*

Strzały ustały. Zaryzykowałem i wyjrzałem zza sypiącej się sterty cegieł. Korytarzem nadchodziły dwie olbrzymie figury, stukając przy każdym mechanicznym kroku. A więc zdecydowali się włączyć wojska pancerne. Jakaś część mnie czuła dumę, że stanowią dla nich tak poważny problem. Chaos spowodowany przez Mścicieli, zniszczenie przez nas wielu oddziałów Stalowego Serca doprowadziło ich do szału. Dwudziestoosobowy szwadron i dwie zmechanizowane jednostki wysłane, żeby załatwić jednego faceta z pistoletem.

— Czas umierać — wyszeptalem. — Myślę, że zrobię to, strzelając z pistoletu do pancernej zbroi mierzącej ponad cztery metry. Przynajmniej będzie dramatycznie.

Odetchnąłem głęboko. Armia już prawie mnie otoczyła, posuwając się do przodu ciemnym korytarzem. Zacząłem się podnosić, celując w Megan już bardziej pewnie. Zastrzelę ją, a potem zmuszę żołnierzy, żeby mnie załatwili.

Zauważyłem, że mój telefon miga.

— Ognia! — krzyknął żołnierz.

Sufit się roztopił.

Widziałem to wyraźnie, bo patrzyłem w głąb tunelu. Nie chciałem patrzeć na Megan, kiedy do niej strzelam. Wyraźnie zobaczyłem koło na suficie, które przekształciło się w kolumnę czarnego pyłu, spadający deszcz kawałków stali. Jakby ktoś odkręcił gigantyczny kurek i uwolnił sypiący się piasek. Odłamki uderzały w ziemię, rozpryskując się w olbrzymią chmurę. Wreszcie zasłona pyłu opadła. Mój palec drżał, ale nie pociągnąłem za spust. Postać, która spadła z góry, podniosła się z przysiadu. Miała na sobie czarny, cienki płaszcz, przypominający fartuch laboratoryjny, ciemne spodnie, czarne boty i niewielkie gogle na oczach. Profesor przybył z tensorami w obu rękach. Oba połyskiwały zielono.

Wojsko znów otworzyło ogień, zasypując korytarz gradem kul. Profesor uniósł dłoń, wystawiając w przód lśniący tensor. Niemal czułem szum urządzenia. Kule rozpadały się w powietrzu. Docierały do Profesora w postaci malutkich strużyn stali, nie bardziej niebezpiecznych niż grudki błota. Obsypywały go setkami, padały na ziemię, rozlatywały się w powietrzu, odbijając światło. Zrozumiałem, dlaczego Profesor miał gogle.

Wstałem z rozdziawionymi ustami, całkiem zapominając o broni w ręce. Byłem zdania, że robię się niezły, jeśli chodzi o sensory, ale zniszczenie tych pocisków... to przekraczało moje możliwości pojmowania.

Profesor nie dał zdezorientowanym żołnierzom czasu na pozbieranie się. Nie widziałem, żeby miał broń, ale wyskoczył z chmury pyłu i rzucił się w ich stronę. Jednostki zmechanizowane rozpoczęły ostrzał, używając karabinów obrotowych — jakby nie wierzyli własnym oczom i

sądzi, że rozwiązaniem jest większy kaliber. Coraz więcej pocisków rozpryskiwało się w powietrzu, roztrzaskanych tensorami Profesora. On sam biegł cały czas po pylistej ziemi, aż dotarł do oddziałów armii.

I zaatakował uzbrojonych po zęby ludzi pięściami.

Rozszerzonymi oczami patrzyłem, jak powalił żołnierza uderzeniem w twarz; hełm rozpadł się w pył. *Pancerze wyparowują pod jego dotykiem*. Profesor okręcił się z gracją między kolejnymi dwoma, jednego waląc pięścią w brzuch, drugiego ramieniem w nogę. Ochronne pancerze znikwały, zanim Profesor uderzył, wyparowując i pozostawiając tylko garść pryskającego pyłu.

Kończąc kolejny obrót, Profesor uderzył dłonią w stalową ścianę. Sproszkowany metal rozsypał się i ze ściany wypadło coś długiego i cienkiego. Miecz, wykuty ze stali przez niezwykle precyzyjny cios tensora. Stal rozbłysła, gdy Profesor zaatakował dezorientowanych żołnierzy. Niektórzy próbowali nadal strzelać, inni nadbiegali z pałkami, które Profesor niszczył równie łatwo jak kule. Dzierżył miecz w jednej ręce, a drugą nadal wysyłał niemal niewidoczne ciosy, unicestwiające metal i kamizelki kuloodporne. Z żołnierzy, którzy zanadto się zbliżyli, pył sypał się strumieniami; ślizgali się na nim, potykali, tracili równowagę, gdy hełmy znikwały z ich głów, a opancerzenie z ciał. W świetle potężnych latarek widać było lejącą się krew i padających ludzi. Profesor pojawił się raptem kilka chwil temu, a już załatwił z tuzin żołnierzy.

Jednostki pancerne sprowadziły lekkie działka energetyczne, ale Profesor był zbyt blisko. Wbiegł na rozsypany pył, pochylił się i gwałtownie pojechał do przodu, poruszając się pewnie i z wdziękiem. Obrócił się i machnął ramieniem, przebijając się przez nogę pancernej formy. Wyciągnął dłoń i noga zgięła się, potem pękła, zwalając całą konstrukcję na bok. Upadając, plunęła żółtoniebieskim ogniem, topiąc kawał podłogi.

Zuchwały żołnierz spróbował zaatakować Profesora, stojącego nad obaloną konstrukcją. Profesor nawet nie tknął miecza. Uskoczył i wyciągnął pięść. Trafiła w twarz żołnierza i zobaczyłem, jak wizjer na hełmie wyparowuje pod jej dotykiem. Żołnierz padł i w korytarzu zapanowała cisza. Migoczące płatki stali wirowały w promieniach światła niczym płatki śniegu.

— Jestem znany — odezwał się Profesor mocnym, pewnym siebie głosem — jako Limelight. Niech wasz pan wie, że jestem bardziej niż zirytowany, iż zmusza się mnie do zajmowania się wami, nędzne robaki. Niestety, moje oddziały to głupcy, niezdolni wykonać najprostszych rozkazów. Powiedzcie swemu panu, że skończyliśmy z gierkami i zabawami. Jeśli sam nie stawi mi czoła, rozwalę to miasto po kawałku, aż go znajdę.

Profesor minął pozostałych żołnierzy, nie zaszczycając ich nawet spojrzeniem. Szedł w moją stronę, odwrócony do nich tyłem. Czekałem spięty, myśląc, że zechcą to wykorzystać, ale nic nie zrobili. Stchórzyli. Ludzie nie walczyli z Epikami. Nauczono ich tego, wpojono od podstaw.

Gdy Profesor podszedł do mnie, twarz miał skrytą w cieniu — światło padało od tyłu.

— To było genialne — wyszeptalem.

— Zabieraj dziewczynę.

— Nie mogę uwierzyć, że...

Profesor spojrział na mnie i wreszcie zobaczyłem jego twarz z zaciśniętymi szczękami i oczami płonącymi jak w gorączce. Była w nich pogarda, na widok której cofnąłem się w szoku. Profesor dygotał, zaciskając pięści, jakby powstrzymując coś strasznego.

— Zabieraj. Dziewczynę.

Potaknąłem tępo, chowając broń i podnosząc Megan.

— Jon? — usłyszałem Cię w telefonie Profesora; mój był nadal wyciszony. — Jon, żołnierze wycofali się stąd. Co się dzieje?

Profesor nie odpowiedział. Machnął dłonią uzbrojoną w tensor, roztopiając podłogę przed nami. Pył opadł jak piasek w klepsydrze, odsłaniając prowizoryczny tunel prowadzący w głąb. Podążyłem za Profesorem i tak udało się nam uciec.

## CZEŚĆ IV

— Abraham, więcej krwi — ponagliła Tia gorączkowo. Abraham, z ręką na temblaku czerwonym od jego własnej krwi, ruszył spiesźnie do chłodziarki.

Megan leżała na stalowym stole konferencyjnym w głównym pomieszczeniu naszej kryjówki. Na podłodze poniewierały się zrzuczone przeze mnie sterty papieru i jakieś narzędzia Abrahama. Siedziałem z boku, bezradny, wykończony i przerażony. Profesor wykopał dla nas ścieżkę, prowadzącą do kryjówki od tyłu; wejście frontowe Tia zablokowała metalowymi zatyczkami i granatem zapalającym.

Nie bardzo rozumiałem, co Tia robi z Megan. Próbowwała zszyć jej rany, używając także bandaży. Wyglądało na to, że Megan ma wewnętrzne obrażenia, co martwiło Cię bardziej nawet niż olbrzymia ilość straconej przez dziewczynę krwi.

Widziałem twarz Megan z jej anielskimi oczami spokojnie zamkniętymi, zwróconą w moją stronę. Tia rozcięła jej ubranie, odsłaniając rany. Okropne rany. Wydawało się dziwne, że jej twarz była tak pogodna; ale chyba zrozumiałem. Sam byłem jak otępiały. *Krok za krokiem...* przyniosłem ją do kryjówki. Czas był zamazaną chmurą bólu i strachu, i zawrotów głowy. Profesor ani razu nie zaproponował mi pomocy. Parę razy niemal zostawił mnie z tyłu.

— Masz. — Abraham podał Tii woreczek z krwią.

— Przyczep — odparła Tia z roztargnieniem, robiąc coś przy boku Megan po drugiej stronie. Zakrwawione rękawiczki chirurgiczne odbijały światło. Tia nie zdążyła się przebrać i jej codzienne ubranie — sweter narzucony na bluzkę i džinsy — było poplamione krwią. Pracowała skupiona, ale jej głos zdradzał panikę.

Komórka Tii zapiszczała cicho; Tia umieściła ją na piersi Megan, by lekarska aplikacja zbadała rytm serca. Od czasu do czasu Tia kładła komórkę na podbrzuszu Megan, badając je ultradźwiękami. Część mojego mózgu będąca w stanie myśleć była pod wrażeniem, jak dobrze przygotowali się Mściciele. Nie wiedziałem nawet, że Tia przeszła szkolenie lekarskie, a co dopiero, że mieliśmy do dyspozycji krew i przyrządy chirurgiczne.

*Nie powinna tak wyglądać* — pomyślałem, mrugając, by odpędzić pojawiające się nagle lzy. *Taka bezbronna, naga na tym stole. Megan jest silna. Mogliby przecież chyba przykryć ją czymś?*

Uświadomiłem sobie, że wstaję, by sięgnąć po jakieś przykrycie, by stworzyć choć pozory skromności, ale zaraz zrozumiałem, jakie to głupie. Każda chwila się liczyła, nie mogłem się tam plątać i rozpraszać Tii. Usiadłem. Cały byłem umazany krwią Megan. Nie czułem zapachu; pewnie już się przyzwyczaiłem.

*Ona musi wyzdrowieć. Uratowałem ją. Przyniosłem ją tutaj. Musi być dobrze. Tak to działa.*

— Tak nie powinno być — powiedział Abraham cicho. — Wzmacniacz.

— Nie na każdego działa — odparła Tia. — Nie wiem czemu. Chciałabym wiedzieć, do cholery. Na Megan nigdy specjalnie nie działał. Tak jak zawsze miała kłopoty z tensorami.

*Przestańcie gadać o jej kłopotach!* — wrzasnąłem w głębi moich myśli.

Bicie serca Megan słabło. Słyszałem je, wzmocnione przez telefon Tii — pii, pii, pii. Nagle stwierdziłem, że stoję i patrzę w stronę pokoju, w którym Profesor oddawał się rozmyślaniom. Cody nie wrócił do kryjówki — nadal pilnował gdzie indziej uwięzionego Epika, według rozkazów. Ale Profesor był tutaj, w sąsiednim pokoju. Poszedł tam od razu po powrocie, nie patrząc na Megan ani na mnie.

— David! — odezwała się Tia ostro. — Co robisz?  
— Ja... ja... — jąkałem się, próbując znaleźć słowa. — Idę po Profesora. On coś zrobi. Uratuje ją. On wie, co zrobić.  
— Jon nic tu nie pomoże — sprzeciwiła się Tia. — Siadaj.  
Ostry rozkaz przedarł się przez mgłę otaczającego mnie otępienia. Usiadłem i patrzyłem na zamknięte oczy Megan. Tia pracowała, cicho klnąc pod nosem; przekleństwa padały niemal równo z uderzeniami serca Megan. Abraham stał bezradnie z boku.  
Patrzyłem na jej oczy. Na jej spokojną, pogodną twarz. Pisk telefonu zwolnił. Potem ustał. Nie było dźwięku płaskiej linii w telefonie, tylko cisza pełna znaczeń. Nicość naładowana danymi.  
— To... — zacząłem, mrugając. — To znaczy, przyniosłem ją... całą drogę, Tia...  
— Przykro mi — powiedziała Tia. Podniosła rękę do twarzy, zostawiając krwawy ślad na czole. Westchnęła i oparła się wykończona o ścianę.  
— Zrób coś — odezwałem się. To nie było polecenie. To było błaganie.  
— Zrobiłam, co się dało — odparła Tia. — Ona nie żyje, David.  
Cisza.  
— Była bardzo poważnie ranna — mówiła dalej Tia. — Zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy. To nie twoja wina. Szczerze mówiąc, nawet gdybyś ją tu przyniósł natychmiast, nie wiem, czyby przeżyła.  
— Ja... — Nie byłem w stanie myśleć.  
Usłyszałem szelest materiału i zerknąłem w bok. Profesor stał w drzwiach swojego pokoju. Strzepnął jakiś pyłek z ubrania, wyglądał schludnie i dostojnie, w przeciwieństwie do nas. Przez moment patrzył na Megan.  
— Nie żyje? — spytał. Jego głos nabrał łagodniejszego tonu, choć nadal nie takiego, jakiego moim zdaniem powinien użyć. Tia przytaknęła.  
— Zbierzcie, co się da — zarządził Profesor, przerzucając plecak przez ramię. — Opuścmy stanowisko. To uzgodnione.  
Tia i Abraham skinęli głowami, jakby spodziewali się tego. Abraham przystanął, by położyć dłoń na ramieniu Megan i skłonić głowę. Następnie dotknął łańcuszka na swojej szyi i odszedł pospiesznie zbierać narzędzia.  
Sięgnąłem po koc ze zrolowanej pościeli Megan i wróciłem, by ją przykryć. Profesor spojrział, jakby chciał zaprotestować, ale powstrzymał się. Otuliłem ramiona Megan kocem, głowę pozostawiając odkrytą. Nie wiem, dlaczego ludzie zakrywają twarze zmarłych. Twarz to przecież jedyna rzecz, która zostaje taka sama. Musnąłem ją palcami. Skóra była jeszcze ciepła.  
*To się nie dzieje* — pomyślałem tępo.

*Mściciele nie ponoszą takiej klęski.*

Niestety, fakty — znane mi osobiście — kłębiły się w moim mózgu. Owszem, Mściciele ponosili klęski; ich członkowie ginęli. Badałem to. Studiowałem fakty. To się działo.

Tylko że to nie powinno było przydarzyć się Megan.

*Muszę dopilnować, żeby ktoś zajął się jej ciałem* — pomyślałem, schylając się, by ją podnieść.

— Zostaw zwłoki — odezwał się Profesor.

Zignorowałem go, ale poczułem uścisk jego dłoni na ramieniu. Popatrzyłem załzawionymi oczami na jego szorstką twarz z szeroko otwartymi oczami pełnymi złości, które jednak zaraz złagodniały.

— Co się stało, to się nie odstanie — powiedział. — Spalimy tę dziurę. To będzie właściwy pogrzeb. Zresztą niesienie ciała spowolniłoby nas, może doprowadziłoby do naszej śmierci. Żołnierze zapewne wciąż pilnują frontowych pozycji. Nie wiemy, ile czasu zajmie im znalezienie kolejnej kryjówki, którą przygotowałem. — Zawahał się. — Synu, ona nie żyje.

— Powinienem być bieć szybciej — wyszeptałem, przecząc Tii. — Powinienem był ją ocalić.

— Jesteś zły? — spytał Profesor.

— Ja...

— Pozbądź się poczucia winy — rzekł Profesor. — Pozbądź się prób wyparcia tego. Stalowe Serce jej to zrobił. To on jest naszym celem. Skoncentruj się na tym. Nie mamy czasu na żal; mamy tylko czas na zemstę.

Skinąłem głową. Wielu uważałoby, że to nieodpowiednie słowa, ale na mnie podziałały. Profesor miał rację. Jeśli poddam się przygnębieniu i smutkowi, zginę. Musiałem zastąpić te uczucia czymś innym, mocniejszym. Wściekłość na Stalowe Serce. To było to. Zabrał mi ojca, a teraz także Megan. Podświadomie przeczuwałem, że dopóki będzie żył, będzie zabierał mi wszystko, co kocham.

Nienawiść do Stalowego Serca. To da mi siłę. Tak... tak będzie.

— Zbierz notatki — nakazał Profesor — i spakuj imager. Idziemy za dziesięć minut i zniszczymy wszystko, co tu zostaje.

\*

Zajrzałem do nowego tunelu, wykopanego przez Profesora do kryjówki. Na jego końcu jaśniało brudnoczerwone światło, stos pogrzebowy Megan. Wybuch skonstruowany przez Abrahama wystarczył, by stopić stal; nawet z takiej odległości czułem gorąco. Jeśli armia dostanie się do kryjówki, znajdą tylko trochę żużlu i pyłu. Wynieśliśmy, co się dało, a Tia upchnęła jeszcze kilka rzeczy w ukrytej odnodze, którą Abraham wyciął w pobliskim korytarzu. Już drugi raz w ciągu miesiąca patrzyłem, jak płonie miejsce, które było mi domem. W tym ginęło coś bardzo mi drogiego. Chciałem się pożegnać, wyszeptać to, czy przynajmniej pomyśleć, ale nie udało mi się znaleźć słów. Chyba... po prostu nie byłem gotowy.

Odwrociłem się i ruszyłem za pozostałymi, znikającymi w ciemności.

\*

Godzinę później nadal szedłem ciemnym korytarzem, ze zwieszoną głową i pakunkiem dyndającym na plecach. Byłem tak zmęczony, że prawie nie mogłem myśleć. Ale jedna rzecz wydawała się dziwna — silną nienawiść odczuwałem tylko przez bardzo krótki czas, teraz uczucie było letnie. Zastąpienie Megan nienawiścią nie wydawało się dobrym interesem.

Tia pozostała nieco z tyłu i szybko przebrała się ze swoich poplamionych krwią ubrań w świeże, kazała mi też zrobić to samo przed opuszczeniem kryjówki. Umyłem ręce, ale wciąż miałem zaschniętą krew za paznokciami.

— Hej — odezwała się Tia — jesteś chyba bardzo zmęczony.

Wzruszyłem ramionami.

— Chcesz porozmawiać?

— Nie o niej. To znaczy... nie w tej chwili.

— Okej. To może o czym innym? — Jej ton sugerował: „żeby cię odciągnąć od tych myśli”. Może to byłoby miłe, gdyby nie fakt, że jedyny inny temat, na jaki miałem ochotę rozmawiać, był równie przygnębiający.

— Dlaczego Profesor jest tak wściekły na mnie? — spytałem cicho. — Wyglądał, jakby... jakby był zniecierpliwiony, że musiał przyjść mi na ratunek.

Czułem się wtedy potwornie. Kiedy rozmawiał ze mną przez komórkę, podtrzymywał mnie na duchu, czułem jego determinację, by mi pomóc. A potem... jakby się stał innym człowiekiem. Nadal sprawiał takie wrażenie, idąc na czele grupy. Tia powiodła wzrokiem za moim spojrzeniem.

— Profesor ma pewne... złe wspomnienia związane z tensorami, David. Nie cierpi ich używać.

— Ale...

— Nie jest wściekły na ciebie — powiedziała Tia — i nie ma za złe, że musiał cię ratować, niezależnie od tego, jakie sprawia wrażenie. Jest wściekły na siebie. Potrzebuje trochę czasu.

— Ale tak dobrze sobie z nimi radził, Tia.

— Wiem — odparła cicho. — Też to widziałam. Wiedz, że są problemy, których nie rozumiesz, David. Czasami robienie tego, co robiliśmy kiedyś, przypomina nam o tym, kim wtedy byliśmy, i nie zawsze jest to przyjemne.

Niewiele to miało dla mnie sensu. Z drugiej strony, mój umysł nie był w tym momencie u szczytu swoich możliwości.

Wreszcie dotarliśmy do nowej kryjówki, o wiele mniejszej niż poprzednia. Były to tylko dwa nieduże pomieszczenia. Cody wyszedł nam na spotkanie, mówiąc przyciszonym tonem — najwyraźniej poinformowano go o tym, co się stało. Pomógł nam wnieść ekwipunek do głównego pomieszczenia.

Conflux, dowódca armii, był tu gdzieś więziony. Czy ryzykowaliśmy, sądząc, że go upilnujemy? Czy to była część kolejnej pułapki? Musiałem założyć, że Profesor i Tia wiedzą, co robią.

Abraham, pracując, napiął mięśnie postrzelonego ramienia. Niewielkie diody wzmacniacza zabłyśły na bicepsie — otwory po kulach już pokryły się strupami. Jedna noc z tymi diodami i rano będzie mógł bez problemu używać ramienia. A za kilka dni po ranie pozostanie jedynie blizna.

*A jednak* — myślałem, wręczając pakunek Cody'emu i pełząc tunelem do wyżej położonego pokoju — *nie pomogły Megan. Nic, co zrobiliśmy, nie pomogło Megan.*

Przez ostatnie dziesięć lat straciliśmy mnóstwo ludzi. Życie w Newcago nie było łatwe, szczególnie dla sierot. Ale żadna ze strat nie dotknęła mnie tak głęboko od śmierci mojego ojca. To pewnie było dobre — znak, że znowu uczę się tego, by mi na czymś zależało. Jednak w tamtej chwili wszystko to było gównem warte.

Kiedy wyszedłem z tunelu do nowej kryjówki, Profesor kazał wszystkim kłaść się i trochę przespać, zanim staniemy przed uwięzionym Epikiem. Rozkładając swoje posłanie, usłyszałem, jak rozmawia z Codym i Tią. Coś o wstrzyknięciu więźniowi środka uspokajającego, żeby był nieprzytomny.

— David? — odezwała się Tia. — Jesteś ranny. Powinam ci przyczepić wzmacniacz i...

— Będę żył — rzuciłem. Mogą leczyć mnie jutro, w tamtej chwili nie zależało mi na tym. Położyłem się na posłaniu, odwróciłem twarzą do ściany i wreszcie pozwoliłem łzom płynąć z całą mocą.



Jakieś szesnaście godzin później siedziałem na ziemi w nowej kryjówce i jadłem owsiankę z rodzynkami. Diody wzmacniacza błyskały na mojej nodze i boku. Większość dobrej żywności musieliśmy zostawić i polegać na zapasach zgromadzonych w nowym miejscu.

Pozostali Mściciele zostawili mnie w spokoju, co wydało mi się dziwne — wszyscy znali Megan dłużej niż ja. Nic szczególnego nas nie łączyło, nawet jeśli ostatnio była mi jakby przychylniejsza. Właściwie, jak się nad tym zastanowiłem, moja reakcja na jej śmierć była niemądra. Byłem po prostu zadurzonym chłopakiem. A jednak bolało. Bardzo.

— Hej, Profesorze — odezwał się Cody znad laptopa — powinieneś to zobaczyć, chłopie.

— Chłopie? — zdziwił się Profesor.

— Mam trochę krwi australijskiej — wyjaśnił Cody. — Mój pradziadek ze strony ojca był w jednej czwartej Australijczykiem. Se pomyślałem, że spróbuję.

— Dziwaczny z siebie człowieczek, Cody — skomentował Profesor. Był znów sobą, może trochę poważniejszy. Tak samo pozostali, nawet Cody. Strata towarzysza nie była miłym doświadczeniem, choć czułem, że dla nich to nic nowego.

Profesor przez chwilę wpatrywał się w ekran. Uniósł brew. Cody postukał w klawisze. I jeszcze raz.

— Co tam? — spytała Tia.

Cody odwrócił laptopa w naszą stronę. Nie mieliśmy krzeseł, siedzieliśmy na swoich posłaniach. Kryjówka była mniejsza od poprzedniej, ale mnie i tak wydawała się pusta. Było nas za mało.

Na niebieskim ekranie widać było duże, drukowane, czarne litery: WYBIERZ CZAS I MIEJSCE. PRZYBĘDĘ.

— To — wyjaśnił Cody — widzą ludzie na wszystkich stu kanałach rozrywkowych sieci Stalowego Serca. Wyświetla się na każdym zalogowanym telefonie i na każdym ekranie informacyjnym w mieście. Coś mi się zdaje, że udało nam się do niego dotrzeć.

— Dobre — uśmiechnął się Profesor. — Pozwala nam wybrać miejsce walki.

— Przeważnie tak robi — oznajmiłem, gapiąc się w owsiankę. — Pozwolił wybrać Faultline. Wysła wiadomość: miasto jest moje, jakiegokolwiek miejsce byś wybrał, ja i tak cię zabiję.

— Szkoda, że poruszam się po omacku — odezwała się Tia siedząca w kącie z tabletem. Ekran wyświetlał dane z podłączonej doń komórki. — Nie rozumiem. Skąd wiedzieli, że dobrałam się do ich systemu kamer? Jestem zablokowana ze wszystkich stron, nie widzę nic, co dzieje się w mieście.

— Wybierzemy miejsce, gdzie będziemy mogli zamontować nasze kamery — powiedział Profesor. — Nie będziesz poruszać się po omacku przy spotkaniu z nim, Tia. To...

Komórka Abrahama zapiszczała. Odebrał.

— Alarm ostrzega, że nasz więzień się rusza, Profesorze.

— Dobrze. — Profesor wstał i spojrzał w kierunku mniejszego pomieszczenia, gdzie znajdował się pojmany. — Cały dzień nie dawało mi to spokoju.

Odwrócił się i jego spojrzenie padło na mnie. Dostrzegłem w nim ślad poczucia winy. Profesor szybko mnie minął i zaczął wydawać rozkazy. Będziemy przesłuchiwać więźnia w skierowanym bezpośrednio na niego świetle. Cody ma stać za nim z rewolwerem przystawionym do głowy. Wszyscy mają włożyć kurtki. Dali mi zapasową, z czarnej skóry, numer albo dwa za

dużą.

Mściciele zabrali się za wykonywanie poleceń. Cody i Tia weszli do sąsiedniego pomieszczenia, Profesor za nimi. Włożyłem do ust jeszcze jedną łyżkę owsianki i dostrzegłem Abrahama, nadal w głównym pokoju. Podeszedł do mnie i przykląkł na jedno kolano.

— David, żyj — powiedział cicho. — Żyj swoim życiem.

— Przecież żyję — odburknąłem.

— Nie. Pozwalasz Stalowemu Sercu kraść twoje życie. On je kontroluje, na każdym kroku. Żyj swoim życiem. — Poklepał mnie po ramieniu, jakby to załatwiało sprawę, i kiwnął, żebym poszedł z nim do sąsiedniego pokoju. Westchnąłem, wstałem i ruszyłem za nim.

Więzień był przysadzistym starszym mężczyzną po sześćdziesiątce, łysiejącym, o ciemnej skórze. Kręcił głową, próbując zorientować się, gdzie jest, choć był zakneblowany i miał zasłonięte oczy. Przywiązany do krzesła w ogóle nie wyglądał na niebezpiecznego. Rzecz jasna, wielu „bezpiecznych” Epików mogło zabić prawie wyłącznie myślą. Conflux podobno nie posiadał takiej mocy, ale z drugiej strony, Fortuity miał nie dysponować podwyższoną zręcznością. Poza tym nie wiedzieliśmy nawet, czy ten tu był Confluxem. Rozważałem sytuację, co było dobre. Przynajmniej nie myślałem o niej.

Abraham skierował światło dużej latarki prosto na twarz więźnia. Wielu Epików potrzebowało wzroku, by móc użyć swych mocy przeciwko komuś, więc mieliśmy naprawdę dobry powód, by utrzymywać go w stanie dezorientacji. Profesor skinął na Cody ego, który zdjął więźniowi knebel i przepaskę z oczu, potem cofnął się o krok i wycelował w niego paskudnie wyglądający kaliber 357. Więzień zamrugał, oślepiiony, i rozejrzał się, kurcząc się na krześle.

— Kim jesteś? — spytał Profesor, stojąc poza światłem, żeby więzień nie widział jego twarzy.

— Edmund Sense — odparł więzień i dodał po chwili: — A ty?

— To nie ma dla ciebie znaczenia.

— Biorąc pod uwagę, że jestem uwięziony, powiedziałbym, że ma to dla mnie pierwszorzędne znaczenie — zaoponował Edmund. Miał przyjemny głos, z lekkim indyjskim akcentem. Był zdenerwowany, błędził wzrokiem we wszystkie strony.

— Jesteś Epikiem — powiedział Profesor.

— Tak — odparł Edmund. — Nazywają mnie Confluxem.

— Dowódca sił zbrojnych Stalowego Serca — skomentował Profesor. Reszta z nas milczała, jak nam polecono, aby mężczyzna nie zorientował się, ile osób jest w pokoju.

Edmund zachichotał.

— Dowódca? No, chyba możesz mnie tak nazwać. — Odchylił się, zamykając oczy. — Chociaż odpowiedniejsze byłoby słowo „serce” albo może tylko „bateria”.

— Dlaczego byłeś w bagażniku samochodu? — spytał Profesor.

— Bo mnie transportowano.

— I sądziłeś, że limuzyna może być zaatakowana, więc schowałeś się w bagażniku?

— Młody człowieku — odparł Edmund miłym tonem — gdybym chciał się schować, czy kazałbym się związać, zakneblować i dać sobie zasłonić oczy?

Profesor milczał.

— Chcesz dowodu, że jestem tym, za kogo się podaję — westchnął Edmund. — Wolałbym nie być do tego zmuszony. Macie tu jakieś urządzenie pozbawione energii? Bez żadnego zasilania?

Profesor spojrział w bok. Tia wyjęła z kieszeni małą latarkę. Profesor spróbował ją włączyć — bezskutecznie. Zawahał się. Wreszcie gestem nakazał nam wszystkim wyjść z pokoju. Cody został, trzymając Edmunda pod bronią, a pozostali zebrali się z Profesorem w

głównym pomieszczeniu.

— Może ją przeciążyć i spowodować wybuch — powiedział Profesor cicho.

— Ale będziemy potrzebować dowodu na to, kim jest — odparła Tia. — Jeśli potrafi naładować latarkę samym dotknięciem, to albo jest Confluxem, albo innym Epikiem o bardzo zbliżonych mocach.

— Albo kimś, kogo Conflux obdarował swymi mocami — dodałem.

— Na wykrywaczu rejestruje się jako potężny Epik — odezwał się Abraham. —

Wypróbowaliśmy to wcześniej na oficerach armii, którzy dostali moce od Confluxa, i ich nie rejestrował.

— A jeśli jest innym Epikiem? — zasugerowała Tia. — Może dostał moc od Confluxa, żeby nam pokazać, że umie naładować przedmioty energią, i żebyśmy myśleli, że jest Confluxem? Może udawać nieszkodliwego, uspić naszą czujność i wtedy zaatakować z całą siłą.

Profesor wolno pokręcił głową.

— Nie sądzę. To zbyt pogmatwane i zbyt niebezpieczne. Czemu mieliby myśleć, że zdecydujemy się porwać Confluxa?

Mogliśmy go przecież zabić na miejscu. Myślę, że on jest tym, za kogo się podaje.

— Ale czemu był w bagażniku? — przypomniał Abraham.

— Pewnie powie, jeśli go spytamy — stwierdziłem. — Jak dotąd nie sprawiał nam kłopotów.

— To mnie właśnie martwi — rzekła Tia. — Za łatwo to idzie.

— Łatwo? — odezwałem się. — Megan zginęła, żebyśmy mogli pojmać tego gościa.

Chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Profesor zerknął na mnie, stukając latarką o dłoń. Potaknął. Abraham przyniósł długi, drewniany kij, do którego przywiązaliśmy latarkę. Wróciliśmy do mniejszego pomieszczenia i Profesor wyciągnął kij tak, by latarka dotknęła policzka Edmunda. Żarówka natychmiast rozbłysła. Edmund ziewnął i spróbował usiąść wygodniej, mimo więzów. Profesor oddalił latarkę; świeciła nadal.

— Naładowałem wam baterię — odezwał się Edmund. — Może to skłoni was do tego, by dać mi coś do picia... ?

— Dwa lata temu — odezwałem się, podchodząc bliżej mimo poleceń Profesora — w lipcu, brałeś udział w dużym projekcie na zlecenie Stalowego Serca. Co to było?

— Nie mam specjalnie dobrej pamięci do dat... — zaczął mężczyzna.

— To powinno być łatwe do zapamiętania — odparłem. — Ludzie w mieście nie wiedzą o tym, ale coś dziwnego stało się wtedy z Confluxem.

— W lecie? Hmm... wtedy, kiedy mnie zabrali z miasta? — Edmund uśmiechnął się. — Tak, pamiętam słońce. Z jakiegoś powodu byłem mu potrzebny do naładowania paru czołgów bojowych.

Była to ofensywa przeciwko Dialasowi, Epikowi z Detroit, który rozżościł Stalowe Serce, odcinając niektóre linie zaopatrzeniowe. Rola Confluxa w tym przedsięwzięciu była ściśle tajna. Bardzo niewiele osób o tym wiedziało.

Profesor spojrział na mnie z ustami ściągniętymi w wąską kreskę. Zignorowałem go.

— Edmund — kontynuowałem — kiedy przyjechałeś do miasta?

— Wiosną roku czwartego AC — odpowiedział.

Cztery lata po Calamity. To był dla mnie rozstrzygający dowód. Większość ludzi zakładała, że Conflux sprzymierzył się ze Stalowym Sercem w 05 AC, kiedy armia zdobyła pierwsze jednostki zmechanizowane i wyłączenia prądu z 04 zaczęły się wreszcie stabilizować. Ale wewnętrzne źródła, starannie przeze mnie zbierane, twierdziły, że z początku Stalowe Serce

nie ufał Confluxowi i nie wykorzystywał go w ważnych projektach przez prawie rok.

Patrzyłem na tego mężczyznę i wiele informacji z moich notatek na temat Confluxa zaczynało nabierać sensu. Dlaczego nikt nigdy nie widział Confluxa? Dlaczego transportowano go w ten sposób? Po co ta cała otoczka, tajemnica? Nie chodziło tylko o kruchość Confluxa.

— Jesteś więźniem — stwierdziłem.

— Oczywiście, że jest — powiedział Profesor, ale to Conflux potaknął.

— Nie — zwróciłem się do Profesora. — On zawsze był więźniem. Stalowe Serce nie wykorzystuje go jako oficera, ale jako źródło mocy. Conflux nie dowodzi armią, on jest tylko...

— Baterią — odezwał się Edmund. — Niewolnikiem. W porządku, możesz to powiedzieć. Już się do tego przyzwyczyłem. Jestem cennym niewolnikiem, co w gruncie rzeczy jest pozycją do pozazdroszczenia. Pewnie niedługo znajdzie nas i wszystkich was zabije za to, że mnie uprowadziliście — wykrzywił się. — Bardzo mi przykro. Nienawidzę, kiedy ludzie walczą z mojego powodu.

— Cały ten czas... — wykrztusiłem. — A niech to!

Stalowe Serce nie mógł pozwolić, by ludzie dowiedzieli się, co robi z Confluxem. W Newcago Epicy byli niemal święci — im potężniejsi, tym więcej praw im przysługiwało. To była podstawa, na której opierał się rząd. Epicy egzystowali wedle porządku dziobania, bo wiedzieli, że nawet będąc na samym dole, są i tak o wiele wyżej od zwykłych ludzi. Ale tu mieliśmy Epika, który był niewolnikiem... niczym więcej jak elektrownią. To miało niewyobrażalne skutki dla wszystkich w Newcago. Stalowe Serce był kłamcą.

*Pewnie nie powinienem się tak dziwić* — pomyślałem. *To znaczy, po tym wszystkim, czego się dopuścił, to jest blahostka.* Ale jednak wydawało się to istotne. A może po prostu uczepliłem się pierwszej z brzegu rzeczy, która odciągała moją uwagę od Megan.

— Zamknij dopływ — powiedział Profesor.

— Słucham? — zdziwił się Edmund. — Dopływ czego?

— Jesteś obdarowującym — rzekł Profesor. — Epikiem przekazującym moc. Zamknij jej dopływ do ludzi, którym ją ofiarowałeś. Do zmechanizowanej broni, helikopterów, elektrowni. Chcę, żebyś odciął się od każdej osoby, której ofiarowałeś swoją moc.

— Jeśli to zrobię — odezwał się Edmund z wahaniem — Stalowe Serce nie będzie zadowolony, kiedy do niego wrócę.

— Możesz powiedzieć mu prawdę — powiedział Profesor, podnosząc broń i celując w krąg światła. — Jeśli cię zabiję, moc i tak zniknie. Nie boję się tego zrobić. Zamknij dopływ, Edmund. Potem będziemy dalej rozmawiać.

— Bardzo dobrze — zgodził się Edmund.

I w jednej chwili wyłączył całe Newcago.

— Tak właściwie to nie myślę o sobie jako o Epiku — wyznał Edmund, pochylając się do przodu w stronę stolika. Sporządziliśmy go naprędce z pudła i dykty i usiedliśmy na podłodze, by zjeść. — Zostałem pojmany i używany do dostarczania mocy zaledwie miesiąc po przemianie. Mój pierwszy właściciel nazywał się Bastion. Ten to był nieprzyjemny, kiedy się okazało, że nie mogę mu przekazać mocy, mówię wam.

— Jak sądzisz, czemu tak było? — spytałem, żując kawałek suszonego mięsa.

— Nie wiem — odrzekł Edmund, unosząc dłonie w górę.

Dużo gestykułował podczas mówienia i trzeba było uważać, żeby nie dostać przypadkiem ciosu ninja w ramię podczas jakiegoś szczególnie entuzjastycznego okrzyku na temat dobrego curry. To stanowiło całe niebezpieczeństwo ze strony Edmunda. Choć Cody był w pobliżu i nie rozstawał się z bronią, Edmund nie prowokował ani odrobinę. Właściwie był całkiem miły, poza chwilami, kiedy wspominał o naszej nieuniknionej i okrutnej śmierci z rąk Stalowego Serca.

— Zawsze ze mną tak było — ciągnął Edmund, celując we mnie łyżką. — Mogę przekazać moc tylko zwykłym ludziom i muszę ich w tym celu dotknąć. Nigdy nie udało mi się z Epikiem, chociaż próbowałem.

Profesor, niosący jakieś zapasy, zatrzymał się i odwrócił do Edmunda.

— Co powiedziałaś?

— Że nie mogę dawać mocy innym Epikom — powtórzył Edmund, wzruszając ramionami. — Tak to po prostu działa.

— Czy tak samo jest z innymi dawcami? — spytał Profesor.

— Nigdy żadnego nie spotkałem. Dawcy są rzadkością. Jeśli w mieście są jacyś poza mną, Stalowe Serce dopilnował, żebym się z żadnym nie zetknął. Nie martwił się, że nie może sam użyć moich mocy. Wystarczyło mu, że służę mu za akumulator.

Profesor wyglądał na zafrasowanego. Ruszył dalej, a Edmund spojrzał na mnie, unosząc brwi.

— O co chodziło?

— Nie wiem — odparłem tak samo zdziwiony.

— Tak czy inaczej, ciąg dalszy mojej historii... Bastion był niezadowolony, że nie mogę mu przekazać mocy, więc sprzedał mnie facetowi, który nazywał się Izolacja. Zawsze byłem zdania, że to głupie imię dla Epika.

— Nie tak jak El Brass Bullish Dude — skomentowałem.

— Żartujesz. Naprawdę jakiś Epik się tak nazywa?

— Z centralnego Los Angeles — potwierdziłem. — Już nie żyje, ale nie uwierzyłyś, jakie durne imiona większość z nich sobie wymyśla. Niezwykłe kosmiczne moce niekoniecznie idą w parze z wysokim ilorazem inteligencji... czy choćby z wyczuciem, co gdzie pasuje. Przypomnij mi, żebym ci kiedyś opowiedział o Różowej Różowości.

— To jeszcze nie brzmi najgorzej. — Edmund wyszczerzył zęby. — Właściwie jest takie... samoświadome. Ma w sobie uśmiech. Chciałbym spotkać Epika, który lubi się uśmiechać.

*Właśnie z jednym rozmawiam* — pomyślałem. Jeszcze nie całkiem się z tym pogodziłem.

— No ona się długo nie uśmiechała — powiedziałem. — Uważała, że to sprytne imię, a potem...

— Co?

— Spróbuj powiedzieć to szybko parę razy — zaproponowałem.

Poruszył wargami i szeroki uśmiech pojawił się na jego ustach.

— No, no, no...

W zaskoczeniu potrząsnąłem głową, nadal gryząc mięso. Co miałem myśleć o Edmundzie? Nie był bohaterem, jakiego poszukiwali tacy ludzie jak mój ojciec albo Abraham, zupełnie nie. Bładł, kiedy rozprawialiśmy o walce ze Stalowym Sercem; był tak nieśmiały, że nieraz prosił o pozwolenie, zanim wyraził jakąś opinię. Nie, to nie był bohaterski Epik, zrodzony do walki o prawa ludzi, ale to nie czyniło go mniej ważnym. Nigdy nie spotkałem, nie czytałem ani nawet nie usłyszałem historii o Epiku, który tak otwarcie przeciwstawiałby się stereotypowi. Nie było w nim cienia arogancji, nienawiści czy lekceważenia. To sprawiało, że nie mogłem się zdecydować. Część mnie myślała: *To tak to jest? Wreszcie spotkałem Epika, który nie chce mnie zabić ani uwięzić, który jest starym Hindusem o łagodnym głosie, lubiącym posłodzone mleko?*

— Straciłeś kogoś, prawda? — spytał Edmund.

Spojrzałem na niego ostro.

— Czemu pytasz?

— Dostrzegam twoje reakcje. I to, że wszyscy z twojej grupy zachowują się, jakby chcieli chodzić bezszelestnie po pogniecionej folii.

*Calamity, dobra metafora. Chodzić bezszelestnie po pogniecionej folii. Muszę to sobie zapamiętać.*

— Kim była? — pytał dalej Edmund.

— Kto powiedział, że to ona?

— Wyraz twojej twarzy, synu — odparł Edmund i uśmiechnął się.

Nie odpowiedziałem, głównie dlatego, że próbowałem odepchnąć strumień wspomnień przelatujący mi przez głowę. Megan gapiąca się na mnie wściekle. Megan uśmiechnięta. Megan śmiejąca się na kilka godzin przed śmiercią. *Idiota. Znałeś ją raptem parę tygodni.*

— Zabiłem żonę — odezwał się Edmund z roztargnieniem, odchylając się w tył i patrząc w sufit. — Przypadkiem. Puściłem prąd przez blat, kiedy próbowałem naładować mikrofalówkę. Głupota, co? Chciałem zjeść burrito, a było zamrożone. I dlatego Sara zginęła. — Postukał w stół. — Mam nadzieję, że twoja zginęła dla jakiejś większej sprawy.

*To będzie zależało — pomyślałem. Od tego, co zrobimy.*

Zostawiłem Edmunda przy stole i kiwnąłem na Cody'ego, stojącego pod ścianą i doskonale udającego, że nie udaje strażnika. Wszedłem do drugiego pomieszczenia, w którym Profesor, Tia i Abraham zgromadzili się przy tablecie Tii. Mało brakowało, a wyszedłbym szukać Megan, bo skoro wszyscy inni byli tutaj, ona musiała pilnować na zewnątrz. *Idiota.* Dołączyłem do grupy, patrząc ponad ramieniem Tii na powiększony ekran. Urządzenie działało dzięki jednej z baterii paliwowych, które ukradliśmy z elektrowni. Kiedy Edmund odłączył swoją moc, siadła cała sieć miasta, łącznie z drutami biegnącymi czasem przez stalowe katakumby. Pokazywało stary stalowy kompleks mieszkalny.

— Niedobrze — stwierdził Profesor, wskazując liczby z boku ekranu. — Budynek obok jest nadal zamieszkały. Nie chcemy ujawnić się z Epikiem, kiedy tak blisko są ludzie.

— A może przed jego pałacem? — podsunął Abraham. — Tego się nie będzie spodziewał.

— Nie sądzę, żeby spodziewał się czegoś konkretnego — zaproponowała Tia. — Zresztą Cody trochę pomyszkował w okolicy. Już rozpoczęły się rabunki, więc Stalowe Serce zwołał armię bliżej pałacu. Właściwie dysponuje tylko piechotą, ale to mu wystarczy, nie damy rady dostać się tam, żeby poczynić przygotowania. A musimy się przygotować, zanim staniemy z nim do walki.

— Poligon — powiedziałem cicho.

Zwrócili się w moją stronę.

— Patrzcie. — Pochyliłem się i przewinałem mapę miasta na ekranie. Urządzenie było strasznie prymitywne w porównaniu z ujęciami z kamer w czasie realnym, które mieliśmy kiedyś do dyspozycji. Ustawiłem widok na starszą, w większości opuszczoną część miasta.

— Stary stadion piłkarski — wyjaśniłem. — W okolicy nikt nie mieszka i nie ma tam czego kraść, więc będzie pusto. Możemy użyć tensorów, żeby się podkopać z jakiegoś punktu pod ulicą. To pozwoli nam przygotować się w spokoju i nie martwić się, że ktoś nas szpieguje.

— Otwarta przestrzeń. — Profesor potarł podbródek. — Wolałbym go dopaść w jakimś starym budynku, gdzie można go będzie rozkojarzyć i zaatakować z kilku stron naraz.

— To zadziała i tu — powiedziałem. — Prawie na pewno przyleci na środek Poligonu. Możemy umieścić snajpera w wyższych rzędach i zrobić kilka tuneli z drabinkami sznurowymi w nieoczekiwanych miejscach wiodących przez siedzenia w środku stadionu. Stalowe Serce i jego ludzie zajmą się tymi tunelami, a nie znają terenu. W zwykłym kompleksie mieszkaniowym szybciej się połapią.

Profesor przytaknął powoli.

— Jest jeszcze kwestia zasadnicza — przypomniała Tia. — Wszyscy o tym myślimy, więc równie dobrze możemy o tym porozmawiać.

— Słabość Stalowego Serca — powiedział cicho Abraham.

— Zanadto się koncentrujemy na skuteczności — stwierdziła Tia. — Jest namierzony i możemy go wywabić, aby zjawił się walczyć. Zrobimy zasadzkę doskonałą. Ale czy to ma w ogóle znaczenie?

— No więc — rzekł Profesor — słuchajcie dobrze. Są dwie możliwości. Możemy się teraz wycofać. To będzie katastrofa — wszyscy się dowiedzą, że próbowaliśmy go zabić i ponieśliśmy klęskę, co w efekcie przyniosłoby tyle samo złego, co zabicie go — dobrego. Ludzie zaczną myśleć, że Epicy faktycznie są niepokonani, że nawet my nie możemy zwyciężyć Stalowe Serce. Poza tym Stalowe Serce uczyniłby swoim punktem honoru osobiste odnalezienie nas. Ten typ nie poddaje się łatwo. Dokąd byśmy się nie udali, będziemy się musieli strzec i martwić. Ale możemy to zrobić. Nie znamy jego słabości — nie na sto procent. Może najlepiej jest wycofać się, kiedy jeszcze możemy.

— A jeśli nie? — spytał Cody.

— Kontynuujemy według planu — odparł Profesor. — Robimy wszystko, co w naszej mocy, by go zabić, wykorzystujemy każdy detal, wszystko, co David pamięta. Zastawiamy pułapkę na stadionie, z kombinacją tych wszystkich elementów, i zdajemy się na los. To będzie najbardziej niepewna akcja, w jakiej kiedykolwiek uczestniczyłem. Coś, jakaś jedna rzecz, może zadziałać, ale bardziej prawdopodobne jest, że nic nie zadziała i wtedy będziemy walczyć z jednym z najpotężniejszych Epików na świecie. Który prawdopodobnie nas zabije.

Wszyscy siedzieli w ciszy. *Nie. To przecież nie mogło się tak skończyć, prawda?*

— Chcę spróbować — odezwał się Cody. — David ma rację, od początku miał.

Podkradanie się, zabijanie przeciętnych Epików... w ten sposób nie zmienimy świata. Mamy szansę dobrać się do Stalowego Serca. Musimy przynajmniej spróbować.

Poczułem przyływ ulgi.

Abraham też był po naszej stronie.

— Lepiej tu zginąć i mieć chociaż szansę dorwać tego potwora, niż uciekać.

Tia i Profesor wymienili spojrzenia.

— Ty też chcesz to zrobić, prawda, Jon? — spytała Tia.

— Albo pokonamy go tutaj, albo koniec z Mścicielami — rzekł Profesor. — Przez resztę życia tylko byśmy uciekali. Wątpię, abym mógł spojrzeć sobie w oczy, gdybym uciekł. Nie po

tym wszystkim, co przeszliśmy.

Kiwnąłem głową.

— Musimy przynajmniej spróbować. Za Megan.

— Założę się, że dla niej byłaby to czysta ironia — zauważył Abraham. Spojrzeliśmy na niego. Wzruszył ramionami. — Nie chciała tego robić. Nie wiem, czy podobałoby się jej, że dedykujemy jej taki koniec.

— Wiesz, jak wpędzić ludzi w depresję, Abe — rzucił Profesor.

— Prawda nie wpędza w depresję — sprzeciwił się Abraham swoim głosem z lekkim akcentem. — Tylko kłamstwa, które udajesz, że akceptujesz.

— Powiedział człowiek, który nadal wierzy, że Epicy nas uratują — odparł Profesor.

— Panowie — przerwała Tia. — Dość tego, chyba wszyscy się zgadzamy. Spróbujemy, choć to nedorzeczne. Spróbujemy zabić Stalowe Serce, nie mając pojęcia o jego słabym punkcie.

Po kolei wszyscy przytaknęliśmy. Musieliśmy spróbować.

— Nie robię tego dla Megan — odezwałem się wreszcie. — Ale robię to, częściowo, z jej powodu. Jeśli musimy wystąpić i zginąć, żeby ludzie wiedzieli, że ktoś jeszcze walczy, niech tak będzie. Profesorze, powiedział pan, że martwi pana myśl, że nasza klęska przygnębi ludzi. Ja tego tak nie widzę. Poznają naszą historię i rozumieją, że może być inne wyjście niż podporządkowanie się Epikom. Być może nie zabijemy Stalowego Serca. Ale nawet jeśli nie, możemy stać się przyczyną jego śmierci. Kiedyś.

— Nie bądź taki pewny, że przegramy — powiedział Profesor. — Gdybym uważał, że to samobójcza misja, nie pozwoliłbym na jej kontynuację. Jak powiedziałem, nie zamierzam opierać naszych nadziei na pojedynczym przypuszczeniu. Spróbujemy wszystkiego. Tia, co ci podpowiada instynkt?

— Coś ze skrytki bankowej — odparła. — Jedna z tych rzeczy jest szczególna.

Chciałabym tylko wiedzieć która.

— Zabrałaś je ze starej kryjówki?

— Zabrałam te najbardziej niezwykle. Resztę upchałam w zewnętrznej odnodze, możemy po nie wrócić. O ile wiem, armia ich nie znalazła.

— Weźmiemy wszystko i porozkładamy tu. — Profesor wskazał stalową podłogę stadionu; niegdyś była tam ziemia. — David ma rację, Stalowe Serce prawdopodobnie wylądowało tutaj. Nie musimy wiedzieć, co dokładnie go osłabiło. Możemy po prostu wszystko tu przyciągnąć i wykorzystać.

— Dobry plan — zaaprobował Abraham.

— Jak sądzisz, co to jest? — zwrócił się do niego Profesor.

— Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że broń ojca Davida albo wystrzelone przez nią kule. Każda broń jest trochę inna. Może to ta konkretna kompozycja metali.

— To łatwo sprawdzić — powiedziałem. — Przyniosę pistolet i jak tylko nadarzy się okazja, strzelę do niego. Nie sądzę, żeby to zadziałało, ale chcę spróbować.

— Dobrze — zgodził się Profesor.

— A ty, Profesorze? — spytała Tia.

— Sądzę, że to dlatego, że ojciec Davida był jednym z Wiernych — odparł cicho Profesor. Nie patrzył na Abrahama. — To głupcy, ale uczciwi głupcy. Ludzie tacy jak Abraham widzą świat inaczej niż reszta. Może więc to sposób, w jaki ojciec Davida postrzegał Epików, pozwolił mu zranić Stalowe Serce.

Rozmyślałem nad tym, wciąż siedząc.

— No, strzelenie do niego nie powinno także mi sprawić większego kłopotu — powiedział Abraham. — Właściwie to wszyscy powinniśmy spróbować. Jak i wszystkiego



innego, co nam przyjdzie do głowy.

Popatrzyli na mnie.

— Ja bym był za krzyżowym ogniem — powiedziałem. — Myślę, że Stalowe Serce może zranić tylko ktoś, kto nie robi tego rozmyślnie.

— To już trudniejsze — stwierdziła Tia. — Jeśli się nie mylisz, to by prawdopodobnie nie zadziało, bo wszyscy przecież chcemy jego śmierci.

— Zgadza się — przytaknął Profesor. — Ale to dobra teoria. Musimy znaleźć sposób, żeby któryś z jego żołnierzy strzelił do niego nieumyślnie.

— Najpierw musi tam sprowadzić tych żołnierzy — zauważyła Tia. — Teraz, kiedy wie, że w mieście jest inny Epik, rywal, być może będą z nim tylko Władca Ciemności i Pożar.

— Nie — zaprotestowałem. — Przybędzie z żołnierzami. Limelight miał własne oddziały i Stalowe Serce nie przyleci nieprzygotowany, żołnierze będą mu potrzebni do zajęcia się wszystkim, co rozprasza uwagę. Poza tym będzie chciał zająć się Limelightem osobiście i będą mu potrzebni świadkowie.

— Też tak sędzę — zgodził się Profesor. — Żołnierze prawdopodobnie będą mieli rozkaz nie strzelać pierwsi. Będziemy mogli sprawić, by poczuli, że muszą zareagować.

— A więc będziemy musieli powstrzymać Stalowe Serce tak długo, aż rozpęta się porządny ogień krzyżowy — podsumował Abraham i zamilkł na chwilę. — A właściwie powstrzymać go podczas ognia krzyżowego. Jeśli założy, że to tylko żołnierska pułapka, odleci i zostawi armię, by się tym zajęła. — Abraham spojrzał na Profesora. — Limelight będzie musiał się pokazać.

— Wiem — pokiwał głową Profesor.

— Jon... — zaczęła Tia, dotykając jego ramienia.

— To musi być zrobione — odparł. — Musimy też znaleźć sposób na Władcę Ciemności i Pożara.

— Mówię wam — wtrąciłem się. — Pożar nie stanowi problemu. On...

— Wiem, że nie jest tym, na kogo wygląda, synu — rzekł Profesor. — Ale czy kiedykolwiek walczyłeś z iluzjonistą?

— Pewnie — odparłem. — Razem z Codym i Megan.

— Tamten był słaby — powiedział Profesor. — No, ale daje nam jakieś pojęcie, czego oczekiwać. Pożar będzie silniejszy. O wiele silniejszy. Niemal wolałbym, żeby był kolejnym ognistym Epikiem.

Tia przytaknęła.

— On powinien być priorytetem. Będziemy potrzebować jakiegoś kodu, w razie gdyby stworzył iluzje nas wszystkich, by nas zmylić. I będziemy musieli uważać na fałszywe ściany, fałszywych żołnierzy, takie rzeczy.

— Myślisz, że Władca Ciemności w ogóle się pojawi? — spytał Abraham. — Z tego, co słyszałem, mała sztuczka Davida z latarką pogoniła go jak królika na widok jastrzębia.

Profesor spojrzał na mnie i na Tię. Wzruszyłem ramionami.

— Może i nie — odparłem.

— Trudno go rozgryźć — zgodziła się Tia.

— Tak czy siak, musimy się na niego przygotować — powiedziałem. — Ale jeśli będzie się trzymał z dala, mnie to jak najbardziej odpowiada.

— Abraham — odezwał się Profesor — czy sądzisz, że mógłbyś stworzyć ultrafioletowy promień, albo dwa, używając dodatkowych baterii? Wszyscy też powinni być uzbrojeni w te latarki.

Zapadła cisza. Czulem, że wszyscy myślimy o tym samym. Mściciele lubili perfekcyjnie

zaplanowane operacje, przeprowadzane po tygodniach czy miesiącach przygotowań. A tu zamierzaliśmy podjąć próbę załatwienia jednego z najsilniejszych Epików, dysponując właściwie tylko latarkami i paroma innymi świecidełkami.

Musieliśmy to zrobić.

— Myślę — odezwała się Tia — że powinniśmy stworzyć dobry plan odwrotu. W razie gdyby nic z tego nie zadziało.

Profesor nie wyglądał na przekonanego. Był ponury; wiedział, że jeśli nic z naszych pomysłów nie okaże się skuteczne, mieliśmy niewielkie szanse przeżycia.

— Najlepszy byłby helikopter — powiedział Abraham. — Bez Confluxa armia jest uziemiona. Gdybyśmy użyli baterii albo gdyby on podładował nam helikopter...

— To byłoby dobre — zgodziła się Tia. — Ale i tak musielibyśmy się jakoś odłączyć.

— Wciąż pilnujemy Diamonda — odparł Abraham. — Moglibyśmy zgarnąć trochę jego materiałów wybuchowych...

— Zaraz — przerwałem, nie rozumiejąc. — Pilnujecie?

— Kazałem Abrahamowi i Cody'emu pochwytać go w wieczór waszego małego spotkania — odparł Profesor nieuważnie. — Nie mogłem zaryzykować, że wygada, co wie.

— Ale... mówiłeś, że on nigdy...

— Widział dziurę zrobioną przez tensory — rzekł Profesor — a w umyśle Władcy Ciemności byłeś z nim powiązany. Kiedy zobaczyliby cię podczas jakiegokolwiek operacji, natychmiast by go capnęli. I dla niego, i dla nas tak jest bezpieczniej.

— To... co z nim robicie?

— Karmimy obficie — odparł Profesor — i przekupujemy, żeby siedział cicho. Zamknięcie dość nim wstrząsnęło i chyba był szczęśliwy, że to my go zabraliśmy. — Profesor zawahał się. — Obiecałem, że pokażemy mu, jak działają tensory, pod warunkiem, że zostanie w jednej z naszych kryjówek, aż to wszystko się przewali.

Zaniepokojony oparłem się o ścianę. Profesor nie powiedział tego, ale wyczuwałem w tonie jego głosu, jaka jest prawda. Gdyby wiedza o działaniu tensorów rozeszła się, zmieniłoby to cały sposób działania Mścicieli. Nawet gdybyśmy pokonali Stalowe Serce, stracilibyśmy coś cennego — nie byłibyśmy już w stanie wkradać się nieoczekiwanie w różne miejsca. Wrogowie mogliby planować, obserwować, przygotowywać się.

To byłby koniec pewnej ery. Zdawało się, że nie mają do mnie pretensji, ale i tak czułem się trochę winny. Jakbym poczęstował gości na imprezie nieświeżym koktajlem z krewetek, po którym wszyscy rzygają równo przez tydzień.

— Tak czy inaczej — odezwał się Abraham, stukając w ekran tabletu Tii — możemy tensorami wykopać kawałek tu pod stadionem, zostawić kawałek stali i wpakować tam materiały wybuchowe. Gdybyśmy musieli zwiewać, wysadzimy to w powietrze, może zlikwidujemy paru żołnierzy i uciekniemy, korzystając z zamieszania i dymu.

— Zakładając, że Stalowe Serce nas nie dogoni i nie zestrzeli — dodał Profesor.

Zapadła cisza.

— Mówiłeś coś, że wpędzam ludzi w depresję? — przypomniał Abraham.

— Przepraszam — odparł Profesor. — Udawajmy, że powiedziałem coś obłudnego na temat prawdy.

Abraham uśmiechnął się.

— To może zadziałać — stwierdził Profesor. — Choć może powinniśmy spróbować wywołać jakąś fałszywą eksplozję, na przykład w jego pałacu, żeby go odciągnąć. Abraham, zajmij się tym. Tia, czy dasz radę wysłać wiadomość do Stalowego Serca z tej sieci tak, żeby cię nie namierzeli?

— Powinnam dać sobie radę — odparła.

— No to wyślij mu odpowiedź od Limeligha. Napisz: „Bądź gotowy trzeciej nocy. Gdy czas nadejdzie, poznasz miejsce”.

Potaknęła.

— Trzy dni? — odezwał się Abraham. — Niewiele czasu.

— Tak naprawdę nie mamy wiele przygotowań — rzekł Profesor. — A zresztą, dłużej byłoby zbyt podejrzane; pewnie spodziewa się, że zaatakujemy dziś w nocy. To musi wystarczyć.

Mściciele przytaknęli i rozpoczęliśmy przygotowania do ostatniej bitwy. Mój niepokój wzrastał. *Wreszcie będę miał szansę stanąć z nim twarzą w twarz.* Zabicie go wydawało się mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę nasz plan.

Ale miałem wreszcie szansę.

Wibracje przeszły mnie na wylot. Zdawało się, że cała moja dusza wibruje z nimi. Wciągnąłem powietrze, kształtując myślą dźwięk, i wyciągnąłem rękę, wysyłając muzykę. Muzykę, którą tylko ja mogłem słyszeć i kontrolować.

Otworzyłem oczy. Część tunelu przede mną rozpadła się w drobniutki pył. Miałem maskę, chociaż Profesor zapewniał mnie, że wdychanie tego pyłu nie jest tak szkodliwe, jak sądziłem. Na czole umocowałem jasno świecącą komórkę. Tunel w stali był wąski i ciasny, ale byłem sam i mogłem poruszać się swobodnie.

Jak zawsze, użycie tensora przypomniało mi Megan i ten dzień, kiedy przekradliśmy się do elektrowni. Szyb windy, gdzie podzieliła się ze mną rzeczami, którymi — tak wyglądało — nie dzieliła się z wieloma. Spytałem Abrahama, czy wiedział, że pochodziła z Portland. Był zaskoczony. Odparł, że nigdy nie mówiła o swojej przeszłości.

Nagarnąłem pyłu do wiadra i przeciągnąłem w dół tunelu, gdzie wysypałem zawartość. Powtórzyłem to kilka razy, po czym wróciłem do kopania tensorem. Pozostali usuwali resztę pyłu.

Przedłużyłem tunel o ponad metr i sprawdziłem postęp na komórce. Abraham zrobił trzy tunele powyżej tego, tworząc rodzaj systemu triangulacyjnego, co pozwoliło mi precyzyjnie kopać. Musiałem kierować się bardziej w prawo i pod kątem do góry. *Kiedy następnym razem będę robić pułapkę na potężnego Epika, wybiorę miejsce bliżej istniejących tuneli pod ulicami* — pomyślałem.

Reszta grupy zgadzała się z Abrahamem, że powinno się okablować miejsce materiałami wybuchowymi od spodu. Chcieli też, żeby kilka ukrytych tuneli prowadziło do góry po obwodzie. Wiedziałem, że przydadzą nam się one, kiedy staniemy do walki ze Stalowym Sercem, ale budowanie ich stawało się bardzo męczące. Niemal żałowałem, że ujawniłem swoje talenty do używania tensora. Niemal. Wciąż było to niesamowite, że mogłem przekopywać się rękami przez litą stal. Nie byłem tak dobrym hakerem jak Tia, nie umiałem badać terenu jak Cody ani naprawiać maszynierii jak Abraham. W ten sposób więc przynajmniej zasługiwałem na miejsce w zespole. *Rzecz jasna* — pomyślałem, unicestwiając kolejny kawałek ściany — *przy zdolnościach Profesora moje wyglądają jak kupka ryżu. I to surowego*. Właściwie byłem przydatny tylko dlatego, że on odmówił. To psuło poczucie satysfakcji.

Uniosłem dłoń, aby przywołać wibracje tensora, gdy przyszła mi do głowy pewna myśl. W jaki sposób Profesor wykonał to ostrze? Walnął w ścianę, tak? Spróbowałem powtórzyć ruch, uderzając pięścią w ścianę tunelu i kierując wybuch mentalnej energii do tensora. Ale nie pojawiło się żadne ostrze, tylko z zagłębienia wysypało się kilka garści pyłu i kawałek stali, przypominający pokrytą naroślami marchew.

*No, to już coś na początek, jak mi się zdaje.*

Schyliłem się, żeby podnieść przedmiot, i ujrzałem światło poruszające się w górę tunelu. Szybko kopnąłem marchew w kierunku kupki pyłu i zabrałem się do pracy. Wkrótce Profesor pojawił się za mną.

— Jak idzie?

— Jeszcze kawałek — odparłem. — Potem mogę wyryć zagłębienie na materiały wybuchowe.

— Dobrze — powiedział Profesor. — Postaraj się, żeby było długie i wąskie. Wybuch ma pójść do góry, nie tunelem.

Potaknąłem. Plan zakładał osłabienie „dachu” zagłębienia, znajdującego się tuż pod centralną częścią Poligону. Następnie zamierzaliśmy umieścić w nim materiały wybuchowe, Cody starannie zaspawa otwór i w ten sposób będziemy mogli posłać wybuch w pożądanym kierunku.

— Kontynuuj — powiedział Profesor. — Ja zajmę się usuwaniem pyłu.

Kiwnąłem głową, wdzięczny, że mogę skoncentrować się na tensorze. Należał do Cody'ego, który dał mi go, bo mój był nadal poszarpaną kupą złomu o bezmyślnych oczach zombie. Nie poprosiłem Profesora, by mi użyczył dwóch swoich. Nie wydawało mi się to roztropne.

Przez jakiś czas pracowaliśmy w ciszy — ja odrywając stal po kawałku, Profesor wywożąc pył. Znalazł marchewkowaty kawałek i spojrzał na mnie dziwnie. Miałem nadzieję, że w słabym świetle nie dostrzegł oblewającego mnie rumieńca.

Wreszcie moja komórka zapiszczała, dając sygnał, że zbliżam się do właściwej głębokości. Starannie wyryłem długi otwór na wysokości ramienia i zabrałem się za tworzenie niewielkiej przestrzeni na materiały wybuchowe w jego końcu.

Profesor wrócił z pustym wiadrem i spojrzał na moje dzieło. Sprawdził swoją komórkę, patrząc na sufit, i lekko popukał w metal małym młoteczką. Pokiwał głową do siebie, choć ja nie słyszałem żadnej różnicy w dźwięku.

— Profesorze — odezwałem się — jestem pewien, że te tensory zaprzeczają prawom fizyki.

— Co? Masz na myśli, że niszczenie litego metalu palcami nie jest normalne?

— Nie tylko to — odparłem. — Wydaje mi się, że jest mniej pyłu, niż powinno być. Jakoś tak osiada i zajmuje mniej miejsca niż przedtem stal, co byłoby możliwe tylko, gdyby miał większą gęstość, a tak przecież nie jest.

Profesor mruknął coś, napełniając kolejne wiadro.

— Nic, co wiąże się z Epikami, nie ma sensu — oceniłem, wygarniając ramionami pył z wykuwanej dziury. — Nawet ich moce. — Zawahałem się. — Szczególnie ich moce.

— To prawda — przyznał Profesor, napełniając wiadro. — Synu, jestem ci winien przeprosiny. Za moje zachowanie.

— Tia mi wyjaśniła — powiedziałem pospiesznie. — Powiedziała, że coś przydarzyło się panu w przeszłości. Jakaś historia z tensorami. Rozumiem, w porządku.

— Nie, nie w porządku. Ale tak, to ma związek z tym, co się dzieje, kiedy ich używam. Ja... no cóż, jest tak, jak powiedziała Tia. Wydarzenia z przeszłości. Przepraszam za swoje zachowanie. Nie można go usprawiedliwić, zwłaszcza biorąc pod uwagę, przez co ostatnio przeszedłeś.

— Nie było tak źle — powiedziałem. — To znaczy, to, co pan zrobił... — Reszta była straszna. Próbowalem nie myśleć o długim marszu z umierającą dziewczyną w ramionach. Umierającą dziewczyną, której nie uratowałem. Wróciłem do pracy. — Był pan niesamowity, Profesorze. Nie powinien pan używać tensorów tylko w walce ze Stalowym Sercem. Powinien używać ich cały czas. Niech pan pomyśli, co...

— PRZESTAŃ!

Zamarłem. Ton jego głosu był taki, że mrówki przebiegły mi po krzyżu. Profesor oddychał głęboko, zanurzony w stalowym pyłu. Miał zamknięte oczy.

— Synu, nie mów takich rzeczy. To nie jest dla mnie dobre. Proszę cię.

— W porządku — rzekłem ostrożnie.

— Po prostu... przyjmij moje przeprosiny, jeśli możesz.

— Oczywiście.

Profesor przytaknął i powrócił do pracy.

— Mogę o coś spytać? — zacząłem. — Nie wspomnę o... wie pan. W każdym razie nie bezpośrednio.

— No to pytaj.

— No więc, wynalazł pan te wszystkie rzeczy. Zdumiewające rzeczy. Wzmacniacz, kurtki... Z tego, co mówił Abraham, wynika, że miał je pan, kiedy tworzył pan Mścicieli.

— Tak było.

— Więc... może zrobi pan dla nas coś innego? Jakąś inną broń na Epików? To znaczy, sprzedaje pan wiedzę ludziom takim jak Diamond, a on odsprzedaje ją naukowcom, którzy pracują nad stworzeniem takich technologii. Zakładam, że jest pan tak samo dobry jak oni. To czemu sprzedaje pan wiedzę zamiast wykorzystać ją samemu?

Profesor pracował w ciszy przez kilka minut, a potem podszedł, by pomóc mi usunąć pył z tworzonego przeze mnie otworu.

— To dobre pytanie. Rozmawiałeś z Abrahamem albo Codym?

— Cody ciągle opowiada o demonach czy wrózkach, które, jego zdaniem, Irlandczycy skradli jego przodkom — skrzywiłem się. — Nie wiem, czy poważnie tak myśli.

— Nie — odparł Profesor. — Lubi po prostu obserwować reakcje ludzi na takie historie.

— Abraham uważa, że to dlatego, że nie ma pan teraz laboratorium, jak kiedyś. Bez odpowiedniego wyposażenia nie może tworzyć nowych technologii.

— Abraham to myślący człowiek. A jak ty sądzisz?

— Że jeśli umie pan znaleźć sposób na to, by kupić albo ukraść materiały wybuchowe, rowery, nawet helikoptery, kiedy są panu potrzebne, to umiałby pan też stworzyć sobie laboratorium. Powód musi być inny.

Profesor otrzepał rękę z pyłu i odwrócił się do mnie.

— No dobrze. Widzę, dokąd to zmierza. Możesz zadać jedno pytanie o moją przeszłość. — Zabrzmiało to, jakby miał to być prezent czy rodzaj... pokuty. Źle mnie potraktował, częściowo z powodu czegoś z jego przeszłości. Jako rekompensatę proponował kawałek tej przeszłości.

Nie byłem w ogóle przygotowany na taką propozycję. Co chciałem wiedzieć? Jak wymyślił tensory? Dlaczego nie chce ich używać? Wyglądało na to, że szykuje się na najgorsze.

*Nie chcę go do tego zmuszać* — pomyślałem. *Nie, to tkwi w nim zbyt głęboko.* Tak samo ja nie chciałbym, żeby ktoś na siłę kazał mi wracać do wspomnień o tym, co stało się Megan. Zdecydowałem się na coś łagodniejszego.

— Kim pan był? — spytałem. — Przed Calamity. Czym się pan zajmował?

— To jest twoje pytanie? — Profesor sprawiał wrażenie niezmiernie zaskoczonego.

— Tak.

— Na pewno chcesz wiedzieć?

Przytaknąłem.

— Uczyłem przedmiotów ścisłych w piątej klasie — powiedział Profesor.

Otworzyłem usta, żeby roześmiać się z dowcipu, ale coś w tonie jego głosu sprawiło, że się zawahałem.

— Naprawdę? — spytałem w końcu.

— Naprawdę. Jeden z Epików zniszczył szkołę. Ona... jeszcze wtedy działała. — Gapił się w ścianę. Emocje kotłowały się na jego twarzy, ale już zakładał maskę. A ja myślałem, że zadam mu niewinne pytanie.

— Ale tensory — mówiłem. — Wzmacniacz. Kiedyś musiał pan pracować w laboratorium, prawda?

— Nie — odparł. — Nie należą do mnie. Ludzie tylko sądzą, że ja je wynalazłem. Ale nie.

To wyznanie całkowicie mnie oszołomiło.

Profesor odwrócił się i podniósł wiadra.

— Dzieciaki w szkole też nazywały mnie Profesorem i przyłgnęło, chociaż nie jestem profesorem. Nie mam nawet żadnego stopnia naukowego. Zacząłem uczyć przedmiotów ścisłych przez przypadek. Uwielbiałem uczyć. Przynajmniej wtedy, kiedy jeszcze myślałem, że to wystarczy, żeby coś zmienić.

Ruszył w dół tunelu, zostawiając mnie z głową pełną myśli.

\*

— Gotowe. Możesz się odwrócić.

Odwróciłem się, poprawiając pakunek dyndający na moich plecach. Cody, balansujący na drabinie nade mną, zdjął maskę do spawania i otarł czoło wolną ręką. Minęło kilka godzin, odkąd wydrążyłem zagłębienie pod stadionem. Cody i ja przez ten czas ryliśmy mniejsze tunele i otwory, Cody również spawał miejsca, w których potrzebne było wzmocnienie.

Nasz najnowszy projekt przewidywał utworzenie centrum snajperów, w którym miałem się znajdować na początku starcia. Znajdowało się przed trzecim rzędem siedzeń po zachodniej stronie stadionu, wzdłuż linii długości czterdziestu pięciu metrów ponad szczytem pierwszego poziomu. Nie chcieliśmy, by było widoczne z góry, więc za pomocą tensora wyryłem przestrzeń pod podłogą, zostawiając jedynie centymetry metalu na wierzchu oraz wyciąłem dobre pół metra przy samym froncie, żebym miał gdzie wytknąć głowę i ramiona, i mógł umieścić broń w otworze w niskim murze z przodu.

Cody sięgnął do góry i poruszył metalową konstrukcją, którą dopiero co przyspawał do dna wydrążonej przeze mnie jamy. Pokiwał głową, najwyraźniej pewien, że utrzyma mnie podczas czekania. Podłoga w tym sektorze miejsc była zbyt cienka, by wyryć w niej zagłębienie wystarczająco głębokie, żeby się w nim ukryć, metalowa konstrukcja stanowiła nasze rozwiązanie problemu.

— Dokąd teraz? — spytałem Cody ego zląającego z drabiny. — Może zrobimy tę drogę ucieczki dalej na trzecim poziomie?

Cody przerzucił przez ramię swój ekwipunek spawacza, rozplątując kilka supłów.

— Abraham dzwonił. Powiedział, że zajmie się teraz tymi ultrafioletowymi światłami — rzekł. — Niedawno skończył upychać materiały wybuchowe, więc muszę tam teraz iść spawać. Możesz sam zrobić następną dziurę, pomogę ci zanieść drabinę. Dobra robota z tymi otworami, chłopcze.

— Teraz znowu chłopcze? — zdziwiłem się. — Nie: chłopie?

— Coś sobie właśnie uświadomiłem — oznajmił Cody, upuszczając drabinę i przechylając jej szczyt w bok. — O moich australijskich przodkach.

— Tak? — Podniosłem dół drabiny i ruszyłem za nim w głąb stadionu wzdłuż pierwszego rzędu siedzeń.

— Pochodzili ze Szkocji, więc jeśli chcę być naprawdę autentyczny, powinienem mówić australijskim ze szkockim akcentem.

Szliśmy w kompletnej ciemności. Przestrzeń pod siedzeniami stanowiła rodzaj wielkiego, wijącego się korytarza, czy bardziej hali. Niższy koniec planowanej drogi ucieczki znajdował się w jednej z toalet na jej końcu.

— Akcent australijsko-szkocki z domieszką tego z Tennessee, co? — zagadnąłem. — Ćwiczysz go?

— Kurde, nie — zaprzeczył Cody. — Nie jestem świrnięty, chłopcze. Tylko trochę ekscentryczny.

Uśmiechnąłem się i odwróciłem głowę w stronę pola.

— Spróbujemy na poważnie, nie?

— A jak! Założyłem się z Abrahamem o dwadzieścia dolców, że wygramy.

— Tylko że... Trudno w to uwierzyć. Dziesięć lat planowałem ten dzień, Cody. Więcej niż pół mojego życia. I nadszedł. Nie tak go sobie wyobrażałem, ale... jest.

— Powinieneś być dumny. Mściciele działają ponad pół dekady. Żadnych zmian, żadnych faktycznych zaskoczeń, dużego ryzyka. — Podrapał się w lewe ucho. — Często zastanawiałem się, czy nie gnuśniejemy. Nie miałem dobrych argumentów, żeby przeforsować zmiany. Musiał nami trochę potrząsnąć ktoś z zewnątrz.

— Zaatakowanie Stalowego Serca to „trochę potrząsnąć”?

— No, nie namówiłeś nas na nic naprawdę szalonego. Na przykład, żeby ukraść cołą Tii.

Postawiliśmy drabinę przed toaletą i Cody poszedł sprawdzić ładunki wybuchowe w przeciwległej ścianie. Zamierzaliśmy wykorzystać je do odciążenia uwagi — Abraham miał je wysadzić w razie potrzeby. Po chwili wyciągnąłem jeden z przypominających gumki zapalników.

— Może umieszczę tam jeden z nich — zasugerowałem. — W razie gdybyśmy potrzebowali drugiej osoby do odpalenia.

Cody spojrział, trąc podbródek. Wiedział, o czym mówię. Druga osoba do odpalenia potrzebna byłaby tylko wtedy, gdyby Abraham zginął. Nie chciałem o tym myśleć, ale po Megan... Wszyscy wydawali się teraz o wiele bardziej krusi niż kiedyś.

— Wiesz co — powiedział Cody, biorąc zapalnik — tak naprawdę to chciałbym, żeby zapasowe były na ładunkach pod stadionem. One są najważniejsze, będą zabezpieczać naszą ucieczkę.

— Tak, tak sędzę — zgodziłem się.

— Nie masz nic przeciwko, żebym upchał je tam przed zaspawaniem?

— Nie, jeśli Profesor się zgodzi.

— On lubi mieć zapas, nawet w nadmiarze — powiedział Cody, wsuwając zapalnik do kieszeni. — Miej ten swój ołówek pod ręką. I nie wciśnij przez przypadek.

Powlókł się z powrotem w stronę tunelu pod stadionem, a ja wstawiłem drabinę do toalety i zabrałem się do pracy.

\*

Wyrzuciłem pięść w powietrze i uchyliłem się przed spadającym stalowym pyłem. *A więc tak to zrobił* — pomyślałem, zginając palce. Nie opanowałem sztuczki z mieczem, ale byłem coraz lepszy w unicestwianiu rzeczy ruchem pięści. Musiało to mieć coś wspólnego z opanowaniem fal dźwiękowych tensora tak, że podążały za ruchem ręki, tworząc wokół niej coś w rodzaju koperty. Jeśli zrobiło się to prawidłowo, fala szła razem z pięścią, otaczając ją jakby dymem. Uśmiechnąłem się, potrząsając pięścią. Wreszcie załapałem. I dobrze. Kości palców porządnie mnie już bolały.

Dokończyłem słabszym uderzeniem tensora, sięgając ze szczytu drabiny, by ukształtować dziurę. Przez otwór widziałem czarne niebo. *Chciałbym jeszcze kiedyś zobaczyć słońce* — pomyślałem. Na razie w górze była tylko ciemność. Ciemność i Calamity, płonąca w oddali tuż nad głową, jak straszliwe czerwone oko.

Wylazłem po drabinie na górny trzeci rząd. Nagle uderzyło mnie surrealistyczne wspomnienie. Niedaleko stąd siedziałem kiedyś podczas meczu. Ojciec skrupulatnie zbierał i oszczędzał, żeby kupić nam bilety. Nie pamiętałem, której drużynie kibicowaliśmy, ale



pamiętałem smak hot doga, którego mi kupił. I to, jak krzyczał z entuzjazmem.

Przygarbiłem się na wszelki wypadek. Szpiegujące drony Stalowego Serca pewnie nie działały, skoro miasto było pozbawione prądu, ale mógł wysłać ludzi, by przeczesał je w poszukiwaniu Limelighta. Rozsądnie było jak najmniej rzucać się w oczy. Z plecaka wyłowilem linę, przywiązałem do nogi jednego ze stalowych siedzeń i ześlizgnąłem się z powrotem po drabinie do toalety pod drugim poziomem. Ewentualna ucieczka byłaby szybsza w ten sposób. Ukryłem drabinę i pusty plecak w jednej z przegródek i wyszedłem w stronę siedzeń. Abraham czekał na mnie, opierając się o wejście na niższy poziom. Skrzyżował muskularne ramiona i wyglądał na zamyślonego.

— Podłączyłeś światła ultrafioletowe? — upewniłem się.

Przytaknął.

— Świetnie byłoby użyć lamp stadionowych.

— Chciałbym to zobaczyć — zaśmiałem się. — Zapalić światła, których żarówki zmieniły się w stal i stopiły z gniazdkami.

Staliśmy tam przez chwilę, patrząc na pole bitwy. Sprawdziłem telefon. Było wcześniej rano; zamierzaliśmy wezwać Stalowe Serce na piątą. Mieliśmy nadzieję, że jego żołnierze będą wyczerpani całonocnym zabezpieczaniem miasta przed rabowaniem bez pojazdów i zbroi siłowych. Zresztą Mściciele i tak zwykle działali nocą.

— Piętnaście minut do planowego początku akcji — zauważyłem. — Czy Cody skończył spawanie? Profesor i Tia wrócili?

— Cody skończył i idzie na swoje stanowisko — odparł Abraham. — Profesor zaraz będzie. Udało się im zdobyć helikopter, a Edmund przekazał Tii moc, by go uruchomiła. Poleciała poza miasto i tam zaparkowała, żeby nie zdradzać naszego położenia.

Gdyby poszło źle, Tia miała przylecieć z powrotem i zgarnąć nas przed eksplozją. Mieliśmy też wypuścić zasłonę dymną, aby osłonić ucieczkę. Jednak zgadzałem się z Profesorem. Stalowego Serca nie można było pokonać większą ilością broni czy ucieczką w helikopterze. To była gra w otwarte karty. Albo go tu pokonamy, albo zginiemy.

Komórka błysnęła i usłyszałem głos.

— Już jestem — powiedział Profesor. — Tia też gotowa. — Zawahał się na moment. — Zróbmy to.

Mój posterunek znajdował się dokładnie przed frontem trzeciego poziomu, więc gdybym wstał, mógłbym patrzeć w dół na najniższy rząd siedzeń. Skurczony w zaimprovizowanym wgłębieniu nie widziałem ich jednak, choć miałem dobry widok na stadion. Byłem wystarczająco wysoko, by widzieć, co dzieje się wokół, a zarazem mogłem dostać się niżej, gdybym musiał strzelić do Stalowego Serca z broni ojca. Tunel z liną na końcu poziomu pozwoliłby mi szybko się przemieścić. W takiej sytuacji próbowałbym dostać się niżej i zaskoczyć go. Co prawda, przypominałoby to skradanie się za lwem z pistoletem na wodę.

Kuliłem się, czekając w miejscu. Miałem tensor na lewej ręce, prawą ściskając pistolet. Cody dał mi zapasowy karabin, który na razie leżał obok.

Race rozbłysły wysoko w powietrzu. Z czterech stanowisk wokół szczytu stadionu trysnęły fontanny iskier. Nie wiem, gdzie Abraham znalazł zielone fajerwerki, ale sygnał był niewątpliwie łatwy do dostrzeżenia i czytelny.

To była ta chwila. Czy faktycznie przyjdzie?

Fajerwerki powoli gasły.

Mam coś — odezwał się Abraham w naszych słuchawkach, z lekkim francuskim akcentem nie na te sylaby, co trzeba. Siedział na najwyższej pozycji snajperskiej, podczas gdy Cody zajmował najniższą. Cody był lepszym strzelcem, ale Abraham musiał znajdować się dalej, poza polem walki. Do niego należało zdalne włączenie reflektorów albo wysadzenie strategicznych ładunków. — Tak, nadchodzą. Konwój ciężarówek armii. Ani śladu Stalowego Serca, póki co.

Schowałem broń ojca i sięgnąłem po karabin. Był zbyt nowy. Broń powinna być wysłużona, dobrze pasująca do ręki. Znajoma. Tylko wtedy wiesz, że możesz na nią liczyć. Wiesz, jak strzela, kiedy może się zaciąć, jak dokładnie celujesz. Spluwy, jak buty, są najgorsze, kiedy są całkiem nowe. Jednak nie mogłem polegać na pistolecie. Z bronią tego typu miałem problem trafić cokolwiek mniejszego niż pociąg towarowy. Gdybym chciał zaryzykować, musiałbym zbliżyć się do Stalowego Serca, a zdecydowaliśmy, że Abraham i Cody najpierw wypróbują inne pomysły, zanim do tego dojdzie.

— Podjeżdżają do stadionu — usłyszałem głos Abrahama. — Straciłem ich z oczu.

— Widzę ich, Abraham — odezwała się Tia. — Szósta kamera.

Tia w helikopterze napędzanym energią przekazaną jej przez Edmunda znajdowała się wprawdzie poza miastem, ale stamtąd monitorowała rząd kamer, które ustawiliśmy w celu przeszukiwania okolicy i zapisu walki.

— Widzę — zaraportował Abraham. — Tak, oskrzydłają stadion. Myślałem, że od razu wejdą, ale nie.

— Dobrze — powiedział Cody. — Łatwiej będzie z krzyżowym ogniem.

*Jeśli Stalowe Serce w ogóle się pojawi* — pomyślałem. Przejmowało mnie to nadzieją i lękiem. Jeśli nie przyjdzie, będzie to oznaczało, że nie uważał Limelighta za zagrożenie — wtedy łatwiej będzie Mścicielom uciec z miasta. Operacja się nie powiedzie, ale nie dlatego, że nie próbowaliśmy. Niemal chciałem, żeby tak się stało.

Jeśli zaś Stalowe Serce pojawi się i zabije nas wszystkich, krew Mścicieli będzie na moich rękach, bo to ja ich tu sprowadziłem. Jakiś czas temu nie przejmowałbym się tym, ale teraz czułem to aż gdzieś głęboko w trzewiach. Zerknąłem w kierunku pola rozgrywek, ale nic nie widziałem. Rzuciłem okiem za siebie, w stronę wyższych rzędów, i dostrzegłem jakby ruch w

ciemności — błysk czegoś złotego.

— Słuchajcie — szepnąłem — chyba kogoś widziałem na górze.

— Niemożliwe — sprzeciwiła się Tia. — Obserwuję wszystkie wejścia.

— Mówię wam, coś widziałem.

— Kamera czternasta... piętnasta... David, nikogo tam nie ma.

— Spokojnie, synu — odezwał się Profesor. Był ukryty w tunelu, który wykopaliśmy pod stadionem, i miał wyjść tylko w razie pojawienia się Stalowego Serca. Zdecydowaliśmy, że odpalenia ładunków na dole spróbujemy tylko wtedy, gdy nie uda się go zabić w żaden inny sposób.

Profesor miał na sobie sensory. Czuję, że ma nadzieję, iż nie będzie musiał ich użyć.

Czekaliśmy. Tia i Abraham przyciszonymi głosami informowali na bieżąco o ruchach armii. Oddziały naziemne otoczyły stadion, zabezpieczyły wszystkie znane im wyjścia i powoli zaczęły wchodzić. Umieścili pozycje strzeleckie w kilku punktach, ale nie namierzyli nikogo z nas, stadion był za duży, a my zbyt dobrze ukryci. Można było utworzyć wiele ciekawych kryjówek, ryjąc tunele w miejscach, w których w powszechnym przekonaniu ryc się nie dało.

— Podłącz mnie do głośników — poprosił cicho Profesor.

— Zrobione — odparł Abraham.

— Nie przybyłem tu, by rozgniać robaki! — zaryczał głos Profesora, wzmocniony przez ustawione przez nas głośniki. — To ma być odwaga potężnego Stalowego Serca? Te ludziki z kapiszonami, żeby mnie zirytować? Gdzie jesteś, Imperatorze Newcago? Tak się mnie boisz?

Na stadionie zapadła cisza.

— Widzisz, jak żołnierze się rozstawiają? — usłyszałem Abrahama. — To dobrze przemyślane, żeby żaden nie dostał od innego. Będzie trudno schwytać Stalowe Serce w krzyżowy ogień.

Cały czas oglądałem się przez ramię, ale nic już nie poruszało się w rzędach za mną.

— Aha — odezwał się cicho Abraham. — Zdziałało. Nadchodzi. Widzę go na niebie.

— Wreszcie, dzieciaki — gwizdnęła cicho Tia. — Czas na prawdziwą imprezkę.

Czekałem, unosząc karabin i patrząc w niebo. Wreszcie zobaczyłem zbliżający się punkcik światła. Stopniowo przekształcał się w trzy postacie kierujące się ku środkowi stadionu. Władca Ciemności unosił się bezkształtnie w powietrzu. Obok wylądował Pożar — humanoidalny kształt, płonący jaskrawym światłem, które widziałem nawet pod zamkniętymi powiekami. I Stalowe Serce między nimi. Wstrzymałem oddech i zamilkłem.

Niewiele się zmienił od czasu, gdy dekadę temu zniszczył bank. Miał ten sam arogancki wyraz twarzy i perfekcyjnie ułożone włosy ze śladami siwizny. Takie samo nieludzko wytrenowane i umięśnione ciało, spowite w czarno-srebrną pelerynę. Jego pięści lśniły bladożółto i unosiły się z nich strużki dymu. Epicy starzeli się dużo wolniej niż zwykli ludzie, ale jednak starzeli się.

Wokół Stalowego Serca wirował wiatr, podnosząc pył, który zebrał się na srebrzystej ziemi. Stwierdziłem, że nie mogę odwrócić wzroku od mordercy mojego ojca. Wreszcie tu był.

Wydawało się, że nie dostrzega śmieci z podziemi banku, które rozrzuiliśmy dokoła, pomieszane z innymi odpadkami, żeby zamaskować nasze działania. Choć były tak blisko niego, jak wtedy, gdy był w banku.

Mój palec zdrzął na spuście karabinu — nawet nie zdawałem sobie sprawy, że go tam położyłem. Starannie odsunąłem palec. Chciałem zobaczyć Stalowe Serce martwego, ale nie musiałem być tym, który go zabije. Powiniennem pozostać w ukryciu i strzelić do niego z pistoletu, a na to był w tej chwili za daleko. Jeśli strzelę teraz i spudłuję, ujawnię się.

— To chyba ja zaczynam imprezkę — odezwał się cicho Cody. Miał strzelać pierwszy, żeby sprawdzić pomysł z zawartością podziemnej komory bo z jego stanowiska było najłatwiej się wycofać.

— Potwierdzam — powiedział Profesor. — Strzelaj, Cody.

— No dobra, frajerze — mruknął cicho Cody do Stalowego Serca. — Zobaczymy, czy warto tu było ciągnąć cały ten syf...

Huknął strzał.

W celowniku zobaczyłem zbliżenie twarzy Stalowego Serca. Mógłbym przysiąc, że wyraźnie widziałem, jak kula trafiła go w głowę, mierzwiąc włosy. Cody strzelił celnie, ale pocisk nawet nie drasnął skóry. Stalowe Serce nie mrugnął okiem.

Armia zareagowała natychmiast. Żołnierze, wrzeszcząc, starali się namierzyć miejsce, z którego padł strzał. Zignorowałem ich, koncentrując się na Stalowym Sercu. Tylko on się liczył.

Padło więcej strzałów; Cody chciał się upewnić, że trafił.

Calamity — skomentował — nie widziałem, jak strzelam. Ale jeden na pewno trafił.

— Ktoś może potwierdzić? — spytał Profesor w napięciu.

Potwierdzam, trafiony — odparłem, patrząc w celownik. — Ale nie zadziałał.

Usłyszałem, jak Tia klnie pod nosem.

Cody, rusz się — nakazał Abraham. — Odkryli twoją pozycję.

Faza druga — usłyszałem zdenerwowany, lecz zdecydowany głos Profesora.

Stalowe Serce odwrócił się niedbale — jego ręce lśniły — i rozejrzał się po stadionie jak król wizytujący swe włości. Fazę drugą miał zacząć Abraham, wysadzając kilka ładunków w celu odwrócenia uwagi i rozpoczęcia krzyżowego ognia. Ja miałem przekraść się do przodu z pistoletem i zająć pozycję. Jak najdłużej chcieliśmy utrzymać w tajemnicy stanowisko Abrahama, żeby mógł wywoływać kolejne eksplozje powodujące przemieszczanie się oficerów armii.

Abraham — odezwał się Profesor — weź te...

— Władca Ciemności idzie! — przerwała Tia. — I Pożar!

Zmusiłem się do oderwania wzroku od celownika. Pożar był smugą płonącego światła, zmierzającą ku jednemu z wejść do hali. Władca Ciemności wznosił się ku górze. Lecił dokładnie w kierunku mojej kryjówki.

*Nieosiągalne* — pomyślałem. *On nie może...*

Armia zaczęła strzelać z przygotowanych stanowisk, ale nie w kierunku, gdzie znajdował się Cody. Przez chwilę nie rozumiałem — do momentu, w którym eksplodował pierwszy ukryty ultrafioletowy reflektor.

— Mają nas! — krzyknąłem, cofając się. — Strzelają do reflektorów!

— Calamity! — zareagowała Tia. Reflektory eksplodowały po kolei, trafiane przez żołnierzy. — Nie mogli namierzyć wszystkich!

— Coś tu nie gra — zdecydował Abraham. — Wysadzam pierwszy zestaw.

Stadion zatrzęsł się. Przerzuciłem karabin przez ramię i wylazłem z zagłębienia. Biegiem ruszyłem na górę schodami między rzędami siedzeń. Strzelanina na dole była niczym w porównaniu z tym, czego doświadczyłem kilka dni temu w korytarzach.

— Władca Ciemności leci do ciebie, David! — ostrzegła Tia. — Wiedzieli, gdzie jesteś. Musieli obserwować to miejsce.

— To bez sensu — zaproponował Profesor. — Przecież powstrzymaliby nas wcześniej?

— Co robi Stalowe Serce? — spytał Cody, oddychając ciężko podczas biegu.

Prawie go nie słuchałem. Gnałem ku awaryjnemu otworowi powyżej. Cienie siedzeń wokół mnie rozciągały się. Macki rosły jak wydłużające się palce. W środku tego wszystkiego coś rozbryznęło się wzdłuż schodów przede mną. Posypały się iskry.

— Strzelec armii! — krzyknęła Tia. — Namierza cię, David.

— Mam go — oznajmił Abraham. Nie byłem w stanie rozróżnić jego strzału na tle

ogólnego hałasu, ale nie słyszałem już strzałów za sobą. Abraham jednak mógł się właśnie ujawnić.

*Calamity!* — pomyślałem. Wszystko naprawdę szybko zmierzało ku Calamity. Znalazłem linę i zacząłem szarpać się z latarką. Te cienie były żywe — i zbliżały się. Zapaliłem światło, likwidując cienie wokół otworu, chwyciłem linę jedną ręką i zjechałem na dół. Na szczęście ultrafioletowe światło działało na cienie Władcy Ciemności tak jak na niego samego.

— Nadal jest za tobą — usłyszałem Cię. — On...

— Co? — spytałem w napięciu, trzymając linę dłonią w tensorowej rękawicy i oplatając ją stopami, by złagodzić upadek. Minąłem otwartą przestrzeń między drugim a trzecim rzędem siedzeń. Moja dłoń była rozgrzana tarcie, ale Profesor zapewniał, że rękawica tensorowa wytrzyma i się nie rozedrze.

Opuściłem się przez otwór na drugim poziomie i przez sufit toalety. Wylądowałem w kompletnie ciemnej hali. Swego czasu zewnętrzna część była ze szkła, ale teraz, oczywiście, wszystko zastąpiła stal, więc stadion wydawał się ciasny jak jakiś magazyn.

Nadal dochodziły do mnie słabe echa strzałów odbijające się od ścian. Moja latarka świeciła głównie promieniami ultrafioletowymi przez nałożony filtr, ale lśniła też słabym, bladym błękitem.

— Władca Ciemności wylądował między rzędami — szepnęła Tia. — Nie widzę go. Pewnie zrobił to, żeby ukryć się przed kamerami.

*Czyli nie tylko my posłużyliśmy się tym trikiem* — pomyślałem. Serce waliło mi w piersi. Znajdzie mnie. Miał powód, by się mścić — wiedział, że to ja odkryłem jego słabą stronę.

Niespokojnie poświeciłem latarką. Władca Ciemności miał lada chwila zaatakować. Wiedział jednak, że dysponuję ultrafioletowym światłem. *Miejmy nadzieję, że będzie ostrożny.* Wyciągnąłem pistolet ojca. W drugiej ręce trzymałem latarkę, karabin przewiesiłem przez ramię. *Muszę iść dalej. Jeśli uda mi się go wyprzedzić, może go zgubię.* Zrobiliśmy przecież tunele w toaletach, biurach, przebieralniach.

Latarka świeciła bardzo słabo, ale wystarczająco — byłem przyzwyczajony do poruszania się pod ziemią. W jej świetle białe przedmioty lśniły widmową poświatą. Martwiłem się, że to może mnie zdradzić. Może ją zgasić i poruszać się na wycucie?

Nie. To światło było moją jedyną bronią przeciwko Władcy Ciemności. Nie mogłem poruszać się po omacku, gdy za mną był Epik, mogący zadusić mnie cieniami. Skradałem się grobowo czarnym korytarzem. Musiałem...

Nagle wrosłem w ziemię. Co było w cieniach przede mną? Zwróciłem latarkę w tamtą stronę. Oświetliła porzucane fragmenty odpadków pozostałych po Wielkiej Transferii, kilka ruchomych podpórek, plakaty na ścianie. Trochę świeżych śmieci, upiornie jaśniejących bielą. Co ja...

Światło padło na kobietę stojącą nieruchomo przede mną. Piękne włosy, o których wiedziałem, że byłyby koloru blond w normalnym oświetleniu. Niemal zbyt idealna twarz, obwiedziona błękitem ultrafioletowego promienia, jak wyrzeźbiona w lodzie przez mistrza. Zaokrąglenia i pełne wargi, duże oczy. Oczy, które znałem.

Megan.

Zanim zdążyłem zrobić coś więcej, niż otworzyć usta, cienie wokół mnie zaczęły się wić. Uchyliłem się przed mackami dżgającymi powietrze. Wydawało się, że Władca Ciemności mógł ożywić cienie, ale tak naprawdę rozlewał czarną mgłę wypełniającą ciemność. To było to, co kontrolował. Wybrał większą liczbę macek zamiast precyzyjniejszej kontroli nad mniejszą — prawdopodobnie dlatego, że robiło to groźniejsze wrażenie. W ten sposób było mu trudniej, mógł właściwie tylko chwytać, ścisnąć i dźgać. Ciemność otaczająca mnie formowała się we włócznie żądne mojej krwi.

Zanurkowałem między nimi, przetaczając się po ziemi, by uniknąć zmasowanego ataku. Na stalowej podłodze nie było to miłe doświadczenie. Kiedy wstałem, poczułem piekący ból w biodrze. Przeskoczyłem nad kilkoma stalowymi barierkami, zlany potem, świecąc latarką na podejrzaną cienie. Nie mogłem obracać się we wszystkich kierunkach jednocześnie, a musiałem być w ruchu, żeby uniknąć tych za moimi plecami. Prawie nie słyszałem głosów pozostałych Mścicieli w słuchawkach, zbyt byłem zajęty ratowaniem własnej skóry. Wyglądało na to, że zapanował chaos. Profesor ujawnił się, by przyciągnąć uwagę Stalowego Serca; Abrahama namierzili, kiedy strzelał, ratując mi życie. Obydwaj z Codym uciekali, walcząc z żołnierzami armii.

Wybuch wstrząsnął stadionem. Jego odgłos przetoczył się korytarzem i spłynął po mnie jak ciepła cola. Rzuciłem się nad ostatnią metalową barierką, cały czas gorączkowo machając zapaloną latarką, żeby trzymać włócznie ciemności na dystans. Megan już nie było tam, gdzie przedtem stała. Prawie uwierzyłem, że była tylko wytworem wyobraźni. Prawie.

*Nie dam rady dłużej* — pomyślałem. Czarna włócznia trafiła moją kurtkę i została odepchnięta przez pole ochronne. Przez rękaw poczułem cios, a diody na kurtce zaczęły błyskać. To ubranie wydawało się dużo słabsze niż noszone przeze mnie poprzednio. Może to był prototyp.

Następna włócznia rozdarła materiał i rozcięła skórę. Zakląłem, kierując latarkę w stronę kolejnej plamy atramentowej, oleistej ciemności. Jeśli nie zmienię taktyki, Władca Ciemności wkrótce będzie mnie miał. Musiałem walczyć sprytniej. *Władca Ciemności musi mnie widzieć, żeby te włócznie działały* — pomyślałem. Musiał więc być w pobliżu — ale korytarz wydawał się pusty.

Potknąłem się i to uratowało mnie przed kolejną włócznią, która niemal ścięła mi głowę. *Idiota* — pomyślałem. On przecież przenika przez ściany, nie musi stać tam, gdzie go widać. Wystarczyło, żeby trochę się wychylił. Musiałem tylko...

*Jest!* — pomyślałem, widząc czoło i oczy w przeciwległej ścianie. W gruncie rzeczy wyglądał dość głupio, jak dzieciak w basenie, który myśli, że go nie widać, bo większość jego ciała jest pod wodą. Skierowałem na niego światło i jednocześnie oddałem strzał. Niestety, latarkę trzymałem w prawej ręce, co oznaczało, że strzelałem lewą. Wspominałem chyba coś o pistoletach i ich celności?

Strzał chybił, i to porządnie. Łatwiej by nim było zestrzelić ptaka przelatującego nad stadionem, niż trafić Władcę Ciemności. Ale latarka zadziałała. Nie byłem pewien, co się stanie, jeśli jego moce zanikną w chwili przenikania przez obiekt; niestety, nie zabiłem go — jego twarz gwałtownie znikła za ścianą, jakby znów stał się cielesny. Nie wiedziałem, co jest po tamtej stronie — znajdowała się naprzeciwko boiska. Czy w takim razie był na zewnątrz? Nie miałem czasu, żeby oglądać mapę w telefonie, więc pobiegłem do najbliższego wejścia. Wykopaliśmy

tam tunel wijący się pod podłogą. Miałem nadzieję, że jeśli zdołam się przemieścić, Władca Ciemności na zewnątrz będzie miał problem z ponownym namierzeniem mnie.

Wpełzłem do tunelu.

— Słuchajcie — szepnąłem do komórki. — Widziałem Megan.

— Co takiego? — spytała Tia.

— Widziałem Megan. Ona żyje.

— David — odezwał się Abraham. — Ona nie żyje. Wszyscy o tym wiemy.

— Mówię wam, że ją widziałem.

— To Pożar — rzekła Tia. — Próbuje w ten sposób cię dostać.

Czołgałem się dalej, ogarnięty ostrym, mdlącym uczuciem. Oczywiście — iluzja. Ale... coś z nią było nie tak.

— Nie wiem — zaoponowałem. — Jej oczy... były prawdziwe. Nie sądzę, żeby iluzja mogła być tak drobiazgowa. Tak bliska rzeczywistości.

— Iluzjoniści niewiele byliby warci, gdyby nie umieli stworzyć realistycznych marionetek — powiedziała Tia. — Muszą... Abraham, nie w lewo! W drugą stronę. Właściwie, jeśli możesz, rzuć granat.

— Dzięki — odparł, dysząc lekko. Usłyszałem eksplozję, powtórzoną przez jego mikrofon. Dalsza część stadionu zadrżała. — Przy okazji, faza trzecia nie wyszła. Strzeliłem do Stalowego Serca zaraz po tym, jak mnie namierzili, ale bezskutecznie.

Faza trzecia była teorią Profesora, że Wierny może zranić Stalowe Serce. Jeśli pociski Abrahama odbiłyby się od niego, oznaczałoby to, że teoria była błędna. Wtedy mielibyśmy jeszcze tylko dwie opcje. Pierwsza — mój pomysł na ogień krzyżowy. I druga — że broń i pociski mojego ojca posiadały jakieś specjalne właściwości.

— Jak trzyma się Profesor? — spytał Abraham.

— Trzyma się — odparła Tia.

— Walczy ze Stalowym Sercem — wtrącił Cody. — Niewiele widziałem, ale... Calamity! Wyłączam się na chwilę, są tuż za mną.

Skuliłem się w wąskim tunelu, próbując rozeznąć, co się dzieje. Cały czas słyszałem strzelaninę i od czasu do czasu wybuchy.

— Profesor stara się odciągnąć uwagę Stalowego Serca — wyjaśniła Tia. — Ale nadal żadnych potwierdzonych wiadomości o krzyżowym ogniu.

— Próbujemy — powiedział Abraham. — Ściągnę następną grupę żołnierzy za sobą do korytarza i potem Cody ich sprowokuje, żeby strzelali do niego przez boisko. Może zadziała. David, gdzie jesteś? Może będę musiał wysadzić jakieś ładunki, żeby pozbyć się żołnierzy za osłoną po twojej stronie.

— W drugim tunelu — odpowiedziałem. — Wyjdę na parterze przy niedźwiedziu i stamtąd skieruję się na zachód.

Niedźwiedź był wielkim, wypchanym zwierzęciem z czasów jakiejś sezonowej promocji, unieruchomionym tu jak wszystko inne.

— Rozumiem — potwierdził Abraham.

— David — odezwała się Tia. — Jeśli widziałeś iluzję, to znaczy, że obydwaj, Pożar i Władca Ciemności, skupili się na tobie. Z jednej strony to dobrze, zastanawialiśmy się, gdzie się podział Pożar. Dla ciebie to oczywiście źle, będziesz musiał radzić sobie z dwoma potężnymi Epikami.

— Mówię ci, to nie była iluzja — upierałem się, klnąc w duchu na niewygodę związaną z koniecznością radzenia sobie z karabinem i latarką. Z kieszeni wyłowiłem taśmę przemysłową. Ojciec mi radził, abym zawsze miał ją przy sobie i z wiekiem byłem coraz bardziej zdumiony,



jak przydatna była to rada. — Tia, ona była prawdziwa.

— David, zastanów się. Jak niby miałyby się tu dostać?

— Nie wiem. Może oni... zrobili coś, żeby ją przywrócić do życia...

— Spaliliśmy wszystko w tamtej kryjówce. Została skremowana.

— Może zostało DNA — zasugerowałem. — Może mają Epika, który umie ożywiać ludzi czy coś.

— David, paradoks Durkona. Za bardzo drążysz.

Przylepiłem latarkę taśmą do lufy karabinu, dość nisko, bym mógł korzystać z celownika. Karabin był przez to chwiejny i niestabilny, ale i tak lepszy niż broń ręczna. Schowałem pistolet do kabury pod pachą.

Paradoks Durkona pochodził od nazwiska uczonego, który we wczesnych latach istnienia Epików prowadził nad nimi badania. Zwrócił uwagę na fakt, że jeśli Epiccy mogli łamać ogólnie znane prawa fizyki, absolutnie wszystko było możliwe — ale przestrzegł też przed przypisywaniem wszystkich, niewielkich nawet, nieregularności mocom Epików. Ten kierunek w myśleniu rzadko dawał odpowiedzi.

— Słyszałeś kiedykolwiek o Epiku, który byłby w stanie przywrócić kogoś do życia? — kontynuowała Tia.

— Nie — przyznałem. Niektórzy umieli uzdrawiać, ale nie wskrzeszać.

— I to przecież ty mówiłeś, że prawdopodobnie mamy do czynienia z iluzjonistą.

— Tak. Ale skąd by wiedzieli, jak Megan wyglądała? Dlaczego nie użyliby Cody'ego albo Abrahama, żeby mnie zbić z tropu, kogoś, o kim wiedzieli, że jest tutaj?

— Mieli ją na nagraniu z akcji z Contfluxem — powiedziała Tia. — Używają iluzji, żeby cię rozproszyć.

Władca Ciemności niemal mnie dostał, kiedy gapiłem się na obraz Megan.

— Miałaś rację co do Pożara — ciągnęła Tia. — Gdy tylko zniknął z oczu oficerom armii, zniknął też z mojego podglądu wideo. To była iluzja, stworzona do rozproszenia naszej uwagi. Prawdziwy Pożar jest kimś innym. David, próbują to rozegrać przeciw tobie, żeby Władca Ciemności mógł cię zabić. Musisz to zaakceptować. Złudzenia przesłaniają ci rzeczywistość.

Miała rację. Calamity, miała rację. Zatrzymałem się w tunelu, oddychając powoli, zmuszając się do przyjęcia bolesnej prawdy. Megan nie żyła, a oddziały Stalowego Serca igrały ze mną. To mnie zezłościło. Nie, to wprawiło mnie w furję.

Powstawał też inny problem. Dlaczego zaryzykowali odsłonięcie Pożara? Jego zniknięcie, kiedy mogli przypuszczać, że miejsce jest pod naszą obserwacją? Użycie iluzji Megan? To wszystko objawiało prawdziwą naturę Pożara.

Przeszedł mnie dreszcz. Oni wiedzieli. Wiedzieli, że się na nich szykujemy, więc nie musieli niczego udawać. *Wiedzieli też, gdzie rozmieściliśmy ultrafioletowe reflektory* — pomyślałem — *i gdzie niektórzy z nas są ukryci*. Działo się coś dziwnego.

— Tia, sądzę...

— Idioci, przestańcie paplać — rozległ się szorstki, zirytowany głos Profesora. — Muszę się skoncentrować.

— W porządku, Jon — odezwała się Tia łagodnie. — Dobrze sobie radzisz.

— Ba! Idioci. Wy wszyscy.

*Używa tensorów* — domyśliłem się. *Jakby zmienił się w innego człowieka*.

Nie było czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Miałem tylko nadzieję, że wszyscy pożyjemy wystarczająco długo, żeby Profesor zdołał nas przeprosić. Wyczołgałem się z tunelu za wysokimi stalowymi skrzyniami, w których przechowywano sprzęt, i karabinem z przymocowaną na nim latarką omiotłem korytarz.

Tylko szczęśliwy traf uchronił mnie przed uderzeniem. Wydawało mi się, że widzę coś w oddali, i rzuciłem się w tym kierunku, próbując lepiej oświetlić miejsce. Zaatakowały mnie trzy czarne włócznie. Jedna rozcięła materiał kurtki i zarysowała linię na moich plecach. Centymetr i przecięłaby mi kręgosłup. Wciągnąłem powietrze, wykonując szybki obrót. Władca Ciemności stał niedaleko, w olbrzymiej jak jaskinia sali. Strzeliłem, ale nic się nie stało. Zakląłem, podchodząc z karabinem przyłożonym do ramienia i latarką na nim, śląc ultrafioletowe światło. Władca uśmiechnął się szatańsko, kiedy posłałem mu kulę prosto w twarz. Nic. Ultrafiolet nie działał. Zastygłem w miejscu spanikowany. Czy myliłem się co do jego słabego punktu? Przecież przedtem zadziało. Dlaczego...

Obróciłem się błyskawicznie, w ostatniej chwili zatrzymując kilka włóchni. Światło rozproszyło je natychmiast, gdy na nie padło — czyli działało. Co więc się działo?

*Iluzja* — domyśliłem się, czując się jak głupek. *Frajer. Ile razy dam się na to nabrać?* Omiotłem światłem ściany. Oczywiście, z jednej z nich wpatrywał się we mnie Władca Ciemności. Wycofał się, zanim zdążyłem wycelować, i zapanowała znów nieruchoma ciemność.

Czekałem, zlany potem, skoncentrowany na tym jednym punkcie. Może wyjrzy jeszcze raz. Fałszywy Władca po mojej prawej stronie zdawał się trwać niewzruszenie. Pożar był gdzieś w tym pomieszczeniu. Niewidzialny. Mógł mnie kropnąć. Dlaczego tego nie zrobił?

Władca Ciemności wychylił się ze ściany. Strzeliłem, ale zniknął w ułamku sekundy i pocisk odbił się rykoszetem. Zdecydowałem, że zamierza podejść mnie z innej strony i rzuciłem się do biegu. Biegając, pchnąłem fałszywego Władcę karabinem. Tak jak przypuszczałem, broń przeszła na wylot i widmo zachwiało się jak obraz rzucony na ścianę.

Usłyszałem wybuchy. I przekleństwa Abrahama.

— Co? — spytała Tia.

— Krzyżowy ogień nie działa — odezwał się Cody. — Udało nam się, duża grupa żołnierzy strzelała do siebie nawzajem w tym dymie, nie wiedząc, że Stalowe Serce stoi w środku.

— Co najmniej dwanaście kul go trafiło — dodał Abraham. — Ta teoria też nie działa. Powtarzam, przypadkowe trafienia nie robią mu krzywdy.

*Calamity!* — pomyślałem. A byłem tak pewny tej teorii. Zgrzytnąłem zębami, wciąż biegnąc. *Nie uda nam się go zabić. To wszystko bez sensu.*

— Obawiam się, że muszę to potwierdzić — powiedział Cody. — Widziałem, jak trafiają go pociski. Nawet nie mrugnął. — Przerwał na chwilę. — Profesorze, nieźla z ciebie maszynka. Tak sobie pomyślałem, że to powiem.

Profesor tylko chrząknął w odpowiedzi.

— David, jak ci idzie z Władcą Ciemności? — spytała Tia. — Musisz aktywować fazę czwartą. Strzel do Stalowego Serca z broni ojca. Tylko to nam zostało.

— Jak mi idzie z Władcą Ciemności? — powtórzyłem. — Marnie. Wyjdę, jak tylko mi się uda.

Biegłem dalej dużą, otwartą halą pod siedzeniami stadionu. Może sprawy się poprawią, kiedy wyjdę. Tu było za dużo kryjówek.

*Czekał na mnie, kiedy wyszedłem z tunelu* — pomyślałem. *Musieli słyszeć nasze rozmowy. Stąd tyle wiedzieli o naszych początkowych pozycjach.*

To, rzecz jasna, było niemożliwe. Sygnały komórkowe nie dawały się zhakować, Knighthawk Foundry zadbała o to. Poza tym Mściciele mieli własną sieć.

Chyba że...

Komórka Megan. Wciąż była w naszej sieci. Czy wspomniałem w ogóle Profesorowi i reszcie, że zgubiła ją przy upadku? Zakładałem, że się rozbiła, ale jeśli nie...

*Podsluchiwali nasze przygotowania* — myślałem. *Czy mówiliśmy przez telefon, że Limelight nie istnieje?* Gorączkowo starałem się przypomnieć sobie rozmowy z ostatnich trzech dni, ale bezskutecznie. Może o tym wspominaliśmy, a może nie. Mściciele wiele rzeczy owijali w bawełnę podczas rozmów w sieci, dla dodatkowego bezpieczeństwa.

Dalsze spekulacje zostały przerwane przez postać, która pojawiła się przede mną w korytarzu. Zwolniłem z karabinem na ramieniu. Czego Pożar zamierza teraz spróbować?

Kolejny obraz Megan stojącej w dżinsach i obcisłej, czerwonej zapinanej koszuli — ale bez kurtki Mścicieli — ze złotymi włosami zebranymi w sięgający ramię kucyk. Ostrożnie, żeby Władca Ciemności nie mógł zaatakować mnie z tyłu, minąłem iluzję. Patrzyła na mnie nieruchomym wzrokiem, ale nie uczyniła żadnego ruchu.

Jak mogłem znaleźć Pożara? Prawdopodobnie jest niewidzialny. Nie byłem pewien, czy posiada taką moc, ale byłoby to logiczne. Przez głowę przemknęły mi możliwe sposoby ujawnienia niewidzialnego Epika. Albo słuchać, gdzie się porusza, albo rozpylić coś w powietrzu. Mąkę, kurz, pył... może użyć tensora w jakiś sposób? Pot ściekał mi po czole. Nienawidziłem świadomości, że ktoś mnie obserwuje, a ja go nie widzę.

Co robić? Mój oryginalny plan miał polegać na ujawnieniu Pożarowi, że znam jego sekret, żeby się wystraszył, jak Władca Ciemności podczas akcji z Confluxem. Ale to by teraz nie zadziało. Wiedział, że się na niego szykujemy. Mściciele musieli umrzeć, żeby jego tajemnica była bezpieczna. *Calamity, Calamity, Calamity!*

Iluzja Megan odwróciła głowę, patrząc na mnie, gdy próbowałem obserwować wszystkie kąty pomieszczenia i nasłuchiwać jednocześnie. Zmarszczyła czoło.

— Znam cię — oznajmiła.

To był jej głos. Zadrzałem. *Potężny Epik umie tworzyć dźwięki wraz z obrazami* — powtarzałem sobie. *Wiem, że tak jest. Żadna niespodzianka.*

Ale to był jej głos. Skąd Pożar znał jej głos?

— Tak... — powiedziała, idąc ku mnie. — Znam cię. Coś z... z kolanami. — Zwężyła oczy. — Powinam cię teraz zabić.

*Kłęczka.* Skąd Pożar mógłby o tym wiedzieć? Czy Megan nazywała mnie tak przez telefon? Przecież wtedy chyba nie podsluchiwali, prawda?

Zawahałem się z wycelowanym w nią karabinem. Iluzja? Czy Megan? Władca Ciemności nadejdzie. Nie mogłem tak tu stać, ale też nie byłem w stanie uciekać.

Szła w moją stronę. Na jej twarzy malowała się arogancka mina, jakby cały świat należał do niej. Megan czasem się tak zachowywała, ale to było coś więcej. Nosiła się z większą pewnością siebie, choć wykrzywiała usta, jakby w niepewności.

Musiałem wiedzieć. *Musiałem.*

Opuściłem karabin i rzuciłem się w przód. Zareagowała, ale za wolno. Zdołałem chwycić jej ramię.

Było prawdziwe.

Chwilę później korytarz eksplodował.

Zakaszlałem, turlając się po ziemi. W uszach mi dzwoniło, dookoła płonęły kawałki odpadków. Potrząsnąłem głową, mrugając, żeby pozbyć się powidoków pod powiekami.

— Co to było? — zachrypiałem.

— David? — odezwał się Abraham w moim uchu.

— Wybuch — jęknąłem, próbując wstać. Rozejrzałem się wokół. Megan. Gdzie się podziała? Nie mogłem jej dostrzec.

Była prawdziwa. Dotknąłem jej. To przecież znaczy, że nie mogła być iluzją? Czy już traciłem rozum?

— Calamity! — krzyknął Abraham. — Myślałem, że jesteś po drugiej stronie hali. Powiedziałaś, że idziesz na zachód.

— Uciekałem przed Władcą Ciemności — odparłem. — W złą stronę. Frajer ze mnie, Abraham. Przepraszam.

Karabin. Łóżysko wystawało z pobliskiej kupy gruzu. Wyciągnąłem je; reszty karabinu nie było. *Calamity!* — pomyślałem. *Jakoś słabo mi to wszystko ostatnio idzie.*

Znalazłem pozostałe części w pobliżu. Mogły działać, ale bez łożyska musiałbym strzelać z biodra. Latarka jednak wciąż tkwiła tam, przymocowana, i działała, więc zebrałem wszystko do kupy.

— W jakim jesteś stanie? — spytała Tia spiętym głosem.

— Trochę oszołomiony, ale w porządku — odparłem. — Byłem na tyle daleko, że tylko dostałem odrzutem.

— W tych korytarzach wstrząsy się wzmocnią — powiedział Abraham. — Calamity, Tia. Tracimy kontrolę nad sytuacją.

— Do cholery z wami! — odezwał się wściekły głos Profesora. — David ma natychmiast tu przyjść. I przynieść tę broń!

— Idę ci pomóc, chłopcze — powiedział Cody. — Zostań, gdzie jesteś.

Uderzyła mnie nagła myśl. Jeśli Stalowe Serce i jego ludzie rzeczywiście podsłuchiwali na naszych prywatnych liniach, mógłbym to wykorzystać.

Chęć sprawdzenia pomysłu walczyła z chęcią szukania Megan. Co, jeśli jest ranna? Musiała gdzieś tu być, w tych gruzach, których przybyło w korytarzu. Musiałem sprawdzić, czy...

Nie, nie mogłem pozwolić znów dać się nabrać. Może to Pożar przybrał twarz Megan, żeby mnie dezorientować.

— Dobra — odpowiedziałem Cody'emu. — Wiesz, gdzie są toalety przy czwartym stanowisku bombowym? Schowam się tam do twojego przyjscia.

— Rozumiem — potwierdził Cody.

Ruszyłem biegiem, z nadzieją, że Władca Ciemności — gdziekolwiek się znajdował — został oszołomiony wybuchem. Zbliżyłem się do toalet, o których wspomniałem Cody'emu, ale nie wszedłem do środka. Zamiast tego wyszukałem miejsce i wybiłem tensorem dość głęboką dziurę w ziemi. Tu mogłem się względnie dobrze ukryć, a zarazem mieć dobry widok na resztę korytarza wraz z toaletami. Zakopałem się w niej według wskazówek Profesora, przysypując się pyłem. Przełączyłem telefon na tryb cichy i wsunąłem swoje pół karabinu pod powierzchnię pyłu, by ukryć światło latarki.

Obserwowałem drzwi do toalety. W korytarzu, oświetlonym tylko płonącymi strzępkami,

panowała cisza.

— Jest tam kto? — rozległ się głos. — Jestem... jestem ranna.

Zesztywniałem. To była Megan.

*To trik. Na pewno.*

Wpatrywałem się w ciemne pomieszczenie. Po drugiej stronie korytarza zobaczyłem ramię uwięzione w stercie powybuchowego gruzu i kawałków stali. Ramię zadrgało i krew spłynęła po nadgarstku. Przyjrzawszy się lepiej, spostrzegłem w cieniu jej twarz i tułów. Wyglądało na to, że straciła przytomność podczas wybuchu i dopiero zaczynała dochodzić do siebie. Była uwięziona i ranna. Musiałem wyjść i jej pomóc! Już się prawie poruszyłem, ale zmusiłem się do pozostania w dziurze.

— Proszę — usłyszałem ją. — Proszę mi pomóc. Ktokolwiek?

Nie drgnąłem.

— Och, Calamity, to moja krew? — zaczęła się szarpać. — Nie mogę poruszać nogami.

Zacisnąłem oczy. Jak oni to robili? Nie wiedziałem, czemu ufać.

*To sprawka Pożara. Ona nie jest prawdziwa.*

Otworzyłem oczy. Władca Ciemności podnosił się z ziemi przed toaletą. Wyglądał na skonfundowanego, jakby szukał mnie tam w środku. Potrząsnął głową i ruszył korytarzem, rozglądając się wokół. Czy to naprawdę on, czy iluzja? Czy cokolwiek było naprawdę?

Stadion zatrzęsł się, szarpnięty kolejnym wybuchem, ale strzelanina na zewnątrz cichła. Musiałem szybko coś zrobić, inaczej Cody wpakuje się na Władcę Ciemności.

Władca zatrzymał się na środku korytarza i skrzyżował ramiona. Jego zwykły spokój zastąpił wyraz irytacji. Wreszcie przemówił:

— Jesteś tu gdzieś, prawda?

Czy odważę się strzelić? A co, jeśli jest iluzją? Jeśli się odkryję, prawdziwy Władca Ciemności może mnie zabić. Odwróciłem się ostrożnie, badając ściany i podłogę. Zobaczyłem tylko ciemność pełną wśród cieni, macki poruszające się jak nieufne zwierzę, szukające pożywienia. Węszące.

Gdyby Pożar naprawdę wcielił się w Megan, zastrzelenie jej rozwiałoby iluzję. Miałbym już wtedy do czynienia tylko z prawdziwym Władcą Ciemności, gdziekolwiek by był. Ale istniało ryzyko, że Megan była pełną iluzją. Calamity, nawet zwisające belki mogły być iluzją. Czy odległy wybuch rzeczywiście narobiłby tu aż takich szkód?

A jeśli to był Pożar, który przybrał jej twarz — tak, że dotykając jej, czuję coś namacalnego? Uniosłem broń ojca i wycelowałem w jej zakrwawioną twarz. Zawahałem się, serce waliło mi jak szalone. Władca Ciemności na pewno je słyszał. Ja w każdym razie nie słyszałem nic innego. Jak daleko się posunę, by dopaść Stalowe Serce? Zastrzelę Megan?

*Ona nie jest prawdziwa. Nie może być.*

*A jeśli jest?*

Bicie serca jak grzmot.

Wstrzymany oddech.

Pot na czole.

Wyskoczyłem z ukrycia, unosząc karabin ze świecącą latarką w lewej ręce, a pistolet w prawej. Nacisnąłem spust w obydwóch.

Strzelając do Władcy Ciemności, nie do Megan.

Trafiony promieniem światła, obrócił się w moją stronę z rozszerzonymi oczami. Kule przeszły go na wylot. W panice otworzył usta, a z jego pleców trysnęła krew. Z jego prawdziwych pleców. Upadł, znów stając się przezroczysty, gdy przestał na niego świecić ultrafioletowy promień. Kiedy dotknął ziemi, zaczął w nią wsiąkać. Ale tylko do połowy. Zamarł

z otwartymi ustami i krwią płynącą z piersi. Powoli stawał się ciałem stałym — wyglądało to jak stabilizujący się widok z kamery — do połowy wtopionym w stalową podłogę.

Odwróciłem się, usłyszawszy szcęknięcie. Megan stała, trzymając w ręku broń. Ręczny P226, jaki zawsze preferowała. Jej kopia, uwięziona przez rumowisko, znikła w mgnieniu oka. Podobnie jak belki.

— Nigdy go nie lubiłam — powiedziała Megan obojętnie, spoglądając na martwe ciało Władcy Ciemności. — Zrobiłeś mi przysługę. Wiarygodna zaprzeczalność i tak dalej.

Spojrzałem jej w oczy. Znałem je. Znałem. Nie wiem, jak to się działo, ale to była ona.  
*Nigdy go nie lubiłam...*

— Calamity — wyszeptalem. — Ty jesteś Pożarem, prawda? Zawsze byłaś.

Nie odezwała się, ale jej spojrzenie powędrowało w dół, ku mojej broni — karabinowi wciąż przy biodrze i pistoletowi w drugiej ręce. Jej oko zadrzało.

— Pożar nie był mężczyzną — przemówiłem. — Był... była kobietą.

Czułem, jak rozszerzają mi się oczy.

— Tego dnia w szybie windy, kiedy strażnicy niemal nas dopadli... niczego tam nie zobaczyli. Stworzyłaś iluzję.

Wciąż wpatrywała się w moją broń.

— A potem, na motorach — ciągnąłem — stworzyłaś iluzję, że Abraham jedzie z nami, żeby zmylić śledzących nas ludzi. Żeby prawdziwy Abraham mógł bezpiecznie uciec. Widziałem to za nami, kiedy się odłączył.

Dlaczego patrzyła na moją broń?

— Ale wykrywacz — mówiłem dalej — sprawdził cię i stwierdził, że nie jesteś Epikiem. Nie... czekaj. Iluzje. Mogłaś sprawić, że wyświetlał, co chciałaś. Stalowe Serce musiał wiedzieć, że Mściciele zmierzają do miasta. Wysłał cię, żebyś się wkradła między nich. Byłaś najnowszym członkiem Mścicieli przede mną. Nigdy nie chciałaś atakować Stalowego Serca. Mówiłaś, że wierzysz w jego rządy.

Oblizwała wargi i szepnęła coś. Chyba w ogóle nie słuchała tego, co mówiłem.

— Calamity — mruknęła. — Nie wierzę, że to zadziałało...

*Co?*

— Postawiłeś go pod ścianą... — szepnęła. — To było niesamowite...

Pod ścianą? Władcę Ciemności? O tym mówiła? Spojrzała na mnie i przypomniałem sobie. Powtarzała jedną z naszych pierwszych rozmów, po tym, jak zastrzeliła Fortuity'ego. Miała karabin na biodrze i pistolet w drugiej ręce. Tak jak ja wybrałem się na Władcę Ciemności. Ten widok coś w niej poruszył.

— David — powiedziała. — Tak się nazywałeś. I uważam, że jesteś nieznośny.

Wyglądało na to, że dopiero sobie przypomina, kim byłem. Co się stało z jej pamięcią?

— Dziękuję? — powiedziałem.

Kolejny wybuch wstrząsnął stadionem. Obejrzała się przez ramię, wciąż celując we mnie ze swego pistoletu.

— Po czyjej jesteś stronie, Megan? — spytałem.

— Po swojej — odparła natychmiast, ale zaraz uniosła drugą dłoń do głowy, jakby w niepewności.

— Ktoś zdradził nas przed Stalowym Sercem — powiedziałem. — Ktoś ostrzegł go, że zamierzamy uderzyć na Confluxa i że hakujemy miejskie kamery. Dziś ktoś nas podsłuchiwał i przekazywał mu, co robimy. To byłaś ty.

Spojrzała na mnie i nie zaprzeczyła.

— Ale użyłaś też iluzji, by uchronić Abrahama — mówiłem. — I zabiłaś Fortuity'ego.

Mogę uwierzyć, że Stalowe Serce chciał, byśmy ci ufali, więc pozwolił ci zabić jednego z mniejszych Epików. Fortuity i tak był w niełasce. Ale dlaczego miałabyś nas zdradzić, a potem pomagać Abrahamowi w ucieczce?

— Nie wiem — szepnęła. — Ja...

— Zastrzelisz mnie? — spytałem, patrząc na magazynek jej pistoletu.

Zawahała się.

— Idiota. Ty w ogóle nie masz pojęcia, jak rozmawiać z kobietami, co, Klęczko? — przekrzywiła głowę, jakby zaskoczona własnymi słowami.

Opuściła broń, odwróciła się i uciekła.

*Muszę ją dogonić* — pomyślałem, robiąc krok do przodu. Na zewnątrz rozbrzmiała kolejna eksplozja.

*Nie.* Oderwałem oczy od biegnącej postaci. *Muszę się stąd wydostać i iść na pomoc.*

Przemknąłem obok trupa Władcy Ciemności, nadal do połowy zastygłego w stali, z krwią ciekącą po piersi, i skierowałem się ku najbliższemu wyjściu na boisko.

Czyli, w tym przypadku, na pole bitwy.

— ... znajdź tego smarkacza i zastrzel go, Cody! — ryczał Profesor, kiedy znów włączyłem telefon.

— Wycofujemy się, Jon — mówiła Tia równocześnie z nim. — Idę do helikoptera. Będę za trzy minuty. Abraham puści za nami wybuch maskujący.

— Do diabła z Abrahamem! — wypluł z siebie Profesor. — Zamierzam doprowadzić to do końca.

— Jon, nie możesz walczyć z potężnym Epikiem — zaprotestowała Tia.

— Zrobię, co będę chciał! Jestem... — Jego głos zaniknął.

— Odciełam go od zasilania — powiedziała Tia do nas. — Nie jest dobrze, nigdy nie słyszałam, żeby się tak zagalopował. Musimy go jakoś wyciągnąć albo po nim.

— Po nim? — głos Cody ego przepełniał zdumienie. Słyszałem strzelaninę, odbijającą się echem w szerokim korytarzu. Cały czas biegłem.

— Wyjaśnię później. — Ton głosu Tii oznaczał: „Później znajdę lepszy sposób uniknięcia odpowiedzi”.

*Tam* — pomyślałem, widząc przed sobą słabe światełko. Na zewnątrz też było ciemno, ale nie tak kompletnie czarno, jak w tunelach pod stadionem. Strzały stały się głośniejsze.

— Wyciągam nas — kontynuowała Tia. — Abraham, uruchomisz wybuch, kiedy powiem. Cody... znalazłeś Davida? Uważaj, Władca Ciemności może być za tobą.

*Myśli, że nie żyje* — pomyślałem — *bo nie odpowiadam.*

— Tu jestem — odezwałem się.

— David! — Głos Tii był pełen ulgi. — Co z tobą?

— Władca Ciemności załatwiony — powiedziałem, wbiegając do tunelu prowadzącego na boisko, którym drużyny wychodziły na mecz. — Ultrafiolet zadziałał. Pożar chyba też już nam nie zagraża. Ja... odpędziłem go.

— Co? Jak?

— Hmm... potem wytłumaczę.

— No, dobra — powiedziała Tia. — Mamy jakieś dwie minuty do startu. Znajdź Cody'ego.

Nie odpowiedziałem — wydostawałem się na boisko. *Pole bitwy* — pomyślałem w osłupieniu. Ciała żołnierzy armii pokrywały teren jak rozrzucone śmieci. W kilku miejscach płonął ogień, spirale dymu wznosiły się ku ciemnemu niebu. Czerwone flary, rzucone dla oświetlenia, spalały się na ziemi. Fragmenty siedzeń, wyrwane z miejsc, walały się wokół, poznaczone szerniałymi bliznami na niegdyś srebrnej stali.

— To była wojna — wyszeptałem. I wtedy zobaczyłem Stalowe Serce. Szedł przez boisko z rozchylonymi ustami i zębami zaciśniętymi we wzgardliwym uśmiešku. Wyciągniętą przed siebie, świecącą dłonią ciskał kule w coś przed nim. Profesor, biegnący za rzędem ławek. Ciosy niemal go trafiały, ale uchylał się i unikał ich z zadziwiającą zwinnością. Przepisnął się przez boczną ścianę stadionu, wykuwając sobie drogę tensorem.

Stalowe Serce ryknął z wściekłości, ciskając kule ognia w powstały otwór. Profesor pojawił się znowu, wychodząc z innej ściany, osypany stalowym pyłem. Wyrzucił dłoń w przód, posyłając w Stalowe Serce kilka prymitywnych sztyletów, pewnie też wyciętych ze stali. Odbiły się od wysokiego Epika. Profesor wyglądał na sfrustrowanego, jakby się złościł, że nie może zranić Stalowego Serca. Ja jednak byłem pod wrażeniem.



— Cały czas tak robi? — spytałem.

— Taa — potwierdził Cody. — Niezła z niego maszynka, mówiłem.

Rzuciłem okiem na prawą stronę boiska i znalazłem Cody'ego za stertą gruzu. Opierał się na karabinie, celując w grupę żołnierzy armii w pierwszym rzędzie miejsc. Ustawili olbrzymi karabin maszynowy za tarczami antywybuchowymi. To wyjaśniało, dlaczego Cody był uziemiony i nie mógł mnie szukać. Schowałem pistolet i odpiąłem latarkę od karabinu.

— Zaraz będę, panowie — usłyszałem Cię. — Żadnych więcej prób zabicia Stalowego Serca. Fazy przerwane. Musimy się ewakuować, kiedy jeszcze jest szansa.

— Nie sądzę, żeby Profesor się ewakuował — powiedział Abraham.

— Zajmę się Profesorem — odparła Tia.

— Dobra — przystał Abraham. — Gdzie będziesz...

— Słuchajcie, ludzie — przerwałem. — Uważajcie na to, co mówicie w normalnych połączeniach. Sądzę, że haker dobrał się do naszych linii.

— Niemożliwe — zaprotestowała Tia. — Sieci komórkowe są bezpieczne.

— Nie, jeśli masz dostęp do autoryzowanego telefonu — odparłem. — Stalowe Serce mógł dostać się do komórki Megan.

Zapadła cisza.

— Calamity — odezwała się wreszcie Tia. — Ale ze mnie idiotka.

— Aha, wreszcie coś się wyjaśnia — powiedział Cody, strzelając do żołnierzy. — Ta komórka...

Coś poruszyło się w wejściu do budynku za Codym. Zakląłem, podnosząc karabin — ale w tym zdekompletowanym stanie było bardzo trudno wycelować. Pociągnąłem za spust, widząc wyskakującego żołnierza armii. Chybiłem. Żołnierz sygnął ciągłym ogniem.

Ze strony Cody'ego nie dobiegł żaden dźwięk, ale zobaczyłem tryskającą krew. *Nie, nie, NIE!* — obijało mi się po głowie, gdy rzuciłem się do biegu. Strzeliłem ponownie, tym razem trafiając żołnierza w ramię. Kula nie przebiła kamizelki, ale mężczyzna odwrócił się od Cody'ego, koncentrując się na mnie. Wypalił. Niemal instynktownie podniosłem lewą rękę, tę z tensorem. Tym razem trudniej było przywołać pieśń, nie wiem dlaczego. Ale udało mi się. Pieśń rozbrzmiała. Poczulem, jak coś uderza o moją dłoń, i z mojej ręki wytrysnęła chmura stalowego pyłu. Piekło niesamowicie, a z tensora leciały iskry. Chwilę później rozbrzmiała seria strzałów i żołnierz upadł. Abraham wyłonił się zza rogu.

Teraz strzały dochodziły z góry. Sadziłem susami, aż rzuciłem się na ziemię za osłoną Cody'ego. Cody leżał z szeroko otwartymi oczami, dysząc. Dostał kilka razy, trzy w nogę, jeden w brzuch.

— Oslaniaj nas — nakazał Abraham spokojnym głosem, wyciągając bandaż. — Tia, Cody jest poważnie ranny.

— Tu jestem — dał się słyszeć głos Tii. W tym chaosie nie dosłyszałem nadlatującego helikoptera. — Zrobiłam do każdego z was nowe kanały komórkowe z bezpośrednim zasilaniem. Powinniśmy to byli zrobić od razu po stracie komórki Megan. Abraham, musimy się oddalić. Już.

Zerknąłem zza rumowiska. Żołnierze gramolili się wśród siedzeń w naszym kierunku. Abraham niedbale wyciągnął granat zza pasa i rzucił do korytarza za naszymi plecami, w razie gdyby ktoś jeszcze próbował się tam skradać. Granat wybuchł; dało się słyszeć krzyki.

Chwyciłem karabin Cody'ego i otworzyłem ogień do nadciągających żołnierzy. Niektórzy padli, by się ukryć, ale reszta nieustraszenie szła do przodu. Wiedzieli, że nasze siły się wyczerpują. Naciskałem spust, aż zamiast strzałów usłyszałem szcęknięcie. Cody miał resztkę amunicji.

— Masz. — Abraham rzucił mi swój wielki karabin. — Tia, gdzie jesteś?

— Niedaleko was — odpowiedziała. — Zaraz za stadionem. Kierujcie się w tył i do wyjścia.

— Wezmę Cody'ego — powiedział Abraham.

Cody był przytomny, choć miał zamknięte oczy i cały czas kłął. Skinąłem Abrahamowi głową, że będę osłaniał ich odwrót. Podniosłem broń Abrahama. Szczerze mówiąc, zawsze miałem ochotę z niej postrzelać.

Okazała się świetna w użyciu. Odrzut nie był mocny, a sama broń lżejsza, niż się wydawała. Oparłem ją o mały trójnóg i włączyłem pełen tryb automatyczny, zasypując zbliżających się żołnierzy gradem kul. Abraham wyniósł Cody'ego tylnym wyjściem.

Profesor i Stalowe Serce kontynuowali walkę. Załatwiłem kolejnego żołnierza — karabin Abrahama z łatwością przebijał się przez kamizelki ochronne. Pistolet, który miałem pod pachą, wciskał mi się w ciało. Ostatnim z naszych pomysłów na zabicie Stalowego Serca był właśnie strzał z niego. Ale nie było mowy, żebym trafił go z tej odległości. A Tia odwołała operację, każąc nam się wycofać, zanim mieliśmy szansę spróbować.

Kolejny żołnierz padł. Stadion dygotał pod serią wybuchów, którymi Stalowe Serce częstował Profesora. *Nie mogę teraz uciec* — pomyślałem. *Mimo decyzji Tii. Muszę wypróbować pistolet.*

— Jesteśmy w helikopterze — usłyszałem Abrahama. — David, ruszaj się.

— Jeszcze nie wypróbowałem fazy czwartej — powiedziałem, strzelając nadal. Podciągnąłem się do pozycji kłęczącej. Jeden z żołnierzy rzucił we mnie granatem, ale już wycofałem się do korytarza. — Profesor też tu wciąż jest.

— Przerwywamy akcję — ponagliła Tia. — Uciekaj. Profesor wydostanie się, używając tensorów.

— Nigdy nie wyprzedzi Stalowego Serca — powiedziałem. — Poza tym, naprawdę chcesz się ewakuować i nie spróbować tego? — Przejechałem palcem po pistolecie w kaburze. Tia milczała.

— Idę spróbować — oznajmiłem. — Jeśli zrobi się gorąco, odlatujcie.

Zbiegłem z boiska, kierując się z powrotem ku korytarzom pod rządami siedzeń. Trzymałem karabin Abrahama, słuchając krzyków żołnierzy za sobą. *Stalowe Serce i Profesor szli w tę stronę* — pomyślałem. *Muszę tylko zakręcić i podejść na tyle blisko, żeby strzelić do niego. Mogę od tyłu.*

To zadziała. To musi zadziałać.

Żołnierze podążali za mną. Karabin Abrahama miał pod spodem wyrzutnik granatów. A amunicja? Trzeba je było odpalić przed wybuchem, ale mogłem użyć mojego zdalnego detonatora i zapalnika, żeby je uaktywnić.

Nic z tego. Granaty się skończyły. Zakląłem, ale zaraz dostrzegłem zdalny przełącznik ognia na karabinie. Wyszczrzyłem zęby. Błyskawicznie się zatrzymałem i położyłem broń na ziemi, wklinowaną między odłamki stali. Uruchomiłem przełącznik i rzuciłem się biegiem. Karabin zaczął pluć ogniem, zasypując korytarz za mną kulami. Raczej nie mógł poczynić wielkich strat, ale chodziło mi tylko o to, by zyskać chwilę oddechu. Słyszałem, jak żołnierze nawołują się do ukrycia. To mi wystarczyło. Dotarłem do kolejnego wyjścia i błyskawicznie wydostałem się z korytarza na boisko.

Wstęgi dymu podnosiły się z ziemi. Wyglądało na to, że kule Stalowego Serca tliły się jeszcze po uderzeniu, podpalając nawet niepalne przedmioty. Uniosłem pistolet i przez moment zaciekawilo mnie, co powiedziałby Abraham, gdyby się dowiedział, że straciłem jego broń. Znowu.

Dostrzegłem Stalowe Serce, odwróconego ode mnie i zajętego Profesorem. Gnałem jak

szalony przez chmury dymu, przeskakując nad stertami gruzu.

Stalowe Serce zaczął odwracać się w momencie, gdy się zbliżyłem. Widziałem jego władcze oczy o aroganckim spojrzeniu. Jego dłonie tryskały energią. Zatrzymałem się, otoczony gryzącym dymem, i drżącymi rękami uniosłem broń. Broń, z której zabito mojego ojca. Jedyna broń, jaka kiedykolwiek zraniła stojącego przede mną potwora.

Strzeliłem trzy razy.

Wszystkie trafiły... i wszystkie odbiły się od Stalowego Serca, jakbym rzucał kamyczkami w czołg.

Zniżyłem broń. Stalowe Serce uniósł otoczoną poświatą rękę w moim kierunku, ale było mi wszystko jedno.

*To koniec* — pomyślałem. *Spróbowaliśmy wszystkiego*. Nie poznałem jego sekretu. Nigdy go nie znałem.

Zawiodłem.

Uwolnił wybuch energii i jakaś najgłębsza część mnie zareagowała. Rzuciłem się w bok i energia uderzyła w ziemię, wznosząc fontannę stopionego metalu. Wstrząsy sprawiły, że straciłem kontrolę i upadłem ciężko na twardy grunt. Leżałem oszołomiony. Stalowe Serce podszedł bliżej. Pelerynę miał rozdartą w kilku miejscach po atakach Profesora, ale to była widocznie tylko drobna niedogodność. Górował nade mną z wyciągniętą dłonią.

Choć szykowałem się na śmierć z jego ręki, musiałem przyznać, że prezentował się majestatycznie. Rozdarcia w srebrno-czarnej pelerynie czyniły ją w jakiś sposób bardziej prawdziwą. Klasyczna, kwadratowa twarz o szczęce, której mógłby mu pozazdrościć gracz w rugby, wytrenowane, umięśnione ciało. Ale nie do przesady; było po prostu perfekcyjne.

Wpatrywał się we mnie. Jego dłoń lśniła.

— A, tak — powiedział. — Dziecko z banku.

Zamrugalem zszokowany.

— Pamiętam wszystkich i wszystko — dodał. — Nie powinieneś być zaskoczony. Jestem istotą boską, dziecko. Nie zapominam. Sądziłem, że nie żyjesz. A tu niedokończona sprawa. Nie cierpię niedokończonych spraw.

— Zabieles mojego ojca — wyszeptalem. Głupi tekst, ale jakoś sam się powiedział.

— Zabielem mnóstwo ojców — odparł Stalowe Serce. — A także matek, synów, córek. To moje prawo.

Jego dłoń zaczęła lśnić mocniej. Czekałem na to, co miało nastąpić.

Profesor zaatakował Stalowe Serce od tyłu.

Odruchowo przeturlałem się na bok, gdy we dwóch upadli na ziemię. Profesor znalazł się na górze. Jego ubranie było nadpalone, poszarpane i zakrwawione. Miał swój miecz i dźgał nim twarz Stalowego Serca. Ten wybuchnął śmiechem; ostrze wyszczerbiło się na jego ciele.

*Rozmawiał ze mną, żeby zwabić Profesora* — pomyślałem w oszołomieniu. *On...*

Stalowe Serce wyciągnął ramię i popchnął Profesora, odrzucając go w tył. Zrobił to bez żadnego wysiłku, a Profesor przeleciał dobre trzy metry. Padł na ziemię i jęknął.

Zawiał mocniejszy wiatr. Stalowe Serce obrał pozycję pionową i skoczył, unosząc się w powietrzu. Wylądował na jednym kolanie i walnął Profesora pięścią w twarz. Trysnęła krew.

Krzyknąłem, wstając z trudem i biegnąc do Profesora. Zawiodła mnie jednak kostka i znów ciężko upadłem. Przez łzy bólu zobaczyłem, jak Stalowe Serce uderza ponownie.

Czerwień. Tyle czerwieni.

Stalowe Serce wstał, otrząsając zakrwawione dłonie.

— Jesteś wyjątkowy, mały Epiku — zwrócił się do leżącego nieruchomo Profesora. — Chyba nikt nie wkurzył mnie tak jak ty.

Podpełzłem bliżej i dotarłem do Profesora. Miał wgniecioną czaszkę po lewej stronie i niewidzącymi oczami wpatrywał się przed siebie. Nie żył.

— David! — usłyszałem Cię. Z tej samej strony rozległy się strzały. Armia znalazła helikopter.

— Odleć — wyszeptałem.

— Ale...

— Profesor nie żyje — powiedziałem. — Ja też. Leć.

Cisza.

Wyciągnąłem mały detonator z kieszeni. Byliśmy na środku boiska. Cody umieścił zapalnik na stosie materiałów wybuchowych tuż pod nami. No to wystrzelę Stalowe Serce w powietrze, zobaczymy, co to da.

Kilku żołnierzy armii podbiegło do Stalowego Serca, meldując się. Usłyszałem huk wznoszącego się helikoptera. Usłyszałem też na linii płacz Tii. Podciągnąłem się i ukląknęłam przy zwłokach Profesora.

*Ojciec umierający przy mnie. Klęczałem przy jego boku. Uciekaj... biegnij...*

Przynajmniej teraz nie stchórzyłem. Uniosłem detonator i położyłem palec na przycisku. Wybuch zabije mnie, a Stalowemu Sercu nic się nie stanie. Wychodził już nietknięty z eksplozji. Ale może padnie kilku żołnierzy. Też warto.

— Nie. — Stalowe Serce wstrzymał swe oddziały. — Sam się nim zajmę. Ten jest... szczególny.

Patrzyłem na niego, mrugając, oślepiony. Gestem odesłał oficerów armii. Za jego plecami, w oddali, działo się coś dziwnego — ponad ogrodzeniem, nad luksusowymi apartamentami. Zmarszczyłem czoło. Światło? Ale... to nie ten kierunek. Nie patrzyłem w stronę miasta. Poza tym światła miejskie nigdy nie były tak wspaniałe. Czerwienie, pomarańcze, żółcie. Wyglądało, jakby niebo płonęło.

Zamrugalem raz jeszcze w obłoku dymu. Słońce. Władca Ciemności nie żył. Wschodziło słońce.

Stalowe Serce obrócił się szybko i cofnął, zakrywając twarz ramieniem. Otworzył usta w zdumieniu i zaraz je zamknął, zgrzytając zębami. Znów zwrócił się do mnie, z oczami rozszerzonymi gniewem.

— Trudno będzie zastąpić Władcę Ciemności! — ryknął.

Klęcząc na środku boiska, gapiłem się na światło. Piękny blask, to potężne coś skrywające się za nim. *Są rzeczy większe od Epików* — pomyślałem. *Jest życie i miłość, i sama natura.*

Stalowe Serce szedł w moją stronę.

*Gdzie są lajdacy, tam będą i bohaterowie.* Głos mojego ojca. *Po prostu czekaj. Przyjdą.*

Stalowe Serce uniósł lśniąca dłoń.

*Czasami, synu, bohaterom trzeba pomóc...*

I nagle wszystko stało się jasne. Świadomość otworzyła mój umysł jak świetlista obecność samego słońca. Wiedziałem. Rozumiałem.

Nie patrząc w dół, podniosłem pistolet ojca. Bawiłem się mm przez chwilę, a potem wycelowałem w Stalowe Serce. Ten prychnął i spojrział z politowaniem.

— No więc?

Moja ręka drżała, dygotało całe moje ramię. Słońce oświetlało Stalowe Serce od tyłu.

Idiota — powiedział Stalowe Serce i złapał mnie za rękę, gruchocząc kości. Prawie nie czułem bólu. Broń upadła z brzęknięciem na ziemię. Stalowe Serce ruchem ręki stworzył mały wir powietrzny, który podniósł pistolet i umieścił go w jego dłoni. Stalowe Serce skierował go w moją stronę.

Spojrzałem na niego. Morderca w jaskrawym świetle. Tak widziany, sprawiał wrażenie

cienia. Ciemności. Nicości skonfrontowanej z prawdziwą mocą.

Ludzie tego świata, włączywszy Epików, mieli przeminąć z czasem. Dla niego mogłem być robakiem, ale on sam był robakiem w wielkim planie wszechświata.

Na policzku miał maleńką bliznę, jedyną rzecz psującą perfekcję jego ciała. Prezent od mężczyzny, który kiedyś w niego wierzył. Od człowieka lepszego, niż Stalowe Serce mógłby kiedykolwiek być, czy choćby zrozumieć.

Powinienem być wtedy ostrożniejszy — rzekł Stalowe Serce.

— Mój ojciec nie bał się ciebie — wyszeptalem.

Stalowe Serce zeszytniał z pistoletem wycelowanym we mnie. Klęczałem przed nim, cały we krwi. Zawsze lubił używać przeciwko wrogom ich własnej broni. To była część planu.

Wiatr przegnał snujący się wokół dym.

— Taki jest sekret — powiedziałem. — Trzymasz nas w ciemności. Chwalisz się swymi przerażającymi mocami. Zabijasz, pozwalasz zabijać Epikom, zwracasz broń ludzi przeciwko nim samym. Rozsiewasz nawet fałszywe plotki o tym, jaki jesteś straszliwy. Chcesz, żebyśmy się bali...

Oczy Stalowego Serca rozszerzyły się.

— ... bo zranic może cię tylko ktoś, kto się ciebie nie boi — dokończyłem. — Ale nikt taki nie istnieje, prawda? Upewniłeś się, by tak było. Nawet Mściciele, nawet sam Profesor. Nawet ja. Wszyscy się ciebie boimy. Na szczęście znam kogoś, kto się ciebie nie lęka i nigdy się nie lękał.

— Nic nie wiesz! — ryknął.

— Wiem wszystko — szepnąłem. I uśmiechnąłem się.

Stalowe Serce pociągnął za spust.

Wewnątrz pistoletu iglica puknęła w tylną część łuski naboju. Proch eksplodował i kula skoczyła w przód, gotowa zabić.

I uderzyła w przedmiot, który wcześniej umieściłem w lufie. Cieniutki długopis z przyciskiem na górze. Tak mały, że dało się go włożyć do środka. Detonator. Połączony z materiałami wybuchowymi pod nami.

Nabój uderzył w przycisk i wcisnął go.

Przysiągłbym, że widziałem poszczególne etapy eksplozji. Każde uderzenie serca trwało całą wieczność. Ogień skoczył ku górze, rozrywając stalową podłogę jak papier i okrywając wszystko okropną czerwieńią, wspaniale kontrastującą ze spokojnym pięknem wschodzącego słońca.

Objął Stalowe Serce i wszystko wokół; rozerwał jego ciało, nim Stalowe Serce zdążył krzyknąć. Skóra opadła w strzępach, mięśnie spłonęły, organy wewnętrzne rozerwały się na kawałki. Zwrócił oczy ku niebu, spalany w wulkanicznym ogniu, który wytrysnął spod jego stóp. W tym nieskończenie krótkim ułamku sekundy umarł Stalowe Serce, największy z Epików.

Mógł być zabity tylko przez kogoś, kto się go nie lękał.

Sam pociągnął za spust.

Sam spowodował detonację.

I tak jak na to wskazywał arogancki, pełen buty uśmieszek, Stalowe Serce nie bał się siebie. Być może jako jedyna żywa istota.

Nie miałem czasu, by się w tej nieskończenie krótkiej chwili uśmiechnąć, ale i tak czułem uśmiech, gdy zagarnął mnie ogień.

Patrzyłem na zmieniające się czerwono-pomarańczowo-czarne wzory. Ściana ognia i zniszczenia. Patrzyłem, aż zniknęły. Na ziemi obok mnie została czarna szrama, otaczająca dziurę szeroką na pięć kroków. Tędy poszedł wybuch.

Patrzyłem na to wszystko i stwierdziłem, że żyję. Przyznaję, to był jeden z najbardziej zagadkowych momentów mego istnienia.

Za mną ktoś zajęczał. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak Profesor siada. Jego ubranie było zakrwawione i miał kilka zadrapań, ale czaszka była cała. Czyżbym źle ocenił jego rany?

Profesor wyciągnął rękę dłonią do góry. Tensor był w strzępach.

— Calamity — rzekł — jeszcze centymetr i nie byłbym w stanie tego zatrzymać.

Zakaszłał w zwiniętą dłoń.

— Masz szczęście, frajerku.

Gdy mówił, zadrapania na jego skórze znikwały, uleczone. *Profesor jest Epikiem* — pomyślałem. Epikiem. *Stworzył tarczę energetyczną, żeby zablokować wybuch!*

Niepewnie wstał i rozejrzał się po stadionie. Kilku żołnierzy armii rzuciło się do ucieczki na jego widok. Chyba nie chcieli brać udziału w niczym, co rozgrywało się na środku pola.

— Jak... — spróbowałem. — Jak długo?

— Od Calamity — odparł Profesor, ruszając szyją. — Myślisz, że zwykły człowiek dałby radę opierać się Stalowemu Sercu tak długo jak ja dzisiaj?

Oczywiście, że nie.

— Te wszystkie wynalazki to lipa, prawda? — spytałem, rozumiejąc coraz więcej. — Jesteś obdarowującym! Dałeś nam swoje zdolności. Ochronne w postaci kurtek, uzdrawiające jako wzmacniacz i niszczące jako tensory.

— Nie wiem, czemu to zrobiłem — powiedział. — Ty żalosny, mały... — zajęczał, dotykając ręką głowy, zgrzytnął zębami i zaryczał. Cofnąłem się zdumiony.

— Trudno z tym walczyć — powiedział przez zaciśnięte zęby. — Im więcej tego używasz, tym bardziej... ARRRRR!

Ukląkł, obejmując głowę. Milczał przez kilka minut, a ja czekałem, nie wiedząc, co powiedzieć. Wreszcie podniósł głowę, chyba już bardziej panując nad sobą.

— Rozdaję je — powiedział — bo kiedy ich używam... tak mi się robi.

— Możesz to zwalczyć, Profesorze — oznajmiłem. Wydawało mi się, że powinienem to powiedzieć. — Widziałem, jak to robisz. Jesteś dobrym człowiekiem. Nie pozwól, by to cię pochłonęło.

Przytaknął, oddychając głęboko.

— Weź — podał mi rękę. Z wahaniem ująłem ją moją zdrową dłonią — druga była zmiażdżona. Powinienem czuć ból, ale cały czas byłem w szoku.

Nie poczułem się inaczej, ale wyglądało na to, że Profesor odzyskuje nad sobą kontrolę. Moja połamana dłoń powróciła do właściwego kształtu, kawałki kości wskakiwały na swoje miejsce. Po paru sekundach mogłem ją zginać i wszystko działało jak trzeba.

— Muszę to porozdzielać między was — rzekł. — W ciebie chyba nie... wnika tak szybko, jak we mnie. Ale gdybym przekazał wszystko jednej osobie, zmieniłaby się.

— To dlatego Megan nie mogła używać tensorów — powiedziałem. — Ani wzmacniacza.

— Co takiego?

— O, przepraszam. Nie wie pan, że Megan też jest Epikiem.

— Co?!

— Ona jest Pożarem — wyjaśniłem, kuląc się odrobinę. — Użyła swoich mocy iluzji, żeby zmylić wykrywacz. Zaraz, wykrywacz...

— Tia i ja zaprogramowaliśmy go tak, żeby mnie wyłączał — powiedział Profesor. — Dawał fałszywy wynik ujemny.

— Och. Cóż, myślę, że Stalowe Serce musiał wysłać Megan, by przeniknęła w szeregi Mścicieli. Ale Edmund mówił, że nie może przekazać swoich mocy innym Epikom, więc... tak. Dlatego nie mogła używać tensorów.

Profesor potrząsnął głową.

— Kiedy powiedział to w kryjówce, zdziwiłem się. Nigdy nie próbowałem przekazać mocy innemu Epikowi. Powinienem być się domyślić... Megan...

— Nie mógł pan wiedzieć — powiedziałem.

Profesor odetchnął i przytaknął. Spojrzał na mnie.

— W porządku, synu. Nie musisz się bać. Tym razem mija szybko — zawahał się. — Tak sądzę.

— Jak dla mnie bardzo dobrze — odparłem, dźwigając się na nogi. W powietrzu unosił się zapach wybuchów — prochu, dymu i spalonego ciała. Wschodzące słońce odbijało się w otaczającej nas stali. Niemal mnie oślepiło, a przecież jeszcze nie weszło na dobre.

Profesor przyjrzał się słońcu, jakby go przedtem nie dostrzegł. Nawet się uśmiechnął, jakby coraz bardziej przypominał prawdziwego siebie. Ruszył przez boisko, zmierzając do czegoś w środku rumowiska.

*Osobowość Megan też się zmieniła, kiedy użyła swoich mocy — pomyślałem. W szybie windy, na motorach... zmieniała się. Stawała się bardziej szorstka, arogancka, może nawet wypełniona nienawiścią. Za każdym razem przemijało to szybko, ale mało co korzystała ze swoich zdolności, więc może słabiej to na nią działało. Jeśli tak, to czas spędzony przez nią z Mścicielami, kiedy musiała uważać, by nie zdradzić się ze swoimi zdolnościami, sprawił, że była mniej podatna.*

Profesor wrócił, trzymając coś w ręce. Czaszkę, szerniałą i nadpaloną. Przez sadzę połyskiwał metal. Metalowa czaszka. Obrócił ją w moją stronę. W prawej kości policzkowej był rowek przypominający ślad po kuli.

— Aha — skomentowałem, biorąc czaszkę do ręki. — Jeśli kula mogła uszkodzić jego kości, dlaczego wybuch nie?

— Nie zdziwiłbym się, gdyby śmierć wyzwoliła u niego zdolność transformacji — odparł Profesor. — Przemieniając wszystko, co z niego zostało, w stal.

Wydawało mi się to zbyt daleko idącym wnioskiem, ale z drugiej strony, z Epikami działy się dziwne rzeczy. Przedziwne, zwłaszcza po ich śmierci.

Kiedy przyglądałem się czaszce, Profesor zadzwonił do Tii. Nieuważnie zarejestrowałem płacz, potem okrzyki radości, i zobaczyłem, że helikopter zawraca w naszą stronę. Ruszyłem w kierunku tunelu prowadzącego do podziemi stadionu.

— David? — zawołał Profesor.

— Zaraz wracam — odpowiedziałem. — Chcę tylko coś wziąć.

— Helikopter przyleci za kilka minut. Lepiej, żeby nas tu nie było, kiedy armia przyjdzie zobaczyć, co się stało.

Zacząłem biec. Profesor zamilkł. Zanurzyłem się w ciemność i nastawiłem światło telefonu na najmocniejsze, oświetlając wysokie, przepastne korytarze. Minąłem ciało Władcy Ciemności uwięzione w stali. Miejsce, gdzie Abraham spowodował wybuch. I zwolniłem,



wpatrując się w przestrzeń między barierkami a łazienkami. Nie miałem dużo czasu i wkrótce poczułem się głupio. Co chciałem tu znaleźć? Ona odeszła. Była...

Głosy.

Zamarłem i odwróciłem się. Tam, w ciemnym korytarzu. Podeszedłem do otwartych stalowych drzwi, prowadzących chyba do budki dozorczy. Wydawało mi się, że rozpoznaję głos. Był znajomy. Nie należał do Megan, tylko...

— Zasługiwałaś, by przeżyć, nawet jeśli ja zginę — mówił. Dało się słyszeć odległą strzelaninę. — Wiesz, zakochałem się w tobie od razu pierwszego dnia. Głupie, co? Miłość od pierwszego wejrzenia. Co za banal.

Tak, znałem ten głos. Należał do mnie. Stałem w drzwiach i wydawało mi się, że śnię. Słyszałem własne słowa, wypowiedziane nad umierającą Megan. Wysłuchałem wszystkiego do końca.

— Nie wiem, czy cię Kocham — mówił mój głos — ale cokolwiek to jest, to dla mnie najsilniejsze uczucie od lat. Dziękuję ci.

Nagranie skończyło się. I zaczęło od początku.

Wszedłem do małego pomieszczenia. Megan siedziała na podłodze w kącie, wpatrując się w swoją komórkę. Kiedy mnie zobaczyła, ściszyła dźwięki, ale nie przestała patrzeć na ekran.

— Jestem podłączona do zasilania audio i wideo — szepnęła. — Kamera jest tu, pod skórą nad moim okiem. Włącza się, jeśli zbyt długo mam zamknięte oczy albo jeśli serce bije mi zbyt wolno czy zbyt szybko. Wysyła dane do jednej z moich kryjówek w mieście. Zaczęłam to robić po tym, jak zginęłam pierwsze kilka razy. Reinkarnacja zawsze wytrąca z równowagi. Lepiej jest, jeśli mogę zobaczyć, co doprowadziło do śmierci.

— Megan, ja...

Cóż mogłem powiedzieć?

— Naprawdę nazywam się Megan — powiedziała. — Śmieszne, co? Byłam zdania, że mogę zdradzić to imię Mścicielom, bo ten człowiek — człowiek, którym byłam — nie żyje. Megan Tarash. Nigdy nie miała nic wspólnego z Pożarem. Była zwykłą istotą ludzką.

Spojrzała na mnie i w świetle jej komórki dostrzegłem łzy w jej oczach.

— Niosłeś mnie przez całą drogę — wyszeptała. — Obejrzałam to sobie, kiedy pierwszy raz wróciłam wtedy do życia. Twoje działania wydawały mi się bez sensu, myślałam, że czegoś ode mnie potrzebowałeś. Teraz widzę to inaczej.

— Musimy iść, Megan — powiedziałem, robiąc krok w przód. — Profesor wytłumaczy ci wszystko lepiej niż ja. Teraz po prostu chodź ze mną.

— Mój umysł się zmienia — szeptała dalej. — Kiedy umieram, odradzam się ze światła dzień później. W przypadkowym miejscu, nie tam, gdzie było moje ciało, nie tam, gdzie zginęłam, ale niedaleko. Za każdym razem gdzie indziej. Nie... nie czuję się sobą po tym, co się stało. Nie taką sobą, jaką chcę być. To nie ma sensu. Czemu ufasz, David? Czemu zaufasz, kiedy twoje własne myśli i uczucia zdają się cię nienawidzić?

— Profesor może...

— Stój. — Uniosła dłoń. — Nie... nie podchodź bliżej. Zostaw mnie. Muszę pomyśleć. Zrobiłem jeszcze jeden krok w przód.

— Stój!!!

Wokół nas ściany znikły i wydawało się, że płoną żywym ogniem. Podłoga zachwiała się pod moimi stopami. Poczulem mdłości i potknąłem się.

— Musisz ze mną pójść, Megan.

— Jeśli podejdziesz bliżej, zastrzelę się. — Sięgnęła po broń leżącą na ziemi. — Zrobię to, David. Śmierć nic dla mnie nie znaczy. Już nie.

Cofnąłem się z uniesionymi dłońmi.

— Muszę się zastanowić — wymamrotała ponownie, patrząc na telefon.

— David — usłyszałem głos Profesora. — David, odlatujemy. Teraz.

— Megan, nie używaj swoich mocy — powiedziałem. — Proszę. Musisz zrozumieć. To one cię zmieniają. Nie korzystaj z nich przez kilka dni. Schowaj się gdzieś i rozjaśni ci się w głowie.

Gapła się na ekran. Nagranie rozbrzmiało od początku.

— Megan...

Uniosła broń w moją stronę, nie odrywając wzroku od telefonu. Łzy stoczyły się po jej policzkach.

— David!!! — ryknął Profesor.

Odwrociłem się i pobiegłem do helikoptera. Nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić.

## Epilog

Widziałem, jak Stalowe Serce krwawił.

Słyszałem, jak krzyczał. Widziałem, jak płonął, jak ginął w ognistym piekle — i to ja go zabiłem. Owszem, detonację wyzwoliła jego własna ręka, ale nie obchodzi mnie i nigdy nie obchodziło, czyja ręka faktycznie odebrała mu życie. Stało się to dzięki mnie. Na dowód mam jego czaszkę.

Siedziałem zapięty w pasy w helikopterze, wyglądając przez otwarte drzwi po mojej stronie. Powiew przy starcie rozwiął mi włosy. Cody z tyłu szybko dochodził do siebie, ku zdumieniu Abrahama. Wiedziałem, że Profesor przekazał Cody'emu sporą część swoich zdolności leczniczych. Z tego, co wiedziałem o zdolnościach regeneracyjnych Epików, mogłyby uleczyć Cody'ego właściwie ze wszystkiego, pod warunkiem, że oddychał jeszcze w momencie przekazania mocy.

Wznieśliśmy się w górę w oślepiająco żółtym słońcu, pozostawiając za sobą stadion — spalony, poszarpany, ale emitujący fale triumfu. Ojciec powiedział mi, że Polygon został tak nazwany na cześć żołnierzy, kobiet i mężczyzn, którzy polegli w boju. Teraz stał się areną najważniejszej bitwy od czasów Calamity. Nigdy ta nazwa nie wydawała mi się równie trafna.

Unosiliśmy się nad miastem, które pierwszy raz od dekady widziało prawdziwe światło. Ludzie na ulicach patrzyli w górę.

Tia pilotowała helikopter, jednym ramieniem obejmując Profesora, jakby wciąż nie mogła uwierzyć, że jest tu z nami.

Profesor wyglądał przez okno. Zastanawiałem się, czy widzi to samo co ja. Nie uratowaliśmy miasta. Jeszcze nie. Zabiliśmy Stalowe Serce, ale pojawiają się inni Epicy.

Nie mogłem pogodzić się z tym, że musimy opuścić ludzi. Pozbawiliśmy Newcago źródła władzy i powinniśmy wziąć za to odpowiedzialność. Nie dopuściłbym, by mój dom pogrążył się w chaosie, nie teraz. Ani nawet dla Mścicieli.

Walka musi być czymś więcej niż zabijaniem Epików. Musi w niej chodzić o coś większego. O coś, co być może ma związek z Profesorem i Megan. Epicy mogą zostać pokonani. Niektórych może da się nawet uratować. Nie wiem za dobrze, jak to zrobić, ale zamierzam próbować, aż znajdę odpowiedź — albo zginę.

Uśmiechnąłem się, gdy odlatywaliśmy znad miasta. *Bohaterowie przyjdą... może tylko będziemy musieli trochę im pomóc.* Zawsze zakładałem, że śmierć mojego ojca będzie czymś, co wpłynie na mnie jak nic innego. Dopiero teraz, trzymając w ręce czaszkę Stalowego Serca, uświadomiłem sobie, że nie walczyłem z zemsty, nie dla odkupienia. Nie walczyłem za śmierć mojego ojca.

Walczyłem za jego marzenia.

## Podziękowania

Ta książka powstawała bardzo długo. Pierwszy raz pomysł przyszedł mi do głowy, kiedy jeździłem na spotkanie promocyjne w... chyba w 2007 roku. Pisanie zajęło mi tyle czasu, że całe mnóstwo ludzi przyczyniło się do powstania książki. Mam nadzieję, że nikogo z was nie pominę!

Przede wszystkim dziękuję mojemu wspianiałemu wydawcy, Kriście Marino, za niezwykle umiejętne kierowanie projektem. Była niebywale pomocna, a dzięki jej zdolnościom edytorskim książka przekształciła się ze śmiałego pomysłu w dopieszczony produkt. Nie powinniśmy również zapomnieć o zuchowatym Jamesie Dashnerze, który był na tyle miły, że do niej zadzwonił i mnie zarekomendował.

Inni zasługujący na owacje to: Michael Trudeau, który wykonał świetną edycję kopii oraz — w Random House — Paul Samuelson, Rachel Weinick, Beverly Horowitz, Judith Haut, Dominique Cimina i Barbara Marcus. Także Christopher Paolini, za wsparcie i pomoc w pracy.

Jak zawsze, pragnę gorąco podziękować moim agentom; Joshui Bilmesowi, który nie wyśmiewał zanadto mojej chęci pracy nad tą książką zamiast dwudziestu innych projektów, które powinny być wtedy robione oraz Eddiemu Schneiderowi, którego zadaniem jest zawsze bycie lepiej ubranym niż reszta nas i posiadanie nazwiska, które zawsze muszę sprawdzić, zanim umieszczę je w podziękowaniach. Jeśli chodzi o pracę nad filmową wersją Stalowego Serca (bardzo się staramy), wyrazy wdzięczności należą się (Joelowi Gotlerowi, Brianowi Lipsonowi, Navidowi McIlhargey i superczłowiekowi Donaldowi Mustardowi).

Wyrazy uznania otrzymuje także temperamentny Peter Ahlstrom, mój asystent wydawniczy, który od początku kibicował tej książce. W pracy wydawniczej on był pierwszym, który wziął się za nią i któremu książka zawdzięcza sporo ze swego sukcesu.

Nie chciałbym też pominąć zespołu wydawnictw w Wielkiej Brytanii, Irlandii i Australii w osobach Johna Berlyne i Johna Parkera z Zeno Agency, Simona Spantona i mojego macierzystego wydawcy w Wielkiej Brytanii, Jonathana Weira z Gollancz.

Inni, posiadający umiejętność czytania i wsparcia na poziomie Epików, to: Dominique Nolan, Brian McGinley, David West, Peter (znów) i Karen Ahlstrom, Benjamin Rodriguez i Danielle Olsen, Alan Layton, Kaylynn ZoBell, Dan „Pisałem Post-Apokaliptyczne Historie Przed Tobą” Wells, Kathleen Sanderson Dorsey, Brian Hill, Brian „Teraz To Już Jesteś Mi Winien Jakieś Honorarium, Brandon” Delambre, Jason Denzel, Kalyani Poluri, Kyle Mills, Adam Hussey, Austin Hussey, Paul Christopher, Michelle Walker i Josh Walker. Jesteście niesamowici.

Na koniec, jak zawsze, chcę podziękować mojej uroczej żonie, Emily, i moim trzem niszczycielskim synkom, którzy są nieustającą inspiracją, jak Epik mógłby unicestwić miasto (albo salon).

*Brandon Sanderson*

## O autorze

Brandon Sanderson (ur. 1975) — jeden z najwybitniejszych współczesnych autorów fantastyki; dwukrotny laureat nagrody Hugo. Autor popularnej serii "Z mgły zrodzony" i kontynuator "Koła Czasu" Roberta Jordana. Jego książki zostały przetłumaczone na 25 języków. Mieszka i pracuje w stanie Utah w USA.

Więcej o autorze można się dowiedzieć na jego stronie [brandonsanderson.com](http://brandonsanderson.com).

Ciąg dalszy walki o ludzkość w  
**MŚCICIELE TOM II**

**POŻAR**

